



NIEWOLNICA

Najnowsza powieść autorki
bestsellerowej *CARYCY!*

ELLEN ALPSTEN



ELLEN ALPSTEN

NIEWOLNICA

Z języka niemieckiego przełożyła
Małgorzata Huber



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA



NIEWOLNICA

Najnowsza powieść autorki
bestsellerowej *CARYCY!*

ELLEN ALPSTEN



WYDAWNICTWO
SOMM DRACH

ELLEN ALPSTEN

NIEWOLNICA

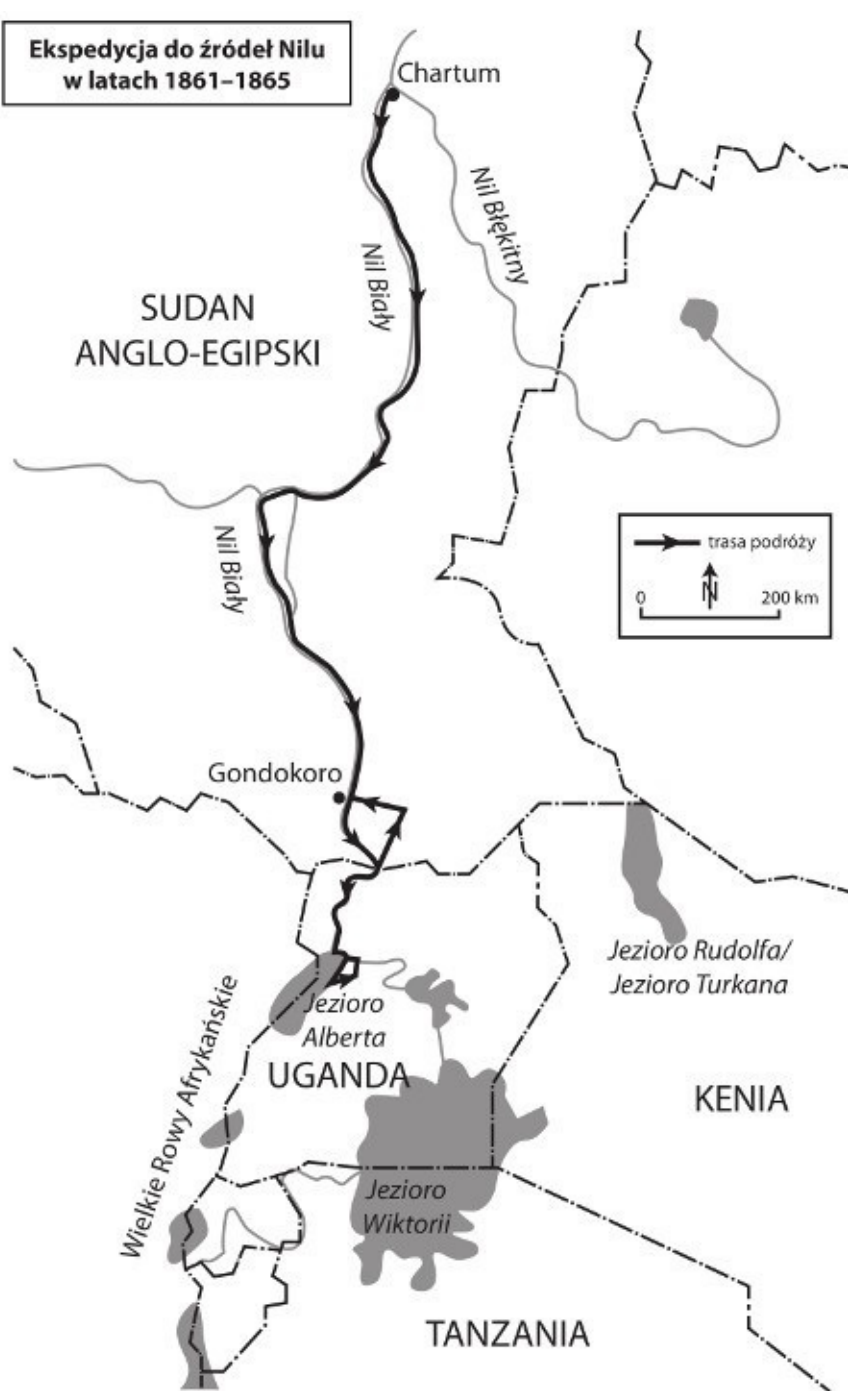
Z języka niemieckiego przełożyła
Małgorzata Huber



Dla Linusa i Caspara

(oraz dla wszystkich, którzy tak cierpliwie pomagali mi podróżować razem z Samem i

**Ekspedycja do źródeł Nilu
w latach 1861–1865**



Rozdział 1

Dziś w nocy albo nigdy – pomyślała Florence, słysząc chrobot klucza przekręcanego w zamku klatki. Na niebie jaśniał wyraźny sierp księżyca, podobny do tych, które widywała na flagach i dachach minaretów.

Czyby właśnie ten księżyc, księżyc Sulejmana, miał jej pomóc w ucieczce i oświetlić drogę ku wolności?

Sulejman złapał za pręty żelaznych drzwi i szarpnął,

upewniając się, że klatka jest dobrze zamknięta. Mruknął

zadowolony, po czym przytroczył klucz do pasa obok

zakrzywionego sztyletu, pistoletu i rogu z prochem, a następnie odwrócił się do odejścia. Po drodze wrzucił do ust garść

słonecznikowych ziaren, a przeżuwając je, wypłuł na ziemię łupiny.

Znad brzegu Dunaju dochodził powiew wieczornego wiatru.

Florence poczuła chłód. Sulejman kilka razy uderzył szpicrutą w cholewę buta, by przywołać psy.

Zmęczone zwierzęta człapały przy jego nodze po ziemi, której barwa przywodziła Florence na myśl sok z czerwonych buraków. Z ich chudych ciał zwisała skóra pokryta sierścią.

Oparła się o pręty klatki, potracając sąsiadkę. Kobieta

warknęła i wsunęła się głębiej pod dziurawą derkę. Ile ich tu było?

Florence próbowała zgadnąć. Czterdzieści, a może pięćdziesiąt dziewcząt i kobiet? Najsprytniejsze zdołały sobie wywalczyć miejsce przy ognisku, które płonęło pośrodku klatki. Ułożyły się wokół

ciepłego żaru i spały. Pozostałe grzały się wzajemnie swoimi ciałami.

Florence nie zamierzała spać. Czekwała na nadejście

odpowiedniej pory. „Dziś w nocy albo nigdy – pomyślała kolejny raz. – To moja ostatnia szansa.

Ucieczka wybawi mnie od

większego nieszczęścia. Wszystko wydaje się lepsze od losu, jaki spotkałby mnie tutaj, w Widyniu”.

Na niebie między strzępami chmur ukazała się wieczorna

gwiazda. Była samotna. Ciszę wieczoru rozpraszały śpiewy

dochodzące od strony klatki z mężczyznami, ustawionej tuż obok ich kojca. Brzmiały smutno, chociaż Florence nie rozumiała słów.

Większość niewolników pochodziła z Nilu. Ich skóra była tak ciemna jak pióra kruków, które ukryte w koronach nielicznych drzew okalających obozowisko, wyczekiwały na przypadającą im w udziale część kolacji. Piosenki mieszały się z okrzykami i wybuchami śmiechu. Mimo cierpienia czarnoskórzy mężczyźni

zdawali się jeszcze skorzy do żartów.

Najwyraźniej sam fakt, że wciąż żyją, stanowił dla nich

wystarczający powód do radości.

Od tygodnia obozowali na przedmieściu Widynia.

Nacięciami na drewnianych prętach klatki odliczała upływające dni. Za jakieś dwa tygodnie w mieście miał się odbyć jeden z największych dorocznych targów. Właśnie z tego powodu

przyprawiono Florence do Widynia w długim pochodzie, wraz z całą rzeszą innych niewolników.

Wokół szyi miała drewniane

jarzmo, do którego przymocowano łańcuch zwieszający się na

piersi i brzuch, na którym żelazo krępowało jej ręce. Wciąż jeszcze bolały ją nogi po długim marszu.

Podeszwy i palce stóp pokrywały bolesne bąble. Po drodze, nie bacząc na uwierające jarzmo, Florence się nachylała i rozdrapywała pęcherze. Chciała, by rany uległy zakażeniu. Była gotowa uczynić wszystko, żeby opóźnić pochód, wszystko, by nie sprzedano jej na targu.

Tymczasem Sulejman dostrzegł jej poczynania i się

rozgniewał.

– Dziewczyno, jeżeli nie zaczniesz o siebie dbać, zrobię z

tobą porządek. Chcę dostać za ciebie dobrą cenę, zrozumiano?

Jesteś wyśmienitym towarem i tylko ja taki mam. Gdy dopisze nam szczęście, wówczas sam sułtan przyśle swoich kupców!

Słyszałem, że w tym roku na targu nie będzie żadnej innej białej niewolnicy z jasnymi włosami, więc będę miał ekskluzywny towar do zaoferowania.

Kilka razy brutalnie nią potrząsnął, aż upadła w rozdeptane na drodze błoto. Sulejman jej nie kopnął, jedynie pogroził kolbą.

Ale to wystarczyło. Wstała bez oporu. Florence nienawidziła broni palnej. Strzelby wyгнаły ją z ojczyzny, pilnowały jej uwięzionej w domu Sulejmana, a teraz pędziły do Widynia, jakby ona i pozostali niewolnicy nie byli ludźmi, a jedynie stadem bydła. Sulejman jeszcze raz uniósł broń, ale jej nie uderzył.

Zorientowała się, że na targu nie chciał pokazać jej ciała pokrytego zielonymi i

niebieskimi siniakami.

– Wstawaj! Wydaje ci się, że mam czas do stracenia? Na

Allaha, jeśli się nie pospieszysz, sprzedam cię pierwszemu

lepszemu śmierdzącemu owczarzowi! – To powiedziawszy, zmusił

ją do powstania na nogi, a następnie wsiadł na swego muła i wrócił

na czoło karawany.

Florence poczuła wzbierającą złość. Złość zmieszana z

obawą. Strachem przed nieznaną przyszłością, która ją czekała.

Nie, na targu nie kupi jej żaden śmierdzący owczarz ani nawet sułtan. Targ miał się odbyć dopiero za dwa tygodnie, a do tego czasu będzie już wolna, daleko od Widynia. Wolna. Na sam

dźwięk tego słowa czuła lęk. Co pocnie ze swoją wolnością, gdy wreszcie naprawdę uda jej się zbiec?

„Dzisiejszej nocy albo nigdy. Nie wolno mi czuć nienawiści

– pomyślała. – Nie mogę marnotrawić sił na Sulejmana –

napomniała się. – Powinnam myśleć wyłącznie o dzisiejszym

wieczorze, o niczym więcej!”

Przycisnęła twarz do prętów i patrzyła, jak ciemność powoli spowijała ziemię. Na łąkach przed miastem liczni handlarze rozbili swoje obozy pomiędzy polami pszenicy a kosowskimi winnicami, prawie dojrzałymi do zbiorów. Ponoć wszystkie zajazdy w

Widyniu były przepelnione, kupcy zjechali bowiem z całej Turcji, a także z Bliskiego Wschodu. Florence słyszała, jak mówił o tym jeden z handlarzy. Na targu oferowano mężczyzn, kobiety i dzieci wszystkich ras i w każdym wieku.

Miasto, położone nad zakolem Dunaju, robiło wielkie

wrażenie. Liczne wieże, minarety i blanki wznosiły się wysoko ponad miejskie mury, zbudowane z czerwonej gliny i odłamków kamieni, zapewniając Turkom z twierdzy niczym nieograniczony widok na bałkańskie niziny. A co się kryło za murami miasta?

Florence była pewna, że i tam rządziła przestępczość i brak jakiegokolwiek moralności, jak zresztą we wszystkich zakątkach Imperium Osmańskiego. Po drodze do Widynia trafili na patrol tureckich milicjantów. Ich zwisające wąsy i sfilcowane włosy ukryte pod czerwonymi czapkami z daszkiem wzbudzały strach.

– Albańczycy – skwitował krótko Sulejman i splunął.

Florence przeszedł dreszcz. Derka okrywająca jej ramiona

nie dawała zbyt wiele ciepła. Materiał cuchnął tak samo jak wilczury Sulejmana po kąpieli w jeziorze.

Mimo to ściślej owinęła się tkaniną. Chłód rozchodził się z wnętrza jej ciała.

Powiodła wzrokiem po okolicy. Nocny wiatr hulał po polach,

unosząc z sobą krzaczaste kępki traw. Słyszała brzęk dzwonek dobiegający od murów, przy których

stada owiec i kóz zapędzano do zagród chroniących zwierzęta przed zakusami wilków, niedźwiedzi i orłów. Pasterze pogwizdywali i wydawali odgłosy podobne do mlaskania, pędząc przed sobą zwierzęta za pomocą lekkich uderzeń różgi. Kilka minut później muezini z miejskich minaretów rozpoczęli nawoływania do modlitwy:

– Allah jest wielki. Nie ma boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem.

Florence zawsze lubiła ów ochrypły, gardłowy głos i monotonną modlitwę oczyszczającą duszę. Opuściła głowę,

pozwalając, by słowa opływały ją niczym fale... Później

nawoływania zaczęły stopniowo cichnąć, a po nizinie jeszcze przez jakiś czas niesło się ich ciche echo, aż w końcu znów wróciło życie.

Nocny strażnik zadął w róg i bramy miasta zostały

zamknięte. Handlarze podnieśli się z modlitwy. Wśród gwaru

pogawędek i wybuchów śmiechu zwijali dywany, składając ostatni ukłon w kierunku Mekki. W

obozowisku zapłonęły pierwsze

ogniska. Nozdrza Florence łechtał zapach baraniny, solonych strąków pizmianu i świeżo upieczonych podpłomyków.

Burczało jej w brzuchu. Wszystkie te frykasy знаła z czasów, gdy pracowała w kuchni Sulejmana.

Tymczasem uwięzione

kobiety dostały dziś wieczór jedynie suchy chleb i ajran. Osolone zsiadłe mleko owiec podchodziło jej do gardła. W klatce rozległ

się płacz niemowlęcia. Matka podała mu pierś i cicho zanuciła jakąś piosenkę. Florence odwróciła wzrok. Po tym, co uczynił jej przyjaciel Sulejmana, zwący się doktorem, sama nigdy nie będzie mogła urodzić dziecka.

Nastała noc. Wieczorna gwiazda nie była już osamotniona.

Na niebie wisały chmury tak fioletowe i niekształtne jak

aksamitne poduszki w pokoju służącym Sulejmanowi do palenia tytoniu.

Głosy handlarzy przybrały na sile. Skończyli jeść i pić, a

teraz zgodnie ze swym zwyczajem zabrali się do gry w kości albo w tryktraka. Wiedziała, że później jak

zwykle będą się kłócić o wygraną.

Świetnie, pomyślała Florence. Niedługo powinien przyjść

Sulejman, żeby ją zabrać do swojego namiotu.

Zamknęła oczy, ukryła twarz w dłoniach i szeptem

odmawiała modlitwę, której słów nie pamiętała już w całości.

Może oczyści i jej potrzebującą duszę.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie... – urwała.

Chmury zasnuły niebo i zatopiły plac w całkowitym mroku.

– Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...

Pomyślała o swojej skąpej kolacji, którą wciąż czuła w

żołądku.

– Wybacz nam nasze winy, jako i my wybaczymy naszym

winowajcom...

Na tle migotliwego światła w namiocie Sulejmana widać

było poruszający się cień. Wszystkie wody Dunaju i Bosforu nie zmyłyby z niego win. Florence próbowała sobie przypomnieć

ostatnie słowa pacierza.

Maja, służąca rodziców Florence na Węgrzech, odmawiała

go razem ze swoją podopieczną przed snem. Kiedyś, całe wieki temu. Maja szeptała tę modlitwę również podczas rozruchów 1848

roku, ukrywając dziewczynkę pod długą spódnicą. Cienisty klosz materiału bezpiecznie otulał jej postać.

Ciemność pachnąca

kartoflanką, pieprzowymi kiełbaskami i woreczkami z kamforą, ułożonymi w skrzyni razem z ubraniami Mai. Ciemność tłumiła głos niani, gdy ta modliła się podczas ataku partyzantów. Florence pamiętała więcej niż tylko ową płaczącą melodię modlitwy.

Przypominała sobie huk wystrzałów, krzyki, ostrza noży, trupy i ogień. Trwający w nieskończoność marsz, podczas którego Maja trzymała ją za rękę, niezliczone domy w różnych miastach, gdzie niania pracowała, nim dogoniła je wojna, a później jako

uchodźczyńnie wpadły w łapska Sulejmana. Jej opiekunkę z miejsca odsprzedano dalej. Florence była wówczas jeszcze dzieckiem. Dziś nie wiedziała, ile ma dokładnie lat. Szesnaście, może

siedemnaście? Próbowała się porównać do innych dziewcząt, ale żadna nie była biała i nie miały w sobie najmniejszego

podobieństwa do Florence.

Florence w dalszym ciągu starała się przypomnieć sobie

ostatnie słowa modlitwy.

– Bo Twoje jest Królestwo, potęga i chwała, amen –

dokończyła niemal z ulgą.

Doskonale pamiętała wszystko, co zniszczyło jej świat, ale w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, jak ów świat

wyglądał. W pamięci rozmyła jej się nawet twarz Mai, szeroka i łagodna, pomarszczona od zmartwień i trosk. Znała jedynie swoje nazwisko, Florence Finnian von Sass.

Spojrzała w kierunku namiotu Sulejmana, później podniosła

oczy do nieba.

– Uważaj, księżycu! Jutro będziesz na nas patrzył jak na

wolnych ludzi.

– Bezen, nie śpisz? – wyszeptała prostymi tureckimi

słowami, których zdążyła się nauczyć. Wyciągnęła rękę nad jakąś inną kobietą i dotknęła ramienia Bezen.

Dziewczyna podniosła wzrok.

Spojrzawszy na jej twarz, Florence poczuła współczucie i

pogłaskała ją po włosach. Wczorajszej nocy Sulejman zabrał

Bezen do swego namiotu. Teraz jedna jej powieka była opuchnięta.

– Jesteś gotowa? – spytała cicho Florence.

Bezen potwierdziła skinieniem głowy. Chciała się

uśmiechnąć, ale zamiast tego złapała się za policzek.

– A ty, czy ty jesteś gotowa? Nie będzie łatwo – ostrzegła

Bezen.

– Dziś po raz ostatni mnie dotknie, przysięgam na Boga.

Później upija się zawsze do nieprzytomności, więc jak tylko uśnie, będę mogła zabrać mu klucz. Tylko nie zaśnij i czekaj na mnie! –

upomniała przyjaciółkę Florence.

Bezen się roześmiała.

– Możesz być pewna, że nie mam ochoty na drzemkę dla

urody przed rozpoczęciem targu. Będę na ciebie czekała. Bez obawy!

Florence pogłaskała ją czule po włosach.

W tej chwili usłyszały gwizdanie. Sulejman wstał od

ogniska, a psy błyskawicznie ustawiły się przy jego nodze.

Podszedł do klatki i zaczął manipulować przy pęku kluczy. Był już tak pijany, że dwa razy nie udało mu się trafić do zamka, nim wreszcie zdołał przekręcić w nim klucz. Zaklął pod nosem. Gdy drzwi się otworzyły, kilka dziewcząt podniosło głowy. Zapewne liczyły na jakieś korzyści wypływające z dzielenia łoża z

handlarzami.

„Przecież i tak wszystkie nas sprzedadzą” – przeleciało

Florence przez głowę.

Sulejman mlasnął językiem, a następnie wskazał brodą w

stronę Florence. Dziewczyna wstała bez ociągania i skinąwszy głową Bezen, precyzyjnie się między ciałami leżących kobiet, które pomrukując, robiły jej miejsce do przejścia. Sulejman chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą. Jeszcze raz odwróciła się w kierunku Bezen i pozostałych współtowarzyszek, ale ciemności nocy

zdążyły już wchłonąć klatkę i jej uwięzione mieszkanki.

Ogień pośrodku namiotu Sulejmana doszczętnie się dopalił,

pozostawiając po sobie jedynie rozżarzony popiół. Mimo to pod nawoskowanym płótnem rozpiętym na brzożowych słupach

rozchodziło się przyjemne ciepło, które Florence odebrała jak pieszczotę. Na podróźnej skrzyni, która służyła Sulejmanowi jako pulpit do pisania, paliły się trzy świece, ustawione w mosiężnym lichtarzu. Na blacie leżał rozwinięty papierowy rulon obciążony piórem. Atrament na nim był zaschnięty, a po

wierzchu niedbale osypywał się piasek. Obok Florence dostrzegła drewniany talerz z ciasteczkami, przygotowanymi chyba z samego miodu i pistacji...

W wysokim dzbanie o długiej szyjce i kulistym, wybrzuszonym spodzie pachniała świeżo zaparzona kawa. Florence z lubością wciągnęła w nozdrza powietrze. Jakże tęskniła za smakiem tego gorącego, gorzkiego napoju.

Stara służąca rozwijała przed ogniem dywan.

– Wynoś się! – krzyknął Sulejman i przepędził ją kopniakiem.

Florence zatrzymała się w wejściu do namiotu. Oczy miała wprawdzie spuszczone, ale bacznie śledziła każdy ruch Sulejmana.

Widziała, że odłożył pas ze sztyletem, pistoletem i pękiem kluczy na niskie posłanie obok poduszki.

Sulejman się przeciągnął.

Rozluźnił zapięcie zawijanego kaftana i zdjął go z siebie. Na pasek jego spodni opadały teraz tłuste fałdy nagiego brzuszyska.

Poczuwszy na sobie wzrok dziewczyny, głośno się roześmiał.

– Wejdz do środka, znasz mój namiot! W gruncie rzeczy żałuję, że muszę cię sprzedać. Przywykłem do ciebie, Florence.

Aczkolwiek jesteś już trochę za stara jak na mój gust. Moje dziewczęta muszą być młode i jędrne.

Florence nie ruszyła się z miejsca. Sulejman podszedł do skrzyni i wziął z talerza ciastko, po czym wyciągnął rękę w jej kierunku.

– Na. Wiem, że zawsze jadałaś je w mojej kuchni.

Po chwili wahania Florence wzięła od niego ciastko i wetknęła je do ust. Nie potrafiła powstrzymać łakomstwa. Miała wrażenie, jakby na języku rozplynęła jej się kula światła.

Sulejman znów zarechotał. Stał obok niej i wsunął rękę w jej włosy. Szybkim ruchem odchylił jej głowę do tyłu.

– Zawsze wiedziałas, że któregoś dnia będę musiał cię sprzedać, prawda? Nie stać mnie na dobroczynność.

Florence skinęła. Z oczu mężczyzny wyzierał na nią pijany

diabeł. Bóg Turków miał całkowitą rację, zabraniając im alkoholu.

Trzeźwego Sulejmana dało się jakoś znieść. A może po prostu nauczyła się go znosić? Przypomniała sobie wieczór, gdy po raz pierwszy poszedł do chrześcijańskiej dzielnicy, żeby się upić. Było to w dniu, w którym jego synek wpadł na targu pod koła wozu.

Chłopiec już się nie podniósł. Po powrocie z dzielnicy chrześcijan Sulejman nigdy już nie był taki jak wcześniej.

Chwycił ją mocniej za włosy. Florence stłumiła okrzyk bólu.

Sulejman mówił dalej.

– A przecież jesteś mi droga, Florence. Bardzo droga, zatem mam nadzieję, że ktoś wyłoży za ciebie okrągłą sumkę –

powiedział i zrobił przerwę. – Czy ja też jestem ci drogi?

Wydało jej się, że w tonie jego głosu usłyszała

nabrzmiwające łzy.

Powtórnie skinęła, powstrzymując płacz. Nie skłamała.

Sulejman mógł sobie być wcielonym diabłem, ale przynajmniej dobrze go znała i wiedziała, czego mogła się po nim spodziewać.

Co zrobi, jeśli ucieczka się powiedzie? A jaki los ją czeka, jeżeli jej się nie uda i zostanie sprzedana na targu? Czy wystarczy jej sił na realizację planu ułożonego wspólnie z Bezen?

Raptem poczuła wargi Sulejmana na swoich ustach, smak

jego oddechu przesiąkniętego alkoholem.

– Nie chcę – wydusiła z siebie.

Sulejman zmusił ją, by uklękła.

„Florence, bez względu na to, co się z tobą stanie, pamiętaj, że zranić mogą jedynie twoje ciało, a nie twoją nieśmiertelną duszę”.

Tak brzmiały ostatnie słowa Mai, nim i ją sprzedano w niewolę.

Gdy wreszcie ją puścił, Florence osunęła się do tyłu na

dywan. Nie miała odwagi wypluć zawartości ust. Rozgniewany

Sulejman potrafił być straszny, nie mogła ryzykować. Musiała żyć, żeby uciec. Dziś w nocy.

Tymczasem Sulejman się odwrócił i podszedł do kufra.

Otworzył wieko, wyciągnął karafkę wódki ze śliwek i przytknąwszy ją do ust, jednym haustem opróżnił połowę zawartości.

– Diabelstwo – wymruczał, odstawiając karafkę.

Z westchnieniem opadł na posłanie z lisich skór i wełnianych derek, jakby Florence w ogóle nie istniała.

Jednakże po chwili odwrócił się do dziewczyny i wypowiedział słowa, na które z nadzieją czekała.

– Kładź się koło mnie, nie mam zamiaru marznąć nocą –
rozkazał, poklepując leżącą obok niego poduszkę.

Florence zrobiła, co kazał. Sulejman otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Bezwiednie mu się poddała. Jego skóra pachniała dymem z ogniska i całodziennym potem, chociaż rano odwiedził łaźnię w Widyniu. Nie minęło wiele czasu, gdy z

otwartych ust Turka rozległo się chrapanie. Z kącika jego warg spływała na brodę ślina.

Florence przykucnęła na łóżku i przyjrzała mu się. Zasnął?

Ledwo odważyła się oddychać. Ostrożnie zsunęła z ramion jego rękę. Stęknął i przewrócił się na drugi bok. Popatrzyła na jego twarz, na której odcisnęła się wzór tkaniny poduszki. W

migotliwym świetle świec jego oblicze przypominało rozkwaszoną gębę, jak twarze mężczyzn, którzy na rynku pozwalali spuścić sobie lanie za pieniądze. Po kilku minutach powoli i bardzo ostrożnie przesunęła dłoń w stronę pęku kluczy, który leżał przy samej ścianie, po drugiej stronie Sulejmana. Dotknęła palcami zimnego metalu. Teraz!

Sulejman zmienił pozycję i odwrócił się na drugi bok, a

Florence struchlała.

Przycupnęła nieruchomo.

Gdy wreszcie rozległo się chrapanie, ponownie wyciągnęła

rękę. Tym razem bez wahania. Odpięła klucze od pasa, do którego były przymocowane, a następnie cichutko wstała. Jej wzrok padł

na tacę z łakociami. W najbliższych godzinach będzie

potrzebowała dużo siły. Wzięła z talerza najpierw jedno, później jeszcze drugie ciasteczko. Następnie, nie patrząc na Sulejmana, wyślizgnęła się na palcach z namiotu.

Tymczasem chmury zupełnie przesłoniły światło gwiazd i

księżyc. Za ogrodzeniami z żerdzi z opuszczonymi łbami stały w gęstych szeregach muły i konie. W

ciemnościach Florence

widziała, jak żarzy się fajka nocnego strażnika, słyszała, jak mężczyzna się śmieje. W całym obozie ogniska zdążyły się

dopalić. W blasku resztek żaru widziała zarys pleców leżących w uśpieniu handlarzy. Dobrze. Przez chwilę miała ochotę po prostu uciec. Sama, bez Bezen, nie musiałaby już wracać do klatki. Nie!

Wszak przyjaciółka na nią czekała.

Florence zjadła jedno ciastko. Drugie chciała zanieść Bezen.

Gdy odzyskają wolność, codziennie będą jadały takie frykasy, przysięgła sobie. Będą się żywiły wyłącznie miodem i pistacjami.

Puściła się biegiem po zdeptanej trawie. Pod bosymi stopami czuła ostre źdźbła. Miała nadzieję, że Bezen nie zasnęła. Dotarła do kojca i po ciemku macała kraty w poszukiwaniu zamka.

Palcami trafiła na rygiel i wreszcie na zamek, który Sulejman zamówił u pewnego majstra w Konstantynopolu. Był dobrze

naoliwiony i sprężyna odskoczyła bezgłośnie, gdy Florence dwa razy przekręciła klucz.

– Bezen, wstawaj! Chodź szybko, kto wie, ile czasu będzie

jeszcze spał! – szepnęła w ciemności.

Za parę minut odzyskają wolność. Florence sięgnęła w głąb

klatki, gdzie jak pamiętała, powinna się znajdować Bezen.

– Chodź, musimy ruszać w drogę! – naciskała na

przyjaciółkę.

Ale nim Bezen zdążyła zareagować, Florence usłyszała cichy

szmer, jakby źmija prześlizgiwała się wśród wysokich traw. W tym samym momencie Bezen cicho krzyknęła.

Przerażona Florence odskoczyła, ale bat Sulejmana ze

świsem spadł na jej kostki. Poczowała piekący ból przeszywający jej nogi, a potem gwałtowne pociągnięcie w tył. Sulejman szarpnął

bat w swoją stronę i Florence została przekręcona na brzuch. W

ustach miała pełno ziemi, której kolor w świetle pochodni

Sulejmana przypominał krew.

– Jedyna droga, w którą zaraz ruszysz, prowadzi do piekła! –

usłyszała wrzask Sulejmana.

Handlarze w obozie ocknęli się z drzemki i rozmawiali z

ożywieniem, nie wiedząc, co się stało. Florence słyszała ich pokrzykiwania, które wzbudziły niepokój wśród zwierząt.

– Przygotujcie rozpalone żelazo! – ryknął Sulejman ponad jej ramieniem.

– Nie! – zdążyła krzyknąć Florence, nim cios w skroń

pozbawił ją przytomności.

– Ciekawe, czy kraina Nilu wygląda podobnie – zastanowił

się głośno Sam, gdy nareszcie udało mu się zapiąć guzik

sztynnego kołnierzyka. Następnie zawiązał wokół szyi nową

apaszkę.

– Czy w krainie Nilu są takie same krajobrazy?

Czy kiedykolwiek będzie miał okazję, by się o tym

przekonać?

Wyjrzał przez okno. Wieczorny zmierzch otulał dziewiczą

wyżynę otaczającą rodzinny zamek księcia Atholla niebieską

poświatą, podobną do piór na szyjach pawi, których nawoływania dochodziły do uszu Sama.

Pagórkowate zarośla splatały się z horyzontem, za którym stopniowo chowało się słońce. Czy Afryka też tak wyglądała? Z niskich traw poderwał się do lotu ostatni bażant i poszybował w kierunku wieczornego nieba.

Najwidoczniej udało mu się uchować w dzisiejszym polowaniu.

Sam zgiął lekko rękę, drugą wyciągając przed siebie, jakby nadal trzymał strzelbę. Śledził lot ptaka.

Ramię bolało go od odrzutów broni. Razem z księciem i resztą towarzystwa zestrzelili dziś setki ptaków.

Łowczy rozwiesili zdobycze na długich drutach,

rozciągniętych za domem między palikami.

„Na śniadanie bez wątpienia podadzą bażanty – doszedł do wniosku. – Albo jeszcze gorzej: do herbaty”.

Odszedł od okna i zaciągnął story. Od czasu do czasu lubił rezygnować z obecności służącego w swoim pokoju. Czuł się swobodniej, gdy lokaj nie wyręczał go w najdrobniejszych czynnościach. Popatrzył w lustro i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Dzisiejszego ranka ksiązę kazał mu przysłać do pokoju nową chustkę i kilt. Obie rzeczy utkano z tartanu w niebiesko-zieloną kratę, stanowiącą symbol książęcej rodziny. Ów wyraz sympatii sprawił Samowi przyjemność. Nowiusieńki kilt pięknie się prezentował, ułożony na starannie wyrównanej pościeli szerokiego pośłania.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Chwileczkę! – zawołał.

W podkolanówkach pobiegł po parkiecie do łoża, które stało pośrodku pomieszczenia, wsparte na czterech potężnych filarach.

Błyskawicznie wsunął na siebie kilt i zapiął klamry na boku. Pas z torbą myśliwską, *sporraniem*, mógł założyć później.

– Wejść – odezwał się już ciszej.

Nie było potrzeby podnosić głosu, wszak domownicy i tak zawsze trzymali ucho przy drzwiach, a oko przy dziurce od klucza.

Do pokoju weszła ze spuszczoneym wzrokiem młoda służąca. W rękach trzymała miedzianą rynienkę napelnioną rozżarzonymi węglami. Dygnawszy, odrzuciła na bok kołdry i umieściła rynienkę w miejscu, w którym później Sam ułożył swoje plecy, a następnie starannie rozprostowała pościel i zaciągnęła zasłony baldachimu.

Sam bacznie przyglądał się wszystkim jej ruchom. Była

urodziwa, chociaż może nieco pospolita, jędrna, dokładnie tak jak lubił. Ależ piersi! Na pewno piła dużo dobrego szkockiego mleka.

Zamiast idiotycznej miedzianej rynienki, o którą można się było jedynie poparzyć, po kolacji zakrapianej dużą ilością wina i wybornej whisky księcia Atholla, wolały mieć w łóżku ją samą.

Dziewczyna jeszcze raz dygnęła i nie podnosząc wzroku, tyłem wycofała się z pomieszczenia.

– Dziękuję – powiedział Sam, nie zatrzymując jej dłużej.

Dawno wyzbył się upodobania do pomocy domowych. Z

biegiem czasu uznał, że dżentelmenowi nie przystoi

wykorzystywać zależności służących. Nie żeby go nie podniecała.

Od jak dawna był już wdowcem?

Poprawił kilt, zapiął wokół bioder *sporrán*, a za opaskę jednej z sięgających kolan pończoch z niefarbowanej wełny

wsunął sztylet *skean dhu*.

Rzucił ostatnie kontrolne spojrzenie do lustra i przyglądał

dłonią ciemne, wypomadowane włosy. Świeże powietrze na

polowaniach oraz długie lata spędzone na Cejlonie i Mauritiusie, które osmagały jego skórę, sprawiły, że zawsze wyglądał zdrowo.

Jego niebieskie oczy błyszczały.

Przed wyjściem ustawił jeszcze przed kominkiem parawan z

metalowej siatki, zatrzymujący iskry strzelające z płonących polan.

Następnie ruszył w kierunku zielonego salonu, gdzie serwowano przedobiednięgo drinka. W kamiennych korytarzach zamku

panował chłód, mimo że wszędzie porozstawiano rynienki z

rozżarzonymi węglami. Sam słyszał echo swoich kroków, odbijane od wysokiego sklepienia. Oprócz niego nie było nikogo widać ani słyszać. Wyglądało na to, że rozważania o Afryce zajęły mu więcej czasu, niż sądził.

„Afryka jest tego warta” – pomyślał.

W świetle świec zerknęły na niego z góry jedynie myśliwskie

trofea księcia i portrety jego przodków, dawno zmarłych członków rodu Athollów. Wszyscy mieli trochę wyłupiaste wodniste oczy i nosy, które delikatnie mówiąc, można byłoby określić jako mocno wyraziste.

– Mam nadzieję, że nie posadzą mnie koło lady Beatrice –

powiedział, zwracając się w kierunku poroża jakiegoś tura, nim kamerdyner otworzył przed nim drzwi do zielonego salonu.

W obu kominkach po dwóch przeciwnych stronach

podłużnego salonu palił się ogień. Część gości ustawiła się w grupkach skupionych w pobliżu okien, przy starannie

zaciągniętych zasłonach. Inni stali wokół wąskich stołów, na których obok wazonów Limoges, wypełnionych obfitymi

bukietami bujnych kwiatów, leżały tace pełne pieczywa

obłożonego szynką i pasztetem z dziczyzny. Lokaje w niebiesko-zielonych liberjach domu Athollów krążyli niczym cienie

pomiędzy poszczególnymi grupkami, z ukłonem oferując

szampana, sherry i porto. Na brzegach licznych foteli i niewielkich ratanowych sof, wyściełanych stylowymi poduchami i jedwabnymi narzutami, siedziały kobiety, grzejąc nagie ramiona w ciepłe kominkowych płomieni. Ich zmęczone dłonie wprawiały w ruch

wachlarze, a suknie mieniły się kwiecistymi barwami. Skrzyły się szlachetne kamienie, perły odbijały chłodny, lśniący blask, a odgłos ożywionych rozmów wypełniał po brzegi całe

pomieszczenie. Mężczyźni, nie czekając zgodnie z przyjętym

obyczajem na zakończenie obiadu, już teraz palili cygara i

wymieniali się historyjkami z dzisiejszego polowania. W tej sytuacji Sam był zadowolony, że włożył marynarkę od smokingu.

Postąpił kilka kroków w głąb salonu.

– Jeden strzał, proszę posłuchać, Wasza Wysokość. Jednym

strzałem położyłem trzy bażanty! Paf, paf, paf! W rzędzie, niczym perły z naszyjnika mojej żony! –

usłyszał głos swojego przyjaciela Montgomery’ego, który rozmawiał z młodym Rajahem Punjabem.

Sam przyłączył się do obu mężczyzn i ich towarzyszek.

Złożył lekki ukłon w kierunku dam, z których jedną nieuchronnie okazała się lady Beatrice.

Czy tylko mu się wydawało, czy też faktycznie dokładano

wszelkich starań, by podrzucić mu to kukułcze jajo? Ojciec

Beatrice był hrabią, który dorobił się majątku na gospodarce rolnej, ale mimo jej złoconych piórek Sam nie miał najmniejszej ochoty na zerwanie owego jabłuszka.

Obciął końcówkę cygara wyjętego z kieszeni kamizelki, a

następnie przypalił od podsuniętego przez służącego łuczywa precyzyjnie zrolowane tytoniowe liście.

Lady Beatrice zachichotała i skryła czubek nosa za

uniesionym wachlarzem.

„Nudna koza – pomyślał Sam. – Założyłbym się, że w łóżku

leży zawsze na plecach, zamyka oczy i myśli o Anglii”. Albo mu się zdawało, albo cały ten kraj i w ogóle życie stawało się coraz nudniejsze. Odkąd brytyjskim imperium rządziła królowa Wiktorja i ten Niemiec, ludzie przestali się uśmiechać.

Tymczasem rozmowy wokół niego toczyły się dalej. Udając

zainteresowanie, przenosił wzrok z jednego mówiącego na

drugiego.

– Mój ojciec, niech Bóg ma go w swojej opiece, pewnego

razu jednym strzałem ustrzelił dwa młode tygrysy – przypomniał

sobie właśnie młody Rajah.

Sam patrzył na Rajaha, który w pełnej krasie swego

indyjskiego blasku stał przy wielkim szkockim kominku. Z

turbanu zwieszały mu się na ramiona sznury pereł, a na

turkusowym jedwabiu jego nakrycia głowy lśnił rubin wielkości gołębiego jaja. „Królowa, odebrawszy rodzinie Rajaha słynny diament Koh-i-noor, zachowała przynajmniej tyle przyzwoitości, by pozostawić mu kilka innych klejnotów” – pomyślał Sam i od razu złązał się w myślach. Dopuszczał się obrazy majestatu. Koh-i-noor należał się Wiktorji jako cesarzowej Indii.

– Wasza Wysokość, czy braliście udział w tamtym

polowaniu? – zapytał młodego Rajaha, by zaznaczyć swój udział w rozmowie.

Duleep Singh pokręcił głową.

– W tamtym czasie byłem jeszcze dzieckiem. Ale naturalnie

ojciec zawsze sadzał mnie przed sobą na swoim ulubionym słoniu, gdy jechał na polowanie. Oczywiście do czasu, gdy miałem

szczęście wyjechać na naukę do Anglii. Właściwie to matka

opowiedziała mi o tym przypadku z lwami – odparł Rajah.

Sam przeniósł spojrzenie na damy, które zaczęły energiczniej poruszać wachlarzami. Lady Beatrice i jej matka popatrzyły na siebie znacząco. Nietrudno było odgadnąć ich myśli: Hindusi byli dzikusami, wszystko jedno czy Rajah, czy kto inny, studia w Eton niewiele w tej kwestii zmieniały.

Sam powstrzymał uśmiech. W końcu matka Rajaha została

okrzyknięta Messaliną Wschodu.

– Przekonałem się, że tylko jeden sposób polowania sprawia

prawdziwą satysfakcję – odezwał się, wydmuchując kilka kółek dymu w kierunku malowidła wiszącego na ścianie za Rajahem.

Przedstawiało służącą nalewającą mleko, tyle udało mu się

zauważyć. Pewnie też wyszło spod pędzla tego Holendra

Vermeera, na którego obrazy książę wydał fortunę.

– To znaczy? – zapytał Duleep Singh swym niespotykanie

wysokim głosem.

– My też jesteśmy ciekawe – przyłączyła się lady Beatrice,

przybliżając się do Sama bardziej, niż to było konieczne. Poczuł, jak jej biust opakowany w biały adamaszek przycisnął się do jego ramienia. Roześmiała się, a jej śmiech zabrzmiał jak srebro pereł, którymi wyszyto jej ciasno dopasowany gorset i przejrzysty woal bufiastych rękawów sukni.

Niech niebo ma go w swojej opiece!

– Człowiek przeciwko zwierzęciu, w bezpośrednim pościgu.

Tylko nóż jako broń w moim ręku – wyjaśnił i ponownie pociągnął

cygaro.

Lady Beatrice popatrzyła na niego z niemym podziwem.

Duleep Singh zmarszczył czoło i zagryzł górną wargę. Tymczasem podszedł do nich książę. Mężczyźni zwrócili się ku niemu z

lekkim ukłonem, damy zaś wykonały symboliczne dygnięcie.

Książę gestem ręki dał znak, by się rozluźnili.

– Baker, cóż słyszę? – podjął gospodarz i położył Samowi rękę na ramieniu. – To, co pan mówi, zapowiada niezłą rozrywkę!

Zaraz jutro możemy spróbować, wszak mamy polowanie na jelenia. Znam pana i wiem, że nie rzuca pan słów na wiatr.

Lady Beatrice popatrzyła na Sama płonącymi oczyma.

– Mimo że mister Baker nie uzyskał zgody na ekspedycję do Afryki, to w głębi serca i tak jest poszukiwaczem przygód podziwianym przez kobiety. Nieokiełznany, ale godny zaufania! – oznajmiła matka lady Beatrice.

Sam rzucił jej niezyczliwe spojrzenie. Odrzucenie jego

prośby przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne i przez tego Livingstone’a, który go zbył i potraktował jak pierwszego lepszego nygusa, bardzo go zabolowało. Zamiast niego inni mieli wyruszyć do Afryki w poszukiwaniu legendarnego źródła Nilu w samym sercu Czarnego Lądu. I odnaleźć je. Czy rzeka naprawdę wypływała z potężnego pasma górskiego wewnątrz kontynentu? A może jej

źródłem w istocie było jakieś jezioro nadspodziewanej wielkości?

Nieistotne. Wszak to nie on przejdzie do historii jako wielki odkrywca. Na tę myśl serce mu zapłonęło, a w ustach poczuł smak podchodzącej do gardła goryczy.

– Nie da pan rady, nigdy! – zawołał Rajah, usłyszawszy uwagę księcia. Młody Hindus pociągał za przydymioną perłę

okoloną złotem i diamentami, która niby kropla skapywała z płatka jego lewego ucha.

– A jeśli uda mi się zabić jelenia w bezpośrednim pojedynku, a moją jedyną bronią będzie nóż? – zapytał Sam.

Lubił chłopaka. Na pewno nie było mu łatwo, zdetronizowany – musiał się przystosować do obcych obyczajów.

Duleep Singh sprawiał wrażenie bardzo uczciwego i dumnego człowieka.

– Wasza Wysokość, o co chcecie się założyć? – ponowił

pytanie Sam. Nie pozwoli Duleepowi Singhowi tak łatwo się

wywinąć.

– Zostawiam panu tę kwestię, Baker – odparł Rajah i

pstryknął palcami. Jego karzeł, który dotychczas w milczeniu kuczał obok ognia, błyskawicznie wstał i podsunął mu otwarty humidor. Na srebrnym wieku hebanowego pudełka widniał

wygrawerowany królewski herb Punjab. Duleep Singh

poczęstował mężczyzn cygarami, po czym starannie wybrał jedno dla siebie.

– Zapas hawańskich cygar na całe życie? – zwrócił się do

Sama i rozchylając nozdrza, wciągnął aromat świeżego cygara, a później podał je karłowi do przycięcia.

Sam pokręcił głową i upił łyk trunku ze swojej szklanki –

najwykwintniejsza whisky z piwnic Athollów. Poczuł w gardle przyjemne pieczenie i rozkoszował się pełnym napięcia

milczaniem towarzyszy.

– Stawka jest zbyt niska – odezwał się w końcu. – Nie, za

kilka tygodni chciałbym pojechać do Turcji zapolować na dziki i niedźwiedzie. Jeśli jutro wygram zakład i zabiję jelenia gołymi rękami, uzbrojony jedynie w nóż, wówczas pojedzie pan ze mną.

Rajah skinął twierdząco, zadowolony, że tak gładko mu

poszło.

– Doskonale, z wielką przyjemnością – powiedział.

– Ale, Wasza Wysokość – ciągnął Sam z uprzejmym

uśmiechem – będziecie też musieli opłacić podróż i wszystko, co przy okazji wypadnie.

Księżę i damy uradowani zaklaskali w dłonie. Rajahowi nie

pozostało nic innego, jak tylko jeszcze raz twierdząco skinąć głową.

Metaliczny chłód poranka w dniu, w którym miało się odbyć

polowanie, wydał się Samowi ostrzeżeniem. Wśród drzew w

lasach porastających wzgórza powyżej zamku nie widział

najmniejszego podmuchu wiatru. Matowe niebo pokrywały

chmury, gdy Sam razem ze swymi dwoma psami przykucnął w

zaroślach okalających polanę. Materiał jego tweedowych spodni zeszytywniał na chłodzie i wrzynał się w skórę pod kolanami, w miejscu, gdzie kończyły się cholewy butów. W ostatnich

tygodniach i dniach kilkakrotnie widziano jelenia w tej części posiadłości.

Sam pociągnął łyk z piersiówki, którą kucharka, Mrs

Fitzsimmons, napełniła o świcie mocną herbatą i złotym jamajskim rumem. Następnie dodała świeżo udojonego mleka i hojnie

osłodziła. Gorący napój rozgrzał krew w jego żyłach. Zrobiło mu się ciepło i poczuł więcej odwagi.

Jaki diabeł go podkusił, żeby wczorajszego wieczoru tak się przechwalać?!

Wypił jeszcze łyk i jeszcze jeden. Wystarczy. Z powrotem

zakręcił piersiówkę. Jeśli się upije, to z całą pewnością nie da rady powalić jelenia.

To prawda, że wygrał już kiedyś podobny zakład, ale było to wiele lat temu na Cejlonie, gdzie nadzorował plantacje ojca.

Ponadto wówczas nie chodziło o potężnego szkockiego jelenia, lecz o drobną azjatycką zwierzynę o krótkich nogach i

przysadzistym korpusie.

– Ciii, spokojnie – szepnął do zaniepokojonych psów.

Pogłaskał je po nastroszonej na kłębach sierści i zwierzęta w mgnieniu oka się uspokoiły. Jeden z ogarów nastawił uszu i

zwrócił łeb ku polanie. Uniósł fagle, obnażając kły.

Sam ostrożnie odsunął na bok kilka gałęzi. Spadające krople rosy pozostawiły ślady na jego spodniach.

Raptem na przeciwległym brzegu polany zauważył

wychodzącego jelenia. Zwierzę opuściło łeb i zaczęło pocierać porożem o korę dębu.

Sam poczuł narastające podniecenie. W półmroku świtu nie

potrafił dokładnie określić wielkości wieńca, ale szacował je co najmniej na dziesiątaka. Nie pamiętał, kiedy ostatnio udało mu się zabić zwierzę tych rozmiarów. A jeśli nawet w przeszłości polował

na podobnego byka, to z całą pewnością miał przy sobie strzelbę.

Dziś dysponował jedynie myśliwskim nożem, który wykonano dla niego na Cejlonie. Nóż miał

obosieczne ostrze długości ponad jednej stopy. Za jego pomocą Sam mógł przeciąć unoszące się w powietrzu ptasie pióro, tak porządnie go wczoraj dla niego naostrzono.

Jeleń stał zupełnie spokojnie.

Sam uczynił to samo. Nie wolno mu się było teraz poruszyć ani wydać najmniejszego dźwięku. Gdyby tylko byk go teraz zwietrzył! Sam położył obie dłonie na grzbietach swoich psów.

Czuł, jak zwierzęta drżą z napięcia, wyczuwał w ich sierści drobne skurcze nerwów.

Jeleń postąpił krok do przodu, później jeszcze jeden. Teraz stał pośrodku polany. Światło poranka stopniowo przenikało przez mgielne opary. Sierść zwierzęcia połyskiwała we wczesnych promieniach słońca niby dojrzała pszenica tuż przed zbiorami.

Sam oceniał grubość jego szyi. Powinien ugodzić jelenia w przednią część tułowia, żeby go położyć jednym pchnięciem.

Wszystko inne byłoby fuszerką, nie dziełem wytrawnego myśliwego.

Czy jego nóż był wystarczająco długi? Gdy wyciągał go z pochwy przymocowanej przy cholewce, szykując się do skoku, zwierzę musiało zwietrzyć jego obecność. Jeleń rzucił się do ucieczki w gąszcz krzaków.

Sam usłyszał długi, gardłowy krzyk, któremu towarzyszyło

głośne szczekanie psów. Jego nogi ruszyły do biegu, stopy i ręce przedzierały się przez wysokie trawy i cierniste gałęzie poszycia.

Dopiero biegnąc, zrozumiał, że to on sam tak krzyczał. Z uciechy, z podniecenia, z radości życia, która nareszcie się w nim uwolniła.

Psy go wyprzedziły, dysząc i wyjąc. Ich uszy poruszały się

szybciej od szarawych łap. Wiedział, że nie odpuszczą, nim nie dopadną zwierzyny.

Jeleń czuł bliską pogoń, zatoczył łuk, próbował przechytrzyć psy, ale Sam słyszał już zadyszany oddech zwierzęcia, był tuż za nim. Niespodziewanie las się skończył i wybiegli na otwartą przestrzeń wyżyny. U

stóp jednego z pagórków Sam dostrzegł

rzekę, która zakręcała meandrem ku zamkowi. Na moście stały powozy towarzystwa kibicującego polowaniu. Miały zwinięte

zadaszenia. Damy siedziały na skórzanych poduszkach i ocierały czoła koronkowymi chusteczkami. W

dłoniach trzymały oparte na ramieniu parasolki słoneczne i kręciły nimi. Wszyscy przybyli, żeby obejrzyć zwycięstwo lub porażkę Sama. Słyszał ich głosy, które niesione w przejrzystym powietrzu, dobiegały do niego wysoko na wzgórze.

– Jest tam, coś za bohater! – wołała lady Beatrice. –

Popatrzcie tylko, jak szybko biegnie!

– O mój Boże, ma porwaną koszulę! Zobaczcie, widać jego

nagi tors! – krzyknęła inna dama. Sam słyszał ich wołania i chichoty, nim zdołały ukryć oblicza za wachlarzami.

Na powrót skupił całą uwagę na jeleniu, którego trasę był

teraz w stanie przewidzieć. Psy zaganiały swą zdobycz w kierunku rzeki.

Sam zatoczył ostry łuk i biegł w dół zbocza porośniętego

krzakami, żeby odciąć zwierzęciu drogę. Zarośla wpijały mu się w łydki, tworzyły pętle wokół jego butów. Czuł klucie w boku, a zimne powietrze sprawiało mu ból w płucach. Prawie opadł z sił, gdy nagle oślepiły go promienie słońca załamujące się na

okazałych klejnotach Rajaha. Nie! Chciał wygrać zakład.

Niespodziewanie jeleni wydał z siebie przeszywający, niemal

ludzki krzyk i rzucił się w fale rzeki. Właśnie tak, jak Sam się spodziewał. Chwycił zębami rękojeść sztyletu i poczuł na niej smak własnego potu. Następnie zanurkował w ślad za

zwierzęciem. Przez krótką chwilę poczuł na skórze chłód wody i kamienie pokrywające koryto rzeki.

Widział, jak psy się zanurzają, a później znów wynurzają łby. Teraz wskoczyły na grzbiet jelenia i spychały go łapami pod powierzchnię wody. Sam rzucił się na kłębowisko zwierzęcych ciał. Z oddali słyszał radość dam,

przekleństwa Rajaha i śmiech księcia. Uniósł nóż tylko jeden jedyny raz, gdy jeleni odsłonił przed nim przednią część tułowia.

Ostrze zanurzyło się głęboko w mięśnie. Sam przywarł do byka, obejmując ramionami jego masywną szyję i tak długo

przytrzymał go pod wodą, aż zwierzę przestało bić racicami i życie uszło z niego razem z grubą strugą krwi, która zabarwiła wodę wokół nich na ciemnoczerwony kolor. Później jeleni przestał

się ruszać i razem ze swym myśliwym pozwolił się unosić falom.

Sam starał się uspokoić oddech. Psy dopłynęły już do brzegu.

Chwytał jelenia za rogi i również wywlókł go na brzeg, gdzie wyciągały się do niego liczne dłonie.

– Dobra robota, Baker! – powiedział książę. – Mieliśmy

wrażenie, że przed chwilą wybornie się pan bawił, podobnie

zresztą jak my. A teraz, przyjacielu, zasłużył pan sobie na suchą koszulę i szklaneczkę whisky.

Po tych słowach zwrócił się do reszty towarzystwa:

– Pani Fitzsimmons z pewnością zdążyła przygotować nam śniadanie. Uwędziliśmy świeże ryby.

– Zdumiewające, niezwykle fascynujące. Chcę się tego nauczyć. Baker, przeszkoli mnie pan w Turcji? Zaraz jutro zamówię dla nas bilety do Wiednia – oznajmił Rajah.

Sam się roześmiał.

– Z niedźwiedziami i dzikami sprawa nie jest już taka prosta, Wasza Królewska Mość.

Lady Beatrice, rumieniąc się, podała mu koc utkany z

athollskiego tartanu, a do tego wysoką szklanekę, do połowy

napełnioną whisky.

Sam podziękował i odwrócił się do jelenia. Pachołkowie

wyciągnęli zabite zwierzę na brzeg i wprawnymi ruchami zabrali się do zdejmowania skóry.

„Wybacz, mój piękny. To nie mój zakład z Rajahem cię

zabił” – powiedział w myślach do jelenia.

Spojrzał w niebo, które mimo przedzierającego się przez

chmury porannego słońca wciąż marszczyło się w szare fałdy.

Wysoko nad nimi zataczał kręgi orzeł. Jakże wolny był ten ptak!

Sam odsunął od siebie nostalgiczne myśli i jednym haustem

opróżnił szklanę z whisky. Książę położył mu rękę na ramionach i ruszyli z powrotem do zamku.

„To moje znudzenie życiem cię zabiło, mój piękny –

pomyślał Sam, rzucając ostatnie spojrzenie na swą zdobycz.

Co ze mną będzie?”

Rozdział 2

Saad wspinał się na czubki palców, by przez szparę w grubo

ciosanych drzwiach wyrzeć na zewnętrzny dziedziniec. Od dwóch dni siedział uwięziony w jednej z małych spiżarni należących do siedziby misji. Czas mógł odmierzać jedynie, licząc wschody i zachody słońca. „Równie dobrze mógłbym nie żyć” – uzalał się na swój los. Lecz im dłużej o tym myślał, tym mniej pociągająca wydawała mu się owa alternatywa. Kolejny raz wyciągnął szyję.

Brakowało mu tylko kilku centymetrów. Rozejrzał się dookoła.

Jego oczy zdążyły przywyknąć do półmroku panującego w

chłodnym pomieszczeniu. To była jedyna miła rzecz w karze, którą na niego nałożono. Obecnie w Chartumie mieli najgorętszą porę roku, a on nie musiał wraz z innymi dziećmi powtarzać alfabetu w klasie, gdzie rozgrzana podłoga paliła w stopy.

Spróbował jeszcze raz wyrzeć na dwór. Szczelina

znajdowała się zbyt wysoko. Rozglądał się za czymś, na co

mógłby się wspiąć. Obok stała skrzynka z winem, które ojciec Anton kazał sobie przysłać z Austrii.

Przynajmniej tak informował

umieszczony na niej napis. W ostatnich dniach Saad miał dość czasu, by przeliterować wszystkie napisy na skrzynkach i workach przechowywanych w spiżarni. M–A–K–A. C–U–K–I–E–R. P–Ę–

C–Z–A–K. Jedynie skrzynia z W–Ó–D–K–A znikła ze schowka i

właśnie z tego powodu Saad od dwóch dni odsiadywał karę.

Ów skarb sprzedał maltańskiemu handlarzowi Amabile del

Bonie, który właśnie gromadził zapasy na nową ekspedycję w górę Nilu, do Gondokoro. Amabile del Bono. Jego imię oznaczało

podobno po włosku „miły”, ale na Allaha, pomyślał Saad, jeszcze nigdy żadna matka nie nadała swemu dziecku mniej pasującego imienia! Del Bono werbował na ekspedycję mężczyzn z całego

Chartumu. Najłatwiej można było namówić te biedne dusze do

postawienia krzyżyka na papierze, gdy byli pijani. Gdy w uszach brzmiały im wspaniałe obietnice del Bona. Niewolnicy, głównie kobiety, ile dusza zapagnie, całe stada zwierząt dających tłuste mleko, no i oczywiście kość słoniowa. W ten sposób Saad znalazł

w del Bonie wdzięcznego odbiorcę wódki, którą sprzedawał pod samym nosem misjonarzy. Saad nie mógł się powstrzymać od

śmiechu. Misjonarze byli jeszcze bardziej komiczni i

przewidywalni niż większość innych białych, których miał okazję spotkać w swoim krótkim życiu. A uciekając w dół Nilu przed zarazą, wojną i handlarzami niewolników, widział ich już wielu.

Misjonarze starali się przynajmniej przypodobać swojemu Bogu i czynić dobro.

Nie, ojciec Luciano na pewno byłby zadowolony z jego

postępów w literowaniu, pomyślał Saad, przysuwając skrzynkę do drzwi. Wszedł na nią i poczuł pod gołymi podeszwami stóp surowe drewno. Teraz widział wewnętrzny dziedziniec. O tej porze białe światło poranka wchłaniało wszelkie barwy, by później, w ciągu dnia, wypłuć je mieszkańcom Chartumu pod nogi.

Na podwórku misji nie było na razie żywej duszy. Suchą

kamienną misę, do której spływała woda ze źródłanego ujęcia, od dawna wypełniał po brzegi piasek, przywiany z pustyni przez nocny wiatr. Obok wyschniętego źródła spały dwa buldogi

przybite na łańcuchu. Saadowi wydawały się tak wielkie jak wół, za pomocą którego jego ojciec orał

kiedyś pole.

Chłopak oślepiiony zmrużył oczy. Kamienie dziedzińca

mieniły się jasnymi kolorami. Czy śnieg, o którym mnisi co jakiś czas opowiadali, był tak samo biały i błyszczący? Saad nie potrafił

sobie wyobrazić, by woda mogła wyglądać inaczej niż zwykle.

Misjonarze snuli te rzewne opowieści tylko wtedy, gdy sobie porządnie popili, zatem ów śnieg nie był

pewnie niczym więcej niż zwykłym bajdurzeniem.

Zszedł ze skrzynki. W tej samej chwili za plecami usłyszał za oknem jakieś odgłosy. Wąski otwór, w którym jego dziecięca

głowa ledwie się mieściła, pozwalał wyjrzeć na wielki plac

Chartumu. Przeszedł na przeciwległy kraniec pomieszczenia i zręcznie wspiął się na ułożone pod oknem worki z mąką i z kaszą.

Wyjrzał na zewnątrz i rzucił okiem na plac, na którym zbierały się ekspedycje wyruszające do portu. Tam, gdzie ląd wrzynał się długim klinem w nurt wielkiej rzeki. Od niego miasto otrzymało swą nazwę.

Khartum to po arabsku trąba słońca.

Wokół placu tłoczyły się niskie domy z gliny, w miejscu

okien miały puste, czarne dziury wybite w elewacjach. Na

zakurzonej ziemi leżał martwy muł, a wokół jego napęczniałych zwłok wychudłe psy mieszkające w mieście rywalizowały z

hienami o posiłek. Wokół rozkładającej się padliny od samego rana krążyły chmary much. Martwemu zwierzęciu brakowało głowy, na pewno hieny zabrały ją w nocy. Przez plac przeszło kilka kobiet owiniętych w czarne buibui, otulające ich sylwetki od stóp do głów, z wąskim poziomym rozcięciem odsłaniającym oczy. Niosły puste kosze, które na targu zamierzały napełnić słodkimi

kartoflami, awokado, maniokiem i kozim mięsem. Rozmawiały z sobą, śmiały się i przytrzymywały chusty targane powiewami

porannego wiatru.

Za nimi wolnym krokiem szły młodsze dziewczęta. Saad

miał wrażenie, że wypełnia je jakaś tajemnicza muzyka. Owa

melodia przyciągała go do siebie i sprawiała, że stał się

niespokojny. Dziewczęta niosły na głowach wysokie dzbany, które później miały napełnić wodą ze źródła. Słyszał ich rozmowy i śmiech. W drodze powrotnej położą sobie na głowach opaski ze słomy, jako oparcie dla dzbanów, dzięki czemu ciężar będzie mniej dokuczliwy. Saad dostrzegł kilku mężczyzn siedzących w cieniu domów okalających plac. Przysiedli na piętach, zgodnie z tradycją miejscowych wieśniaków. Swe dżubby, przypominające długie

koszule, zwinęli między kolanami, gotowi do obserwacji życia toczącego się na rynku. Saad wiedział, że mimo dość wczesnej pory było im zbyt gorąco, by się ruszać. Pracę pozostawiali kobietom i handlarzom niewolników.

Oczekujący mężczyźni nie przeżyli rozczarowania. Kilka

minut później Saad usłyszał zbliżające się z oddali nawoływania, przekleństwa, rżenie koni i śmiechy.

Nosem wyczuł ludzi del Bona, nim jeszcze zdążyli się pokazać na placu. Ich smród odbierał

świeżość chartumskiemu porankowi. Maltańczyk zebrał swój

oddział szybciej, niż można się było spodziewać. Saad zobaczył go zbliżającego się na mule. Było to jedno z owych zwierząt, które nawet w ciernistym lesie wokół Gondokoro nie zwalniały kroku, a oprócz jeźdźca mogły nieść na grzbiecie skrzynki i tobołki

wypakowane amunicją, materiałami, nasionami, solą, ryżem,

cukrem, kawą i perłami. Tuż za del Bonem szli jego ludzie, setki ludzi. Saad wiedział, że ekspedycje mogą liczyć nawet trzysta osób, toteż zaprzestał liczenia mężczyzn, czym początkowo zaczął

zabijać czas. Woły zaprzężono do wozów wyładowanych po

brzezi, a i mężczyźni nieśli na ramionach spore pakunki, toteż mimo wczesnej godziny ich czoła pokrywały krople potu. Należeli do zwykłej hołoty, było wśród nich wielu zbiegłych więźniów i przestępców wszelkich narodowości i kolorów skóry. W

drewnianych jarzmach nakładanych na kark prowadzano do

Chartumu schwytanych niewolników, którzy byli w stanie iść o własnych siłach. Skuteczna ekspedycja potrafiła dostarczyć do miasta do tysiąca świeżych niewolników, w większości kobiet i dzieci.

Ponadto dostrzegł na mułach puste klatki, które wisiały po

bokach zwierząt, umocowane skórzanymi pasami. Del Bono brał

wszystko, co wpadło mu w ręce. Za żywe dzikie zwierzęta

dostawał w ogrodach zoologicznych Europy tak samo nieźle

pieniądze, jak za kość słoniową z zabitych słońi, z której

produkowano ozdoby, grzebienie, rękojeści pistoletów i

niezliczoną mnogość innych przedmiotów. Nikt nie przywoził z głębi Afryki tyle kości słoniowej co Amabile del Bono. Ostatnio dostarczył sto tysięcy ton.

Wszyscy ludzie del Bona zebrali się już na placu. Czekali na rozkaz. Później cały pochód mężczyzn odzianych w dżubby, długie szarawary, kapelusze i turbany, wraz z nagimi tragarzami, ruszył

do przodu. Twarz Saada owiała fala zgniłego powietrza. Zatkaną

sobie nos. Cuchnęli gorzej niż ojciec Anton, gdy napchał się kapustą i przez trzy dni puszczał wiatry.

Saad nie mógł się powstrzymać, by nie zawołać do idących.

– Dokąd prowadzi was droga? – zapytał, choć dobrze znał

odpowiedź.

– Do Gondokoro, a później w lasy. Na poszukiwanie

świeżego towaru.

Del Bono się roześmiał i obnażył zęby. Były białe i mocne.

Nie przypominały zębów mnichów, których widok przywodził

Saadowi na myśl papkowate wnętrze przejrzałych bananów.

Końcem szpicruty Maltańczyk odsunął sobie kapelusz z czoła.

Koszula przylepiła się do jego gładkiego, szerokiego torsu, a Saadowi zdawało się, że na jego bryczesach z miękko

wygarbowanej skóry gazeli widzi plamy wyglądające jak

zaschnięta i niezaschnięta krew. „Widać zeszłego wieczoru del Bono zabawiał się na swój osobliwy sposób” – pomyślał chłopak.

Pewnej niewolnicy, która podała mu zbyt gorącą herbatę, kazał

wymierzyć sześćset batów. Sześćset! Wodzowi pewnego

plemienia, zachwyconemu prochem, del Bono nabił nim fajkę.

Gdy mężczyzna ją zapalił, fajka eksplodowała i staremu urwało głowę. Amabile del Bono był nietykalny.

Jego ojciec, Andrea, należał do pierwszych handlarzy niewolników w mieście, sam zaś Amabile był

przyszłym zięciem francuskiego handlarza George’a Thibauda, bez którego zezwolenia w Chartumie chyba nawet Nil nie śmiał wystąpić z brzegów.

Saad cofnął się trochę od okna.

– Powodzenia, panie del Bono. Przywieźcie mi z lasu małpę.

– Chętnie, ale wcześniej wytnę jej mózg. Nie ma nic

wyborniejszego nad małpi mózg okapujący krwią, w tej kwestii zgadzam się całkowicie z Murzynami.

Albo lepiej przywiozę ci dziewczynę, żebyś się wreszcie czegoś nauczył. W twoim wieku zabiłem już pierwszego człowieka – odparł del Bono.

Odwrócił się na chwilę za siebie i rzucił okiem na swoich

ludzi. Następnie znów spojrzął na Saada.

– Prowadzę swoje diabły do piekła. Trzymaj się dzielnie,

chłopcze. Jak poderzniesz gardła tym tłustym misjonarzom, wtedy pozwolę ci pojechać ze mną w następną podróż i będziesz mógł

czyścić mi buty. Na razie pilnuj złota, które ci dałem – dodał del Bono i głośno zagwizdał, dając znak ludziom, że czas ruszać w dalszą drogę.

Nim chłopak zdążył cokolwiek odpowiedzieć, del Bono spiął

zwierzę ostrogami i Saad zobaczył, jak znika w chmurze kurzu. Za nim podążali mężczyźni gnani pragnieniem przygody i marzeniami o bogactwie, niewolnikach i stadach bydła.

Saad wiedział, co się wydarzy później w dżungli. W tej

sytuacji wolał już zostać w domu misjonarzy i pozwolić, by ojciec Anton od czasu do czasu złożył mu siedzenie.

Raptem usłyszał, że ktoś przekręca klucz w zamku spiżarni.

Zeskoczył z worków i dopadł do drzwi. Albo misjonarzom

skończyła się kasza na kleik, albo przyszli po niego.

– Wychodź! – usłyszał głos ojca Antona. Zobaczył, jak

mnich, oślepiiony promieniami słońca, zagłębia w głąb ciemnego schowka. – Nie ma sensu cię tu dłużej trzymać. Równie dobrze możesz uczyć się czytać.

W tej właśnie chwili ojciec Lukas potrząsnął dzwonkiem,

którego dźwięk oznajmiał początek lekcji. Saad wyskoczył z izby wprost w jasne światło poranka. Na całym świecie nie było

drugiego miasta tak bardzo zapomnianego przez Boga jak

Chartum, tego Saad był pewien.

Florence słyszała za sobą cichy płacz Bezen. Stała w długim rzędzie przed zarządcą targowiska.

Mężczyzna przechadzał się wzdłuż szeregu, podnosił ręce niewolników w poszukiwaniu oznak dżumy i wysypki. Zagłębiał im do ust, żeby policzyć zęby, i

wsuwał rękę między uda dziewcząt.

Florence wzięła głęboki wdech. Nadzorca był coraz bliżej

niej. Przy każdym niewolniku robił sobie na kartce dokładne notatki. Zapewne dotyczyły zalet, które będzie dziś wieczorem wychwalał.

Bezen nie przestawała płakać i Florence się do niej

odwróciła. Po nieudanej próbie ucieczki przyjaciółka miała mniej szczęścia niż ona sama. Gorące żelazo przyłożono jej na samym środku czoła. W ten sposób nadawała się teraz jedynie do pracy na polu, a jej los miał być gorszy od psiego. Za to Florence została napiętnowana na ramieniu. Nie miała pojęcia, że można czuć aż tak potworny ból. Rana nie zdążyła się jeszcze całkowicie

zasklepić, a skóra na jej brzegach była zaczerwieniona i

zaogniona...

Pogłaskała Bezen po ramieniu.

– Nie płacz, Bezen. Pozostała nam już tylko nadzieja i

modlitwa.

Tymczasem nadzorca i Sulejman podeszli do Florence.

Sulejman uniósł jej włosy, prezentując je w dłoni.

– Pierwszorzędny towar. Gęste, jasne włosy. Kolor podobny

do miodu dzikich pszczoł. Zdrowe zęby i czysta skóra. Pachnie niczym zsiadłe mleko. Ponadto potrafi czytać i pisać, chociaż kobieta właściwie nie potrzebuje takich umiejętności.

Mężczyzna zlustrował ją wzrokiem i zrobił kilka notatek.

– Dziewica? – zapytał wreszcie znudzony, nie poświęcając

jej więcej uwagi.

– A jakże! – odparł Sulejman, przyglądając się jaskółkom

krążącym wokół dachów Widynia. Nadzorca splunął w piach

pokrywający targowy rynek. Florence poczuła, jak jego środkowy palec zagłębia się w nią na chwilę sondująco. Pokręcił głową.

– Sulejman, ty psie. Chyba nigdy się już nie zmienisz. Łziesz jak niewierny czart.

Po tych słowach mężczyźni poszli dalej.

Woda była ciepła i cudownie pachniała. Florence zanurzyła

się głębiej w pianie. Nim zagłębiła się w miedzianej kadzi, eunuch Ali napełnił ją właśnie świeżą wodą.

Może to stanowi tajemnicę spełnionego życia, zastanawiała się. Radość z małych rzeczy.

Odwróciła głowę i dostrzegła, że Ali rozciera w dłoniach kawałek wonnego mydła z dodatkiem olejku migdałowego. Odrzucił na bok brzeg swojej dżubby. Naga czarna skóra jego ramion połyskiwała wilgocią i zdawała się jeszcze bardziej czarna niż zwykle. Lecz wewnętrzna strona jego dłoni była tak jasna i różowa jak ręce Florence. Przeciągnęła po nich palcami i Ali się do niej

uśmiechnął. Jego szeroka twarz poznaczona bliznami po ospie należała do pierwszych wspomnień, jakie Florence wyniosła z domu Sulejmana. W tamtym dniu, mimo zamieszania związanego

z ich przybyciem, nachylił się nad nią na dziedzińcu domu i podał

jej kawałek miodowego ciastka.

– Wstawaj – odezwał się Ali. – Jesteś gotowa. Dla nowego

pana, do nowego domu. Pamiętaj, twój dom jest tam, gdzie twoje serce – dokończył i podał jej rękę, pomagając wstać.

– A gdzie jest twoje serce, Ali? – spytała cicho Florence,

wychodząc z kadzi.

Ali pomagał teraz wejść do kąpieli kolejnej kobiecie, ale na chwilę się zatrzymał i jeszcze raz na nią spojrzął.

– Pochodzę z plemienia Dinka, z Sudanu. Gdy handlarze

niewolników mnie schwyтали, moje serce utonęło w Nilu. Pasłem stado mego ojca i zanadto zbliżyłem się do brzegu – powiedział i opuścił głowę.

Florence patrzyła, jak jego różowe dłonie zanurzają się w

wodzie. Nie, nie pozwoli, żeby jej serce zatoneło w jakiegokolwiek wodzie świata, przysięgła sobie.

Dalsza część dnia po kąpieli była długa i męcząca. Wreszcie słońce zaczęło nieubłaganie schodzić za horyzont. Powietrze równiny przepełniło się ostatnim ciepłem. „Mój los został

nieodwołalnie postanowiony” – pomyślała Florence. Nadszedł

targowy wieczór. Z kominów domów w Widyniu unosiły się w

niebo smugi dymu. Muezin nawoływał do wieczornej modlitwy,

wierni zaś uczynili swą powinność. Jednakże tej nocy bramy

miasta miały pozostać otwarte, a w uliczkach zebrały się tłumy ludzi. W ciągu ostatnich dni wędrowni kupcy rozstawili swoje kramy z drewna i woskowanego płótna. Pachniało pieczonym

mięsem, nadzianym wraz z cebulą i papryką na długie szpikulce do szaszłyków. Roznosiła się woń świeżych podpłomyków

faszerowanych owczym serem, ciast osłodzonych miodem i

miejscowej, mocno korzennej kawy, którą trzeba było cedzić przez zęby, by oddzielić napój od fusów.

Florence starała się nie myśleć o mieście i jego ulicach.

Musiała zebrać siły na to, co ją czekało. Podobno nie tylko sułtan wysłał swych kupców, lecz także różni książęta z Mezopotamii, Afganistanu, Syrii i Libanu.

Zapadła chłodna jesienna noc. Na bezchmurnym niebie

jaśniał półksiężyc. Nocni strażnicy za pomocą długiego łuczywa zapalali nieliczne latarnie w zaułkach Widynia. Na ulicznym bruku zapchłone kundle i kilkoro umorusanych dzieciaków

rozgrzebywały góry śmieci.

Niespodziewanie otworzyła się przed nią ulica, światło i

hałas wielkiego placu w Widyniu spadło na nią niczym zębate szczęki wnyków. Tutaj miał się odbyć targ, tu miał się

rozstrzygnąć jej los. Wszędzie wokół płonęły pochodnie,

przesycając powietrze gorzkim zapachem rozgrzanej kapiącej

smoły. W błocie na brzegu placu leżeli kalecy żebrzący razem z bezzębnymi kobietami i dziećmi o zbyt wielkich oczach w

wyglodniałych twarzach. W blasku pochodni i latarni połyskiwały niby kolorowe wafle mocno umalowane twarze kobiet trudniących się najstarszym rzemiosłem świata. Wśród gapiów Florence zauważyła grupę kuglarzy. Mężczyźni, robiąc w powietrzu salta w tył, odsuwali na bok tłum, a tymczasem ich kompani wykradali zebranych gapiom portfele.

„Ci wszyscy ludzie żyją z nas – pomyślała Florence,

wychodząc na plac z mrocznej uliczki. – Tylko my nie żyjemy.

Tylko nam nigdy więcej nie będzie dane żyć”. Pochód

niewolników zatrzymał się w miejscu. Daleko z przodu

prowadzono na podium muskularnego mężczyznę z okolic Nilu, o błyszczącej, naoliwionej niebiesko czarnej skórze. Pokrzykiwania i śmiechy publiczności przybrały na sile.

Florence zamknęła oczy i wróciła myślami do modlitwy Mai.

Z tyłu za jej plecami Bezen zaczęła nucić jakąś piosenkę i Florence podjęła melodię. I tak śpiewały obie, zwrotka za zwrotką,

przesuwając się powoli do przodu w oczekiwaniu na swoją

kolejkę.

Później Florence usłyszała słowa Bezen:

– Zaraz twoja kolej, Florence.

Spojrzała na pierwszy rząd mężczyzn tłoczących się wokół

podestu rozstawionego na środku rynku. Ich oczy wpijały się w nią jak węgle, gdy rano żar ogniska ugasi się wodą. Jakiś handlarz stojący blisko niej oblizwał językiem wargi i sięgnął po sakiewkę ze złotem.

Wyszczrzył zęby i co chwila na nią zerkając, zabrał się do liczenia monet. Dwaj inni młodzi mężczyźni w długich czystych koszulach i czerwono-białych chustach na głowach tręcili się łokciami, po czym skinęli głowami i roześmiali się. Najwidoczniej mieli ochotę przywieźć sobie z pielgrzymki do Mekki pamiątkę kupioną na targu w Widyniu.

Florence spuściła wzrok. Na podest weszła właśnie

niewolnica stojąca tuż przed nią. To była owa kobieta z

niemowlęciem, którą pamiętała z klatki. Florence słyszała, jak prowadzący zaczyna licytację.

– Towar żeński z dodatkiem w postaci męskiego

niemowlęcia. Brakuje dwóch siekaczy, ale ma mocne kości. Żadne choroby nie są znane. Nadaje się do pracy w polu. Chłopak też jest zdrowy.

Jakiś mężczyzna z dalszych rzędów podniósł rękę. Inny go

przebił. Po krótkim targu kobieta razem ze swoim synem została sprzedana za mniej niż dwadzieścia lirów. Prowadzący zanotował

cenę, by później domagać się od Sulejmana jej dziesiątej części.

Następnie uniósł oczy i jego wzrok padł na Florence.

– Ach! – usłyszała jego okrzyk. Rozglądając się wśród

rzędów niewolników, zdążyła zauważyć, że była jedyną białą

dziewczyną na targu. Prowadzący przesunął stojaki z pochodniami na środek podestu. Dał znak Sulejmanowi, żeby wyprowadził

Florence do przodu.

– Wprowadź ją! – rozkazał.

Sulejman rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

Pozwoliła mu pociągnąć się za sobą. Pod bosymi stopami

wyczuła pierwsze stopnie prowadzące na podest.

– Powodzenia, Florence! – usłyszała wołanie Bezen i stanęła w świetle pochodni. Dawaly na tyle jasny płomień, że widziała pierwsze rzędy mężczyzn zgromadzonych na obszernym,

pogrążonym w ciemnościach nocy rynku. Tłoczyli się wokół

podium. Widziała, jak wyciągają w jej kierunku ręce, na stopach i łydkach czuła dotyk ich palców.

Słyszała aprobujące pomruki, widziała, jak rozmawiają i liczą, dwaj kupcy występujący w

imieniu książąt z dwóch zwaśnionych rodów kłócili się między sobą. Usłyszała narastający dźwięk bębnow. Później wszystko ucichło. Muzykanci pili piwo w oczekiwaniu na swe następne

wejście.

Florence weszła na podium i prowadzący zrobił

wystudiowaną pauzę, pozwalając, by swym wyglądem wywarła

odpowiednie wrażenie na kupujących. Później zaczął ją zachwalać.

– Mimo naszych starań jest jedyną białą dziewczyną na

dzisiejszej aukcji! Mamy kłopoty z dostawami z Gruzji i Kaukazu, tamtejszy pokój nam nie sprzyja –

obwieścił ze śmiechem.

Podszedł bliżej i uniósł do góry jeden z jej grubych jasnych warkoczy.

– Który mężczyzna nie zechciałby udowodnić światu swego

bogactwa, posiadając coś takiego na własność? Prawdziwe włosy blond, kolor dzikiego miodu. Skóra czysta jak świeżo udojone mleko, pachnąca cynamonem i kardamonem! W jej ustach nie

brakuje ani jednego zęba.

To mówiąc, złapał ją pod brodę i mocno zacisnął palce.

Florence wbrew swej woli musiała rozchylić wargi. Bolała ją szczęka.

Usłyszała, jak przez tłum kupujących przebiegł szmer

zadowolenia.

Na znak dany przez prowadzącego muzykanci znów zaczęli

dziko walić w bębny. Na ciemnym placu pierwsi oferenci

krzyknęli swoje ceny. Ale prowadzący jeszcze nie wyciągnął

ostatniego asa z rękawa.

– Tysiąc lirów! – zawołał któryś.

Prowadzący się roześmiał.

– Za tyle dostaniesz ode mnie kozę bez wymion, na nic

innego nie zasługujesz, ośli synu! – padła odpowiedź i po rynku poniósł się śmiech.

– Tysiąc pięćset!

– Dwa tysiące lirów!

Florence słyszała, jak podbijają cenę. Poczuła, że

prowadzący znów stanął za jej plecami. Uniósł rękę, prosząc licytujących o ciszę. Mężczyźni posłuchali z zaciekawieniem. Skinął

brodą w kierunku muzykantów, na co jeden z nich z obojętną miną zaczął cicho i jednostajnie uderzać w werbel.

Florence czuła na karku jego oddech.

Co zamierzał zrobić?

– Głupcy, wystrzelacie całą swoją amunicję przed

rozpoczęciem wojny! – krzyknął, a Florence niespodziewanie

poczuła jego palce na zapięciu pod szyją. Nim się spostrzegła, jednym ruchem zerwał z niej koszulę.

Materiał wylądował na

podeście, układając się w białe lniane fale.

Światło pochodni oświetliło jej nagą skórę. Słyszała

podniecone okrzyki i przekleństwa obecnych na rynku mężczyzn.

Niektórzy wzywali na pomoc swych bogów. W chłodnym

wieczornym powietrzu jej członki pokryła gęsia skórka.

Prowadzący ustawił ją w taki sposób, by światło padało na jej wysoko uniesione piersi. Wypalone piętno ukryte było w cieniu.

– Jest jeszcze dziewicą. Ale jest chętna. Cóż może być

lepszego? – rzucił pytanie w kierunku masy powrzaskujących

kupców. Florence przymknęła oczy. Rozpłakała się. Nie

obchodziło jej, co jeszcze z nią zrobią. „To nie moja dusza, a jedynie ciało” – napominała się nieustannie. Słyszała zawołania, padające oferty, coraz wyższe i wyższe. Miała ochotę zatkać sobie uszy, gdy raptem na placu zrobiło się bardzo cicho. Florence otworzyła oczy i zamruwała oślepiona blaskiem

płonących

poходni. Nie mogła nic dostrzec w ciemnościach spowijających odleglejsze partie rynku. Co się stało?

Rozdział 3

Czy ta podróż naprawdę była moim pomysłem? –

zastanawiał się Sam, ujrawszy zdetronizowanego Rajaha Punjaba na szarym peronie Dworca Paddington w Londynie. Duleep Singh stał obok ręcznie zrobionych na zamówienie francuskich kufrów.

Na zielonej skórze wyryto czarnym kolorem jego herb i inicjały.

Obok kucały oba jego karły i milcząca czarna służąca,

nieodstępująca na krok swojego pana. Jej kolorowe ubrania

przełamywały szarość jesiennego deszczowego poranka. Sam

doliczył jeszcze jednego lokaja, kucharza wiozącego z sobą

kompletne wyposażenie kuchni, lekarza i jakiegoś mężczyznę, który zapewne czytał Rajahowi książki, siedział bowiem na

spakowanej podróźnej biblioteczce. Sam westchnął. Wśród kobiet w dziennych sukniach z ciemnego materiału i czepkach skromnie przykrywających ich włosy, pośród mężczyzn w tak samo

ciemnych żakietach i cylindrach Rajah wyglądał niczym paw w stadzie kuropatw.

Nawet jeśli był to jego pomysł, to czy aby na pewno można

było nazwać go dobrym? On sam ułożył na wózku tragarza cztery sztuki bagażu oraz strzelbę zapakowaną do specjalnie

przygotowanego kufra. Po wejściu na peron zapłacił mężczyźnie za fatygę.

– Mr Baker, naprawdę bardzo się cieszę! – zawołał młody

Rajah i z rozłożonymi ramionami podbiegł w jego kierunku.

Płaszcz księcia, uszyty na miarę z ciemnozielonego tweedu, z kołnierzem i mankietami obszytymi futrem, powtarzał każdy ruch swego właściciela, nie tworząc na ramionach ani pod pachami najmniejszego załamania.

– Myślę, że to pierwsza prawdziwa przygoda, na jaką się

wypuszczam. Ostatecznie dopiero niedawno zyskałem

pełnoletność. Wciąż nie mogę uwierzyć, że królowa Wiktorja

przychyliła się do mej prośby i udzieliła pozwolenia na podróż! –

poklepał Sama po ramieniu i puścił do niego oko. – Dziękuję panu z całego serca. Dług zaciągnięty w grze to dług honorowy, Jej Królewska Mość musiała to uznać – zachwycał się dalej.

Sam odwzajemnił uścisk Rajaha i kątem oka zauważył, że

zarezerwowano dla nich nie jeden czy dwa przedziały, ale cały wagon.

„Punjab”, taki napis pełen zawijasów widniał pod każdym z

okien. W ostatniej chwili młody Rajah kupił egzemplarz

„Illustrated News of the World” od chłopaka, który nie zważając na przenikliwy chłód i kapiący z nosa katar, biegał boso po peronie.

– Pensa reszty możesz zatrzymać, zasmarkańcu, ale nie

wydaj wszystkiego naraz! – zawołał księżę za dzieciakiem

znikającym w oparach dymu z lokomotywy. Następnie wszedł na stopnie wagonu. Pociąg zagwizdał, dając podróżnym pierwszy

sygnał i zasnuwając peron gęstym dymem przemieszonym z sadzą.

Sam z Rajahem nie mogli powstrzymać kaszlu. Reszta podróżnych zaczęła się ścisnąć i żegnać z odprowadzającymi ich przyjaciółmi, a następnie spiesznie wsiadała do wagonów.

– Chodźmy, Baker, inaczej będziemy mieli całkiem czarne

twarze – powiedział Rajah i pociągnął Sama za sobą do wnętrza pociągu. Poprowadził go korytarzem, paplając radośnie, aż

wreszcie wybrał dla nich przedział. – Tutaj będziemy mogli

wygodnie posiedzieć, aż nadejdzie pora na herbatę – dodał i dał

znak służącym, by zanieśli do sąsiedniego przedziału wszystkie walizy, razem z bagażem Sama i bronią.

Pociąg szarpnął. Sam patrzył, jak niskie szare domy w

Paddington przesuwają się wzdłuż okien pociągu. Londyn

zostawał za nimi.

Sam zdjął płaszcz z ciemnoszarej wełny i kapelusz z futra

kretów. Obie rzeczy starannie ułożył na siedzeniu obok siebie.

Rajah zrobił to samo, strzepując kurz ze swego kapelusza. Później zajął miejsce i opadłszy na oparcie,

zatopił wzrok w trzymanej w ręku gazecie.

– Och, proszę tylko popatrzeć, mister Baker, jestem na okładce! – zawołał z podnieceniem.

Sam pochylił się do Duleepa Singha. Rzeczywiście, z tytułowej strony patrzyły na niego oczy Rajaha. Wyglądał

władczo, choć nieco absurdalnie, w turbanie okapującym sznurami pełnymi pereł. Musiał się powstrzymać od śmiechu. Szybko

zerknął na pozostałe nagłówki. *Księżna Devonshire skazana za zbyt głęboki dekolt!* i dalej: *Zdjęcie debiutantki roku*, i jeszcze pogrubionym, ciemnym drukiem: *Poszukiwania źródeł Nilu –*

Speke i Grant zdecydowali się na ryzykowną ekspedycję!

Sam zagryzł wargi. Jakim cudem Speke zdołał przekonać

Królewskie Towarzystwo Geograficzne do swojego pomysłu?

Speke! Właśnie Speke, spośród tylu mężczyzn! Znał go

jeszcze z Cejlonu, zanim wyruszył w swą pierwszą podróż do

Afryki. Speke zaczynał się jąkać, gdy się zdenerwował albo czymś podniecił. A trzeba dodać, że oba te stany osiągał nader szybko. Do tej pory nawet z Burtonem zdążył się poróżnić, a ten był przecież jego najlepszym przyjacielem. Głośno i z pasją dyskutowali na temat źródła Nilu. Jak ktoś taki jak on miałby odnaleźć tajemniczy początek owej rzeki? Czymże sobie zasłużył na takie wyróżnienie?

Na rozwiązanie ostatniej wielkiej zagadki tego świata. Sam znów poczuł w sobie rosnący gniew z powodu doznanego upokorzenia.

Jemu odmówiono pozwolenia na podróż do Afryki.

– Proszę wybaczyć – odezwał się, wyjmując Rajahowi z ręki

„Illustrated News of the World”. – Muszę przeczytać ten artykuł.

Duleep Singh westchnął i oparł się o poduszkę, którą karzeł

wsunął mu pod plecy. Wyrzał przez okno, za którym przesuwwały się zielone wzgórza angielskiego południa. Zbiory się skończyły i na polach leżały skiby wysuszonej ziemi. W Dover miała na nich czekać łódź, którą planowali przepłynąć Kanał. Z Calais pojedą dalej pociągiem. Dzięki Bogu tory były położone na długim

odcinku i dochodziły jeszcze spory kawałek za Wiedeń. Później na Dunaju wynajmą parowiec, który zawiezie ich na wschód.

Sam podniósł do oczu gazetę i czytał, co przez najbliższe minuty zwalniało go z obowiązku konwersacji z młodym Hindusem. Czytał, a z każdym przeczytanym słowem artykułu ogarniał go coraz silniejszy gniew i smutek. Z Southampton Speke i Grant zamierzali popłynąć statkiem do Zanzibaru, a później z południowo-wschodniej części kontynentu mieli wyruszyć do źródeł Nilu, które spodziewali się odnaleźć w ogromnym jeziorze.

Zanzibar! Już sama nazwa wyspy przywodziła na myśl woń goździków.

Sam wyjrzał przez okno. Na łąkach pasły się owce i krowy w

czarne łąty, a po starannie ogrodzonych pastwiskach spacerowały konie. Na wzgórzach rozpościerały się szlacheckie domostwa, z których otwierał się widok aż do samego kanału La Manche. Z

kominów leniwie unosił się dym. Sam zatęsknił za spokojnym

życiem, jakie wiedli tamtejsi mieszkańcy. Jednak owa tęsknota znikła tak samo szybko, jak zagościła w jego sercu. Pociąg dudnił

po szynach, sunąc w kierunku morza oddzielającego Anglię od reszty kontynentu. Kilka ruin niedaleko Kanału przypominało o fakcie podbicia Anglii przez Normanów. Mijając wioski, pociąg zwalniał. Na szlabanach wisiały dzieciaki, które następnie

krzycząc i machając rękami, biegły za lokomotywą, owiewane

dymem i sadzą, aż ich ubrania robiły się czarne, a zachrypnięte gardła odmawiały posłuszeństwa.

Sam znów opuścił głowę i wrócił do lektury artykułu.

Wyścig do źródeł Nilu się rozpoczął. Tylko że jemu nie było dane stanąć na linii startu. Ostatnia zagadka świata ma zostać rozwiązana bez jego udziału. Z wściekłości mógłby się teraz rozpłakać! Sam zamrugał

kilka razy oczami i nabił fajkę, po czym znów zaczął czytać. Czyżby na świecie nie było ani jednego listka z wieńca laurowego, który byłby przeznaczony dla niego? Czy tak po prostu ma roztrwonić swoje życie?

W tej chwili zapukano do przedziału. Karzeł Rajaha skoczył

na nogi i otworzył drzwi. Zadzwończy dzwoneczki przymocowane do skrajki jego ubrania. Sam uniósł z irytacją wzrok. Jak można czytać w tym hałasie? Drzwi się otworzyły. Na korytarzu stał

służący w niebieskiej liberii Brytyjskich Kolei Królewskich. W

odzianych w białe rękawiczki dłońmi trzymał srebrną tacę, na której leżał srebrny dzwonek. Skłonił się przed Samem i Duleepem Singhem. Następnie zadzwonił dzwonkiem.

– *Gentlemen*, podano herbatę – obwieścił.

Sam kopnął ze złością w nadłamane wiosło. Drewno ze

zgrzytem przełamało się na dwie części. Jeden kawałek popłynął z nurtem rzeki, a później został porwany przez niewielkie wodne wiry i całkiem znikł z pola widzenia. Sam patrzył za nim z

konsternacją. Parowiec! Śmiechu warte. Gdy opuścili Wiedeń oraz gościnne progi księcia Esterházyego i nareszcie zdołali umknąć balom i uciechom Budapesztu, okazało się, że na całym Dunaju nie dało się znaleźć żadnego parowca. Mimo to podróż rozpoczęła się przyjemnie i trwała do momentu, kiedy ich łódź, oddalwszy się na bezpieczną odległość od poprzedniego właściciela, zaczęła

nabierać wody. Powrót był niemożliwy. Szyper starał się, jak umiał, zreperować uszkodzenie.

Pomrukując pod nosem, nabijał

deski po wewnętrznej stronie części dziobowej.

– Ta łódź chła więcej niż moja stara w sobotę wieczorem!

Po dwóch dniach minęli osławione bystrze Żelaznej Bramy.

W zakolu rzeki barka przełamała się na pół niczym zmurszała gałąź. Pewne pocieszenie mógł stanowić fakt, że ta niemiała

przygoda spotkała ich nieopodal bram jakiejś twierdzy. Chociaż miasto ze swymi murami i minaretami nie wyglądało zbyt

zachęcająco. Sam zszedł na ląd. Na okolicznych polach lśnił

pierwszy szron. Nadszedł czas zbiorów winogron. Miał wrażenie, że przy brzegu tworzy się cienka warstewka lodu. Spojrzał w górę, w kierunku miejskich bram, przed którymi wciąż kręciło się dziwnie dużo ludzi.

Może mają tu dziś targ?

– Zimno mi – oznajmił Rajah i owinał się ciasniej płaszczem, który co nieco ucierpiał podczas awarii łodzi. Postawił wysoko futrzany kołnierz. Zniecierpliwionym gestem przegonił karła, który próbował mu wytrzeć nos jedwabną chustką.

– Wynoś się, bezużyteczna kreaturo! – fuknął.

„Jeszcze tylko brakuje, żeby zaczął tupać nogami” –

pomyślał Sam.

– Chodźmy na polowanie – zaproponował, sięgnął po futerał

swojej strzelby i zaczął go rozwiązywać. To powinno zająć ich myśli i zapewnić chrupiącą, pieczoną kolację. Z pełnym żołądkiem lepiej się myśli i poprawia się humor. Na pewno bywały tu

niedźwiedzie albo przynajmniej dziki. Wprawnym okiem zbadał

okolice, pola na zboczach i wyrastającą dalej za nimi ciemną ścianę lasu na tle przejrzystego, ale pozbawionego życia

horyzontu.

– Niedługo zapadnie zmrok. Za późno na polowanie z

podchodu. Chcę wziąć ciepłą kąpiel. Później służący poczyta mi książkę. Niech szyper się dowie, czy w tym mieście mają jakiś porządny hotel! – odparł Rajah, a Baker westchnął. Ta podróż nie będzie sukcesem. Mimo wszystko należało ją zakończyć z

honorem. Wypytał przewoźnika łamanym niemieckim, który

stanowił pamiątkę po roku studiów w Heidelbergu. Następnie

zwrócił się znów do Rajaha.

– Miasto nazywa się Widyń. Mają kwatery, ale wygląda na

to, że dziś wieczorem odbędzie się tu wielki targ niewolników.

Podobno wszystkie pokoje są zajęte.

Rajah wstał i rozciągnął chude nogi.

– W takim razie przynajmniej będziemy mieli trochę

rozrywki – skwitował i rzekł do swych towarzyszy: – Ruszajcie się, pakujcie kufry na plecy! Dzisiejszą noc spędzimy w Widyńiu.

Rozstawcie namioty przed murami miasta. Nie mam zamiaru

wciskać na siłę tej hołocie do gardła moich pieniędzy.

Sam niespiesznie wchodził za nim po zboczu. Na szczycie

wzgórza jeszcze raz się odwrócił i popatrzył w dół na przełamaną barcę, której resztki stały przycumowane na przystani. Wolałby zostać z szyprem na pokładzie. Nie miał ochoty na żaden targ niewolników. Co by było, gdyby dowiedzieli się o tym panowie z klubu?

Sam i Rajah pozwolili się ponieść ludzkiej masie, bez

wyznaczonego kursu ani portu. Prawie tak samo jak ich barka na Dunaju. Pistolet Sama był na swoim

miejscu w kaburze u pasa, zasłonięty długim żakietem z gabardyny. Wokół ręki owinał sobie lekki, miękki pejcz, którego pleciony powróż okazał się przydatny podczas polowania na niedźwiedzie. Wsunął głębiej kapelusz.

Wokół nich kłębili się ludzie ze wszystkich możliwych krajów.

Rozpoznał tureckie ubrania i przeróżne stroje narodowe z

Bliskiego Wschodu. Niektórych języków wpadających mu w ucho nie potrafił rozpoznać, chociaż chciałby, żeby było inaczej.

Natomiast Rajah przeżuwał z zadowoleniem mielone mięso

nadziane na szpikulec. Odwrócił się do Sama.

– Niezłe. Może odrobinę za ostro przyprawione. Muszę zjeść

jeszcze jedno, dopiero wtedy będę mógł sobie wyrobić zdanie –

ocenił i odliczył w dłoni dwie monety. Następnie wskazał przed siebie, w kierunku, w którym najwyraźniej podążali wszyscy

otaczający ich ludzie. – Niech pan spojrzy, Baker, to musi być rynek. Tam odbywają się licytacje. Mam nadzieję, że uda nam się jeszcze dostać jakieś dobre miejsca.

Sam szedł za nim bez entuzjazmu. Handel niewolnikami

uważał za okrutne barbarzyństwo, któremu Imperium Brytyjskie chciało położyć kres. Co wśród oświeconych ludzi mogło uchodzić za bardziej haniebny występki aniżeli odebranie drugiemu

człowiekowi honoru i wolności? Lecz w namiocie rozbitym przed miejską bramą Rajah tak na niego nastawał, że Sam w końcu

ustąpił. Nie chciał dopuścić do powstania dalszych nieporozumień.

Teraz Duleep Singh złapał go za nadgarstek i pociągnął za

sobą na wysoką trybunę. Sam wcisnął strażnikowi do ręki kilka monet. Mężczyzna przegonił dwóch innych widzów i opróżnił dla nich dwa krzesła. Sam upił z filiżanki łyk gorącej, gorzkiej kawy, którą natychmiast podsunęła mu jakaś dziewczyna o ciemno

obwiedzionych oczach.

Popatrzył w dół, na rynek i scenę, na której odbywał się

handel. W migoczącym świetle pochodni ludzie na podium

wyglądali jak nieszczęśliwe duchy. Sam pociągnął kolejny łyk kawy i sparzył sobie usta. W tej chwili na podwyższenie

wprowadzono płaczącą czarnoskórą kobietę, która trzymała na ręku wijące się niemowlę. Oboje zostali sprawnie sprzedani.

Sam ugryzł kawałek miodowego ciastka. Kilka okruchów

spadło mu na ubranie. Chciał je właśnie strzepnąć, gdy Rajah położył mu rękę na ramieniu.

– Baker! Niech pan patrzy! – zawołał, wychylając się do przodu, żeby lepiej widzieć.

Sam uniósł głowę.

Na podium wprowadzono młodą jasnowłosą dziewczynę.

Miał wrażenie, że śni. W Londynie słyszał pogłoski o białych dziewczętach na targach niewolników.

Mówiono, że w pewnych

regionach Bułgarii każda rodzina musi co jakiś czas oddać jedno dziecko. W ramach tak zwanej krwawej ofiary. Sam przyjrzał się dziewczynie. Była jeszcze prawie dzieckiem. Wypchnięto ją na środek sceny.

Zagrała muzyka. Kupcy przeciskali się do jej nóg.

Ich podniecone głosy dochodziły do góry na trybunę. Zobaczył, jak wystraszona dziewczyna się cofnęła, próbując uniknąć dotyku ich palców. Wypił jeszcze łyk kawy, ale nie spuszczał jej z oczu.

Pochylił się do Rajaha i znieruchomiał, bo w tej właśnie

chwili za dziewczyną stanął mężczyzna prowadzący licytację i jednym ruchem zdarł z niej koszulę. Sam widział, jak się

rozplakała, stojąc w jasnym świetle pochodni. Widział, jak kupcy u jej stóp przemienili się we wściekłe psy. Na całym placu podnosiły się ręce mężczyzn biorących udział w licytacji. Niespodziewanie dostrzegł jeszcze jedną uniesioną dłoń. Na jej serdecznym palcu widniał rodowy sygnet White Bakerów.

Naraz usłyszał głos

oferujący jakąś cenę, niesłychanie wysoką cenę. Ten głos należał

do niego. Na rynku zaległa cisza.

– Baker, nie wolno panu tego robić! Kupić niewolnicy! –

zawołał z oburzeniem Rajah. Jego głos załamał się ze

zdeenerwowania. – Jeśli w klubie się o tym dowiedzą, będzie pan skończony! Skończony, słyszy pan?!

Sam nie zwracał na niego uwagi. Powtórzył swoją ofertę,

przerywając panującą ciszę, w której słyhać było skapujące z pochodni krople smoły. Nadzorca podniósł rękę, by przerwać

licytację. Szybko naradził się z mężczyzną stojącym obok niego.

Dziewczyna drżała z zimna, próbując otulić się ramionami.

Ostatecznie nadzorca kiwnął głową. Głośno krzyknął i wymienił

zatwierdzoną sumę. Kupcy wokół podium zmarkotnieli.

– My pierwsi ją zobaczyliśmy! – zawołał jeden i uderzył

pięścią w drewniany słup podtrzymujący scenę.

– Sulejmanie, od lat u ciebie kupuję, a teraz coś takiego! Mój pan nie będzie zadowolony – krzyknął

drugi.

– A czy niewiernemu wolno w ogóle uczestniczyć w targu? –

chciał wiedzieć inny i z pejczem mocno owiniętym wokół ręki szykował się właśnie do wyjścia na środek targowiska. Rajah śledził w napięciu jego poczynania i z emocji chrupał pistacje, jedną za drugą.

Sam odepchnął na bok dwóch ludzi i przeskakując po dwa

stopnie, wbiegł po schodach na podium. Dziewczyna stała wciąż rozebrana między nim i tamtymi dwoma mężczyznami.

– Nie martw się – odezwał się do niej po niemiecku,

podejrzewał bowiem, że jedynie w tym języku mogła go

zrozumieć. – Zaraz nas tu nie będzie.

– Baker! – krzyknął przerażony Rajah.

Sam rzucił mu szybkie spojrzenie i uśmiechnął się. Po raz

pierwszy podróż sprawiała mu przyjemność. Po raz pierwszy

Rajah wydał mu się zajmujący.

– Bez obaw, Wasza Królewska Mość, zapłacę za nią z

własnej kieszeni.

Ze skórzanego portfela odliczył do ręki wylicytowaną kwotę

i podsunął monety pod nos tłustego mężczyzny stojącego obok nadzorcy. Zdawało się, że grubas się

zawahał. Wreszcie uniósł do góry dłonie, skłonił głowę i uczynnie się uśmiechnął.

– Och, mister. Zdaje się, że zaszło nieporozumienie. To zbyt niska cena za taką dziewczynę jak ona.

Zapewniam, że każdy z tych mężczyzn chętnie zapłaciłby więcej!

To mówiąc, wskazał na kupców u jej stóp, którzy teraz znów

kiwali głowami i wznosili okrzyki. Duleep Singh przestał chrupać pistacje. Bezgłośnie obserwował

rozwój wypadków, a oczy

błyszczały mu z podniecenia.

– Proszę jeszcze dołożyć, mister. Wtedy będziemy mogli

rozmawiać – usłyszał Sam słowa handlarza. Dziewczyna

przycisnęła się do niego. Czuł, jak jej wątłe ciało drży. Położył

rękę na jej ramionach i poczuł pod palcami nieznaczące

wybrzuszenie na skórze. Dostrzegł znamię wypalone u góry na jej ramieniu, zauważył zaognioną ranę i sączącą się z niej ropę. Gruby mężczyzna, chyba Armeńczyk, nadal się do niego uśmiechał. Na Boga, zamierzał pokazać temu dzikusowi, co sądzi o jego

kręactwie. Nim zdążył pojąć, co czyni, uniósł bat i smagnął nim policzek handlarza. Tłusty Armeńczyk wrzasnął i z jękiem złapał

się za głowę.

– Ty świnię, teraz wiesz, jak smakuje ból – warknął Sam. –

Kupiłem ją i jest moja, rozumiano? – krzyknął w kierunku

zebranych. Wyrzucił pieniądze wysoko w powietrze. Monety

zamigotały i z brzękiem zaczęły spadać na deski podestu.

Nadzorca padł na kolana, przepędzając jednocześnie

przekleństwami i razami innych mężczyzn, którzy wyciągali ręce w stronę metalowych krążków.

Pozostali kupcy mruclili niezadowoleni, ale w końcu

schowali sakiewki. Sam zrozumiał, że jego zachowanie wywarło na nich duże wrażenie. Lecz mimo wszystko lepiej było odejść.

Rozejrzał się szybko.

– Rajah, poproszę o pański płaszcz – rzucił krótko.

Duleep Singh przez chwilę przyglądał mu się w osłupieniu,

ale zaraz zdjął z siebie sięgające kolan nakrycie i podał je towarzyszowi. Sam okrył nim ramiona dziewczyny. Stała ze

spuszczoną głową i nie patrzyła na niego. Baker pogładził ją po włosach. Owinęła się płaszczem i zacisnęła kurczowo ręce na tkaninie.

– Chodź – powiedział i pociągnął ją za sobą. – Jak się nazywasz? – zapytał.

– Florence – odpowiedziała. – Florence Finnian von Sass.

Duleep Singh pospieszył za nimi. Po drodze wielokrotnie oglądał się za siebie w obawie, że ktoś mógłby za nimi pójść.

– Baker! – zawołał w biegu. – Co zamierza pan zrobić z dziewczyną?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Sam, nie odwracając się do Rajaha.

Następnego ranka bladym świtem opuścili Widyń. W tym

samym czasie muezin pokonywał niezliczone stopnie prowadzące na wieżę jego meczetu. Koła powozu zaczęły się toczyć, gdy w poranną szarówkę popłynęły z minaretu pierwsze wezwania do modlitwy.

Florence chciała tylko spać, co też czyniła, usadowiona na

niewygodnym, obciążonym popękana skórą siedzeniu wozu

wynajętego przez Duleepa Singha. Pojazd miał kiepskie resory, toteż podczas każdego postoju czy odpoczynku Rajah biadolił

niczym kot, który przypadkowo wleciał do wody. Florence

milczała. Sam ją obserwował. Zdawało się, jakby szukała w głowie słów, które uleciały przez lata. Na przykład słowo oznaczające wolność. Czy zrozumiała, że oto odzyskała wolność? Mogła odejść lub zostać. Było mu wstyd. Kupił kobietę, zachował się dokładnie tak samo jak tamte dzikusy. Jak w tej sytuacji miała czuć się wolna?

Wieczorem, po przełknięciu kilku kęsów jedzenia, wycofała

się do namiotu, który dzieliła z Samem. Gdy jakiś czas później podniósł klapę zasłaniającą wejście, zauważył, że zawinęła się w koce. Zobaczył jej szczupłe ciało, leżące na jednym z dwóch łóżek ustawionych wokół ogniska pośrodku namiotu. Sam usiadł na

swoim poślaniu i w milczeniu przyglądał się tańczącym cieniom, które migoczące światło dogasających węgli malowało na jej

twarzy. Wreszcie zdjął marynarkę, rozsznurował buty i wyskoczył

ze spodni. Położył się do łóżka. Dziewczyna kręciła się

niespokojnie i mówiła przez sen. Słowa i języki, które rozumiał

albo i nie. Niemiecki, turecki, arabski. Przyglądał się ruchom jej pleców po drugiej stronie ogniska, które niespokojnie się unosiły i opadały, aż wreszcie sam zapadł w sen.

Rano obudził się przed nią. Razem z niezdarnym woźnicą i

zaspanymi strażnikami rozniecił ogień, próbując jednocześnie poprawić Rajahowi humor. Niemniej jednak Duleep Singh

postanowił, że bezpośrednio z Bukaresztu uda się w podróż do Neapolu, do swej dawnej guwernantki lady Login.

– Baker, mam nadzieję, że Włochy są bardziej zajmujące od

pana i pańskiej niewolnicy – oznajmił.

– Jak Wasza Wysokość sobie życzy – skwitował Sam.

W drodze do Bukaresztu Sam, Florence i reszta towarzystwa

zatrzymali się na kilka dni w Besarabii. W dalszej okolicy

znajdowało się kilka pustelniczych siedzib, a widoczne na

horyzoncie lasy obiecywały udane polowanie na głuszca. Sam

puścił konie na popas, rozstawił strażę, sam zaś zabrał się do wbijania w suchą ziemię stepu kołków pod namioty. Podwinął

rękawy koszuli, czując na sobie wzrok Florence. Przyglądała się jego pracy. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu obecność

dziewczyny dodawała jego ruchom szczególnego rozmachu. Ale

gdy odłożył młot i zapiął koszulę okrywającą szeroki tors, ona odeszła.

Po bezowocnym wieczornym polowaniu wrócił do namiotu,

który dzielił z Florence. Podniósł klapę przysłaniającą wejście i zobaczył ją siedzącą na krześle. Na jego widok podniosła głowę.

Była zajęta szyciem, a światło ogniska nadało jej skórze ciepły odcień.

– Jak było na polowaniu? – spytała swoim osobliwym

głosem, ciepłym, a zarazem nieco ochrypłym. Na chwilę uniosła wzrok znad robótki.

– Bez sukcesu. Na polach spotkałem jedynie jakiegoś

zbląkanego kota – odparł. – Podwiń koszulę – powiedział.

Zauważył, że na chwilę znieruchomiała.

– Mam na myśli tylko rękaw – dodał szybko, zawstydzony

dwuznacznością swoich słów. – Chcę wreszcie zająć się porządnie raną na twoim ramieniu.

Uśmiechnęła się i zaczęła podwijać rękaw koszuli, którą jej pożyczył. Sam rozejrzał się szybko, unikając jej wzroku. Spodobał

mu się sposób, w jaki rozłożyła dywan i ustawiła na nim składany stół i krzesła. Nagle poczuł się, jakby był w prawdziwym domu.

Jej ramię było już odsłonięte. Zobaczył gładką skórę opiętą na mocnych mięśniach. Zajrzał do podróżnej apteczki.

– Musimy przemyć ranę – powiedział, mocząc czystą

bawełnianą gazę w alkoholu. Florence się skuliła, gdy przetarł nią piętno wypalone na jej ramieniu. –

Wytrzymaj! – nakazał krótko. –

Chyba nie chcesz umrzeć na gangrenę?

– Skąd znasz niemiecki? – zapytała i zrobiła, co kazał. Czuł

pod palcami, jak jej skóra się rozgrzewa, gdy wielokrotnie

przemywał ranę.

– Jako student spędziłem rok w Heidelbergu. Później

musiałem wrócić do Anglii, by poślubić córkę pewnego pastora.

– Jesteś żonaty?

Odwróciła głowę do światła. Sam wciąż nie był pewien, jaki

kolor miały właściwie jej oczy. Były niebieskie? Zielone? A może zielono-niebieskie? Ze złotymi plamkami.

Pokręcił głową, zmieszany własnymi myślami.

– Nie, jestem wdowcem. Henrietta od dawna nie żyje.

Następnie odwrócił się i dokładnie zamknął podróżną apteczkę. Bez wątplenia wszyscy towarzyszący im mężczyźni lubili sobie popić, toteż należało pilnować zapasów.

– Masz dzieci? – wypytywała dalej, a on smarował jej ranę gęstą maścią.

– Miałem siedmioro. Moi dwaj synowie zmarli jeszcze jako niemowlęta, na Cejlonie i Mauritiusie. Jedna z córek umarła podczas podróży powrotnej do Anglii. Teraz mam jeszcze cztery córki.

Florence pokręciła głową.

– Przykro mi. Nikt nie powinien oglądać śmierci swoich dzieci. To wbrew naturze. A mężczyzna potrzebuje syna. Każdy mężczyzna powinien mieć syna.

Sam wzruszył ramionami.

– Cóż mam zrobić? Taka była wola Boga.

Florence na krótką, bardzo krótką chwilę położyła rękę na jego dłoni.

Poczuł na skórze gorąco. Jakby dotknęła go rozpaloną zapałką, jego zaś ręka była stosem suchego chrustu. „Pewnie naprawdę coś w tym jest” – pomyślał.

– *Insha’Allah* – powiedziała i uśmiechnęła się ze smutkiem.

Sam skinął. Mówiła po arabsku, a wyglądała jak dziewczyna z Sussex. Cóż za nadzwyczajne stworzenie pojawiło się na jego drodze? Na drodze? Zawahał się na tę myśl. A może wszystko to dzieje się z jakiegoś niezrozumiałego dlań powodu?

– Jesteś głodna? – zapytał Florence, by zyskać na czasie.

Potrzebował czasu, by odzyskać równowagę. By uspokoić myśli i bicie swojego serca.

Zarzuciła na siebie jedną z jego koszul, a na kruchej,

szczupłej talii zapięła pasek podtrzymujący spodnie pożyczone od Duleepa Singha. Starał się nie patrzeć zbyt często w jej twarz.

Sytuacja, w jakiej się znalazł, była więcej niż kłopotliwa. Kupił

niewolnicę, a widok jej nadgarstka wywołuje w jego głowie

niezbyt godne myśli. Gdyby przyjaciele z klubu się o tym

dowiedzieli! Zabroniliby mu wstępu do baru, bez wątpienia! Nigdy więcej nie mógłby się pokazać w londyńskim towarzystwie. Za kogo mogłaby tam uchodzić? Za jego gospodynię? Jego *chère amie*, co oznaczało tyle co kochanka, ignorowana przez ludzi z towarzystwa. A może zostałaby jego żoną? Ciarki go przeszły na myśl o wyjaśnieniach, których musiałby wówczas udzielać. Nie, nigdy, nie ma mowy.

Florence przytaknęła.

– Jak wilk – roześmiała się.

Sam był zadowolony, że może wyjść z namiotu.

Wstał i odezwał się do niej:

– Usiądź tutaj. Poczekaj na mnie, przyniosę ci coś do

zjedzenia – wskazał jedno z rozkładanych krzeseł ustawionych koło płonącego w namiocie ogniska.

Zanim wyszedł, sięgnął

jeszcze po błam z lisich skór, który położył jej na kolana

sprawiające wrażenie, jakby chciały przebić sukno okrywających je spodni.

„Ależ ma kościste ciało” – pomyślał, jak by to było, gdyby

poczuł je pod swoim.

– Poczekaj – powtórzył, odganiając od siebie natrętą myśl.

Nie powinno do tego dojść. W Bukareszcie przekaże ją węgierskiej ambasadzie.

Florence się zaśmiała.

– Nie mam pojęcia, dokąd mogłabym pójść. Nie mam

powodu do ucieczki. Jak dotąd w każdym razie – dodała z lekkim uśmiechem.

Sam pomyślał chwilę, też się roześmiał i wyszedłszy na

zewnątrz, skierował się do ogniska. W okazałym kotle pyrkała potrawka z jagnięcego mięsa, kartofli i fasoli. Nałożył jedzenie na talerz, który trzymał w ręku. Kucharz odłamał kawałek

podpłomyka i Sam położył go na brzegu talerza.

Florence jadła. Łapczywie i ze skupioną uwagą. Sam usiadł

na krześle naprzeciwko niej. Prawie nie tknął swojego talerza.

Obserwował ją. Miała piękne zęby. Z upodobaniem przyglądał się, jak pochłaniała jedzenie. Co jeszcze pochłaniała? Było w niej coś pierwotnego. Zapatrzył się w płomień ogniska. Przypomniał mu się klub, dym cygar, fotele z ciemnej skóry, bar z karafkami napełnionymi ginem, porto i sherry. Pomruk rozmów, tłumione śmiechy, brzęk kryształów i szybki krok służących przechodzących z jednego pomieszczenia do drugiego. Pomyślał o lady Beatrice i sposobie, w jaki z przerażeniem zasłaniała wachlarzem oczy na dźwięk najdrobniejszej aluzji do czegokolwiek, co mogłoby nadać życiu sens.

Gdy podniósł głowę, jego oczy napotkały jej wzrok, tak jak
ręce, które raz splecione, nigdy więcej nie rozluźnią uścisku.

– Co mam teraz z sobą zrobić? – zapytał.

Florence odstawiła talerz i podniosła się. Nie słyszał jej

kroków, gdy do niego szła. Zamknął oczy i czekał. Polana się obsunęła i ogień zaczął strzelać.

– Chcę ci podziękować – powiedziała, stanąwszy przed nim.

– Ale znam tylko jeden sposób, w jaki umiem dziękować
mężczyźnie.

Jej oddech ucichł. Czekwała na niego.

Sam znów na nią spojrział. Ujął rękę, którą położyła mu na
piersi.

– Nie musisz tego robić – odezwał się cicho i pocałował
koniuszki jej palców.

– Ale chcę – odparła.

Stała teraz tak blisko niego, że czuł jej zapach. Świeże

powietrze dnia spędzonego w obozie, zmieszane z dymem ogniska, do którego służący ze względów higienicznych dorzucali ziarna kminku i świerkowe gałęzie.

Nie opierał się dłużej, gdy jej palce rozpinały guziki jego koszuli. Poczł jej usta na swoich. Kosztował

ich niczym

wygłodniały wilk. Co mówił nadzorca z targu? Cynamon z

kardamonem? Może jeszcze powiew pomarańczy? „To prawda” –

pomyślał, odwzajemniając pocałunek. Ujął ją w pasie i pociągnął

w kierunku skóry, która ześlizgnęła się z jej krzesła na podłogę.

Zsunął z jej ramion koszulę, a ona odrzuciła do tyłu ręce. Jej piersi odcinały się jasną plamą w półmroku wypełniającym namiot.

Ogień malował cienie na jej płaskim brzuchu. Usta Sama błędziły po jej szyi. Poczul, jak ciałem dziewczyny wstrząsnął dreszcz.

Westchnęła, a jego wargi powędrowały dalej ku pagórkom jej

piersi i przez chwilę ssały ich wierzchołki. Położyła ręce na jego plecach. Zaczęła go dotykać, badać jego ciało. Sam zsunął z niej spodnie. Jej udo się rozchyliło i założyła mu nogę na biodro.

Wprawnym ruchem rozsunął jej nogi. Bez wysiłku mógł teraz w nią wejść. Po kilku krótkich chwilach krzyknął i opadł na nią.

Wtulił twarz w jej włosy, wsłuchując się we własny oddech. Było mu dobrze, tak dobrze.

Później uniósł się i popatrzył na jej spokojną twarz.

– Nie jesteś dziewicą – usłyszał swój własny głos, w którym brzmiało zdziwienie.

Znów się uśmiechnęła. Ten ciepły uśmiech mu się podobał.

– Nie, chyba w to nie uwierzyłeś, prawda? – odpowiedziała i oparła głowę na łokciu.

Sam pokręcił głową i ponownie pocałował Florence.

Cynamon z kardamonem i nutką pomarańczy? Tak, z całą

pewnością to było to, doszedł do wniosku zadowolony z siebie. W

tej chwili panowie z klubu nic go nie obchodzili.

Leżeli jeszcze razem, gdy ogień się wypalił.

– Dokąd się teraz wybierasz? – spytała Florence. – Wracasz

do Anglii, do swoich dzieci?

Sam zwlekał z odpowiedzią.

– Jakby się dobrze zastanowić, to właściwie nigdzie nie

muszę jechać – odrzekł wreszcie.

Usiadła na posłaniu.

– Nie masz pracy? Rodziny, która na ciebie czeka?

Suchą gałęzią rozgrzebywała popiół i rozdmuchiwała żar.

Sam pokręcił głową.

– Mam rodzinny majątek. Moja siostra Min zajmuje się w

Londynie moimi dziećmi.

Florence się zamyśliła. Patrzyła w rozpalający się ogień.

– W takim razie dokąd chcesz pojechać? Przecież masz

wybór. Jesteś wolny – odparła.

Sam popatrzył na nią zdziwiony. Rzeczywiście miał wybór.

Był wolny. Zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi, szukał słów, ale ostatecznie one znalazły jego.

– Chcę pojechać do Afryki. Chcę poszukać źródła Nilu. I odnaleźć je – powiedział.

Tutaj, pośrodku niewielkiego namiotu zagubionego gdzieś na

Bałkanach, jego słowa zabrzmiały śmiesznie. Poczuł w sobie

wzbierającą gorycz. Czy Speke i Grant zakończyli już

przygotowania do ekspedycji? Może weszli już na statek.

Dotarłszy do Zanzibaru, powinni wynająć tragarzy i żołnierzy, negocjować cenę za muły i napęlić skrzynie suszonym mięsem, mąką, amunicją, chininą, solą, kawą, cukrem, ryżem, opium,

tkaninami i szklanymi paciorkami.

Florence przyglądała mu się w milczeniu.

„Znów ma ten spokojny wyraz twarzy – pomyślał Sam. – Jak

jezioro w świetle księżyca.

Czy cokolwiek na tym świecie może nią jeszcze wstrząsnąć?

Chociaż pewnie nie ma zielonego pojęcia, o czym mówię. Czy

kiedykolwiek słyszała o Nilu? Czy wie, że istnieje coś takiego jak Afryka?”

– A ty, dokąd chcesz pójść? Teraz też jesteś wolna – spytał, by ukryć swoją refleksję.

Miał wrażenie, że się zastanawiała, w myślach przedstawiała sobie słowo *wolność* na wszelkie możliwe sposoby. Później przejechała palcem po włosach na jego piersi.

– Pięknie to brzmi: źródło Nilu – powiedziała i znów

zamilkła.

Usłyszeli, jak na zewnątrz przed namiotem zmieniają się

strażnicy. Mężczyźni żartowali, aż w końcu jeden z nich głośno ziewnął. Na woskowanym płótnie widzieli jego przeciągający się cień, nim się oddalił w kierunku ogniska. Rozległ się krzyk sowy, później na ścianie namiotu zobaczyli zarys ptaka w locie. Florence przytuliła się do Sama. Czuł, jak jej oddech muska jego skórę.

– Jeżeli też jestem wolna, chcę jechać z tobą do Afryki. Na poszukiwanie źródła Nilu – usłyszał jej odpowiedź. Później znów zaczęli się całować.

Czy słońce było już kiedyś tak gorące jak tego roku? Saad

przysiadł na piętach w cieniu domu misjonarzy, zgodnie z tradycją miejscowych wieśniaków. Pozostałe dzieciaki położyły się,

korzystając z południowej sjeisty. Ale Saad przewracał się z boku na bok na swoim materacu. Cienkie prześcieradło kleiło się do jego skóry. Wreszcie doszedł do wniosku, że w materacu muszą być pchły.

Bez względu na to, jak się układał, cały czas go coś szczypało i gryzło. W końcu włożył swoją wyblakłą dżubbę,

wcisnął na głowę mały szydełkowy kapelusz, który chronił mu głowę przed promieniami słońca, i złożywszy szybki pokłon przed ukrzyżowanym Chrystusem, z prośbą o wybaczenie za kolejny

występek, wyslizgnął się do chłodnego, ciemnego korytarza domu misyjnego. Zbiegał schodami w dół, sprawdzając, po ile stopni naraz zdoła przeskoczyć na swoich chudych nogach. Po jakimś czasie i ta zabawa go znudziła.

Dom stał uśpiony w południowym żarze. Zdawało się, że

wszystko dookoła pogrążone jest we śnie. Na białych ścianach siedziały zmęczone muchy. Gałęzie wyschniętego krzewu

bugenwilli wystawały ponad mur okalający domostwo. Kiedy

nareszcie wzbiorą wody Nilu? Najwyższy czas, by rzeka

schłodziła i napoiła wyprażony kraj. Zdawało się, że całe miasto wibruje jak skóra zbyt mocno opięta na bębnie. Teraz lepiej było schodzić z drogi nawet cierpliwemu ojcu Lukasowi. A i ojca

Antona Saad wolał omijać szerokim łukiem, ostatnimi czasy mnich był bowiem wyjątkowo niezadowolony.

Saad patrzył na pień uschniętej żakarandy rosnącej na

dzieńcu. To drzewo jest jak wielbłąd wśród roślin, pomyślał, tak mało potrzebuje wody.

„Ciekawe, czy trafiłbym w nie kamieniem?” – zastanowił się.

Wygrzebał z kurzu kilka rzecznych kamyków i rozpoczął małe

zawody z samym sobą. Trafiony! Jeszcze raz. Trafiony! Zacisnął z satysfakcją pięści.

W tym momencie doszły go głosy. Dobiegały z jadalni

sąsiadującej z klasą lekcyjną. Kto jeszcze nie spał? Na pewno ojciec Lukas i ojciec Anton.

Przekradł się w dół korytarza i ukucnął tuż pod otworem

okiennym pomieszczenia.

Ojciec Anton chyba pił, bo powiedział:

– O tej porze roku nawet woda ma smak pyłu. Kiedy

wreszcie spadnie deszcz? Kiedy Nil w końcu wyleje? Zwariuję tutaj!

– Nie grzesz, bracie – napomniał go ojciec Lukas, a ojciec

Anton wymruczał coś niezrozumiałego. Dopiero później

odpowiedział:

– Popełniłem grzech przeciwko własnemu jestestwu,

przyjeżdżając tutaj! Nigdzie nie ma drugiego takiego miejsca, które byłoby bardziej opuszczone przez Boga, nigdzie nie ma gorszych ludzi. Zepsuci do gruntu, wszyscy, co do jednego.

– Jeśli tak uważasz, to nakaz przeniesienia do Saint Croix

będzie dla ciebie raczej ulgą – odpowiedział ojciec Lukas.

Przeniesienie? Saad nastawił uszu. Misjonarze chcieli się

przeprowadzić?

– Nakaz przeniesienia? Chyba miałeś na myśli: wyrok

śmierci. Chciałbym wiedzieć, co takiego uczyniliśmy naszym

braciom w Linzu, że postanowili nas wysłać do Gondokoro. Bo czymże innym jest misja w Saint Croix, jak nie samym

Gondokoro? Nikt, słyszysz, nikt nie przeżył tam dłużej niż sześć miesięcy.

– Może my będziemy mieli więcej szczęścia. Niechaj Bóg

czuwa nad naszym losem – odparł ojciec Lukas.

– Niech Bóg zaopatrzy nas w chininę i da nam ostrzejsze

noże od tych, którymi posługują się Murzyni w buszu, do tego lepsze strzelby i więcej amunicji niż mają handlarze niewolników.

Gondokoro! Równie dobrze mógłbym się zaraz sam powiesić! –

wykrzyknął ojciec Anton.

– Znów grzeszysz. Chodź, pomodlimy się i poprosimy Boga

o wybaczenie za twe błędy – zachęcał ojciec Lukas.

Nogi krzesel zaszurały po kamiennej posadzce

pomieszczenia. Saad usłyszał jeszcze, jak mnich wstając, dodaje:

– Nie będzie tak źle. Do wyjazdu do Gondokoro mamy

jeszcze kilka miesięcy. W tej sytuacji powinniśmy się cieszyć, że rzeka nie wzbiera zbyt szybko.

– A co się stanie z chłopcami? – zapytał ojciec Anton. –

Mamy ich zabrać do Gondokoro? Są tak samo głupi jak leniwi i kradną wszystko, co nie jest solidnie przymocowane. Gondokoro stanowiłoby dla nich zasłużoną karę.

Ojciec Lukas zdawał się wahać. Później Saad usłyszał, jak

ściska głos.

– W liście nie było żadnych wskazówek dotyczących

chłopców – rzekł.

Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni milczeli. Później ojciec Lukas znów się odezwał:

– Daliśmy im wychowanie. Większość z nich jest starsza od

uliczników, których widuję w Chartumie. Teraz sami będą musieli o siebie zadbać.

Ojciec Anton się roześmiał.

– Nareszcie jakaś mądra decyzja.

Saad usłyszał, jak za mężczyznami zamknęły się drzwi

jadalni. Chwilę nasłuchiwał, aż się upewnił, że obaj weszli do kaplicy. Później opadł przy ścianie na kolana i ukrył w dłoniach twarz. Gondokoro! Równie dobrze można było wysłać człowieka do piekła.

Osada leżała wśród bagien, pięćdziesiąt dni wędrówki w górę Nilu. Jeśli kogoś nie zabije gorączka i malaria, to tubylcy z tamtejszych plemion poderzną mu gardło albo zakatrupi go w

bójce jakiś pijany handlarz niewolników.

Saad zapatrzył się w drgające od upału południowe

powietrze. Co to dla niego oznaczało? Misjonarze zamierzali zostawić chłopców samym sobie, tutaj, w Chartumie. Niech Bóg ich za to pokarze!

Ojciec Lukas powiedział, że mają jeszcze kilka miesięcy.

Dobrze. Do tej pory Saad musi znaleźć jakieś rozwiązanie. Nagle mury misji wydały mu się błogim, bezpiecznym schronieniem.

Trzy razy dziennie dawano mu posiłek, a on zdążył już

przywyknąć do dziwnych potraw, które bracia kazali gotować

swojemu kucharzowi. Gulasz z żyłastego mięsa osła, a do tego rozdrobnione słodkie kartofle, strucla ze słonego chartumskiego masła i kwaśnego twarogu z mleka tutejszych chudych kóz, które musiano niemal siłą wyciskać z ich suchych wymion. Saad nauczył

się czytać, pisać i mówić po niemiecku. „Chyba tylko austriacki Bóg wie, do czego mogłoby mi się to przydać” – pomyślał.

Podniósł się z przysiadu na piętach. W pozycji stojącej

gorąco było jeszcze bardziej dotkliwie. Niedługo na nowo rozpęta się piekło. Saad znów uciekał. Czy kiedykolwiek w życiu uda mu się znaleźć spokój? W Darfurze pasł kozy, gdy porwał go pewien handlarz niewolników. Wsadził go do worka i przewiesił przez garb swojego wielbłąda. Saad w życiu nie doświadczył większej niewygody niż podczas owej trwającej wiele dni podróży do Kairu, gdzie miał

zostać sprzedany wojsku jako dobosz. Nocą na pustyni marzył w swojej cienkiej koszuli, a za dnia, przykryty workiem, piekł się niczym podpłomyk na ogniu. Okazało się, że dla wojska był za niski. Nim handlarz zdążył się zastanowić, co zrobi w swojej wściekłości na bezużyteczność chłopaka, Saad wziął

nogi za pas. Któregoś dnia dzieciaki z ulicy opowiedziały mu o domu misjonarzy w Kairze. Po

zamknięciu misji razem z innymi

chłopcami wysłano go do Chartumu, w górę Nilu.

Niedługo będzie musiał sobie szukać nowego domu.

„Wielkie rzeczy – pomyślał Saad. – Przynajmniej znów przeżyję jakąś przygodę. Wielu ludzi nie ma żadnych przygód”. Saad otarł

oczy. Nie chciał iść na lekcję zapłakany. Tego jeszcze brakowało.

Południowe słońce wypełniało wewnętrzny dziedziniec ostrym, pozbawionym życia światłem.

Rozdział 4

Florence rozejrzała się po pokoju hotelu stojącego nieopodal portu w Konstantynopolu. Wokół panował błogi nieład. Z

otwartych skrzyń i waliz wystawały wierzchnie okrycia, koszule, kurtki, kamizelki i spodnie, które kazała uszyć. W środku leżały kapelusze ze słomy lub filcu oraz sztywne nakrycia głowy, które Sam nazywał

hełmami tropikalnymi. Obok nich starannie złożone kolorowe jedwabne pończochy różnej grubości, rękawiczki uszyte z białej irchy lub z luźno tkanego lnu, wzmocnione skórą po wewnętrznej stronie dłoni.

W pokoju piętrzyły się bele

niefarbowanej bawełny i zrolowane skóry. Obok skrzyń na

podłodze z nierównych desek stały pootwierane paczki, na których widniały nazwy ważniejszych domów towarowych w mieście.

Nawet szerokie łóżko znikło pod suknią niespotykanych

rozmiarów. Uszyta na miarę krynolina zajmowała cały materac.

Gaza spodnich halek była rozpięta na wąskiej metalowej obręczy, która sterczała w górę jak koło wozu.

Była tak puszysta, że przywodziła na myśl deser, który Sam dał jej któregoś wieczoru do spróbowania.

Beza ze śmietaną.

Jak mieli to zabrać z sobą do Afryki? „Czy to wszystko

będzie nam potrzebne? – zastanawiała się Florence. – Ale kto wie, czego naprawdę potrzebujemy? Sam wielokrotnie czytał

sprawozdania pierwszych angielskich podróżników i na ich

podstawie podejmował decyzje”.

Florence ponownie spojrzała na łóżko. Ujęła czubkami

palców skraj krynoliny. Jak w tej niedorzecznej sukni miałyby wsiąść na konia, a może nawet na wielbłąda, czy choćby na wóz zaprzężony w woły? W domu Sulejmana do jazdy wierzchem

wkładała szerokie spodnie i buty z cholewami sięgającymi kolan.

Ale sporządzając listę niezbędnych przedmiotów, Sam uparł się przy tym zakupie. Kazał jej iść na bazar i u krawca dysponującego zachodnimi wykrojami zamówić krynolinę.

– Cóż za dziwaczne ubranie! Ciekawe, jak się w czymś takim

kochacie? – spytała go rano ze śmiechem, prezentując krynolinę.

Lecz Sam nie odpowiedział jej na pytanie, tylko zadowolony

położył się na kilimie okrywającym łóżko.

– Pięknie w niej wyglądasz. Jak przyzwoita dama.

– Chciałeś powiedzieć, że jeśli nie mogę być przyzwoitą

kobietą, to przynajmniej powinnam na taką wyglądać?

Przy każdym ruchu sztywny materiał krynoliny wydawał

szeleszczące odgłosy, domagając się uwagi, a ciasno

zasnurowany gorset ledwo pozwalał jej oddychać. Nic dziwnego, że żony Anglików wciąż mdlały!

Sam zdjął buty i podciągnął kolana.

– Daj spokój, Florence, nie mogę się z tobą ożenić, dobrze o tym wiesz. Jak miałbym wytłumaczyć rodzinie, kim jesteś? Co będzie, jeśli zapytają, gdzie się spotkaliśmy? Musisz pozostać moją tajemnicą na całe życie – powiedział.

– Tylko żartowałam – odparła. – Nie powinieneś się ze mną

żenić. Nie chcę wychodzić za męża. Nigdy. Chcę tylko być wolna przez całe życie. Wolna z tobą.

To mówiąc, popchnęła go lekko, aż upadł do tyłu na łóżko, w sam środek strzepniętych przez służącą poduszek. Opadła na niego i udało jej się przywołać na twarz uśmiech. Pocałował ją i

zręcznymi palcami zaczął rozwiązywać gorset, a później ściągnął

jej przez głowę tę usztywnioną fiszbinami, a mimo to aksamitnie miękką część garderoby.

Poprzez ich wznoszące się i opadające oddechy Florence

usłyszała zbliżające się po schodach kroki, które następnie znieruchomiały w otwartych drzwiach i

oddaliły się na widok ciasno splecionych ciał.

– Widzisz, w krynolinie i gorsecie też się można kochać –

uśmiechnął się Sam przed wyjściem po ostatnie sprawunki przed podróżą.

– Niech ci będzie – powiedziała do zamkniętych drzwi i

zabrała się do prostowania pogiętej obręczy spódnicy. Może

jednak drut okaże się kiedyś przydatny. Na przykład jako pułapka na ryby? W Nilu na pewno jest dużo ryb. Nil. Bezwiednie

pomyślała o Alim. „Ali, zobaczę, czy uda mi się wyłowić z Nilu twoje serce – obiecała w duchu czarnoskóremu mężczyźnie. – Nie możesz zobaczyć swojego domu, ale ja zrobię to dla ciebie. Plemię Dinków w Sudanie, nad brzegiem Nilu”.

Z tą myślą wygrzebała się ze stosu zmiętego batystu

spiętrzonego wokół jej talii. Następnie wyjęła ze skrzyni kaftan z niebieskiej bawełny i parę spodni.

Kołnierz, pasek i brzegi obu części garderoby były starannie wyszywane złotą nicią. Florence włożyła je na siebie z westchnieniem zadowolenia.

„Sam może w każdej chwili wrócić ze swej samotnej

wycieczki do portu” – pomyślała Florence. W Anglii zamówił u swego brata Valentina dodatkową baterię strzelb, do tego dwieście pięćdziesiąt funtów czarnego prochu, pasy pełne amunicji oraz skrzynię wyładowaną materiałami opatrunkowymi, czystym

alkoholem, opium, przeróżnymi maściami i cenną chininą, którą można leczyć malarię. Za pośrednictwem egipskiego banku w

Aleksandrii rodzina postawiła do jego dyspozycji nieograniczone środki.

– Jestem zamożny, ale Nil sięga i moich granic możliwości –

zauważył.

Florence podeszła do okna wychodzącego na wąską drogę

prowadzącą na nabrzeże, za którym rozciągał się niczym

nieograniczony widok na Bosfor. Otworzyła okiennice z

ażurowego drewna i wyjrzała na zewnątrz. Jasne światło dnia poprawiło jej nastrój. Po łuku nieba wiatr pędził nad Bosfor strzępy chmur. Barki na wodzie ustawiły się pod wiatr, by

bezpiecznie dowieźć swe towary do portu. Widziała marynarzy siłujących się z żaglami. Płótno łopotało,

gdy je ściągałi. Mewy wlatywały wysoko, by później lotem nurkującym zanurzyć się w szare fale. Po chwili wynurzały się z piany z małymi błyszczącymi rybami w dziobach. Florence zaczerpnęła do płuc świeżego

powietrza, słonego od zapachu konstantynopolskiego portu. Mokre drewno łodzi, sól wytrącająca się na rozłożonych do wyschnięcia żagliach i sterty rybich odpadów schnących w promieniach słońca na nabrzeżu, uczała dla okolicznych kotów.

A jak pachniała Afryka? Zastanawiała się nad tym,

wychylając się przez okno. Nie potrafiła sobie jej wyobrazić. Sam pokazywał jej zdjęcia zrobione przez Speke'a podczas jego

pierwszej podróży. Stąd wziął się głód Sama, pragnienie, by to zobaczyć na własne oczy. Nieprzeparta potrzeba, by zostać

odkrywcą źródeł Nilu. Ale czy była to jedynie jego potrzeba, jego pragnienie?

Wróciła myślami do dwóch ostatnich lat. Nie było dnia ani

wieczoru, w którym nie padłoby owo magiczne słowo: Afryka.

Dnia ani wieczoru, w którym przynajmniej raz nie wspomnieliby Speke'a i jego towarzysza Granta.

Gdzie oni teraz byli?

Królewskie Towarzystwo Geograficzne nie miało od nich żadnych wieści, odkąd w Zanzibarze zeszli ze statku na stały afrykański ląd.

Czy nadal żyli? Podczas swojej poprzedniej podróży przed

siedmioma laty Speke odniósł jedenaście kłutych ran w walce z tubylcami. Sam chciał wyjechać im naprzeciw i pomóc, na ile tylko się da. Był to jego najważniejszy obowiązek jako Anglika.

Taką misję powierzyło mu Królewskie Towarzystwo Geograficzne.

Niemniej jednak, gdyby *Speke* poniósł klęskę, miałby wolną drogę.

Wówczas oboje mogliby odnaleźć źródło Nilu!

Florence usłyszała głosy i śmiechy, które zbliżały się do

hotelu drogą z nabrzeża.

Odwróciła głowę i zobaczyła Sama zmierzającego długimi

krokami w kierunku domu. Sam i sposób, w jaki przy każdym

kroku kołysał całym swoim dużym ciałem. Na zatłoczonym

bazarze, pośrodku zgiełku wokół świeżo przybyłego statku, czy też w którymś z przepełnionych pomieszczeń podczas przyjęcia u

brytyjskiego ambasadora Florence potrafiła rozpoznać go z daleka po ruchach.

„Teraz jest we mnie coś takiego, co pozwala mi wyczuć go o

wiele wcześniej, niż zobaczą go moje oczy” – pomyślała,

rozkoszując się głębią swego uczucia. Głębią, na którą w

dotychczasowym życiu nigdy nie mogła sobie pozwolić. Owa

głębia sprawiła, że stała się zależna i łatwo można było ją zranić, głębia, której dna nie sięgnęłaby żadna kotwica, głębia, w której z łatwością mogłaby się utopić, gdyby Sam postanowił kiedyś

pożegłować bez niej. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Popatrzyła na wody Bosforu. Niebo zaciągnęło się

chmurami, a wodę pokryła jakaś nieokreślona ołowiana poświata.

Nie dało się przewidzieć, czy popołudnie przyniesie z sobą

jeszcze sztorm.

Gdy tylko nauczyła się jego języka dostatecznie dobrze, by z mowy ciała, pożądaną, a w końcu także miłości, i kiepskiego niemieckiego móc przejść na angielski, oznajmiła mu:

– Wszystko zawdzięczam jedynie tobie.

Położył palec na jej ustach i odpowiedział:

– Pewnego dnia to ja tobie będę wszystko zawdzięczał.

Florence obserwowała, jak Sam, idąc, ogania się przed

kilkoma handlarzami. W końcu zaczął biec. Pod pachą niósł jakieś długie ciemne rury. Gdy znalazł się bliżej, dostrzegła, że były to skórzane pokrowce. Musiały zawierać mapy tych obszarów Afryki, które do tej pory zostały rozpoznane. Sir Roderick Murchison z Królewskiego Towarzystwa Geograficznego kazał

w tym

względnie długo na siebie czekać, ale nareszcie dotarły,

przywiezione przez ostatnią angielską fregatę.

Florence zobaczyła, jak Sam skręcił do drzwi zajazdu i znikł

jej z pola widzenia. Zamknęła okno i przeglądając się w

zastępującej lustro tarczy z wypolerowanego mosiądzu, wiszącej na ścianie między kilimami, poprawiała swój długi warkocz.

Uszczygnęła się w policzki, poślinionym palcem wyrównała brwi.

Wyglądała świeżo. Jej oczy błyszczały prawie gorączkowym blaskiem.

– Mam je, nareszcie, nareszcie! – wykrzyknął Sam za jej

plecami, a w jego głosie wyraźnie słychać było triumf. – Ten stary cap Murchison kazał w końcu skopiować mapy i przysłał mi je.

Nawet nie chcę wiedzieć, ile mój brat musiał za nie zapłacić temu zakurzonemu safandule – oznajmił. –

Ale Murchison pamiętał

oczywiście, by mi przypomnieć o celu podróży. Po przybiciu do Chartumu mam udzielić Speke’owi pomocy. Tylko pomocy, nic

poza tym, Baker! Bęc!

Podszedł do Florence stojącej obok niskiego łóża. Obojętnym ruchem zgarnął z posłania krynolinę, która wciąż jeszcze tam leżała.

Florence powstrzymała śmiech. Owo żałośnie kosztowne ubranie nie pożyje długo w podróży, to więcej niż pewne.

Sam dłubał przy zapięciach skórzanych rulonów i zaklął, gdy te nie chciały się natychmiast otworzyć.

– Pozwól mi pomóc. Jeszcze podrzesz mapy z emocji, że wreszcie je dostałeś – powiedziała, wyjmując z jego ręki pokrowiec.

Usiadł posłusznie na łóżku, objął rękami kolana, splatając przy tym nawet palce, jakby chciał się przymusić do spokoju.

– Przynajmniej ty potrafisz zachować zimną krew – pochwalił ją. – To może nam kiedyś uratować życie.

– *Insha’Allah* – odparła kpiąco, rozwijając pierwszą mapę.

Sam wstał i położył rękę na jej ramieniu. Wskazującym

palcem przesunął po nitce Nilu. Florence czuła na policzku jego oddech, gdy do niej mówił.

– Tutaj, musimy popłynąć w dół Nilu, pierwsza katarakta,

druga katarakta, przez Egipt i Abisynię. Dalej rozciąga się pierwszorzędna kraina słoni, tu, na dole. –

Zatoczył palcem nieokreślony krąg na białej plamie mapy. – A potem dalej... –

Powiodł palcem po papierze jeszcze bardziej w dół, ale Florence weszła mu w słowo.

– Później do Chartumu, gdzie zamieszkamy w domu twojego

przyjaciela, konsula Pethericka.

Sam zmarszczył czoło.

– Mam nadzieję, że Petherick jeszcze tam będzie, gdy

dotrzemy do Chartumu. Zdaje się, że Królewskie Towarzystwo

Geograficzne poleciło mu, by czekał na Speke’a i Granta w

Gondokoro, z łodziami, tragarzami i żywnością. Może się zdarzyć, że się z nim miniemy. Może powodzenie ekspedycji Speke’a leży teraz w rękach Pethericka – zastanawiał się. – W Chartumie jego żona dotrzyma ci towarzystwa.

Florence obojętnie skinęła głową. Sam stanowił dla niej

najlepsze towarzystwo na świecie.

Teraz Sam przesunął palcem po trasie z Chartumu na

południe, wzdłuż rzeki z niezliczonymi mylnymi rozgałęzieniami.

W górę Nilu, do miejsca, w którym gdzieś w głębi lądu rysunek się urywał. W pewnym punkcie bieg rzeki przepadał w nicości, gdzieś tam znajdował się jego zagadkowy początek. Poza granicami handlu i podbojów.

Florence ciągnęła swą myśl:

– Z Chartumu popłyniemy do Gondokoro, pięćdziesiąt dni

żeglugi po Białym Nilu. Stamtąd wyruszymy dalej, do krainy, w której żaden biały człowiek nie postawił

dotąd stopy. Tam, gdzie znajdziemy źródło Nilu. Sam, będziesz nieśmiertelny.

Sam odwrócił ją do siebie. Miał poważną minę.

– O ile przedsięwzięcie Speke’a i Granta spaliło na panewce, do diaska. W przeciwnym razie biały człowiek już tam był i ktoś inny odkrył źródło wielkiej rzeki. Wtedy może się okazać, że wszystko, co

robimy, nie miało sensu – wskazał ręką na chaos panujący w pokoju – ja zaś będę zrujnowany. Zupełnie zrujnowany.

Przyciągnął ją do siebie, a następnie odsunął na długość ramienia i mówił dalej:

– Zastanów się, Florence. Czy naprawdę chcesz ze mną

jechać? Co będzie, jeśli umrę? Jeśli mnie zdradzą, okradną i zabiją? A jeżeli zdechnę na malarię, jak pies? Jeśli jakiś bawół

rozerwie mnie na strzępy albo słoń zdepta? Co się stanie, jeżeli znów wpadniesz w ręce handlarzy niewolników? Nie mogą

zobaczyć twojego piętna. To nie jest miejsce dla kobiety.

Przy tych słowach jego palce wślizgnęły się pod szeroki

rękaw okrywający skórę nad jej nagim ramieniem. Dotknął

miejsca, w którym zagoiło się piętno, tworząc niewielką, czystą bliznę. Poczuła na skórze dreszcz.

Okazało się, że nie dało się uciec od przeszłości, nieważne gdzie była. Tutaj, w

Konstantynopolu, codziennie spotykała niewolników. Robili

zakupy dla swoich panów, dźwigali towary albo szli prowadzeni w długim pochodzie na kolejną licytację. Florence oglądała twarze wszystkich niewolnic. Może była wśród nich Bezen? Przyglądała się eunuchom towarzyszącym lektykom, w których siedziały

kobiety. Może któryś z nich to Ali? Może Sulejman sprzedał i jego? Sulejman. Obawiała się, że któregoś dnia go spotka, a jednocześnie pragnęła, żeby tak się stało.

Chciała mu pokazać, do czego doszła. Była człowiekiem i

miała wolny wybór.

– Gdzie ty, tam i ja – odpowiedziała Samowi prosto,

słowami, które przeczytał jej kiedyś z Biblii. Wieczorem, po polowaniu nad jeziorem Sapanca, w drugą rocznicę ich spotkania w Widyniu, siedzieli w małym szałasie i nie mieli pod ręką żadnej innej lektury, więc Sam czytał jej fragmenty z zaczytanego

egzemplarza Starego Testamentu. Ich bliskość była doskonała.

Pokręcił głową.

– Nie, posłuchaj mnie. Jeśli zechcesz, przepiszę ci pewną

sumę pieniędzy. Przyzwoitą sumę. Darzę cię większym uczuciem niż większość mężczyzn swoje żony i chcę, byś była szczęśliwa.

Florence, zastanów się, proszę! Beze mnie też możesz być wolna, zamożna i bezpieczna. Nie musisz jechać ze mną do Afryki. Masz wybór. Możesz być wolna.

Przekonywał ją, a jednocześnie coraz mocniej zamykał w ramionach. Jakby w obawie, że naprawdę mogłaby zechcieć pozostać w Stambule. Jakby nie miała wyboru.

– Ciii – szepnęła, całując go jeszcze i jeszcze. – Nie chcę nic więcej słyszeć. Jestem wolna.

– Nie, tam będziesz ode mnie uzależniona. Beze mnie

będziesz tam martwa.

– Dlatego jestem wolna – ucięła krótko i pocałowała go. –

Mogę wybierać. I dokonałam wyboru. Czyż może istnieć większa wolność?

Kolejny raz ją pocałował.

– A co się stanie, jeśli będziesz musiała urodzić dziecko?

Livingstone’owi umarł tam mały synek, kilka dni po porodzie.

Jego żona się uparła, by jechać z nim do Egiptu. Taka cena byłaby dla mnie zbyt wysoka. Wiem, co to znaczy stracić dziecko.

Florence pokręciła głową.

– Nie będę miała dzieci. Doktor Sulejmana o to zadbał.

Wiem, że mężczyzna potrzebuje syna. Lecz nigdy nie będę mogła ci go dać.

Spuściła głowę i poczuła, że jej milczenie wywarło na nim

odpowiednie wrażenie.

Sam przyciągnął ją z powrotem do siebie.

– Co za głupiec ze mnie. Czego jeszcze się obawiasz?

Głaskał jej czoło i włosy.

– Niczego – roześmiała się Florence. – Poza myślą, że

miałabym jechać konno albo na wielbłądzie ubrana w krynolinę.

Sam sięgnął po swój filcowy, nieco już zdeformowany

kapelusz. Włożył go na głowę, poprawił rondo i pokręcił głową.

– Krynolina i gorset to obowiązkowe wyposażenie, Florence

– oznajmił, szykując się do wyjścia. – Pójdę teraz kupić bilet na najbliższy rejs do Aleksandrii.

Ujął jej rękę, ucałował ją, a następnie się wyprostował.

– Zaczyna się. Nareszcie się zaczyna.

Klasnął w dłonie i wyszedł.

Florence słyszała, jak schodzi po schodach, pogwizdując jak młody chłopiec. Nie знаła tej melodii.

– Tak, kochanie – powiedziała łagodnie i odczekała, aż jego kroki zupełnie ucichły. Wtedy podeszła do jednej ze skrzyń.

Wyjmowała z niej spodnie, koszule i kamizelki z niefarbowanej bawełny i układała je w stosach na łóżku.

Ponownie pochyliła się nad skrzynią. Na samym dnie, ukryte

pośród innych paczek pełnych niezapisanych jeszcze, oprawionych w skórę dzienników, okładki z jej paszportem, który Sam załatwił

w Bukareszcie u swojego przyjaciela, konsula Colquhorna,

obsadek do piór, kałamarzy, chronometru i kompasu, niezbędnych do przeżycia, dwóch strzelb w futerałach, których Florence starała się nie dotykać, leżało kilka par spodni w dużo mniejszym rozmiarze i dwie proste koszule, jedna z krótkim, druga z długim rękawem i guzikami z masy perłowej.

Florence wyjęła jedną z nich. Materiał był nowy i sztywny.

Do szycia musiała użyć niezwykle ostrej igły. Ostrzejszej od wszystkich afrykańskich cierni, przynajmniej taką miała nadzieję.

Rozłożyła koszulę i przyłożyła ją do siebie, podobnie jak czyniła to wielokrotnie w ciągu minionych nocy, kiedy kończyła ostatnie szwy. Gdy Sam leżał na niskim łożu, śpiąc po miłosnych

uniesieniach, beztrąsko śnił o Nilu. Będzie musiała się nim opiekować, swoim dużym, silnym, czasami zbyt pewnym siebie

Samem.

W ręku czuła chłodny materiał. Wszystko leżało jak ulał. W

tym ubraniu przypominała chłopaka. Sam dopiero się zdziwi!

Egipt został za nimi i wkrótce miał nadejść wielki deszcz.

– Od tej pory żeglujemy na własną rękę w nieznanne –

powiedział Sam do Florence, gdy mijali rosnące na brzegu rzeki palmy daktylowe. – Albo odkryjemy źródło Nilu i przywitają nas jak bohaterów...

– Albo? – przerwała mu. Z przybrzeżnego sitowia poderwała

się szara czapla. Na falach zostawianych przez ich łódź dryfował

lotos.

– Albo poniesiemy klęskę i umrzemy. Wówczas wszyscy

bardzo szybko o nas zapomną – rzucił szybko.

Skinęła głową. Gdzie on, tam chciała być i ona.

– Musimy się zatrzymać. Trzeba przeczekać deszcz –

postanowił Sam gdzieś między Asuanem a Chartumem. Rozbili

obozowisko na polanie niedaleko rzeki, nieco powyżej wioski.

Florence patrzyła, jak cienkie strużki dymu unoszą się w niebo ku ostatnim promieniom dziennego światła. Sam wyszedł na ląd przed nią, żeby pokazać swoim tureckim żołnierzom, gdzie mają

rozstawić ich namiot, a właściwie szałas. Później mieli jeszcze ustawić dwa szałaszy dla pozostałych członków ekspedycji i ich niewolników. Sam długo się wzbraniał przed zakupem

niewolników. Jednakże ludzie okazali się nieugięci. Jeśli nie kupi niewolników, to i załogi nie będzie miał.

Florence stała na pokładzie „Diahbiah”, statku z wygodną

kabiną, którym żeglowali w górę rzeki. W Kairze wicekról

zaopatrzył ich w przepustkę, tak zwany *firman*. Gdy Sam dostał

wreszcie papier do ręki, zaokrętowali kucharza. Florence jeszcze nigdy w życiu nie miała takich perturbacji żołądkowych.

Wszystko, co ten człowiek ugotował, przyprawiało ją o biegunkę.

Przyczyna mogła tkwić w składnikach albo w jego niechęci do wyciągania z zupy much, które raz do niej wpadły. Dodatkowo Sam zatrudnił jeszcze jednego człowieka imieniem Ali, który zaoferował się w roli tłumacza. Teraz postępował ostrożnie za Florence, mruczając pod nosem wyuczone na pamięć angielskie zdania.

– To są piramidy. Największą piramidę zbudował król

Cheops. To jest Sfinks. Ma głowę mężczyzny i ciało lwa...

Florence z trudem stłumiła śmiech. Jako tłumacz mężczyzna

był całkowicie bezużyteczny, oprócz bowiem tych kilku

wyuczonych zdań, mówił wyłącznie po arabsku. Mimo to bez

ociągania z własnej inicjatywy wyszukiwał sobie zajęcia, w

których mógł być pomocny, co wśród tubylców stanowiło nader rzadką zaletę.

Ali rzucił cumę „Diahbiah” w kierunku jakiegoś mężczyzny

z wioski, który czekał na brzegu. Florence zobaczyła, jak tamten zapierał się nogami w przybrzeżnym mule, całym ciężarem ciała napierając na łódź. Był zupełnie nagi, podobnie jak dwudziestu innych ludzi, którzy z wyciem zbiegali właśnie ze skarpy, by wśród śmiechów i nawoływań rzucić się w wody Nilu.

Florence rozpoznała ich język. Oromo. W Widyniu nauczyła się kilku słów.

Oromowie sprzedawali handlarzom niewolników swoje dzieci i

uważali to za absolutnie oczywiste, podobnie jak ludy na

wschodzie Europy. Pierwszy mężczyzna wynurzył się ze słonawej wody i beztrósco się otrzepał. W

powietrzu zaśniły perłowe krople, a jego ciemna skóra połyskiwała wilgocią.

Florence przymknęła na chwilę oczy. Była w Afryce. Płynęła

wzdłuż Nilu. Odkąd opuścili Kair i luksusowy hotel Shepheard, czas spędzany na rzece płynął leniwie, przechodząc z godzin w dni i tygodnie, a w końcu w cały rok. Taras hotelu był w całości zajęty przez

damy ubrane w krynoliny, zasznurowane pod samą brodę

gorsety i niewielkie woalki zasłaniające twarz. Obok nich siedzieli mężczyźni, którzy energicznie

gestykulując, opowiadali niskim głosem o przygodach w Dolinie Królów.

Wspomnienie odeszło tak samo szybko, jak po przebudzeniu,

wraz z promieniami słońca zwiastującego nadchodzący dzień,

odpływają nocne koszmary.

Florence wciągnęła głęboko wieczorne powietrze i szczelniej owinęła chustą ramiona. Jej oswojona małpka imieniem Wallady wczepiła się małą łapką we frędzle szala, po czym zaczęła się bujać, piszcząc ze szczęścia. Florence się roześmiała i wyjrzała za reling. Przez wiele dni w ciernistych zaroślach na brzegach Nilu widywali jedynie wieśniaków, zwanych fellachami, osły i kozy. Mężczyźni i chłopcy pilnujący kóz nosili długie koszule z

bawelny sięgające im do kostek. Inne dzieci biegały nago po brzegu, a dostrzegłszy

Florence na pokładzie łodzi, wołały i śmiały się. Kobiety

pracowały na polach. Florence widziała ich pochylone plecy i chusty, w których przywiązywały do siebie małe dzieci. Rzadko unosiły głowy, gdy Sam i Florence mijali je na swojej tchnącej spokojem

„Diahbiah”. Przypuszczała, że faraonowie podróżowali podobnie i tak samo się czuli. Małpka Wallady usiadła obok niej na relingu i kłapnęła zębami. Florence popatrzyła w jej małą, mądrą twarzyczkę i pocałowała ją w czoło, na którym biała sierść przechodziła w ciemniejszy wzór. Wallady kwęknął cicho.

„Diahbiah” unosiła się spokojnie na gładkiej powierzchni

szerokiej rzeki. Woda wydawała się gęsta i leniwa, żaden

hipopotam nie wynurzał grzbietu z fal. Jedyne sitowie szumiało w miejscach, gdzie pluskały się czaple, a mniejsze ryby pławiły się w wirach przy dziobie łodzi. Florence zamruła kilka razy oczami, jakby chciała się przekonać, czy po takiej dawce słońca,

wzmocnionego odbiciem połyskującej tafli wody, i porywistym wietrze egipskiej pustyni, samumie, nadal mogła ufać własnym oczom. Samum, który nawet teraz, wieczorem, czuła na skórze, był

zdradliwy. Wysysał z ciała wszelkie płyny.

Od września do maja nie spadła tu nawet rosa.

Ali uporał się już z mocowaniem cum. Nadzy mężczyźni

wyszli na brzeg i podskakiwali w sitowiu. Wyglądali jak ryczące żaby i robili tyle samo radosnego hałasu. Z gaju palm daktylowych poderwała się gromada gołębi i odleciała w kierunku płonącego nieba.

Perliczki biegały żwawo po płaskich partiach brzegu, niczym kobiety idące płukać pranie. Późnym wieczorem przyjdą jeszcze gazele do wodopoju. W tym momencie Florence dostrzegła Sama, który ze strzelbą zarzuconą na ramię wyłaniał się z

wysokiego nadbrzeżnego sitowia. W jednej ręce trzymał *korbacz*, pejcz ze skóry hipopotama, a drugą rozgarniał zarośla, robiąc sobie przejście.

– Pani Baker? Pani pałac jest gotowy – zawołał, składając

przed nią ukłon.

„Pani Baker? Przed Bogiem tak, chociaż nie przed ludźmi” –

pomyślała.

Roześmiała się i po wąskiej desce zeszła na ląd. Ledwo

postawiła nogi na bagnistej skarpie, a już otoczyła ją chmara dzieciaków.

Skąd się tutaj tak szybko wzięły? Wydawało się, że

wyskoczyły spod ziemi. Bóg jeden wie, jak szybko roznosiły się w buszu wszelkie wieści! Dzieci również były gołe. Na widok

Florence ich twarze roześmiały się szeroko. Czuła, jak ją dotykały, i widziała, jak pokazywały sobie jej niebieskie oczy. Początkowo nieśmiało, a później coraz śmielej pociągały za jej ubranie.

Znów śmiechy.

Mała rączka wślizgnęła się w jej dłoń. Spojrzała w dół. Jakaś dziewczynka przytuliła się do niej. Sięgała Florence zaledwie do bioder. Oczy miała duże i czarne jak palone ziarna kawy. Mała klepała się w piersi. Jej wystające żebra odpowiadały głuchym echem.

– Fadeedah. Fadeedah – powiedziała do Florence, lekko sepleniąc.

Ile mogła mieć lat? „Niewiele mniej niż ja miałam, gdy przywieźli mnie do Sulejmana i Ali zсадził mnie z konia” – pomyślała.

– Florence – odpowiedziała dziewczynce.

Uśmiechnęła się i pochyliwszy się do przodu, pocałowała

dziecko w policzek. Na wargach poczuła gładziutką skórę, niemal tak gładką jak błyszczące owoce palm, które się później suszyło i zmielone na mąkę gotowało na papkę, w smaku odrobinę przypominającą imbir. Florence wciągnęła w nozdrza zapach

dziecka. Ziemia oczekująca na wielki deszcz, popiół zmieszany z tłuszczem dla ochrony przed moskitami i dym z paleniska w chacie.

– Florence – powtórzyła.

– Flonce, Flonce! – próbując wymówić jej imię, dzieciaki

jeszcze bardziej zaczęły się śmiać. Podskakiwały w osobliwym, tajemniczym rytmie. Odprowadzani przez ów chór Florence i Sam ruszyli na brzeg do swoich namiotów. Gdy doszli na wyżej

położoną skarpe, Sam ujął ją pod rękę i wskazał trzy szałas, które mieli przed sobą. Ściany wyplecione z bambusa oraz słomiany dach dawały się szybko rozłożyć i spakować.

– Proszę bardzo, rozejrzyj się! Rezydencja składa się z

wejściowego holu, jadalni i salonu, buduaru dla damy, biblioteki dla pana domu, pokoju śniadaniowego, sypialni oraz przebieralni, przeznaczonej na naszą okazałą garderobę – objaśnił.

– Nie jest zbyt duża, jak na wszystko, co ma w sobie

pomieścić – odparła Florence.

Sam się roześmiał.

– To największa zaleta tego domu. Wszystko skupia się na

powierzchni o średnicy niecałych pięciu metrów. Nie trzeba daleko chodzić.

Otoczył ją ramieniem.

– Chodź, jedzenie gotowe. Mam wrażenie, że kucharz

przygotował dla nas potrawkę z krokodyla.

– Potrawkę z krokodyla? – powtórzyła Florence.

Sama myśl o takiej kolacji przyprawiła ją o ból żołądka.

– Potrawka z krokodyla. Podobno wzmacnia męskość – rzekł

w odpowiedzi.

„Niech będzie” – pomyślała i poszła za Samem na polanę,

gdzie kucharz z obojętną miną mieszał chochlą w szarej brei. Na czole miał krople potu. Florence nachyliła się nad garnkiem i w nos uderzył ją okropny zapach. Pyrkająca lura cuchnęła gorzej niż maść siarkowa, którą eunuch Ali smarował wieczorem swoją ranę.

Kucharz wyszczerzył do niej zęby i długą łychę zamieszał w kotle.

Na powierzchnię wypłynęło mięso. Florence dostrzegła wystającą ze środka łapę krokodyla. Z łuski, która zdawała się stara jak świat, skapywała ciecz, pazury zaś przybrały szarą barwę. Cofnęła się.

– Dziś wieczorem proszę mi podać sam chleb – odezwała się

cicho.

Florence nie mogła zrobić kroku na polanie ani na skarpie

bez towarzystwa Fadeedah. Dziewczynka chodziła za nią wytrwale trop w trop, okazując milczące przywiązanie. Wieczorem

pomagała jej zdjąć kapelusz z szerokim rondem i rozpleść włosy.

Przyglądała się, jak Florence kazała szyć grządki i rabatki.

Jeśli mieli tutaj przeczekać deszcz, to chciała przynajmniej mieć ładny ogród i dobre zaopatrzenie.

Fadeedah i Florence wspólnie wyłożyły ściany szałasu woskowanym płótnem, mającym uchronić jego mieszkańców przed karaluchami i innym robactwem

przychodzącym wraz z deszczem. Mapy Murchisona, nasiona,

lekarstwa i przybory krawieckie Florence wisiały w małych

siatkach pod sufitem, by nie dostały się do nich mrówki. Nawet mrukliwy kucharz tolerował obecność dziewczynki, albowiem ta lepiej od innych kobiet potrafiła za pomocą kamienia zemleć ziarno na grubą mąkę zwaną *durra*. Mieszanie mąki z wodą i wypiekanie z niej niezakwaszanego chleba należało do kobiet.

Fadeedah każdego ranka przychodziła pod namiot i siadała przy Florence, gdy ta cerowała koszule albo porządkowała odznaczenia Sama. Początkowo siedziała w milczeniu z rękoma splecionymi na swych małych kolankach, później zaczęła cicho śpiewać piosenki Oromów. Florence podnosiła wtedy głowę i uśmiechała się do

Fadeedah. Nie chciała myśleć o tym, co w przyszłości mogło

spotkać dziewczynkę. Ojciec mógłby ją sprzedać jako niewolnicę, żeby spłacić zaciągnięte długi albo zebrać wiano dla innej córki. W

przyszłości? Całkiem niedługo. Dziewczęta podobne do Fadeedah sprzedawano już w wieku dziesięciu lat jako kobiety. Kobiety?

Nie, niewolnice. Florence nie chciała o tym myśleć.

Tymczasem pewnego ranka, gdy Sam razem z arabskimi

myśliwymi *aggageers* z plemienia Hamran wyruszył pieszo polować na słonie, Fadeedah nie przyszła do jej szałasu.

Florence czekała. Później wstała i podeszła do drzwi.

Ośloniwszy dłonią oczy, popatrzyła w kierunku wioski i brzegów Nilu.

Fadeedah nie było nigdzie widać.

Florence czekała dalej.

Dzień był bezwietrzny. Duszne powietrze ścisnęło gardło

niczym obręcz. Jak wszyscy w wiosce, ona też wypatrywała

deszczu, który nie chciał nadejść. Osowiałe muchy siedziały na bambusowych ścianach chaty jak czarna zasłona, unoszona przez najlżejszy podmuch wiatru. Siewka, zwana przez miejscowych

zaklinaczem deszczu, przez cały dzień zwoływała chmury. Jej nieustannie powtarzający się głos mógł

doprowadzić człowieka do szaleństwa. Nil przypominał zupę fasolową; woda opadła bardzo nisko i zaczynała śmierdzieć stęchlizną. Co krok widać było wystające mielizny, na których krokodyle czyhały na lekkomyślne albo zdesperowane z pragnienia ofiary.

Florence jeszcze raz popatrzyła w kierunku położonego niżej kraalu, gdzie w chatach mieszkało plemię Fadeedah. Czas płynął

powoli. Tego dnia nigdzie nie było widać żadnego mężczyzny.

Zapewne wyruszyli z krowami na suchy brzeg rzeki w

poszukiwaniu ostatnich źdźbeł trawy, pozostawionych przez

samum. Ale dlaczego zostawili wioskę bez ochrony? Widziała, jak kobiety wciąż wchodzą i wychodzą z drzwi jednej z chat. Przy wejściu do tego niskiego kolistego domostwa, położonego

pośrodku osady, kucą kilka starszych dziewcząt. Klaskały w dłonie i śpiewały piosenki, kiwając się w rytm melodii. W

przerwach śmiały się i rozmawiały z sobą, aż w końcu

niespodziewanie zamilkły, jakby się po cichu umówiły.

Wpatrywały się w czerwony pył pod swoimi nogami albo drapały się po łydkach.

Florence zmarszczyła czoło. Jakaś zmowa? Może Fadeedah

była chora? Nigdzie jej nie widziała.

Później zauważyła, że dwie kobiety zatrzymały się po drodze do chaty i wskazywały w jej kierunku.

Zdawało się, że się

naradzały. Jedna z nich skinęła głową, a druga ruszyła w górę skarpy, na której stała Florence.

Gdy kobieta podeszła bliżej, Florence rozpoznała w niej

matkę Fadeedah.

Szybko wytarła chustką wilgotne czoło i przywołała Alego.

W ciągu ostatnich tygodni Sam zmusił go do uczenia się języka oromo.

Kobieta stanęła przed Florence i zaczęła mówić. Była naga.

Miała na sobie jedynie pas z luźno splecionych skórzanych

postronków i sznury niebieskich pereł wokół szyi. Płatki jej uszu były pozbawione ozdób, ale widoczne

w nich dziury sprawiały, że zwieszały się prawie do ramion. Obwisłe piersi zwisały na brzuch, po którego bokach wystawały żebra. Skórę miała spierzchniętą i wysuszoną jak ziemia pod stopami. Kobieta była zespolona ze swoim światem. Mówiła, nie patrząc na Florence. Jej oczy ślizgały się po upiornym niebie, jakby czegoś szukając.

Ali zrobił markotną minę.

Florence poczuła narastającą niechęć. Przynajmniej raz

mógłby się do czegoś przydać. Może Fadeedah potrzebowała

pomocy?

Kobieta mówiła dalej, spokojnie i dostojnie. Zdawało się, że jej przemowa zawiera tyle samo pauz co słów. W końcu

niespodziewanie zamilkła i założyła ciemne, pomarszczone ręce na piersi. Prawdopodobnie czekała na odpowiedź.

Florence spojrzała na Alego, który wreszcie się odezwał.

– Wielki zaszczyt, *sitt* – powiedział, używając arabskiej formuły grzecznościowej, oznaczającej „panią”.

– Dla Fadeedah nadszedł dzień wielkiej ceremonii. Jej matka chce, byś przy tym była. Masz z nią pójść.

– Wielka ceremonia? Co to jest? – zapytała Florence.

Ali podniósł ręce w obronnym geście.

– To nie moje zadanie, by ci to tłumaczyć, *sitt*. To kobieca sprawa. Idź z matką Fadeedah. To wielki zaszczyt zostać

zaproszonym na ten wielki dzień w życiu dziewczyny!

Florence skinęła kobiecie głową.

– Dobrze, powiedz jej, że muszę tylko włożyć świeżą

koszulę.

Kilka minut później szła za kobietą w dół zbocza.

Wallady’ego zostawiła z Alim. Nadąsana małpka usiadła mu na ramieniu i natychmiast wypożyczyła sobie czerwoną czapkę

Alego, po czym zaczęła stroić miny. Jeszcze przed wyjściem z obozu do uszu Florence doszły utyskiwania służącego.

Wciągnęła powietrze. W ostatnich dniach nie czuła się

najlepiej. Najbardziej błahy powód doprowadzał ją do płaczu, a do tego nie mogła zatrzymać w żołądku jedzenia. Może to gorączka, o której wszyscy opowiadali? Choroba, która początkowo

wyostrzała wszystkie zmysły aż do bólu, by później wprawić w ośpienie spowodowane cierpieniem.

Zerwał się lekki wiatr, niosąc z sobą do wioski zgniły smród rzeki. Siewka jeszcze głośniejsze krzyczała w kierunku wznoszącego się południowego słońca. Niebo było białe jak czysta, lśniąca kopuła.

Florence wciąż nie widziała ani jednej chmury.

Co się stanie, jeśli w tym roku deszczu nie będzie?

„Diahbiah”, którą Florence dostrzegła w oddali, utknęła w błocie na mieliźnie. Kto wie, jak długo będą musieli tu zostać,

rozmyślała. Przetarła dłonią czoło. Jej palce były wilgotne.

Matka Fadeedah szła przed Florence, ani razu się na nią nie obejrzała. Jej białe stopy zostawiały ślady w szlamowatym

podłożu. Musiała się spieszyć, by dotrzymać kobiecie kroku. W

końcu dotarli do kraalu i do chaty położonej w samym jego

środku.

Kobieta zdążyła już podnieść sukno zasłaniające wejście.

Nad niskim, ciemnym otworem, przez który wpełzało się do chaty, wisiała kredowobiała głowa kozy, wysuszona na słońcu.

Florence przypomniała sobie, że tutaj mieszkała mędrzyni

plemienia.

Matka Fadeedah zwróciła się do niej. Mlasnęła językiem i

uczyniła zapraszający gest w kierunku wnętrza chaty. Florence posłuchała. Zgięła się i zniknęła w niskim wejściu domostwa.

Mimo południowego upału na środku chaty dymił się ogień,

do którego mędrzyni musiała dodać ziół. Gryzący zapach mieszał

się z wyziewami wielu nieumytych kobiecych ciał. Dym zaparł

Florence dech w piersi. Poczwała, jak ze wszystkich porów popłynął

jej pot. Ale nie miała odwagi się poruszyć ani nawet otrzeć czoła.

Co tu się dzieje? Naraz uzmysłowiła sobie, jak bardzo jest

osamotniona. Odchrząknęła. W chacie panował mrok, a jej oczy bardzo wolno przyzwyczajały się do ciemności. We wnętrzu ciasno obok siebie siedziały kobiety i dziewczęta. Co najmniej dziewięć albo dziesięć z nich skupiło się w kręgu.

W kręgu wokół Fadeedah.

Florence zobaczyła ją leżącą na ziemi. Nagie ciało

dziewczynki było szeroko rozpostarte. Jej płaska pierś prawie się nie poruszała. Klęczące wokół kobiety głąskały jej członki, uśmiechając się i wypowiadając jakieś ciche słowa.

Fadeedah przez krótką chwilę patrzyła na Florence, ale

zdawała się jej nie rozpoznawać. W oczach miała jakiś dziwny, narkotyczny blask, jej wzrok trafiał w pustkę. Florence dostrzegła, że zielarka klęcząca przy głowie Fadeedah wstała i podniosła rękę.

Później się odwróciła, jakby czegoś szukając.

Na ten znak z gardeł kobiet wydobył się ochryply śpiew,

początkowo cichy, później coraz głośniejszy i głośniejszy. Ich dłonie, które jeszcze przed chwilą pieściły i masowały ciało Fadeedah, w jednej chwili przemieniły się w więzy. Z całej siły przyciskały dziecko do ziemi.

Matka Fadeedah przysiadła w kucki przed córką, złączyła jej stopy i rozsunęła kolana dziewczynki.

Florence zrobiło się słabo. Dlaczego było jej tak gorąco? Z

powodu ognia, którego dym coraz bardziej się zagęszczał? Skądś dobiegł natarczywy dźwięk bębna, który zagłuszył nawet

nawoływania siewki.

Fadeedah wyprężyła się i zaczęła krzyczeć.

Śpiew kołyszących się kobiet stawał się coraz głośniejszy,

stopniowo przechodząc w skowyt.

Ich ręce nie puszczały Fadeedah, wręcz przeciwnie.

Wyciągnięte dłonie przypominały imadła. Florence zauważyła, że zielarka znów pochyliła się nad dziewczynką. W jej ręku błysnęło ostrze noża.

Rozdział 5

Saad zobaczył, że do misji Austriaków szybkim krokiem

zbliża się Amabile del Bono. Miał na sobie gładką, wyprasowaną koszulę zielonobłękitnego koloru, ufarbowaną w herbacie i soku ze strąków akacji. Na pewno dopiero co ją wyprasowano. Zwykle wystarczyło zrobienie kilku kroków w upalnych promieniach

słońca Chartumu, by najmocniej wykrochmalony materiał stał się wilgotny i wiotki.

Saad zawsze się dziwił, że Europejczycy tak szybko

przestawali nad sobą panować. W bezkresnym niebie nad miastem tkwiło coś, co sprawiało, że gubili jakkolwiek styl i coraz rzadziej zaglądali do łaźni albo jeszcze przed zachodem słońca wypijali ładnych kilka szklaneczek swojego piekielnego alkoholu. Ale nie del Bono. Widać było, że Maltańczyk rano się kąpał. Twarz jak zwykle miał gładko wygoloną, a niemal czarne włosy, delikatnymi falami spadające mu na ramiona, błyszcząły w świetle słońca. Do świeżej koszuli włożył spodnie ze skóry gazeli, znane w całym Chartumie. Widoczne na nich plamy krwi stanowiły jego trofea z polowań na niewolników. Dla ochrony przed piekącym upałem

zsunął kapelusz głęboko na czoło i ukrył oczy w cieniu jego ronda.

Mimo to Saad z łatwością potrafił sobie wyobrazić spojrzenie pokrytych żółtymi plamkami brązowych źrenic. Przypominały

stoczoną przez robaki gujawę.

Saad przywarł do ściany w zagłębieniu bramy, gdzie do tej

pory grał w cieniu muru w bao. Z pośpiechu zapomniawszy nawet

podnieść pionki do gry, za które drogo zapłacił na targu. Wszystkie inne dzieci wrzucały do dołków błyszczące pestki baobabu, ale Saad znalazł u pewnego handlarza z południa kulki z kości

słoniowej i drewna hebanowego. Ogromnie mu się spodobała

symetria bieli i czerni, toteż zawsze nosił je przy sobie w niewielkim woreczku. Pionki do gry były jego jedynym skarbem.

W samą porę schował się w małej niszy, w której zazwyczaj

siedział strażnik. Strażnik, który dawno dał drapakę, bo mnisi nie płacili mu żołdu. Piasek chrzęścił pod podeszwami butów del Bona, zrobionych specjalnie na jego zamówienie z krokodyljej skóry. Mówiono, że na okoliczność wesela del Bona z córką

George'a Thibauda, handlarz najpierw rzucił krokodylowi na

pożarcie dwie młode niewolnice, a później na rauszu zastrzelił

zwierzaka. Podobno na wpół strawione ciała kobiet wciąż tkwiły w gardle zwierzęcia.

Tego typu historie szybko się rozchodziły po Chartumie,

Amabile potrafił o to zadbać.

„Ciekawe, co na to żona del Bona?” – zastanawiał się Saad.

Ale któż mógłby zrozumieć białe kobiety? Były jeszcze bardziej zagadkowe od białych mężczyzn.

Maltańczyk minął łuk bramy i nucąc pod nosem jakąś

piosenkę, wkroczył na dziedziniec misji. Saad słyszał jego niski głos, doskonale trafiający w każdą nutę.

Jednocześnie uderzał

szpicrutą w cholewę buta, wybijając rytm. Teraz chłopak usłyszał

jeszcze chrzęst swoich pionków pod butem del Bona. Jeden czy dwa musiały pęknąć. Saad zakrył uszy rękami i zamknął oczy.

Del Bono zaklął.

„Oj, Allahu, ratuj – pomyślał chłopak. – Spraw, by Amabile

del Bono zniknął z mego życia. Niech nadejdzie deszcz, niech piorun trafi Amabile i pozostawi jego ciało czarne i wysuszone jak akacjowe drzewo. Spraw, żeby rozdeptał go rozjuszony słoń, by z jego kości został tylko proch. Spraw, żeby jego łódź się

przedziurawiła i żeby utonął. Spraw, by zdechł na malarię. Spraw, by wojownik z plemienia Bari trafił go zatrutą strzałą”.

Lecz Allah miał najwidoczniej na głowie ważniejsze sprawy

niż karanie Amabile del Bona. Gdy Saad otworzył oczy, zobaczył, jak ojciec Lukas, ojciec Anton i del Bono wymieniają powitalne uściski i klepią się po plecach. Mnisi w zniszczonych i

poplamionych habitach, z zaniedbanymi, trochę posiwiałymi

włosami wyglądali przy del Bonie jak mole obok barwnego

motyla.

Saad chyba nie dość szybko wycofał się w cień muru, bo

ojciec Lukas machnął do niego, a później dłonią przysłonił oczy od słońca. Pod pachą mnicha chłopak zauważył wilgotne plamy potu.

Czy ojciec Lukas cierpiał wyłącznie z powodu upału?

– Saad! Wy bezużyteczni, leniwi Murzyni! Tylko batem

można was skłonić do pracy, bo mózgi macie w tyłkach. Przynieś z kuchni zimną wodę i trzy szklanki.

Czyste szklanki, rozumiesz?

Żebyś znów nie przyniósł tych oblepionych, jakby psi z nich pijali.

Będziemy w jadalni. Pospiesz się nygusie! – zawołał ojciec Lukas.

Amabile del Bono roześmiał się i przeciągnął. Błysnęły jego białe zęby.

Saad skinął głową i ruszył przez dziedziniec, by spełnić

rozkaz. Jednocześnie czuł, jak Amabile del Bono zmrużonymi

oczami bacznie obserwował każdy jego ruch. A może Maltańczyk tylko mrugał, oślepiiony przez słońce?

Saad się spocił. Mógł istnieć tylko jeden powód, dla którego Amabile przyszedł do mnichów. I tylko jeden jedyny powód, dla którego witali go z otwartymi ramionami. W grę wchodził interes. Mnisi zamierzali sobie

osłodzić pożegnanie z Chartumem.

Było mu niedobrze ze strachu.

W jaki sposób mógłby uniknąć fatalnego losu?

Gdy otworzył drzwi do jadalni, ojciec Anton, ojciec Lukas i Amabile del Bono zdążyli już dojść do porozumienia. Saad

ostrożnie postawił na stole tacę z karafką wody, w której pływało kilka plasterków limonki w towarzystwie dwóch martwych much, oraz trzy szklanki, pospiesznie przepłukane pod pompą w kuchni.

Mimo to na brzegach szklanek zauważył ślady, które miał zamiar jeszcze szybko zetrzeć skrajem swojej dżubby.

Teraz naczynia stały tuż obok woreczka ze złotymi

monetami, który Amabile przesunął po stole w kierunku mnichów.

Ale Maltańczyk nie zdjął jeszcze dłoni z sakiewki.

– Cieszę się, że tak szybko doszliśmy do porozumienia.

Życzę wam radości z tego złota. Chociaż w Gondokoro nie

będziecie mogli go wydać. Chyba że na kobiety i rum. Dam wam dobrą radę: kupcie sobie strzelby i chininę, może wtedy uda wam się przeżyć trzy, a nie dwa tygodnie, jak to z reguły w tamtych stronach bywa.

Roześmiał się z własnego dowcipu, a ojciec Lukas i ojciec

Anton spojrzeli na siebie w milczeniu. Od dawna przestali

narzekać na swój los i przeprowadzkę do Gondokoro. Ojciec

Lukas wydobyl spomiedzy fałd habitu butelkę z przejrzystym

płynem. Wyglądał jak woda, ale po odkorkowaniu butelki w

pomieszczeniu rozszedł się ostry zapach alkoholu pędzonego z owoców.

Amabile uniósł nos i jeszcze raz się roześmiał. Dołki w

policzkach nadawały mu jakiś chłopięcy wygląd. Odsunął do tyłu krzesło i wstał.

Saad wciągnął powietrze. Amabile roztaczał wokół siebie

przyjemną woń olejku migdałowego i sandałowca.

– Kiedy mogę przysłać po dzieci? – zapytał, sięgając po

kapelusz wiszący na oparciu krzesła.

– Odjeżdżamy za sześć tygodni. Wtedy staną się twoją

własnością, Amabile – odparł ojciec Lukas. – Niech Bóg zlituje się nad nami i nad ich biednymi duszami

– dodał cicho.

– Amen – skwitował Amabile, wyszczerzył zęby i podsunął

mnichom woreczek ze złotem.

Ojciec Lukas położył kilka monet na rozłożonej dłoni i zabrał

się do liczenia.

Amabile odwrócił się do Saada i poklepał go po policzku.

Chłopak chciał się do niego uśmiechnąć, ale naraz Amabile

złapał go tak mocno za włosy, że Saad krzyknął. Zdawało się, że mężczyzna chce go oskalpować.

Amabile potrząsnął nim kilka

razy jak lew swoją zdobyczą. Chłopcu łzy napłynęły do oczu.

– Ty mały szcurze. Jak jeszcze raz podasz mi wodę z

pływającą muchą, każę cię powiesić za nogi, aż pęknie ci głowa i sępy się tobą pożywią.

Puścił chłopaka i pchnął do tyłu jego czoło. Saad upadł na

ziemię, trzymając się za głowę, która go piekła z bólu. Nie chciał

się rozplakać, nie przed Amabile del Bonem.

Amabile wytarł rękę o nogawkę spodni, włożył kapelusz,

głęboko odetchnął i jego twarz na nowo przybrała zwykłą brązową barwę. Jego oczy błyszczały w słumionym świetle pomieszczenia, w którym mnisi nigdy nie pozwalali otworzyć okiennic. Roześmiał

się i skinął do nich.

– W Gondokoro podczas tych niewielu dni, które wam

jeszcze zostały, będziecie się mogli zabawić z kobietami z

plemienia Bari. Są tak ostre jak mój nóż! Cycki niczym melony i półdupki, na których można by grać jak na bębnie.

Mnisi nic nie odparli. Ojciec Lukas nalał sobie ze swojej

butelki. Opróżnił ją do ostatniej kropelki i wyglądał na coraz bardziej smutnego. Ojciec Anton wstał, by odprowadzić go do drzwi.

Amabile pokręcił głową.

– Powiedz, jak wy wytrzymujecie bez kobiet?

Jego pytanie nie doczekało się odpowiedzi.

Saad wciąż trzymał się za obolałą głowę. Ojciec Lukas

jednym haustem wypił zawartość szklanki i też wstał. Trzej

mężczyźni opuścili pomieszczenie. Żaden z nich nie spojrzał na Saada. Chłopak słyszał, jak ich głosy odbijane od wysokiego stropu, cichną w głębi korytarza. Nadal leżał skulony na podłodze.

Po nogach stołu wspinał się już w kierunku szklanek sznur

czerwonych mrówek. Odsunął się od nich. Zawsze wyszukiwały

sobie najcieplejsze miejsce na ciele ofiary, a ich ukąszenia goiły się dopiero po wielu dniach. W belkach nad jego głową trzaskały termyty. Popatrzył w górę i napotkał obojętne spojrzenie gekona, płasko przyklejonego do sufitu. Podniósł się powoli i zaczął

ustawiać na tacy szklanki, żeby je odnieść do kuchni. Dopiero po drodze zaczął płakać.

Deszcz przyszedł w noc wielkiej ceremonii Fadeedah.

Pierwsze krople spadały beztrąsko na zakurzoną ziemię niby

przelotne pocałunki, kładąc kres długim dniom ciągnącej się w nieskończoność suszy. Wśród odgłosów bębniącej wody wszystko budziło się do życia. W miejscach, gdzie dotychczas niczego nie było, rozkwitły teraz kwiaty i krzewy. Codziennie wykluwały się niezliczone ilości moskitów i much tse-tse, atakujących każdy skrawek nieosłoniętej skóry. W akacjach siedziały myszołowy, jastrzębie, bociany, gęsiówki egipskie, dudki i niebieskie sterlingi, a z ich błyszczących piór skapywał deszcz. Na przeciwległym brzegu do rzeki podchodziły słonie, bawoły, żyrafy i gazele.

Zwierzęta piły. Obok hipopotamów wynurzały się z wody grzbiety słoni. Czaple złotawe wznosiły się w powietrze, nie zważając na spadające z nieba masy deszczu. Wszystko tryskało życiem i

plodnością. Wszyscy zostali napojeni i nikt nie był już spragniony.

– To brzmi jak muzyka, Florence, muzyka! – powiedział

Sam, słysząc pierwsze spadające krople. – Posłuchaj, tak,

posłuchaj! Prawdziwa partytura. Händel, Mozart, Beethoven!

Florence widziała, jak wyskoczył z łóżka, odrzucając na bok wilgotne od potu prześcieradła, i nagi jak go pan Bóg stworzył, duży, potężny i umięśniony, wybiegł przed chatę. Poszła za nim nieco wolniej.

Najpierw owinęła się prześcieradłem, ale później odrzuciła je z powrotem na łóżko. Nie miała nic do ukrycia.

Odsunęła plandekę przysłaniającą wejście i poczuła na ciele silny napór wody, jeszcze bardziej bezlitosnej niż wcześniejsze

promienie słońca. Chciała się cofnąć, ale zauważyła Sama,

nagiego, stojącego tam, osłoniętego welonem ze strug deszczu.

Rozpostarł ramiona jak Chrystus na krzyżu, tańczył w kółko na ziemi, która z czerwonego kurzu przemieniła się w

krwawoczerwoną maź. Przechylił głowę do tyłu, szeroko otworzył

usta. Łykał wodę i gulgocząc, płukał nią gardło. Śpiewał, krzyczał, potem odwrócił się do Florence, potknął się i upadł. Leżał

pośrodku błotnego bajora i opadłszy z sił, śmiał się i rozkoszował

życiem przyniesionym przez wodę, wchłaniającym wszystko

dookoła.

– Chodź, Florence, chodź! – zawołał.

Nie słyszała, co mówił, raczej domyśliła się słów z ruchu

jego warg. Spojrzała w niebo ciemne od chmur. Chmur tworzących na firmamencie górskie masywy, wąwozy i doliny,

wypuszczających z siebie nieskończone potoki deszczu. W końcu oderwała się od framugi i poszła do Sama. Między nagimi palcami stóp czuła przepływające błoto, czuła, jak opryskuje jej łydki.

Krople deszczu były początkowo małe jak jajeczka rybiej ikry.

Gdy doszła do Sama, stały się większe. Przypominały jej perły.

Sam chwycił ją za kolana i pociągnął do siebie w błoto. Krople deszczu urosły do rozmiarów krzemieni spadających na nich z niemiłosiernym impetem. Później już nic nie czuła. Sam przycisnął

ją do ziemi i przykrył jej wargi swoimi ustami, a jej ciało swoim.

– Żyjemy, Florence. Żyjemy – usłyszała jego szept, gdy w

nią wszedł, poruszając się w rytm deszczu, powoli, później coraz szybciej i szybciej. Woda spływała jej po głowie, włosach, na plecy, jej skóra płonęła schładzana letnim szlamem. Sam

przycisnął jej rękę nad głową i leżał na niej, w niej, z nią, z każdą częścią jej ciała, z każdym skrawkiem skóry, z każdą częścią jej życia. Uniósł jej uda i zarzucił je sobie na biodra. Była napięta niczym struna instrumentu. Wreszcie ostatni raz mocno się w niej poruszył, gwałtownie i namiętnie, z całej siły, którą zatrzymała w sobie i schowała na późniejsze czasy. Odrzucił głowę do tyłu i krzyknął w ciemne niebo, wykrzykując pragnienie i triumf.

Opadł na nią i razem zespolili się z oddychającą, pojąca się ziemią wokół nich. Usłyszała śmiech Sama.

Śmiech, śmiech,

śmiech, aż wreszcie znów udało mu się podnieść głowę.

– Żyjemy, Florence, żyjemy – powtórzył, a później spokojnie ułożył głowę na jej ramieniu.

Florence pocałowała jego włosy i poczuła sól jego

namiętności, rozpuszczoną w słodkim zapachu deszczu. Chciała przytaknąć, ale nie dała rady. Ich akt miłości, a właściwie życia, wydawał jej się prawie nierzeczywisty po tym, co zobaczyła w chacie Fadeedah. „Mam gorączkę. Gorączka znów wróciła” –

pomyślała.

Sam stał w wejściu do chaty, a deszcz całkowicie przesłaniał

mu widoczność. W ręku trzymał filiżankę letniej herbaty, w której pływało kilka zdechłych much.

Popatrzył bez entuzjazmu na

lurowaty napój. Zaprzestał napominania Alego, by wyławiał

owady z płynów, odkąd zauważył, jak kucharz tą samą łyżką

wyjmował muchy z nocnika i starannie wynosił je z chaty. Sam ujął filiżankę w obie dłonie. Płynące z niej ciepło działało kojąco.

W strugach wody nie widział nawet białych kamieni, którymi

Florence kazała wyłożyć ścieżki pomiędzy chatami w ich obozie.

Gdzieś tam dalej były też grządki, na których chciała hodować warzywa i owoce. Woda dawno wymyła nasiona. Istniały dwie

możliwości: albo ten kraj został wybrany przez Boga, albo przez niego wyklęty, doszedł do wniosku. Nie było mowy o

jakiegokolwiek harmonii.

„Bez różnicy, czy stoję przed chatą czy w środku” –

pomyślał. Z framugi spadały kaskady deszczu, jak z wodospadu.

Woda zbierała się u jego stóp, po czym taranując starannie

wykopane, wąskie rowy ściekowe, wpływała do środka chaty. Do tego deszcz bez przeszkód spływał do wnętrza poprzez warstwy słomy pokrywającej dach.

Odwrócił się do Florence. Chciał spytać, jak się czuje, ale zrezygnował i tylko jej się przyglądał.

Próbowała właśnie wyżąć kilka mokrych prześcieradeł

leżących na ich łóżkach. Wallady siedział obok niej na materacu i naśladował ruchy swojej pani.

Florence przegoniła go, machając w jego kierunku wilgotnym materiałem. Na jej nagich opalonych ramionach naprężyły się mięśnie. Nie uśmiechnęła się, jak to zwykle robiła.

Sam wypił łyk płynu i się skrzywił. Herbata miała paskudny

smak.

„To gorączka” – pomyślała Florence, rozkładając na łóżku

pościel. Choroba zaczęła się tego dnia, w którym Sam wrócił z polowania. Gdy podwójnie, a nawet potrójnie wyostrzonymi

zmysłami widziała Fadeedah i jej delikatne ciało przytrzymywane rękami innych kobiet. Skóra ją swędziała, kolory stały się o wiele bardziej jaskrawe, zapachy ostro wnikały w jej nozdrza, rażąc zmysły stępione przez Afrykę. Później poczuła, jak jej żołądek się skręca, boleśnie się wywraca, a potem ściska i kurczy. Jej ciało było rozpalone, pękało, jakby jakaś olbrzymia pięść najpierw nią potrzęsnęła, a później cisnęła o ziemię. Pragnęła już zawsze tak leżeć bez ruchu.

Sam znalazł ją na posłaniu. Ból nie pozwalał jej spokojnie

leżeć. Wołała imiona, których nigdy nie słyszał. Cofała się przed ludźmi, których widziała wyłącznie jej chora głowa. Sam trzymał

ją w objęciach, chronił. Przytrzymał jej rękę, gdy paznokciami chciała mu wydrapać oczy. Przemawiał do niej szeptem.

– Maja ma się dobrze. Wszystko w porządku. Sulejman

odszedł. Odszedł, rozumiesz?

Wciąż ją całował, wszędzie, ale jego pieszczoty nie

wywołały żadnego odzewu. Czuła go, lecz nie mogła udzielić

odpowiedzi. Była uwięziona w sobie samej, w swojej głowie,

wewnątrz swego ciała.

Wreszcie obiema rękami przycisnął ją do łóżka, żeby móc ją

opatrzyć. Tłumacz Ali klęczał obok niego, Florence wiedziała o tym, bo na zmianę próbował wsączyć jej do ust zupę i chininę.

Sam spytał Alego, co wydarzyło się tamtego dnia w chacie w

osadzie, ale ten ponuro wzruszył ramionami i udawał, że nic nie zrozumiał.

Dopiero później Florence opowiedziała Samowi o

wszystkim. O nożu, który raz za razem nacinał skórę między

udami Fadeedah. O słabości, która ją ogarnęła, o zapachu i smaku krwi, wnikającym w nią wszystkimi porami ciała i przenikającym jej oddech. O bólu, który przeczuwała, gorszym od wszystkiego, co kiedykolwiek uczynił jej Sulejman i jego przyjaciele, do których zaliczał się samozwańczy doktor. Ów głośny krzyk,

powtarzający się echem w jej głowie. Krzyk Fadeedah. Załamanie jej głosu, w którym nie było nic ludzkiego. Do tego ręce

przyciskające Fadeedah do ziemi. I matka, która tak potwornie zdradziła własne dziecko.

Dwa tygodnie później dziewczynka wciąż leżała w chacie.

Jej oczy były wielkie i milczące, pełne pytań, na które nikt nigdy nie udzielił jej odpowiedzi. Florence dowiedziała się od Alego, że Fadeedah miała związane razem duże palce u stóp i kolana, żeby jej rana wygoiła się zgodnie ze starą tradycją, pozostawiając po sobie otwór wielkości ziarna fasoli. Stara mędrzyni wyjaśniła mu, że w przyszłości, gdy dziewczyna wyjdzie za mąż, zostanie

ponownie rozcięta, ale tylko trochę, dokładnie tyle, by udowodnić mężowi, że była dziewicą. Kolejne cięcie możliwe było dopiero przy porodzie. Później Fadeedah miała zostać kolejny raz zaszyta, dzięki temu miłosny akt nadal będzie sprawiał przyjemność jej mężowi.

Florence uniosła głowę.

Ich oczy się spotkały. Wilgotne koce leżały porządnie

złożone na przemoczonych łózkach, przygotowane do kolejnego mokrego snu w podtopionej chacie, zagubionej gdzieś w tonącym świecie. Wallady siedział nadąsany w kącie.

Florence popatrzyła na Sama. Spróbowała unieść kąciki ust,

ale nie dała rady.

Sam zauważył, że Florence od czasu choroby i historii, która przydarzyła się Fadeedah, o wiele mniej się uśmiechała.

„Afryka sprawia, że staje się twarda – pomyślał. – Gdzieś

daleko w deszczu Speke podróżuje z Grantem, o ile jeszcze żyją.

Za to ja podróżuję z Florence. Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety podobnej do niej. A przecież nie jest nawet kobietą. Właściwie to jeszcze dziewczyna, ma jakieś osiemnaście lat. Osiemnaście lat! W

tym wieku dziewczęta z dobrych angielskich rodzin dopiero się uczą, jak skrywać w dłoniach przerażoną twarz, przysłaniać

wachlarzem oczy i popadać we wdzięczne omdlenie”.

Deszcz spływał Florence po twarzy, a ona zlizywała krople.

Jej złota skóra błyszczała. Na grzbiecie dłoni położyła sobie kameleona, który siadł na brzegu jej łóżka, a później delikatnie postawiła go na ramę okna, gdzie natychmiast przyjął brązową barwę, upodabniając się do nawilgłego bambusa. Ali postąpił kilka kroków w tył. Podobnie jak wielu innych tubylców, bał się kameleonów. Parę gekonów obserwowało swoimi mlecznymi

oczami jej ruchy.

Wallady wczołgał się pod łóżko.

„Florence to lwica – pomyślał Sam. – Chociaż jeszcze o tym

nie wie. Moja piękna, silna Florence”.

– Co byś powiedział na filiżankę gorącej herbaty? – zapytała niespodziewanie, wskazując na ostygły napar w jego rękę.

Podeszła do niego. Woda z framugi drzwi sączyła jej się na

głowę i ramiona, spływając za kołnierz koszuli. Sam odprowadzał

wzrokiem ściekające krople. Wyglądały jak perły na jej skórze.

„Woda przystraja ją piękniej niż Koh-i-noor królową –

skonstatował. – Florence jest moją królową”.

– Chętnie, ale wyłącznie z rumem – odparł. – Mimo że do

zachodu słońca zostało jeszcze sporo czasu.

Szybkim ruchem chlusnął na deszcz resztą herbaty z

pływającymi muchami.

Roześmiała się.

– W tej ulewie i tak nie da się określić, czy słońce już zaszło, czy może w ogóle nie weszło. Ali, poproszę o dwie gorące

herbaty z rumem! – zawołała w głąb namiotu. Wyciągnęła ręce po Wallady’ego, który podbiegł i wspiął się na jej ramię. Z

zadowoleniem wyciągnął kilka pasemek z jej warkocza i zaczął je skubać.

Nil powlekał szarawy, zmęczony błękit. Silny czerwcowy

wiatr pierwszych wiosennych burz pchał w stronę Chartumu trzy statki. Sam stał na dziobie „Diahbiah”, błądząc wzrokiem po brzegach rzeki. Od wielu dni krajobraz się nie zmieniał i oczy męczyły się niezmiennym, monotonnym widokiem równiny

porośniętej buszem. Przymykając obolałe od światła i kurzu

powieki, które Florence wieczorami przemywała mu letnią wodą, Sam nadal widział siatkę splecioną z pasów szarości, brązów i piachu.

Rzeka przybrała inną formę życia. Jej koryto miało ze dwie

mile szerokości. Trzem łodziom towarzyszyła gromada krokodyli o długich pyskach, które nocą, gdy przybijali do brzegu,

wypoczywały na łąkach piasku. Ich jawna obojętność niepokoiła Sama. Pnącza, same w sobie niegroźne, obsypane przyjemnym,

jasnoróżowym kwieciem, dryfowały przed nimi na falach. A

przecież oplatały korzonki wokół własnych pędów, wchłaniając w ową płataninę wszelkie napotkane po drodze życie. Utkane przez nie dywany utrudniały poruszanie się po rzece.

– To *sudd* – odezwał się markotnie Ali, stojący obok Sama przy relingu.

– Niedługo wszystko wróci do normy – odparł Sam z wiarą.

Ali wypuścił ciężko powietrze przez nos.

– Efendi, na południe od Chartumu będziesz musiał wycinać

na wodzie każdy metr drogi!

„Może Speke miał rację? – przyszło Samowi

niespodziewanie do głowy. – Może Nil rzeczywiście wypływa z ogromnego jeziora”. A jeśli tak, to gdzie ono leży? Którą z odnóg tej przekłętej rzeki powinni popłynąć? Jakiego wyboru dokonał

Speke i czy jego wybór okazał się trafny? Czy Speke nadal żyje?

Sam pamiętał, że jego naczelnym zadaniem było niesienie pomocy Speke’owi. Murchison z Królewskiego Towarzystwa

Geograficznego przypominał mu o tym w każdym liście. Dopiero później mógł, a właściwie wolno mu było, pomyśleć o własnych ambicjach.

Upał też się trochę zmienił. Podczas podróży przez Egipt

Sam czuł się często niczym podplomyk, który zapomniano wyjąć z pieca. Wysznięty i spieczony. Teraz natomiast wilgotne skwarne tchnienie gorąca przypominało mu raczej jego londyńską kuchnię tuż przed świętami Bożego Narodzenia, gdzie w wielkich misach kipsiały świąteczny pudding i zupa z sera stilon.

Zupa z sera stilon!

„Wyborny przysmak” – westchnął w duchu, wycierając pot z oczu.

Zamiast delikatnego pleśniowego aromatu serowej zupy poczuł w ustach jedynie sól swoich marzeń.

Powietrze przynosiło z sobą przecucie niezmiernych lasów, nieznanymi dotąd wzniesieniami i niezbadanymi dolinami, daleko za Gondokoro.

U celu jego podróży.

„U celu? Na początku – poprawił się w myślach. – To będzie

dopiero początek. Jeśli Bóg pozwoli”.

Sam złapał za takielunek. Przechylił się przez reling i

popatrzył do tyłu, w dół rzeki. Dwóch towarzyszących im barek nie było jeszcze widać. Jedną z nich ochrzcił mianem niezguły, bo wciąż musiał łątać jej dziób skórą nosorożca, rwały się żagle albo maszt się rozlatywał. Naprawy trzeba było zawsze przeprowadzać w ciągu skwarne go dnia, a gdy stał w wodzie,

w łydki wpijały mu się długie na palec pijawki. Ale przynajmniej udawało im się unikać prawdziwych nieprzyjaciół czyhających na podróżnych.

Chmar komarów, które po zachodzie słońca unosiły się z przybrzeżnych trzęsawisk. Słowiki Nilu ze swym śmiertelnym, malarycznym bzyczeniem.

Sam wydał przez ramię głośną komendę:

– Trzymać kurs!

Wyciągnął szyję.

Przed nimi na horyzoncie ukazała się biała poświata. A więc to był Chartum?

W swoich listach Petherick pisał same złe rzeczy o tym

mieście. A jako brytyjski konsul wiedział chyba najlepiej. Podobno zdążył się w Chartumie poróżnić ze wszystkimi ważniejszymi

osobami. Petherick i jego wyjątkowe zdolności do następowania ludziom na odciski! Sam nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

W każdym razie cieszył się, że będą mogli odpocząć w

wygodnym domu Pethericka. Najpierw zamierzał wziąć gorącą

kąpiel razem z Florence i zmyć z jej opalonej skóry kurz i trudy podróży. Także z miejsc, w które kurz nie miał właściwie

możliwości się przedostać, gdzie jej skóra pozostała biała.

Wyjrzał przez reling i puścił oko.

– Florence! Chodź! – zawołał.

Biała poświata była coraz bliżej. Odwrócił się i jeszcze raz zawołał:

– Florence! Florence! Chartum! Przed nami leży Chartum!

Przebiegła przez pokład, w samą porę omijając kozę, która

znów się odwiązała. Objęła Sama w pół i oboje roześmiali się z radości. Dotarli, ale ich podróż miała się dopiero zacząć.

Sam po raz trzeci zapukał w zamkniętą i zaryglowaną bramę,

ale z wnętrza domu nadal nie usłyszeli żadnego odzewu. Był to niski budynek zbudowany, jak większość domów w Chartumie, z wysuszonego mułu Nilu i wielbłądziego gnoju. Szybko zapadał

zmrok, a w żadnym z okiennych otworów nie zapaliła się ani jedna lampka. Na fioletowym niebie Chartumu pokazały się pierwsze czarne pasma nocy. Raptownie ucichł śpiew ptaków. Z wnętrza domu nie dobiegał żaden szmer. Nad bramą, potargana wiatrem, wisiała flaga angielskiego królestwa. Na grubo ciosanych deskach bramy widniały namalowane podobizny jednoroźca i lwa.

Jednorożec przypominał zagłodzoną kozę, lew zaś wyliniałego psa.

Mimo to widok owych sztandarów sprawił Samowi

przyjemność i napełnił go dumą.

Gdyby jeszcze konsulat Jej Królewskiej Mości w Chartumie

nie sprawiał wrażenia tak piekielnie opuszczonego! Gdzie, u diabła, podziewał się Petherick? Może już wyruszył do Gondokoro na spotkanie Speke'a? Czyżby konsul miał świeższe wiadomości od niego?

Odwrócił się. Miał wrażenie, że kątem oka dostrzegł jakiś

ruch przy węgle domów okalających plac. Rzeczywiście, plątało się tam kilku wyrostków, którzy teraz zaczęli chichotać. Chłopcy kołysali się w kurzu na palcach tam i z powrotem. Wyglądało to jak taniec, który dopiero miał się rozpocząć i tylko oni znali jego rytm.

Florence westchnęła i przysiadła na skrzyni, w której Sam

przechowywał kilka przyrządów pomiarowych i lekarstwa. Na

wieku wzmocnionym skórzanymi rzemieniami napisano dużymi

białymi literami: „Baker”.

– Czy ktoś ma klucz do tych przeklętych drzwi? – spytała i

przetarła ręką czoło. Jej palce pozostawiły ciemne ślady na wilgotnej skórze. Nadal panował nieznośny upał. Wieczorny wiatr nie sprawił im żadnej ulgi, bowiem przyniósł z sobą do miasta pustyne powietrze, dawno pozbawione wspomnienia deszczowej świeżości.

– Uważam, że okazałem wystarczającą uprzejmość –

oznajmił zdecydowanym głosem.

Florence skinęła twierdząco, lecz przy tym zamknęła oczy i

zakryła uszy rękami. Wciąż czuła żywą niechęć do broni palnej.

Sam nachylił się do futerału swojej łowieckiej broni, która razem z pozostałymi bagażami została zniesiona ze statku. Strzelba z rusznikarni Reilly. Starannie ułożył kolbę na miękkim miejscu pomiędzy obojczykiem a kością ramienia, by zneutralizować

odrzut. Zebrał myśli, jak zwykle, gdy brał do ręki broń, ładował ją i odbezpieczał. Następnie pociągnął

za spust.

Odgłos wystrzału przeciął wieczorną ciszę. W szybko

ciemniejące niebo uniosły się znad dachów liczne cienie

marabutów i ścierwników. Dzieciaki i psy podniosły głowy znad ulicznych śmieci, w których właśnie grzebały. Ledwo zdążyło przebrzmieć echo wystrzału, wróciły do swego zajęcia. Po

zapadnięciu ciemności będą musiały pozostawić wszystkie resztki hienom.

Sam znów spojrzał w zmęczoną twarz Florence. Nie byłoby

dobrze, gdyby ciemność zaskoczyła ich na ulicy. W okolicznych domach nie widać było żadnego ruchu, ale nigdy nic nie wiadomo.

Właśnie ta cisza stanowiła dla niego ostrzeżenie. Może wszystko, co słyszał o Chartumie, było prawdą?

Jutro będą mądrzejsi.

Odczekał, aż dym się rozproszy. W przejrzystym powietrzu

widać było kłódkę przy wejściu. Strzał Sama rozbił ją na dwie części. Podeszedł bliżej i szarpnął za bramę. Nadal była zamknięta od wewnątrz.

– To dziecinnie proste – powiedział i cofnął się o kilka

kroków. Wziąwszy rozbieg, jednym kopniakiem wyważył

nadszarpnięty zamek. Oba skrzydła rozwarły się ze skrzypnięciem zawiasów. Odwrócił się do Florence.

– Witamy w konsulacie królowej – roześmiał się. – Tym

razem wyjątkowo sam pójde przodem.

Zajrzeli razem do środka domu okalającego dziedziniec. Na

grządkach leżały skonane z pragnienia, pokryte kurzem rośliny.

Pośrodku podwórza w studziennej misie widać było jeszcze kałużę wody, lśniącej w świetle wieczoru.

W gałęziach wyschniętego drzewa z powrotem przysiadły dwa marabuty. Wszystkie części ich ciał

zdawały się zwieszać w dół. Kamienne płyty dziedzińca

pokrywał piasek. Sam przeszedł przez wewnętrzne podwórze i

wszedł na taras. Nagle usłyszał przerażony okrzyk. W ostatniej chwili udało mu się ominąć wielki czarny cień, który się do niego zbliżał. To struś gnał z obłąkanym spojrzeniem przez podwórzec.

Sam zauważył, że drzwi jego klatki, stojącej w narożniku domu, były otwarte. W środku siedziały na prętach dwa zmęczone

pawiany, iskając się nawzajem. Prawie nie podniosły wzroku, gdy Sam i Florence weszli na podwórko.

– Czy to zoo Pethericka? Chyba powinien lepiej zadbać o

zwierzęta, gdy wyjeżdża – roześmiała się.

Sam pokręcił głową. Próbował wywnioskować, jak dawno

mieszkańcy opuścili domostwo. Miesiąc temu, może dwa? Gdzie podziewali się służący? Pewnie dostali należną zapłatę i dali drapaka, jak zwykle. Na kim można było tutaj polegać? Kiedy wysłał ostatnią depeszę do Pethericka? Kiedy otrzymał od niego ostatnią odpowiedź? Może Petherick miał wiadomości o Speke’u i Grancie? Wyjechał im naprzeciw? Tylko w ten sposób Sam mógł

sobie wytłumaczyć nieobecność konsula.

Zastanowił się. Naraz zauważył na werandzie jakiś ruch,

gdzieś w okolicy wejścia do domu, koło dwóch kolumn. Od cienia spowijającego taras oderwała się czarna postać kobiety. Jej kolorowe bawełniane chusty tylko częściowo przykrywały

nabrzmiące ciało.

Sam poczuł za sobą Florence, jej ciepło i oddech. Teraz i ona zauważyła ciemnoskórą kobietę i wydała cichy, zdziwiony okrzyk.

– Podejdz tu – rozkazał Sam.

Kobieta posłuchała, lecz jej kroki były niespieszne i Sam już z daleka dostrzegł na jej twarzy znajomą mieszaninę otępienia i niechęci. Serce mu się ścisnęło. Potrzebował ludzi, dobrych ludzi.

Czy naprawdę tu takich nie było?

– Kim jesteś? – zapytał ją po arabsku, gdy przed nim stanęła.

Zauważył, że jest w zaawansowanej ciąży, właściwie tuż przed rozwiązaniem.

– Khadidja – odparła krótko. – Jestem gospodynią pana

Pethericka.

Odpowiadając, nie patrzyła na niego, za to z nieskrywaną

ciekawością przyglądała się Florence.

– Gdzie jest konsul? – indagował dalej Sam, prostując plecy.

– Nie ma go. Wyjechał. Do Gondokoro. Na spotkanie białych

mężczyzn, którzy mieli tam przyjechać. – Wzruszyła ramionami.

Sam poczuł suchość w gardle. Biali mężczyźni! Na pewno

Speke i Grant.

Usłyszał za sobą westchnienie Florence.

Czy to znaczy, że na darmo zadał sobie tyle trudu? Wolno mu było udzielić pomocy, nic ponadto?

– Gdzie twój mąż? Chciałbym z nim porozmawiać – zapytał.

Chciał wnieść i wypakować bagaże. Chciał się wprowadzić, nawet gdyby miał tu zostać jedynie kilka dni.

Khadija uniosła brodę. W jej spojrzeniu na chwilę rozpał

się gniew, ogień, który natychmiast stłumiła.

– Nie mam męża, jestem tu sama – odparła.

Położyła rękę na brzuchu.

– Ależ... – zaczął Sam i zdał sobie sprawę z niestosowności słów, których omal nie wypowiedział.

Stojący z tyłu Ali roześmiał

się i zakrył dłonią usta. Sam odwrócił się do niego. Czuł w sobie narastający gniew.

– Co? – rzucił krótko.

Ali wzruszył ramionami.

– Petherick – powiedział tylko, po czym wyszczerzył zęby i

wykonał palcami kilka jednoznacznych ruchów. – To oczywiste.

Wszyscy tu tak robią. Służąca jest jednocześnie konkubina – rzucił

tak niedbale, jakby nie było przy nich kobiety.

– Zabraniam ci wyrażać się w ten sposób o konsulu Jej

Królewskiej Mości. Petherick jest żonaty i ten, kto go obraża, obraża również mnie – odrzekł Sam.

Teraz i Khadija się roześmiała. Krótko i pogardliwie.

Bardzo dobrze zrozumiała, o co chodziło. Odwróciła się i zawołała do tragarzy coś w języku oromo.

Mężczyźni załadowali sobie

skrzynie na ramiona i weszli za nią do domu. Żaden z nich nie spojrzął na Sama. Sam obserwował

Khadidję, jak kołysała swym pełnym, płodnym ciałem. Poczuł na plecach wzrok Florence.

Zawstydził się. Wstydził się za siebie i za Pethericka, którego jeszcze bronił. Wstydził się za jego żonę Kate, którą zachował w pamięci jako radosną i wierną żonę.

– Witamy w Chartumie – powiedział do Florence, a w jego

głosie brzmiała bezsilność.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Na początek pilnie potrzebna

mi gorąca kąpiel. – Pocałowała Sama i skierowała się do wejścia. –

Jeśli weźmiesz sobie tutaj gospodynię, zabiję cię – dodała, odwracając po drodze głowę.

Lampy paliły się cicho i przesycaly duszne powietrze

zapachem świeżego wosku. Ich spokojne światło rzucało cień na pokrytą gruboziarnistym tynkiem ścianę pomieszczenia, w którym Florence kazała rozstawić miedzianą wannę.

Przez otwory w ścianie z ciemności wlatywały do łazienki

niezliczone ćmy. Obijały się o sufit, bezsilnie lgnąc do światła, nim z sykiem zginęły na rozgrzanym szkłe osłaniającym lampy. Sam miał wrażenie, że ów krótki odgłos towarzyszący ich śmierci był

jedynym dźwiękiem w tym świecie, taka cisza panowała w nocnej ciemności za oknem. Przez otwory widział firmament z

niezliczoną ilością gwiazd. Tutejsze niebo było o wiele wyżej niż w którymkolwiek innym zakątku świata. Było na nim o wiele

więcej gwiazd, niż kiedykolwiek widział w Anglii. Gładką czerń przecinało pasmo przypominające białą wstęgę. Może chmury. Ale dlaczego świeciły? Jak srebrny pył, daleko na nocnym niebie. Jakiś meteoryt spłonął na jego oczach, później jeszcze jeden.

Wcześniej jego ludzie pożywiali się na dworze, jedli zupę i zagryzali ją podpłomykami, śmiejąc się przy tym i śpiewając.

Teraz pewnie poszli spać zadowoleni, że wreszcie mają pod

nogami stały łąd. W stajniach sąsiednich domów ryczały osły, a w suchym sitowiu cykały cykady. I nagle wszystko umilkło.

Florence odwróciła się do Sama tyłem, podciągając kolana,

tak by mógł jej umyć plecy.

– Odwróć się – powiedział do niej cicho i zsunął się do wody.

Posłuchała.

– Jesteś za duży, mam za mało miejsca – roześmiała się i

założyła łydki na obrzeża wanny po obu stronach, robiąc mu

miejsce. Gdy się poruszyła, letnia już woda spłynęła z jej ramion na nagie piersi i brzuch. Światło lamp malowało na jej skórze cienie, unoszące się i opadające wraz z jej oddechem.

– Wyglądasz jak tygrys – wyszeptał Sam, przesuwając

palcem wzdłuż nakreślonej światłem pręgi od jej pachy do piersi.

Ciało Florence było bardziej kościste i żylaste niż wówczas w Widyniu, ale łuk jej piersi był nadal miękki. Przywiódł mu na myśl zakola Nilu zaznaczone na jego mapach, jedno bardziej zagadkowe od drugiego. Pochylił się do przodu i pocałował miejsce, w którym jej szyja obniżała się w kierunku obojczyka. Małe wgłębienie przypominało mu solne miski na stole księcia Atholla.

– Jedyne tygrys w Afryce – zaśmiała się cicho, odsuwając się od niego. Odchyliła się do tyłu i zanurzyła długie włosy w wodzie.

Westchnęła, gdy woda dotknęła skóry na jej głowie i jeszcze bardziej się wygięła. Przez chwilę zdawało się, że składała się wyłącznie ze swego złocistego biustu.

Na ten widok Sam wstrzymał oddech.

Położył dłonie na jej piersiach, a ich miękki dotyk przywrócił

go do życia.

Do dzisiejszego dnia, przez ostatnie tygodnie i miesiące

smakował jedynie kurz, robił notatki, przerabiał je i poprawiał, rozsądzał spory pomiędzy swymi pijanymi, chciwymi

marynarzami, pilnował, żeby się nie buntowali i nie uciekali, jednocześnie ustawicznie obserwując brzegi rzeki. Do tego przez cały czas się obawiał, że dotrze do niego wiadomość o odkryciu Speke' a i Granta.

I wreszcie byli w Chartumie. Byli tutaj, Florence i on.

Nieważne, co się wydarzy, należeli do siebie. Im sytuacja zdawała się trudniejsza, tym łatwiej znajdowała rozwiązanie. Był razem z nią, tylko to się liczyło.

Jego dłonie nie były dość duże, by przykryć jej piersi.

Okrężnymi ruchami gładził różowe ciało. Słyszał, jak cicho

wzdycha. Podniosła się. Jednym płynnym ruchem zanurzyła nogi w wodzie i rozchyliwszy uda, usiadła na nim.

Czuł, jak jej język rozchylił mu wargi i badał wnętrze jego ust. Jej palce błędziły w jego włosach, zataczając koła po skórze głowy. Zamknął oczy, upajając się jej dotykiem. Poczował, jak mięśnie mu twardnieją, objął ją i z całej siły przycisnął do siebie.

Jęknęła pod naporem, ale nie zwolnił uścisku. Nie puścił, czując, jak zamyka wokół niego drobne palce i wprowadza go powoli w swoje ciało.

Zgasła jedna z lamp. W pomieszczeniu zrobiło się ciemniej.

Ostatnia ćma znalazła drogę do śmiertelnego ognia.

Woda lekko zafalowała, gdy Florence zaczęła się na nim

poruszać. Stopy i palce oparła o dno wanny i wpadła w rytm.

Tańczyła na jego ciele, wykonując biodrami koliste ruchy,

najpierw wolno, aż znalazła właściwe miejsce, później szybciej i szybciej. W końcu wyprężyła się i zdusiła krzyk na jego ramieniu.

Sam czuł jej oddech na swojej nagiej skórze. Całując jej skronie, uniósł ją lekko i szerzej rozchylił jej uda, by głębiej w nią wejść.

Poranne słońce było tak ciepłe, że Sam i Florence kazali

podać śniadanie na zacienionej werandzie. Obrus był znośnie czysty, a w kuchennych szafkach Ali znalazł

porcelanę z posagu Kate Petherick. Wallady siedział na stole między ręcznie

malowanymi talerzami i filizankami. Starannie przedstawione na nich angielskie krajobrazy w biało-czerwonych kolorach, w

Chartumie wydawały się zupełnie obce. Należały do zupełnie

innych czasów i innego świata. Kucharz upiekł im na śniadanie podpłomyki, usmażył jajka, a nawet znalazł na rynku świeże

owoce mango, papaje i marakuje. Sam przyglądał się, jak Florence dokładnie wybiera słodkie pestki z twardej, fioletowej łupiny passiflory. Na trzonku srebrnej łyżeczki, którą trzymała w ręce, były wygrawerowane pierwsze litery imienia i nazwiska Kate

Petherick. Florence jadła i karmiła Wallady'ego, który wypluwał

pestki, a ona się śmiała.

Na przyjęcie z okazji ich przybycia do Chartumu włożyła

czystą suknię z niebieskiej bawełny. Ściśle opinała jej talię, a spod bufiastych woalowych rękawów widać było zarys jej ramion.

Kolor tkaniny sprawiał, że jej skóra wydawała się ciemniejsza, a oczy jaśniejsze. Poruszyła się na krześle i suknia zaszeleściła. Sam przypomniał sobie, jak bardzo kiedyś lubił ten dźwięk. Stanowił zapowiedź czegoś przyjemnego, kusił.

– Co się stało z tą kosztowną krynoliną uszytą w

Konstantynopolu? – zapytał, wypiwszy łyk herbaty.

– Odpoczywa w spokoju. Chyba podarowałam ją żonie

wodza egipskiego plemienia, kilka dni podróży za Kairem. Przez gazę może teraz cedzić kozie mleko i karmić nim dzieci – odrzekła Florence i dała znak Alemu, żeby dolał jej herbaty. – W ten sposób suknia może się do czegoś przydać.

Sam musiał się roześmiać na wspomnienie halki, po czym

zanurzył spieczony brzeg podpłomyka w słodkiej bawarce. Świeże kozie mleko utworzyło płatki na powierzchni herbaty w jego

filizance i nadało napojowi specyficzny smak. Wszystko było kwestią przyzwyczajenia, przekonywał się.

W Anglii będzie

pewnie musiał w przyszłości hodować kozy, bo krowie mleko

przestanie mu smakować. Dżentelmeni z klubu zaczną go wtedy nazywać kozim Bakerem. Zdziwił się, jak bardzo obojętny stał mu się dawny świat. A kimże byli owi dżentelmeni w klubie? Nigdy dotąd nie czuł się tak blisko życia jak tutaj.

Oparł się i wysunął przed siebie nogi. Za kamiennym murem,

na którym nieruchomo wisiało kilka srebrzystozielonych

jaszczurek, słychać było kroki i głosy mieszkańców Chartumu.

Śmiech kobiet idących na targ, ich nawoływania po arabsku. Koła przeładowanych wozów zapadały się w piach, z którego

wypychano je wśród przekleństw. Ryk wołów okładanych batem, śpiew idących mężczyzn, prawdopodobnie niewolników. Sam

słyszał ich człapiące kroki, brzęk łańcuchów i kajdan u nóg, gdy się o siebie obijały.

Zauważył, że Florence odstawiła filizankę i przysłuchiwała

się tym odgłosom. Była blada, ale się nie odezwała. W milczeniu odłożyła na bok łyżkę i przestała jeść.

Między jej brwiami

pojawiła się zmarszczka.

Ali bez słowa zabrał się do uprzątnięcia naczyń.

Sam odchrząknął i sięgnął po pióro i kałamarz stojące na

brzegu stołu, by zrobić notatki w dzienniku.

– Pozwól mi opisać nasz przyjazd do Chartumu.

– Wspomnisz o tym obłąkanym strusiu? – spytała.

Niewolnicy minęli już mur ich domostwa i zrobiło się cicho.

„Nierealnie cicho” – miał później pomyśleć Sam.

– Bez wątplenia! – potwierdził z uśmiechem.

– A o Khadidji? O niej też? – zapytała ciszej.

Podniósł wzrok, zastanowił się i pokręcił głową.

– Nie, lepiej będzie, jeśli ją przemilczę.

– Gdy będziesz pisał, przyszyję rękaw twojej koszuli, który urwałeś podczas ostatniej naprawy łodzi.

Właśnie zamierzała wstać, gdy nagle usłyszeli krzyki i

szybkie kroki w ulicznym kurzu za murem. Początkowo

dochodziły z oddali, ale przybliżały się stopniowo do domu

Pethericka.

Wydawało się, jakby cała zgraja goniła jakiegoś zbiega.

Słyszeli wołania i przekleństwa.

Sam zauważył, że Florence znieruchomiła. Spojrzała na

niego pytająco. Wallady skoczył jej na ramię.

Sam odłożył dziennik, ale zaraz znów wziął do ręki pióro.

Niech ci ludzie sami rozwiązują swoje problemy. On i tak miał za dużo spraw na głowie.

W tej chwili czyjeś pięści zadudniły w bramę, którą Sam

poleciał prowizorycznie zaryglować. Struś w swojej klatce, w której Sam kazał go z powrotem zamknąć, natychmiast przeraźliwie się rozwrzeszczał. Wystawił przez pręty długą szyję i zdawało się, że już na zawsze tak zostanie. Za nim pawiany rozpoczęły dziki taniec na swoich huśtawkach. Śmiały się, szczerząc zębiska, aż Samowi przeszły ciarki po plecach.

– Mister, mister! Baker efendi! – wrzeszczał jakiś wysoki

głos pod bramą. – Proszę otworzyć!

Pięści znów zadudniły o drewno i ktoś się rozszlochał.

– Sam, to dziecko! – zawołała Florence.

Zanim Sam zdążył ją powstrzymać, rzuciła rozkaz

mężczyźnie pilnującemu bramy.

– Otwieraj! Pospiesz się!

Sam zobaczył, jak wybiega z cienia werandy na podwórze.

Piach skrzypiał pod jej stopami, a suknia pozostawiała długi, powłóczysty ślad na dziedzińcu.

Mężczyzna, którego Sam ustawił przy bramie, usłuchał

wprawdzie, ale tylko trochę uchylił drzwi, robiąc wąską szczelinę.

Lecz to ciasne przejście wystarczyło czarnemu chłopcu, który tak błagalnie się do nich dobijał. Wsunął

rękę w szparę, a później jej śladem przecisnął całe swoje wątłe ciało. Następnie całym sobą popchnął

drewniane skrzydło, tak że brama natychmiast się za nim zatrzasnęła.

– Zaryglujcie wejście, efendi, sam diabeł mnie goni! –

wykrzyknął i rzucił się w piasek przed Florence. – *Sitt! Sitt!* Ratuj, zaklinam cię! – wołał.

Sam zauważył, że chłopiec chwycił brzeg sukni Florence i

ukrył w nim twarz, na którą opadały gęste czarne loki. Dziecko leżało na ziemi i zaczęło płakać. Jego ciałem wstrząsał szloch.

Podczołgał się bliżej do Florence, objął rękami jej kostki. Jego palce zbieleły, ale na twarzy Florence nie pojawiło się nic poza współczuciem.

Obok chłopca leżał w kurzu brudny woreczek, w którym

Sam domyślał się złotych monet. Pewnie dzieciak je ukradł.

W tej chwili ktoś mocno popchnął od zewnątrz wrota bramy wiodącej do posiadłości Pethericka. Pod impetem uderzenia strażnik Sama poleciał do tyłu i upadł w piach pokrywający dziedziniec. Jednakże zamiast się podnieść i bronić domu, poczołgał się na czworakach pod osłonę muru.

– Co to ma znaczyć, do diaska, nie jesteśmy na targowisku!

To konsulat królowej Anglii! – krzyknął z irytacją Sam.

Chwycił korbacz ze skóry hipopotama, który wcześniej ułożył zwinięty na balustradzie. Kilkoma krokami zszedł z

werandy na piasek i rozstawiwszy nogi, stanął przed Florence, która uklękła i podniosła chłopca z kurzu.

Sam zobaczył, jak dziecko do niej przywarło, a ona je objęła. Mruczała jakieś ciche słowa, trzymając usta we włosach chłopca, a potem wytarła

rękawem jego zasmarowaną twarzyczkę.

Wallady naśladował jej ruchy, dotykając palcami ramienia chłopca. Wydawało się, że chłopak wśród szlochów coś jej opowiadał.

Sam był zdziwiony. Jakiego języka używał? To chyba był niemiecki.

Widział, jak Florence raz po raz potakiwała i gładziła wąskie dziecięce ramiona, okryte długą koszulą z cienkiej bawełny.

Później przeniosła wzrok na Sama.

Sam rozwinął bat. Zamierzał bronić ich obojga i domu, bez względu na konsekwencje. Bądź co bądź chodziło o skrawek angielskiej ziemi!

Wrota prowadzące na ulicę stały teraz otworem. Wokół człowieka stojącego w wejściu do konsulatu Pethericka

błyskawicznie zebrała się gromada ludzi.

Mężczyzna też trzymał w ręku bat, a jego długie skórzane

spodnie pokrywały liczne plamy. Sam nie widział jego oczu,

ukrytych w cieniu szerokiego ronda kapelusza, spod którego aż na ramiona opadały ciemne włosy.

Zdawało się, że już od rana raczył

się alkoholem. Stopy odziane w buty z krokodylej skóry ustawił

głęboko w piasku podwórza, by zapewnić sobie stabilną pozycję.

Tuż za nim stał człowiek w czystym białym kaftanie i czerwonym turbanie na głowie, połyskującym niczym plama krwi.

Podtrzymywał go od tyłu.

– Zostaw mnie, Mohammedzie – odezwał się mężczyzna,

uwalniając się z uścisku tamtego.

Spojrzał na Sama, a później na Florence. Dziecko w jej

ramionach odwróciło głowę, po czym z krzykiem mocniej do niej przylgnęło.

– *Sitt*, ratuj! On chce mnie zabić! – szlochał chłopak.

Mężczyzna się skłonił.

Samowi zdawało się, że wyczuł szyderstwo. Mimo to się

opanował. Jemu samemu było obojętne, czy ludzie okazywali mu szacunek, ale gdy chodziło o Florence, był bardziej wrażliwy.

Mężczyzna postąpił krok w kierunku Florence i dziecka.

Chłopak wrzasnął i schował się za jej plecami. Zza materiału sukni wyzierało tylko jedno przerażone oko. Sam widział, jak się

wyprostowała, zasłaniając chłopca spódnicą. Jej twarz płonęła, a z grubego warkocza wymknęło się kilka jasnych kosmyków.

Mężczyzna był teraz bardzo blisko niej.

Mimo to nie cofnęła się i wytrzymała jego wzrok.

Sam zauważył, że na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech.

Uśmiech, którym niemal fizycznie dotykał Florence, którym tam, na dziedzińcu domu Pethericka, rozebrał ją i posiadał. Wallady zapiszczał i odsłonił zęby.

Sam wziął głęboki oddech. Korbacz ze swymi ściśle splecionymi rzemieniami leżał pewnie w jego dłoni. Mężczyzna odwrócił się do niego.

Wskazał palcem na chłopca i odezwał się z uśmiechem czystą angielszczyzną.

– Witamy w Chartumie, mister Baker. Jestem Amabile del

Bono. Nie chcę dłużej zakłócać wam spokoju, przychodzę, by

odebrać swoją własność. Ten chłopak mi uciekł. To szatańskie nasienie poniesie zasłużoną karę.

– Pańska własność? Jak człowiek może do pana należeć? –

oburzył się Sam. – Czyż nie napisano w Biblii, iż „kto porwie człowieka, to czy go sprzedał, czy też znaleziono go jeszcze w jego rękę, poniesie śmierć”?[1]

Amabile się uśmiechnął.

– Bardzo szlachetnie z pana strony. Proszę nie być

dziecinny, mister Baker. Pański przyjaciel, konsul Petherick, zrozumiałby mnie doskonale. Dla przykładu: tę oto dziewczynę kupił ode mnie – oświadczył, wskazując w kierunku tarasu, gdzie niespodziewanie pokazała się Khadidja. Znów się roześmiał, a na jego gładkich policzkach utworzyły się dwa dołki.

Sam zobaczył, jak Khadidja cofnęła się w cień domu i

schowała za kolumnami. W pewnej chwili uświadomił sobie, że dziedziniec wypełnił się ludźmi.

Audytorium podzieliło się na dwie grupy. Zdawało mu się, że jego własni ludzie ustawili się wokół del Bona. Kilku z nich dało drapaka po tym, jak wczoraj wypłacił im należny żołd. Alego, którego zatrudnił

jako tłumacza, też nie mógł nigdzie wypatrzeć. Zgraja opojów!

Amabile sięgnął do kapelusza.

– O ile mi wiadomo, pański przyjaciel Petherick wyruszył

właśnie do dżungli, by na własną rękę zdobyć niewolników i kość słoniową.

– To kłamstwo! – oburzył się Sam. – Petherick na rozkaz

królowej pojechał z misją do Gondokoro, by udzielić pomocy

Speke'owi i Grantowi.

Amabile del Bono wzruszył ramionami.

– Oczywiście można to i tak nazwać. Nieważne. Proszę mi oddać chłopaka. Moje wpływy otworzą przed panem wszystkie drzwi w Chartumie. Zostańmy przyjaciółmi – zaproponował, nie spuszczać wzroku z Florence.

Jego spojrzenie dotykało jej ramion i szyi, a następnie przesunęło się do wycięcia sukni, tam gdzie w widoczny sposób zaczynały się piersi.

Sam obrócił w dłoni korbacz. Jednocześnie jego wzrok padł na woreczek leżący w kurzu u stóp Florence. Schylił się, podniósł go i potrząsnął. Gdyby było w nim złoto, chłopak okazałby się złodziejem i Sam nie mógłby udzielić mu pomocy. Tymczasem z woreczka wypadły jakieś drobne przedmioty przypominające pionki do gry. Na piasku leżały pionki z kości słoniowej i hebanowego drewna.

Ku własnemu zdziwieniu Sam poczuł ulgę.

– Proszę oddać chłopaka – zażądał cicho Amabile i błyskając białymi zębami, uczynił niewielki krok w stronę Florence, co można było odebrać jako groźbę. Wyciągnął rękę po Saada.

Wallady zapiszczał i razem z chłopcem ukrył się w fałdach sukni.

Małpka drżała na całym ciele.

Zanim Sam zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Florence wyjęła mu z dłoni korbacz i zniecka wymierzyła Amabile cios w rękę.

Powietrze nabrzmiało z napięcia. Maltańczyk krzyknął i odsunął się do tyłu. Na piasek skapywała krew.

Florence przysunęła bat do jego twarzy i powiedziała:

– Nigdy! Nigdy, słyszy pan? Ten chłopak jest wolny!

[1] Biblia Warszawska, Druga Księga Mojżeszowa, 21,16.

Rozdział 6

Ty jesteś Florence Baker? – usłyszała pytający głos. Należał

do jakiejś kobiety, Europejki mówiącej po niemiecku z delikatnym, śpiewnym akcentem.

Odwróciła się.

Wokół trwał w pełnym toku targ w Chartumie, chociaż

światło dnia nie zdążyło się jeszcze napełnić jego kolorami. Na razie niebo było białe, a na rynku w kałużach piasku szukały pożywienia żurawie koroniaste i dudki. Z samego rana mogło im się jeszcze poszczęścić w szukaniu robaków. Już za godzinę piasek stanie się o wiele za gorący, by mogła się w nim ukryć jakakolwiek forma życia.

Na placu w pobliżu chartumskiego portu uwijało się

mnóstwo handlarzy, którzy wyłożyli swoje towary na ziemi albo na niskich stołach. Florence zobaczyła wiązki słomy i suchego chrustu nazbieranego w buszu. Dalej, poukładane w sterty, leżały owoce, a obok nich jakieś nieznane zielone warzywa o podłużnym kształcie. Przypominały pokryte meszkiem strąki zwykłej fasoli, które Sam tak lubił, ale były o wiele dłuższe i grubsze. W kotłach pyrkała zupa z krokodylego i żółwiego mięsa oraz piure z

rozgotowanych owoców baobabu, przyprawionych imbirem i

dających siłę. Inni kupcy oferowali świeżo wypieczone

podpłomyki z grubo mielonej mąki durra.

– Psst – syknął jakiś mały chłopiec obok niej i Florence

spojrzała w dół. Malec rozwinął chustkę i pokazał jej wspaniałą snycerkę z kości słoniowej. Mężczyzna zabawiający się z trzema kobietami, a wszystko na kawałku nie większym od jej kciuka.

– Dla efendiego – zaproponował chłopiec z szelmowskim

uśmiechem. – Albo dla ciebie, *sitt...*

– Zmykaj stąd – roześmiała się Florence i mimo wszystko

wsunęła mu do ręki monetę. Chłopak usłuchał. Wcisnął się między dwie czy trzy przysadziste kobiety odziane w ciemne buibui.

Florence odprowadziła go wzrokiem. Przemknął obok stoiska z wysuszonymi i polakierowanymi korpusami węży, małych

krokodyli i jaszczurek, w ostatniej chwili ominął mężczyznę sprzedającego noże i amunicję, a następnie usiadł przy stole na werandzie płaskiego domu przylegającego do dłuższego boku

targowiska.

Zmrużyła powieki. Słońce stało wysoko i raziło oczy, ale

Florence nie miała wątpliwości. Przy tym samym stole siedział

Amabile del Bono. Widziała, jak się roześmiał i potargał włosy chłopaka. Później popatrzył w jej kierunku. Stała jak wryta, nie mogąc ruszyć się z miejsca, chociaż chciała pójść dalej. Targ wokół niej się rozplątał, nie słyszała żadnych odgłosów,

pokrzykiwań ani muzyki. Zbladły kolory, ustało tętno życia.

Istniał wyłącznie Amabile del Bono i jego sugestywny

wzrok, pragnący ją zmusić do posłuszeństwa.

Uniosła brodę. W tym momencie Amabile del Bono wstał i

machnął ręką. Przy okazji wzbił w powietrze trochę pustynnego pyłu, który opadł do filiżanek z kawą jego przyjaciół, siedzących przy tym samym stole.

Zaczęli się złościć.

Florence się odwróciła. Jej spojrzenie padło na małe,

spreparowane główki. Drgnęła przestraszona. Handlarz wykrzywił

się w uśmiechu i podsunął bliżej zasuszone truchła. Żałosne gęby skurczone do rozmiarów pięści.

– *Marhaba* – zagadnął po arabsku. – Najwyśmienitszy towar z za wielkiego morza. Z krainy położonej o wiele dalej, niż efendi i *sitt* pragnęliby się wybrać. Daleko za źródłem Nilu – powiedział.

Florence zmarszczyła czoło. Wyglądało na to, że cały

Chartum znał cel ich podróży. Naturalnie, czegoż innego mogłaby się spodziewać, zreflektowała się szybko.

Sądziła, że ludzie nie zwrócą uwagi na Sama, na nią ani na

ich plany?

Handlarz się uśmiechnął, odsłaniając dziąsła. W górnej

szczęce miał jeszcze trzy zęby, a w dolnej dwa siekacze. Przechylił

na bok głowę, a jego oczy bystro błyszcząły, umalowane czarnym specyfikiem mającym je chronić przed słońcem i muchami. Ten rodzaj spojrzenia często widywała u ludzi spotykanych na bazarze, był w nim mądry błysk, który za każdym razem sprawiał jej

przyjemność.

– Funta za głowę. Wyjątkowa cena, specjalnie dla ciebie, *sitt*.

Tylko dlatego, że targ z tobą to dla mnie czysta przyjemność.

Florence pokręciła głową i zamierzała ruszyć dalej.

Domyślała się, że Amabile del Bono wciąż ją obserwuje. Na

karku czuła pieczenie. Dotykał ją wzrokiem. Z wysiłkiem zmusiła się, by nie spojrzeć za siebie, na niego.

W tej samej chwili usłyszała damski głos.

– To ty jesteś Florence Baker?

Odwróciła się i zobaczyła młodą kobietę, która stała tuż za nią.

Miała bardzo duże, szare oczy, z których jedno było okrągłe, drugie zaś miało kształt migdała. Ich kolor przypominał Florence niebo nad Bosforem. Niebo nad Afryką nigdy nie przybierało

takiej barwy. Gładka szarość, czasem niezwykle głęboka, innym znów razem jakby płaska, monochromatyczna. Oczy dominowały

nad resztą twarzy w kształcie serca, z jasną cerą pokrytą piegami.

Młoda kobieta z uśmiechem wyciągnęła rękę do Florence.

– Tinne van Capellan – przedstawiła się. Potem zakręciła na ramieniu słonecznym parasolem, aż zawirowały frędzle zdobiące jego brzegi. – A to – wskazała za siebie przyjaznym, a

jednocześnie niedbałym gestem – moja matka, baronowa van

Capellan, moja ciotka Maria, doktor Steudner, nasz badacz i rysownik signor Contarini.

Grupka się ścięła niczym kury podczas wielkiego deszczu

i pozdrowiła Florence, jednocześnie lustrując ją od stóp do głów.

Florence przesłoniła dłonią oczy. Słońce szybko wznosiło się na niebie. Tinne van Capellan nie przestawała się uśmiechać, jakby w życiu nie robiła nic innego.

– A więc to prawda, podróżujesz w męskim ubraniu. Nosisz...

– Florence słyszała, jak Tinne wciągnęła powietrze, nim ściszone głosem dokończyła: – spodnie.

Potrząsnęła głową, a jej anglezy, prawdopodobnie nakręcone

z samego rana gorącą lokówką, straciły formę i oklapły w

chartumskim upale, zwieszając się luźno na ramiona.

Ta uwaga wydała się Florence tak komiczna, że pospiesznie

skinęła głową, by nie okazać rozbawienia. Tinne miała na sobie wytworną poranną suknię z szarej bawełny, wykończoną czystym białym kołnierzykiem z koronki i rękawami sięgającymi

nadgarstków, gdzie materiał stykał się z rękawiczkami. Z małego haftowanego woreczka zawieszzonego na dłoni wyjęła wachlarz.

Jego ruch przegonił kilka much, które umościły się w jej włosach.

– Czy to prawda, że polujesz na lwy? Podobno uratowałaś

życie mister Bakerowi, gdy chciały go stratować trzy nosorożce.

Florence roześmiała się i pokręciła głową.

– Z całą pewnością nie. Nie dotykam broni, przysięgam. Ale, miss Tinne, kim pani jest i co pani tu robi?

– Och, przygoda... – odparła niejasno Tinne. Następnie

pochyliła się do przodu i chwyciła Florence za rękaw. – Mam złamane serce. Podróżuję, by nie myśleć o cierpieniu. Matka z ciotką nalegały, by mi towarzyszyć.

Florence skinęła głową, a Tinne kontynuowała swój wywód:

– Gdzieś tu, w podróży, znów nauczę się kochać.

– Tutaj? – zdumiała się Florence. Nie mogła się powstrzymać od tego pytania.

Jakby dla podkreślenia swych wątpliwości zatoczyła ręką,

wskazując targowisko, na które wprowadzono właśnie grupę

nagich ludzi. Kobiety i dzieci przyprowadzone z ostatniej

wyprawy po niewolników. Handlarze odziani w dżubby,

pomrukując, robili dla nich miejsce. Grupa zatrzymała się na moment przy tarasie, na którym siedział

Amabile del Bono.

Florence zobaczyła, jak pochylił się do przodu i zamienił kilka słów z mężczyzną prowadzącym niewolników.

Tinne wzruszyła ramionami.

– Tu czy gdzie indziej. Chcę żyć i przeżywać przygody. Bogu dzięki, że mama mnie rozumie.

Następnie spojrzała na stół ze spreparowanymi główkami i

zakryła ręką usta.

– Och, doktorze Steudner, proszę popatrzeć, jakie to pocieszne! Ile kosztują? – zapytała.

Florence przysłuchiwała się, jak doktor Steudner, niski mężczyzna w okrągłych okularach na ciemnych oczach, targował po arabsku. W końcu zwrócił się do Tinne.

– Ten człowiek chce wprawdzie sześćdziesiąt funtów za sztukę, ale kupię za czterdzieści.

Florence otworzyła usta, ale zaraz znów je zamknęła, napotkawszy spojrzenie handlarza. „Żyj i pozwól innym żyć” – pomyślała.

Tinne kiwnęła zachęcająco do matki, która wyciągnęła z woreczka portmonetkę i zaczęła odliczać monety.

Dziewczyna, ująwszy jedną z głów, kręciła nią na wszystkie strony. „Oglądała ją jak nową koronkę albo nowego pieska” – pomyślała Florence.

– Nader interesujące – stwierdziła Tinne i podała głowę doktorowi Steudnerowi.

Jej słowa znaczyły tyle co: nader zajmujące, więc tym bardziej błahe.

– Zastanawiam się, jak oni to robią – zaciekawiała się Tinne.

– Rozpuszczają mózg i suszą głowę w soli – odparła bez zastanowienia Florence.

Tinne spojrzała na nią z obrzydzeniem. Aż tak dokładnie nie chciała chyba wiedzieć.

Wzruszyła ramionami.

– W takim razie z pewnością warte są czterdziestu funtów.

„Czterdzieści funtów! Za taką kwotę Sam wyposażył całą

»Diahbiah«” – pomyślała Florence. Handlarz ze skrywanym

uśmiechem zapakował obie główki w liście bananowca i materiał z lnianych worków, a Tinne znów zwróciła się do Florence.

– Życzę powodzenia, Mrs Baker. Wynajęliśmy parowiec,

który zawiezie nas do Gondokoro i z powrotem. Jestem

przekonana, że się jeszcze spotkamy.

Ujęła paczkę ze spreparowanymi głowami w szczupłą dłoń i

białą koronkową chusteczką otarła czoło. Chusteczka zrobiła się cała mokra. Tinne jeszcze raz uśmiechnęła się do Florence i odeszła w swoją stronę.

Spódnica jej sukni musnęła kilku kalekich żebraków

siedzących w kucki na zakurzonej ziemi. W proszącym geście

wyciągnęli ręce, którym trąd odjął palce. Baronowa van Capellan rzuciła mężczyznom kilka monet i spiesznie się oddaliła.

Tinne znów otarła czoło. Targowisko przestało ją

interesować. Zdawało się, że unosi się nad ziemią, mimo

wysuszonych główek, które trzymała w ręku.

Florence patrzyła, jak trzy kobiety i dwóch mężczyzn znikają w bazarowym tłumie. Ich ubrania przypominały świeżo ścięte

kwiaty zgubione w brunatnym pyłe miasta. „Może trzeba się takim urodzić, żeby takim być – pomyślała Florence, gdy kolory z wolna wędły wśród tłumy ludzi. – Tak, z całą pewnością”.

A więc takie były kobiety w świecie Sama.

Gdy wróciła do domu Pethericka, Sam kazał właśnie

rozładować muły po powrocie z polowania.

– Udało ci się zastrzelić lwa? – spytała, całując go. Na jego policzku poczuła smak dwóch nocy spędzonych pod gołym niebem w oczekiwaniu na bestię siejącą strach na ulicach Chartumu. Lew rozszarpał już niejednego człowieka i coraz śmieiej sobie

poczynał. Sam smakował wiatrem i nieprzeliczonymi gwiazdami nocnego nieba. Smakował swobodą.

Pokręcił głową.

– Nie, znów nic. Ta bestia jest cwańsza, niż sądziłem. Gdy

wreszcie go dopadnę, założę ci naszyjnik z jego łap i zębów. Jako amulet chroniący przed złymi duchami Afryki.

Florence się roześmiała. „Pewnego razu upolujesz wreszcie

tego lwa – powiedziała w duchu. Sam nigdy się nie poddawał. –

Wtedy założysz mi naszyjnik. Może to nie przed złymi duchami Afryki kiedyś będziesz mnie musiał obronić”.

„Teraz *sitt* jest moją panią – pomyślał Saad. – Przysięgam na Allaha, oddałbym za nią własne życie!”

Westchnął. Wiedział, że nie była to pusta obietnica. Który

czarny chłopak wrócił kiedykolwiek żywy i wolny z Gondokoro i otaczających je lasów? „Nie. Oddam za nią życie” – poprawił się.

Od przybycia Bakera efendiego i *sitt* do Chartumu minęło sześć miesięcy. Saad zastanawiał się czasem, jak się powodziło mnichom w Gondokoro. Czy nadal żyli? Może jeszcze kiedyś ich zobaczy. Miał

nadzieję, że tak. Chciał spotkać ojca Lukasa i ojca Antona. Tylko po to, by uświadomić mnichom, co oznaczało życie w domu Amabile del Bona. Jak wyglądało życie gorsze od śmierci.

„Sąd podejmie ręka moja”[2], tak powiedział dziwny Bóg

Austriaków. „Ale chyba i ja mogę sobie z niego kawałek

uszczknąć” – uznał Saad, rozmyślając o czekającej ich podróży w dół Białego Nilu. O podróży i jej właściwym celu, daleko za Gondokoro. Po drugiej stronie wszystkiego, co znał, po drugiej stronie wolności.

Baker efendi zaczął zbierać ludzi na wyprawę. Saad nigdy

jeszcze nie widział podobnej liczby sakiewek ze złotymi

monetami, tak szybko zmieniających właścicieli i znikających w licznych dłoniach. A wszystko to w nadziei na jak najszybsze przygotowanie ekspedycji.

Któregoś wieczoru zobaczył Sama siedzącego w bibliotece

Pethericka. Na zakurzonych półkach długich regałów ustawionych wzdłuż ściany stało niewiele książek, dawno napoczętych przez termity i białe mrówki. Baker był zajęty lekturą jakiegoś listu.

Później zmiął kartkę i z przekleństwem na ustach rzucił białą papierową kulę na podłogę.

– Baker efendi, co się stało? – zapytał.

– Zdaje się, że angielskie ekspedycje do krainy niewolników nie są zbyt mile widziane, na razie wszystko na to wskazuje.

Nawet gubernator Chartumu Moosa Pascha robi co w jego mocy, by uniemożliwić mi wyjazd!

Saad pokręcił głową.

– Tam, gdzie Turek postawi swoją stopę, ziemia przestaje rodzić, to nasze arabskie powiedzenie.

Florence uniosła wzrok znad robótki i popatrzyła na Sama.

Oboje milczeli, ale Saad wyczuł, że doskonale rozumieli się bez słów.

Naturalnie, że nie chciano dopuścić do jego wyjazdu, bo

kimże innym mógł być jak nie szpiegiem Jej Królewskiej Mości.

Nawet Saad przyłapał się na podobnej myśli. Niemożliwe, żeby mężczyzna nie był zainteresowany zdobyciem niewolników ani

kości słoniowej! Źródło Nilu. Po co go szukał? Jakie korzyści mogło mu to przynieść?

„Biedny Baker efendi. Nie będzie mógł wyruszyć w swoją

podróż” – pomyślał, przyglądając się, jak jego nowy pan, siedząc przy składanym stoliku w południowym słońcu Chartumu, wciąż najmuje nowych ludzi. Saad uderzał w bęben, wybierając marszowy rytm. Aż przykro było patrzeć, jak te fajłapy potykały się o własne nogi. Wyraźnie widział, że po spływających potem głowach tych niezdarnych ludzi już teraz krążyły myśli o buncie i mordach. Na wyprawie chwytanie niewolników ani rabowanie była nie

wchodziło w grę. Dobrze o tym wiedzieli. „Może i lepiej, jeśli efendi i *sitt* nigdy nie będą mogli opuścić Chartumu – doszedł do wniosku Saad. – Kto wie, być może to, że nawet Moosa Pascha, gubernator miasta, był przeciwny ich planom, wyjdzie im w

efekcie na zdrowie”.

Sam rzucił okiem na podane przez mężczyznę papiery. Jego

ramiona były tak czarne, że dostrzegł na nich granatowy blask.

Miał długie kończyny, bardzo długie. Pod skórą, której gładkość podkreślały liczne rytualne blizny, przeżyły się silne mięśnie.

Pobieżnie przejrzał list polecający olbrzymia, podstemplowany przez niemiecką misję w Aleksandrii.

– Tam się wychowałeś? – zapytał mężczyznę. – W

Aleksandrii?

Olbrzym potwierdził skinieniem. Jego oczy patrzyły spokojnie na Sama. Był tak potężny, że ramionami przykrył słońce.

Wokół zarysu jego ciała utworzyła się jasna poświata, a na jej tle skóra giganta lśniła jak czarny aksamit. Obecność jego nagiego ciała wywołała bojaźliwą ciszę w szeregach stojących za nim mężczyzn.

– Jak się nazywasz?

– Richaarn – odpowiedział mężczyzna głosem przypominającym dźwięk żelaznej tarki.

Sam jeszcze nigdy nie widział czarnego, który byłby do niego podobny. Musiał pochodzić z innej części Afryki.

– Skąd pochodzisz? Co potrafisz? – zapytał Sam, chociaż podjął już decyzję.

Richaarn uczynił ręką nieokreślony gest, wskazując ku zachodowi, gdzie słońce zaczęło się powoli skłaniać za horyzont.

Następnie roześmiał się i podrapał po wygolonej łysinie. Skóra na jego głowie odbijała światło. Miał białe, lśniące zęby. Na końcach były opiłowane, jak kły lwa. Gdy mówił, na jego policzkach i skroniach unosiły się i opadały liczne klinowate blizny.

– Potrafię wszystko, czego potrzebujesz, efendi. Gotować, czyścić broń. Umiem prowadzić konie i jeździć na wołach.

Umiem strzelać i rzucać nożem. Umiem odczytywać ślady i przepowiadać pogodę. Potrafię wszystko i wszystko już robiłem – oznajmił i chwilę się zastanowił. – Gdyby wszyscy umarli,

Richaarn będzie nadal żył.

Sam przyjrzał się bliznom pokrywającym twarz i ciało

mężczyzny. Wiedział, że te liczne małe nacięcia zrobiono mu w dzieciństwie, że natarto je popiołem, aż się rozogniły, a później wygoiły w formie niewielkich wzgórków na skórze. Wiedział, że mały wówczas Richaarn musiał stłumić w sobie najmniejszy jęk bólu.

Sam przycisnął stempel do poduszki, a następnie przyłożył go do dokumentu rekrutacyjnego, na którym zamasyżście napisał „Richaarn”.

– Idź do Saada, niech ci wypłaci z kasy żołd za pięć miesięcy z góry – powiedział. – Liczę na twoją wierną służbę, jak wszystko się zacznie.

– Możesz na mnie polegać, efendi. Od dziś moje życie jest twoim życiem, a twoje życie jest moim.

Jego arabski brzmiał surowo i niewprawnie.

Sam odprowadzał go wzrokiem. Widział, jak masywne, nagie

ciało Richaarna się pochyliło, by podnieść dzidę i tarczę. Przy tym ruchu umocowana wokół jego szyi krótka rzemienna opaska z

zawieszka w kształcie krzyża zsunęła się do przodu. Na metalu załamały się promienie słońca i krzyż zaczął błyszczeć. „Cóż za niespotykana mieszanka” – pomyślał Sam. Jednocześnie miał

pewność, że znalazł odpowiedniego człowieka.

Zobaczył, że Saad otworzył kasetkę ze złotem i zaczął

odliczać monety, kładąc je na dłoni Richaarna.

– Następny! – zawołał Sam.

Do przodu wysunął się ponury Arab.

– Nazwisko? – spytał Sam, podnosząc pióro.

– Bellal, efendi – odparł ten bez uśmiechu i splunął. Jego

ślina była czerwona od soku orzecha betelowego, który przeżuwał

w ustach.

Florence podniosła głowę, gdy Sam wszedł do pokoju. Było

późne popołudnie, ucichły odgłosy dochodzące z frontowego

dzielnica domu. Nie było słyhać głosów mężczyzn, którzy się przedstawiali, Saada, nieustannie uderzającego w bęben, kroków, które powinny były przyjąć jeden rytm, ale w żaden sposób im się to nie udawało, okrzyków Sama i jego rozkazów. „Szybkim

krokiem, marsz!” I tak w kółko, do upadłego. Zastanawiała się, z ilu łotrów i drobnych złodziejasków

próbował dziś zrobić

dzielnych żołnierzy, członków ekspedycji.

Siedziała przy biurku Pethericka. Saad znalazł do niego klucz w którejś z kuchennych skrzyń.

– A gdzie indziej można ukryć klucz? – uśmiechnął się

sprytnie chłopak, wyciągając dłoń i podając jej kawałek metalu ubrudzony mąką.

Florence rozwinęła przed sobą mapy, które miały jej wskazać drogę do Gondokoro. W miejscu terenów położonych po drugiej stronie miasta była biała plama, na której oznaczono zarys

domniemanych górskich łańcuchów i przypuszczalnego biegu

rzeki. Zmarszczyła czoło, myśląc o trudach czekających ich w ciągu najbliższych miesięcy, a może nawet lat. Między brwiami poczuła dotyk ust Sama, krótki i dodający otuchy.

– Jak ci dziś poszło? Ilu ludzi udało ci się zwerbować? –

zapytała.

Sam wzruszył ramionami i podszedł do niskiego

drewnianego wózka, na którym ustawiono w karafkach whisky i gin. Otworzył whisky, nalał trochę do szklanki, uzupełniając jej zawartość odrobiną letniej wody.

– Uff, dobrze mi to robi. Mam jedną świetną zdobycz, a jeśli chodzi o resztę, to czas pokaże. Jeden z nich nazywa się Bellal, temu należałoby zaraz z rana na wszelki wypadek wymierzyć

dziesięć batów. Jeszcze przed śniadaniem.

– W takim razie dlaczego go przyjąłeś?

– Na bezrybiu i rak ryba. – Wzruszył ramionami. – Jeżeli

nauczy się maszerować, nie będzie może aż tak źle. Ale w

przeciwnym razie jestem pewien, że Bellal narobi nam kłopotów.

Odwrócił się do niej.

– Czy masz ochotę na whisky według mojej receptury?

Skinęła twierdząco.

– A jak się nazywa twoja nowa zdobycz?

– Richaarn.

Po ponad sześciu miesiącach spędzonych w Chartumie

nadszedł wreszcie długo wyczekiwany moment. Baker efendi

zebrał trzy łodzie, które z czterdziestoma marynarzami na

pokładzie miały pożeglować w górę Nilu, w kierunku licznych odnóg rzeki, zamkniętych wśród niezmiernych bagien

podmokłego, zalewowego obszaru, zwanego *suddem*. Oprócz marynarzy Sam dodatkowo zatrudnił tyluż żołnierzy i trochę

służących. W sumie na statkach było stu ludzi, dwadzieścia jeden osłów, cztery wielbłądy i cztery konie.

Ponadto załadowano

jeszcze czterysta worków ziarna.

– Po co aż tyle, efendi? – spytał go Saad. – Każdy z

mężczyzn potrzebuje jednego podpłomyka na posiłek. Proszę ich tak nie rozpieszczać, inaczej podróż szybko stanie się dla nich zabawą i przestaną pracować. Proszę mi wierzyć, znam ich!

– Cóż za doskonała rada. Może ludziom nie będzie potrzeba

tyle chleba, ale mam nadzieję, że w Gondokoro uda mi się spotkać dwóch innych mężczyzn. Nazywają się Speke i Grant. Uwierz mi, będą niezwykle głodni. Potrzebuję ziarna dla naszej ekipy i dla nich, nawet jeśli spotkamy Pethericka, chociaż nie mam zielonego pojęcia, gdzie on się podziewa.

Saad skinął, niezupełnie rozumiejąc sens słów swojego pana.

Czego Baker efendi pragnął? Odnaleźć źródło Nilu czy dokarmiać jakichś obcych?

Baker efendi i *sitt* osobiście doglądali każdego szczegółu przygotowań. Od produkcji siodła po wybór zwierząt, od wschodu do zachodu słońca oboje byli na nogach.

– W następny piątek wyruszamy, Saad. Dziewiętnasty

grudnia przejdzie do historii – powiedział do Saada Sam.

Chłopak pokręcił głową.

– W piątek, efendi? Nigdy. Ten dzień to najgorszy omen. Każ postawić żagle w czwartek.

Sam się zawahał. Saad wiedział, jak bardzo drażliwy stał się ostatnio efendi. W każdym sprzeciwie dopatrywał się podstęp.

Saad wysunął do przodu rękę, odsłaniając białą wewnętrzną stronę dłoni. Był szczery i Baker powinien mieć do niego zaufanie.

Florence się uśmiechnęła i przejechała dłonią po wełnistych włosach Saada. Chłopak zauważył, jak patrzyła na jasne wnętrze jego dłoni, jakby widziała tam więcej niż tylko jego skórę.

– W takim razie niech do historii przejdzie czwartek

osiemnastego grudnia. Tego dnia Sam i Florence Baker razem z młodym Saadem wyruszą do serca Afryki, by odnaleźć źródło Nilu

– zdecydowała. – Od tego dnia niestraszna nam będzie śmierć ani demony.

Saad roześmiał się i kiwnął z aprobatą głową. „Niech Allah

ma nas w swej opiece – pomyślał. – Tych dwoje dobrych ludzi nie ma pojęcia, co ich tam czeka. Muszę się nimi opiekować.

Szczególnie moją *sitt*”. Nie zapomniał, jak Amabile del Bono patrzył na nią tego ranka, gdy przybyli do Chartumu.

Nie, nigdy tego nie zapomni, poprawił się.

Przecież *sitt* nie miała pojęcia, jakim człowiekiem był

Amabile del Bono.

W dniu odjazdu żagle wypełniała świeża bryza. Nabrzeże

było czarne od ludzi, którzy zeszli się, by popatrzeć na wyjazd szalonego efendiego. Saada rozpierała duma. „Jestem jednym z szaleńców podróżujących razem z nim, zostałem wybrany przez Allaha” –

pomyślał. Jednocześnie razem z innymi dziwił się

osobliwemu strojowi Sama. Zamiast spodni miał na sobie

niebiesko-zieloną spódnicę spiętą klamrą na wysokości lędźwi.

Pośrodku wisiała na pasie niewielka skórzana torba myśliwska.

Mimo panującego ciepła włożył wełniane podkolanówki, spod

których w okolicy kolana wystawała rękojeść noża. Skórę na

nogach miał zaczerwienioną i spuchniętą od ukąszeń owadów, ale efendi nie zwracał na to uwagi i stał

wyprostowany przy relingu.

Na jego widok ludzie zebrani na nabrzeżu zaczęli się jeszcze głośniej śmiać i nawoływać. Saad podniósł

wysoko głowę. Ubranie Sama musiało być odświętnym strojem jego plemienia, inaczej chłopak nie potrafił sobie tego wytłumaczyć.

Trapy były jeszcze spuszczone i rodziny żegnały się z mężczyznami. Jakiś ojciec nie chciał pozwolić synowi, by popłynął statkiem jako chłopiec okrętowy, aż ten w końcu złapał za pejcz Sama i odezwał się do niego błagalnie:

– Baker efendi, wygoń go, inaczej nigdy nie ruszymy się z miejsca!

Wszyscy ludzie byli już na łodzi, do tego cztery wielbłądy, sześć osłów, pięć kóz i dziesięć kur, bezpiecznie schowanych pod pokładem. Marynarze siedzieli na deskach poszycia burt, opierali się o reling i zabierali się do lin. Ballal nie robił nic, tylko się przyglądał.

Baker efendi uniósł rękę. Na nabrzeżu zobaczyli kilka

chusteczek. Należały do grupki białych ludzi, z którymi Sam i Florence utrzymywali kontakty. Cała reszta trzymała się od nich z dala. Przyjaciele i rodziny marynarzy wydawali z siebie gardłowe okrzyki, podnosząc do góry maczugi i maczety i wymachując

nimi. Mężczyźni trzymali nad głową strzelby. Rozległ się huk wystrzałów i duszne portowe powietrze nasyciło się dymem.

Kobiety wybuchły pożegnalnym krzykiem Arabek. Wyciągnęły

usta w dzióbki i uderzały w nie wyprostowanymi dłońmi. Ich

języki poruszały się szybciej niż skrzydła kolibra. Ich lament przeszywał do szpiku kości. Saad zakrył

rękami uszy i zrobił minę do Florence, którą odwzajemnił Wallady, siedzący na jej ramieniu.

Jednocześnie nasza go refleksja. „Ciekawe, czy moja matka

plakała, gdy zobaczyła, że mnie porwali. Czy czasami jeszcze o mnie myśli? Wieczorem, gdy zapędzają kozy z powrotem do

domu?”

Odwrócił głowę w bok. Za nimi obok nabrzeża przepływała

barka. Zobaczył jasne żagle i widział marynarzy skaczących wokół

steru. Zdawało się, że mieli jeszcze długą drogę przed sobą, nim dobiją do portu. Krzyki na nabrzeżu stawały się coraz głośniejsze i ostrzejsze. Saad wychwycił w nich entuzjazm, którego nie potrafił

sobie wytłumaczyć.

– Konie się spłoszą – roześmiał się Sam. – Odwiązać cumy,

podnieść kotwicę!

Tymczasem łodzią wstrząsnęło niespodziewane uderzenie.

Trzasnęły wiosła i pękł maszt. Florence wpadła na Sama,

który ją złapał. Saad na szczęście przytrzymał się relingu, inaczej wypadłby głową w dół do mulistego Nilu.

Chłopak się odwrócił.

– Co się stało?

Tuż obok „Diahbiah” z dwoma wygodnymi kabinami stała

łódź, którą Saad uprzednio widział na wodzie. Należała do Moosy Paschy, gubernatora Chartumu, kapitan zaś rzucił właśnie kotwicę, zagradzając Samowi drogę. Saad rozpoznał posła Paschy, który energicznym krokiem przeszedł ze swojego statku na statek Sama.

Sam oparł ręce na biodrach.

– Macie zgodę na wejście na pokład?! Człowieku, co pan

wyprawia? – zawołał.

Posel, przewyższający o głowę nawet Sama, odezwał się:

– Baker efendi! Przysyła mnie Moosa Pascha. Zapomniał pan

zapłacić podatku od wyjścia z portu! – wyszczerzył zęby w

szyderyczym uśmiechu i pomachał do Sama jakimś papierem, który trzymał w ręku.

– Podatek od wyjścia z portu? – odkrzyknął Sam, krzyżując

ręce na piersi. – Co to za podatek, do diaska?

– Miesięczne wynagrodzenie od głowy. Przychodzę jako

poborca. Jeśli pan nie zapłaci, będę musiał zająć towary i

zwierzęta, a może nawet łodzie, Baker efendi – roześmiał się ponownie.

Sam przeszedł na drugą stronę pokładu. Odsunął na bok

Bellalą, który stał mu na drodze. Podszedł do burty i przysiadł na relingu, czekając na dalszy rozwój wydarzeń. Pozostali mężczyźni poszli za nim. Skupili się wokół Bellalą, Saad wyraźnie to

zauważył. Z uniesionymi ramionami podobni byli do ścierwników wietrzących świeżą zdobycz i cierpliwie czekających na swoją kolejkę. Może do tego nie dojdzie. Z Moosą Paschą i jego

poborcami podatkowymi nie było żartów.

Saad wyciągnął szyję. Co efendi zamierzał teraz zrobić?

Nim mężczyzna zdążył coś jeszcze powiedzieć, Sam

zamachnął się i zadał mu pięścią cios w szczękę. Jeden, a później jeszcze jeden. Mężczyzna poleciał do tyłu i upadł na deski

pokładu, trzymając się za brodę.

Na nabrzeżu rozległy się śmiechy i okrzyki. Saad wiedział,

że odjazd Bakera efendiego stał się dla gapiów o wiele bardziej ekscytujący, niż oczekiwali. O ile oczywiście odjazd dojdzie do skutku. Zobaczył, że Sam stanął nad mężczyzną na rozstawionych nogach i rozwinął korbacz, który zawsze nosił u pasa.

– Połamałeś mi wiosła. Bez wiosła nie zdołam odbić od

brzegu ani popłynąć w górę Nilu. Daję tobie i twoim ludziom pół

godziny na zastąpienie naszych wiosła waszymi – oznajmił.

– Nigdy. Moosa Pascha wydał inne rozkazy – odrzekł poseł.

– W takim razie będziesz mógł pozdrowić Moose Paschę z

wierzchołka masztu, do którego cię przywiążę! – odparł efendi, niezbyt delikatnie pomagając mężczyźnie wstać na nogi i ciągnąc go na środek „Diahbiah”.

– Stop! Stop! W porządku.

Posłaniec odwrócił się w stronę swojego statku.

– Ludzie! Wymiana wiosła!

Saad widział, że Sam zwrócił się do swoich podwładnych.

Czy Baker efendi zauważył, że żaden z nich nie przyszedł mu z pomocą?

Szybko popatrzył na *sitt*. Z jej twarzy wyczytał, że ona to spostrzegła. Czy efendi miał pojęcie, jakich oszustów i zabijaków zabrał z sobą w podróż? Tymi mężczyznami nie powodowała chęć przeżycia przygody, Saad doskonale zdawał sobie z tego sprawę, byli żądni niewolników i kości słoniowej. Przy naborze Sam

wyraźnie zabronił im handlu jednym i drugim. Niemniej jednak na miejscu, w Gondokoro, zapanują zupełnie inne zasady niż te, które Baker efendi mógłby sobie kiedykolwiek wyobrazić! W

Gondokoro od samego rana słyhać było więcej wystrzałów niż śpiewu ptaków.

Usłyszał rozkaz Sama:

– Wciągnijcie angielską flagę! Płynę w imieniu Jej

Królewskiej Mości i tylko od królowej przyjmuję rozkazy! No, ruszać się, szybko, szybko!

Saad się roześmiał, gdy flaga załopotała na nasyconym

głębokim błękitem niebie Chartumu. Wiatr pobudził ją do życia.

Wiosła opuściły się na wodę i łódź się poruszyła. Odbili od kei.

Saad wiwatował. Okrzyki same wyrywały się z jego gardła.

Miał przed sobą nowe życie, nieważne, jak krótkie miałoby ono być. Wallady uwolnił się z objęć Florence i tańczył koło Saada na deskach.

Saad spojrział w dół na nabrzeże, od którego „Diahbiah”

leniwie się oddalała. Wiwaty utknęły mu w krtani, bo w cieniu domku celników rozpoznał mężczyznę opartego o ścianę, w

śnieżnobiałym kaftanie i starannie udrapowanym na głowie

turbanie. To był Mohammed Her, prawa ręka Amabile del Bona.

Saad wiedział, że matka Mohammeda Hera była Arabką, a

ojciec Turkiem. „To tłumaczy jego urodziwy wygląd i zły

charakter” – pomyślał chłopak.

Saad chciał właśnie odejść od relingu, gdy Mohammed Her

podniósł głowę. Ich oczy się spotkały. Mohammed Her uśmiechnął

się drwiąco i z wyraźną przyjemnością przeciągnął płaską dłonią po gardle. Później wskazał ręką Saada i splunął.

Saad wahał się przez chwilę.

Wiedział, że Amabile del Bono dobre cztery miesiące temu

wyruszył z kolejną ekspedycją na tereny leżące za Gondokoro.

Maltańczyk nie zapominał ani o nim, ani o spotkaniu z Florence w domu Pethericka, tego mógł być pewien. Nadal mieli

niezałatwione porachunki. Amabile nie zapominał o niczym ani o nikim.

Następnie Saad zrobił coś, co od dawna miał ochotę uczynić.

Otworzył usta i wystawił Mohammedowi Herowi język tak daleko, jak tylko mógł. Dodatkowo z widoczną przyjemnością wsadził

kciuki do uszu i pomachał rozczapierzonymi palcami. Później odwrócił się, nie zwracając na Turka najmniejszej uwagi. Wallady początkowo stanął na rękach na relingu, a potem wystawił do Mohammeda Hera i całego Chartumu porośnięte sierścią siedzenie.

Wymienione wiosła zanurzyły się w wodzie, a do ich drewna

pryczepiły się pierwsze pnącza, wiatr mógł wreszcie wydać żagle i w końcu zabezpieczono podniesioną kotwicę. Saad, stojąc z Richaarnem na dziobie, patrzył przed siebie, w górę Białego Nilu.

Poczuł ogromną dumę. „Tak, jestem jednym z szaleńców

podróżujących z Bakerem efendim i moją *sitt* – pomyślał. – W

samo serce parujących gorączką bagien Nilu, naprzeciw

śmiertelnym niebezpieczeństwom Gondokoro i wszystkiemu, co

czeka na nas po drugiej stronie tego piekła. Zostałem wybrany przez Allaha, by jej strzec. Mojej *sitt*”.

Richaarn otoczył Saada ramieniem, a chłopak odwzajemnił uścisk. Byli teraz braćmi.

Pelikan z szeroko rozłożonymi skrzydłami zniżył się nad pokład i przysiadł na relingu. „Pelikan oznacza szczęście – uznał Saad. – To dobry omen na początek podróży. Wszyscy wrócimy żywi.

Wszyscy”.

Tymczasem „Diahbiah” oddała salwę burtową. Saad pobiegł

na drugą stronę relingu, która zwróciła się w stronę Białego Nilu.

Przed sobą mieli zakole rzeki, gdzie z wody wystawały dwa

potężne, skręcone z sobą pnie tamaryndowca. Stanowiły miejsce spotkania łodzi płynących wspólnie w górę rzeki.

Kogo pozdrawiał efendi?

W pewnym oddaleniu od nich, po drugiej stronie pni, jakiś

mniejszy parowiec odpowiedział na wystrzeloną salwę. Saad

usłyszał śmiech Sama i Florence.

– To van Capellanowie! – zawołała Florence. – Wracają z

Gondokoro.

Parowiec się przybliżył, całą siłą swych napędzanych parą

kół parł przez płataninę pnączy kłębiących się w wodzie. Palczaste macki zielonych wodorostów chwyciły za śrubę.

Na pokładzie widać było białe powiewające chustki. Sam

skierował „Diahbiah” bliżej parowca. Teraz na deskach statku wyraźnie zobaczyli baronową van Capellan i jej córkę Tinne. Obie miały na sobie duże słomiane kapelusze, poranne suknie z

koronkowymi kołnierzykami i rękawiczki.

Sam przyłożył do ust zwinięte w trąbkę dłonie i zawołał do

nich:

– Ahoj! Ladies, jak przebiegła podróż?

Statki zatrzymały się blisko siebie. Saad zauważył, że damy były całe pokąsane przez moskity. Dostrzegł błysk ich oczu i biały welon potu pokrywający skórę, która przybrała barwę popiołu.

Dojrzał to, czego nikt nie chciał widzieć. W ich twarzach czaiła się śmierć.

– Och, mister Baker! Bardziej przerażającego miejsca od

Gondokoro nie ma chyba na całym świecie – zawołała Tinne, z całej siły przekrzykując hałas maszynarii parowca.

Florence wychyliła się przez reling.

– Gdzie jest doktor Steudner? A państwa rysownik? –

usłyszał Saad jej pytanie.

Tinne wskazała przez ramię w kierunku kabin parowca.

– Obaj są bardziej chorzy od nas. Jeśli Bóg pozwoli, ujrzą

jeszcze wieczór dzisiejszego dnia. Niech Bóg ma w opiece ich dusze. Wtedy będziemy mogli przynajmniej pochować ich w

Chartumie!

Sam kazał wystrzelić w powietrze jeszcze jedną salwę

burtową. Damy ponownie pomachały chustkami. Ich gesty miały w sobie coś rozpaczliwego, jakby prośbę o przebaczenie. Saad widział, że obie mocno trzymają się relingu, najwidoczniej trudno im było

ustać na nogach.

„Gorączka – pomyślał. – Z dwiema kobietami takimi jak one choroba rozprawia się z łatwością”. W rzece czyhała śmierć.

Odwrócił się ku drugiej stronie „Diahbiah”. Jego oczy

przeszukiwały wodę i dryfujące w niej wysepki z mułu i roślin, ale nadaremnie. Pelikan znikł.

„W tej rzece czai się śmierć – pomyślała Florence, patrząc w wodę Białego Nilu. – Już blisko pięćdziesiąt dni monotonnej żeglugi, niezmiennie wzdłuż płaskiego, bagnistego brzegu

porośniętego kolczastymi krzewami”. Zerknęła na młodzieńczego chłopca okrętowego, który kawałek dalej, przycupnąwszy na

relingu, zajęty był rzeźbieniem. W ręku trzymał kawałek steatytu, któremu próbował nadać kształt żółwia.

Z uwagą skrobał miękki kamień. Wiatr zabierał z sobą okrawki. Od czasu do czasu chłopiec odkładał nóż i starannie polerował kamień rąbkiem swojej koszuli.

Roześmiał się.

– Ależ się cieszę, że ojciec mi pozwolił z wami jechać!

Florence się uśmiechnęła, znów patrząc na wodę przed dziobem.

Łodziom towarzyszyły hipopotamy i krokodyle. Czasami

wśród fal otulonych dywanami utkanymi z gęsto splecionych

roślin dostrzegała jakieś wygłodniałe oko, błyskające z nadzieją w jej kierunku.

Z bagnistych odnóg spływały niesione wodą nabrzmiałe

korpusy ludzi i zwierząt, cierpliwie spławiane z biegiem rzeki przez splątane pnącza.

Wiezorami po zapadnięciu szarówki z przybrzeżnej skarpy

podnosiła się ciemna ściana moskitów, przesuwająca się w stronę łodzi. Florence i Sam wycofywali się wtedy do swojej kabiny, starając się szczelnie okryć nogi i ręce.

Na samą myśl o tych owadach znów zrobiło jej się słabo i

poczuła, jak na czoło występuje jej warstwa potu. Miała zimną skórę.

Zdawało się, że gorączka nie ma zamiaru jej opuścić.

Obejrzała swoje ręce. Były pokryte czerwonymi śladami po

ukąszeniach, podobnie jak skóra jej ramion, twarzy i pleców. Przed moskitami nie było ucieczki, jeśli nie robiło się tego, co tubylcy zamieszkujący brzegi rzeki. Układali sterty z krowiego gnoju i podpalali je.

Wprawdzie ludzie i zwierzęta żyli bez przerwy w oparach dymu, ale mieli ochronę przed gorączką.

Florence powiodła wzrokiem po brzegu. Na wzniesieniu

powyżej skarpy stał młody wojownik. Jego nagie ciało

nasmarowane ochrą i tłuszczem błyszczało w promieniach

późnego popołudniowego słońca. Do piersi miał przytroczoną

maczugę z hebanowego drewna i mały stołeczek podobny do tych, jakie zawsze nosili z sobą pasterze.

Stołek służył im do siedzenia przy ognisku, a później jako oparcie dla pleców podczas snu.

Mężczyzna na wzgórzu stał na jednej nodze, drugą zaś miał

podwiniętą i wspierał się na oszczepie, długim co najmniej na trzy metry. Jakże pięknie wyglądał! Dziko, a jednocześnie obojętnie, skonstatowała Florence. Może właśnie te cechy pozwalają im

przeżyć: obojętność, pogodzenie z losem, nieskończoność.

„Rzeka gotuje nam wszystkim śmierć, nieważne, czy

jesteśmy czarni, biali czy brązowi. Przynajmniej w tej jednej kwestii jest sprawiedliwa” – doszła do wniosku, wracając

wzrokiem do tafli stęchłej wody rozcinanej przez dziób łodzi. Sam miał rację. Na stan rzeki musiały wpływać deszcze padające

daleko na południu, woda sięgała bowiem o wiele wyżej brzegów porośniętych niskimi, jałowymi chaszczami, niż w Chartumie, gdzie nurt mieszał się z czystym Białym Nilem. W tym miejscu jej poziom regulowało źródło i woda z deszczów, którą koryto było w stanie przyjąć i skierować w dalszy bieg.

Czy naprawdę rzeka wypływała z wielkiego jeziora?

Florence przypomniała sobie Balaton na Węgrzech, gdzie na

brzegu stał dom jej rodziców. Wydawał się bezkresny. Nigdy nie zapomniała szumu, z jakim drobne fale jeziora lizały palce jej stóp.

Tymczasem w Afryce wszystko było nieskończenie większe i

rozleglejsze od każdej rzeczy, jaką w życiu widziała. Czy jezioro mogło wyglądać jak morze? Czy Speke je odnalazł? Czy tu, w

Gondokoro, mieli spotkać Speke'a i Granta? Czy ambicja Sama będzie musiała stoczyć walkę z lojalnością wobec ojczyzny?

Florence sięgnęła do kieszeni spodni i znalazła to, czego szukała.

Na jej dłoni leżały trzy wstęgi: biała, zielona i czerwona. Kupiła je na bazarze w Konstantynopolu.

Mocno zacisnęła palce wokół

barwnych wstążek, po czym starannie je zwinęła i wsunęła z

powrotem do kieszeni. Gdy nadejdzie odpowiedni moment,

wówczas wyjmie swoje skarby. Wtedy widok jeziora, które

zamierzali odnaleźć, zastąpi jej w pamięci wspomnienie

wszystkich innych wód. Jej ojczyzną był Sam i nic poza tym.

Sam stał przy burcie „Diahbiah” wychylony przez reling.

Poklepał Saada po ramieniu i wskazał przed siebie. Florence usłyszała jego wołanie:

– Góry! Góry! Ludzie, to Gondokoro! Chwytajcie za liny!

Rzeczywiście. Wśród parujących, tętniących tajemniczym

życiem lasów wyłonił się zielony, ostry szczyt. Ani chybi góra Lardo. Dotarli do Gondokoro!

Florence uśmiechnęła się do chłopca okrętowego, który

odłożył na reling swoją rzeźbę ze steatytu. Zaczął klaskać w dłonie... Otworzył usta jakby do śpiewu, lecz nim zdążył wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, na brzegu rozległ się huk wystrzału.

Później Florence nie była pewna, czy najpierw usłyszała

strzał, czy już przedtem jego głowa rozprysła się na tysiąc kawałków.

Krzyknęła, gdy bryzgnęła na nią krew, okruchy kości i

kawałki mózgowej masy. Ciało chłopca na chwilę znieruchomiało na relingu, następnie przechyliło się w bok i osunęło do rzeki, gdzie natychmiast dopadły je dwa czy trzy krokodyle. Widziała, jak biły w wodę potężnymi ogonami, tworząc na powierzchni szarą pianę. Richaarn przypadł do niej jednym susem, chwycił za ramię i odciągnął do tyłu, pod osłonę relingu. Przycisnął ją do pokładu i niczym bastion asekurował własnym ciałem. Kto chciał zabić *sitt*, musiał najpierw zabić Richaarna, rozumiała Florence.

– Co to było? Kto to zrobił? – pytała, próbując unieść głowę, lecz Richaarn położył rękę na jej włosach i przytrzymał jej twarz przy deskach pokładu. Nie miała odwagi się poruszyć.

– Jeszcze nie, *sitt*. Poczekaj, aż odpłyniemy trochę dalej –

wyjaśnił po cichu. Zrozumiała, że nie znał odpowiedzi na jej pytanie. Odwrócił głowę do Saada, który kucnął obok Florence. Na jego twarzy zobaczyła łzy, które ścierał wilgotną szmatką. Dopiero po kilku minutach odzyskał głos. Chłopiec okrętowy i Richaarn byli jego jedynymi przyjaciółmi na łodzi.

– Kto to był? – spytała jeszcze raz.

Richaarn delikatnie zwolnił uścisk przytrzymujący jej głowę.

Usiadła obok niego. Wytarła z twarzy łzy pomieszane z krwią.

Richaarn zabrał się do szorowania pokładu.

Wzruszył ramionami i wyjął moką, zakrwawioną szmatę.

– Nikt albo wszyscy. Witamy w Gondokoro. Śmierć jest tutaj

zaliczana do sportów – odparł i wstał, kierując się w stronę kambuza. Zwiesił głowę i Florence zauważyła, że zaczął płakać.

Podszedł Sam i ukląkł przy niej. Przyciągnął ją do siebie, a ona schowała twarz w jego koszuli. Materiał pachniał kurzem i potem.

– O mój Boże – wyszeptał, dotykając ustami jej włosów. –

Gdyby trafił ciebie! Gdyby cię trafił! Zastrzeliłbym się.

Wsunęła twarz głębiej w jego koszulę i wybuchła płaczem,

szczerym płaczem. Gdyby to ją trafił? Nie czuła strachu na tę myśl.

Ale co by się stało, gdyby trafił Sama? Cóż mogło być

bardziej na rękę handlarzom z Gondokoro niż przypadkowa śmierć natrętnego Anglika, który swą podróżą mógłby im utrudnić

kwitnący handel? Co by się z nią stało, tu, w Afryce? Nie byłaby nawet wdową po nim.

Zmitygowała się, popatrzyła na Sama i ujęła w dłonie jego

twarz.

– Gdzie ty, tam i ja – powiedziała, siłą opanowując drżenie głosu.

Skinął. Przytulili do siebie głowy, a wokół nich

rozbrzmiewały wystrzały. Mężczyźni jedną ręką trzymali w

powietrzu broń, zamykali oczy i naciskali spusty, nie zważając, w co celowały lufy ich strzelb. Strzelali na wiwat, z radości na widok góry Lardo. Sam rozkasłał się od dymu, a Florence usłyszała ryk któregoś z osłów, śmiertelnie zranionego kulą. Za chwilę żałośnie zabeczała owca.

Nie było wątpliwości, dopływali do Gondokoro. Wystrzały

stanowiły jeden z języków używanych przez tutejszą ludność obok arabskiego, tureckiego, oromo i dinka.

Sam odchylił głowę.

– Opuścić broń. Oszczędzajcie amunicję. Dziś wieczorem

będzie grog dla wszystkich! Przybijemy na noc do misji

Austriaków. Kurs na misję Saint Croix! – krzyknął.

Florence podniosła głowę w poszukiwaniu Saada.

Ale chłopaka nigdzie nie było widać.

Misja Saint Croix składała się z jakichś dwudziestu chat

wzniesionych na planie otwartego koła na suchym kawałku ziemi.

Kościół był zaledwie zwykłą chatą, ale podłoga w środku była starannie zamieciona. Chrystusa na krzyżu wycięto z hebanowego drzewa. Przypominał wojownika z plemienia Bari. Wznosił

udręczone oczy w stronę skrawków jasnego afrykańskiego nieba, widocznego przez otwory w dachu chaty. Na palcach jego stóp pracowite termity kończyły właśnie swoje żmudne dzieło.

Zapewne wkrótce pożrą go całego, a rzeźba zamieni się w pył, trochę więcej kurzu.

Florence siedziała na niskim stołku przed jedną z chat. W

ręku trzymała wyciosany z drewna kubek napełniony herbatą z rumem. Już sam letni dotyk napoju na skórze poprawił jej

samopoczucie, a przecież nie zdążyła go jeszcze spróbować.

Nie miała specjalnego apetytu na grog, nie potrafiła bowiem oderwać wzroku od nagiej łydki gospodarza. Pan Morlang,

przełożony misji, siedział naprzeciwko niej, między Samem a Turkiem o imieniu Koorshid Aga. Znad brzegu kubka przyglądała się ukradkiem Koorshidowi Adze. Sposób, w jaki haftowana

dżubba opinała się na jego brzuchu, przywodził jej na myśl

Sulejmana, podobnie jak szybkie spojrzenie, którym ogarnął jej postać, sposób, w jaki patrzył, a mimo to nie patrzył. Niemniej jednak wydawał się sympatyczniejszy i bardziej zrównoważony niż Sulejman w

momentach największego opanowania. Koorshid

Aga pochylił się w stronę Sama, który właśnie przypalał mu

trzecią fajkę w ciągu ostatniej godziny. Turek się zaciągnął i wypuścił kółka dymu w blade wieczorne niebo. Następnie się

zreflektował i zaproponował fajkę Morlangowi. Jego zastępca Ibrahim, stojący za jego plecami, natychmiast przygotował drugą fajkę.

Ale Morlang odmówił.

– Z chorą nogą! Doprawdy memu ciału nie potrzeba więcej

trucizny.

Koorshid Aga się roześmiał i obrzucił łydkę oraz stopę

Morlanga współczującym spojrzeniem. Jedna noga gospodarza

była podwinięta, drugą zaś trzymał wyciągniętą przed siebie. Kazał

sobie rozciąć nogawkę do kolana, bo łydka była tak czarna i napuchnięta, że nie mieściła się w żadne ubranie.

– Co się panu przytrafiło? – spytała Florence, przekręcając w dłoniach kubek. Widok był niezwykle odrażający i odebrał jej chęć na kolację.

Morlang wzruszył ramionami i uśmiechnął się gorzko.

– Paskudnie wygląda, prawda? To za sprawą trucizny.

Podszedłem zbyt blisko strzał wojowników z plemienia Bari.

Cholerne dzikusy. Zanurzają ostrza oszczepów w truciźnie

pochodzącej z pewnego drzewa, nie ma na nią odtrutki. Trudno mieć im za złe, że się bronią, zważywszy na to, co w Gondokoro wyprawiają z nimi handlarze.

Spuścił wzrok.

Florence wyczuła, że wolałby nie udzielać jej dokładnych

wyjaśnień.

– Cholerne dzikusy – potwierdził Koorshid Aga i rzucił

okiem na dziedziniec. Następnie poklepał Morlanga po ramieniu. –

Nie lamentuj. Niedługo cię tu nie będzie, Morlang – rzucił. – Dziś rano pan Morlang odsprzedał mi misję

za trzy tysiące piastrów –

poinformował Sama.

Florence przyjrzała się Morlangowi. Jego spadające na

ramiona włosy przeplatały siwe pasma, a przepocone ubranie było niezbyt starannie połatane. Matowy blask w oczach mężczyzny był

spowodowany gorączką i pędzoną z korzeni wódką. Świadczył o tym, że jego właściciel przestał marzyć.

Afryka zrobiła z nim, co chciała. Na koniec sprzedał swoje

życie za trzy tysiące piastrów. Uniosła głowę i napotkała badawczy wzrok Ibrahima.

– Czy naprawdę nie ma żadnego lekarstwa na tę truciznę?

Może mogłabym pomóc? Nasza skrzynia z medykamentami jest

dobrze zaopatrzona – zaoferowała się Florence.

Wyciągnęła szyję w poszukiwaniu Saada. Na miły Bóg,

gdzie ten chłopak się podziewa? Po tym, jak dobili do Saint Croix i Sam ogłosił, że mieli tu przenocować, Saad zapadł się pod ziemię.

Florence zmarszczyła brwi. Skądś dobiegł dźwięk bębna. Na

rękach miała gęsią skórkę, chociaż nie wiedziała z jakiego

powodu.

Morlang pokręcił głową i hojnie nalał sobie do kubka rumu z butelki Sama.

– Proszę sobie nie robić kłopotu, pani Baker. Już za późno.

Mimo wszystko dziękuję za pani propozycję. Za kilka tygodni całe mięso odejdzie od kości i wreszcie będę miał spokój. Wreszcie nie będę musiał powtarzać, że misja się nie powiodła.

Podsunał butelkę Koorshidowi Adze, ale ten odmówił.

– Jaka misja, nawrócenie tubylców?

Florence wyjrzała przelotnie na plac między chatami, gdzie

leżało albo siedziało na niskich stołkach dwudziestu, a może trzydziestu mężczyzn. Rozmawiali, śmiali się i co jakiś czas zerkali na nią, Sama i Morlanga. Byli nadzy, a ich ciała błyszcząły pod warstwą popiołu zmieszanego z tłuszczem, którym smarowali się dla ochrony przed moskitami. Szary kolor jeszcze bardziej podkreślał rytualne blizny na czołach, policzkach i ramionach. W

naniesionej na skórę paście narysowali dodatkowe wzory. Florence zwróciła uwagę na ich bransolety z kolcami, tak ostre jak szpony leopardów. Odwróciła wzrok. Jeśli kiedykolwiek się dziwiła, czemu mężczyźni nosili te ozdoby, to blizny na plecach ich kobiet udzieliły jej odpowiedzi. Kochać żonę znaczyło tu bić ją.

Morlang zaniósł się od śmiechu, aż zachłysnął się swoją lurą.

– Ujajaj, gdzież tam! Nawrócenie! Wolne żarty. W ciągu

dwudziestu lat, jakie tu spędziłem, umierali kolejni bracia misjonarze, nie zdoławszy nawrócić choćby jednej duszyczki.

Wszyscy powinni trafić w ogień piekielny, na nic innego nie zasługują. Mam nadzieję, że będą się smażyć na rozpalonym

tłuszczu jak mielone kotlety! – omal nie zachłysnął się ze śmiechu.

Przekręcił nogę opartą na stołku i stęknął, bo brzuch przeszkadzał

mu się usadowić. – Hm, mielone kotlety najlepiej smakują z

kuflem piwa – zauważył i wrócił do rzeczy. – Ale bądźmy

szczerzy, przecież nie przyjechałem tu, żeby nawracać.

– W takim razie w jakim celu? – zainteresował się Sam.

Florence popatrzyła na niego. Po raz pierwszy włączył się do rozmowy. Morlang uniósł wskazujący palec i wycelował go w

Sama.

– Po co tu jestem? No, panie Baker, proszę zgadnąć.

Oczywiście po to, by donosić cesarzowi, co wy, Anglicy, tutaj wyprawiacie. Jakby Indie wam nie wystarczyły! Przyznajcie się, ostrzycie sobie zęby na Afrykę. I to na cały kontynent! Co was obchodzi Nil, poza tym, że stanowi szlak handlowy?

Sam nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami.

– *In vino veritas* – rzekł cicho.

– To znaczy, że żaden z braci, którzy przybyli do Gondokoro, nie zdołał przeżyć? – chciała wiedzieć Florence.

Morlang zachichotał i znów wyciągnął rękę po rum, ale Sam

go uprzedził. Zakręcił butelkę i wsunął ją za pas. Koorshid Aga wydał odgłos przypominający kaszel, ale równie dobrze mógł on oznaczać tłumiony śmiech.

Morlang wyduł wargi z niezadowolaniem.

– Jest pan gorszy od Maltańczyka, który odwiedził mnie miesiąc temu. Tamten zostawił mi przynajmniej zapasową butelkę.

Amabile, tak mu na imię. Pasuje do niego, chociaż jego ludzie uważają inaczej.

Florence wymieniła z Samem szybkie spojrzenie. Amabile del Bono był tutaj.

– Nie wszyscy bracia umarli. Dwóch jeszcze żyje. Ci dwaj, którzy ostatnio przyjechali z Chartumu. Leżą tam, w lazarecie.

Malaria. Już niedługo – poinformował i wskazał na małą okrągłą budowlę z tak niskim wejściem, że do wnętrza trzeba się było wczołgiwać. Przypominała ptasie gniazdo przykryte strzechą.

Florence wstała.

– Pójdę po kufer z lekarstwami. Saad może mi pomóc obejrzyć chorych.

Koorshid Aga nieznacznie skłonił głowę. Ibrahim, jego prawa ręka, który przez cały czas siedział w kucki za swym panem, popatrzył na nią ponuro. Florence zrozumiała.

Zachowywała się o wiele za swobodnie jak na jego arabski gust.

Nic nie mógł na to poradzić, taki już był. Zauważyła, jak

odprowadził spojrzeniem jakąś wyjątkowo urodziwą dziewczynę z plemienia Bari, która z niemowlęciem przy piersi przykucnęła obok chaty. Może była jego żoną? Florence odwróciła się z powrotem w stronę stołu, a Sam skinął i pochylił się do Morlanga.

– Znamy tego Amabile del Bona. Był tutaj? Kiedy ma zamiar wrócić?

Florence się zatrzymała, chciała usłyszeć odpowiedź

Morlanga. Wyczuła, że jej wahanie nie uszło uwadze Koorshida Agi. Najwidoczniej w Gondokoro chcąc odnosić spektakularne

sukcesy w handlu, nie wolno było niczego przeoczyć.

– A kto nie zna Amabile del Bona? – roześmiał się Koorshid

Aga.

Morlang wzruszył ramionami.

– Wróci, jak będzie miał dość. Gdy zbierze dość

niewolników i kości słoniowej. Ma chyba coś jeszcze do

załatwienia. Opowiadał o dwóch białych mężczyznach, którzy

podobno gdzieś tam podróżują – wskazał w kierunku Lardo i

bezkresnej dali rozciągającej się po drugiej stronie góry. – Pan też musiał o nich słyszeć, Baker. Są Anglikami, podobnie jak pan.

Sam potwierdził.

– Tak, to właśnie ludzie, na których czekamy. Modłę się, by Amabile del Bono przywiózł ich do nas bezpiecznie w swojej

karawanie. Albo żeby konsul Petherick pierwszy ich znalazł.

Florence usłyszała śmiech Morlanga.

– Petherick też jest pana przyjacielem? Słyszałem to i owo o jego wyczynach w puszczy...

Zobaczyła, że Sam uniósł rękę, by przerwać Morlangowi.

– Petherick jest moim przyjacielem i konsulem królowej

Wiktorii. Nie ścierpię oszczerstwa! To łgarstwa, nic ponadto.

Morlang śmiał się w kubek z herbatą. Wyglądało na to, że

coś go niezmiernie rozbawiło.

Florence wyszła z chaty na późne popołudniowe słońce. W

promieniach miękkiego światła dziedziniec wyglądał przyjaźnie i zapraszająco. Żaden z nagich tubylców nie podniósł głowy.

Większość z nich ostrzyła groty strzał, strugała stołki albo kroila na porcje mięso świeżo zaslachtowanej kozy. Florence wiedziała, dlaczego nie zwracali na nią uwagi. Wzięli ją za chłopaka, jak zwykle. Włosy miała zaplecione w warkocz, ściśle okręcony

wokół głowy i ukryty pod kapeluszem z szerokim rondem. Luźna koszula i kamizelka ukrywały jej piersi.

Opuściła głowę. Tak było lepiej. Jej oczy przeszukiwały plac.

Saada nie było nigdzie widać.

Poszła w dół, do miejsca, w którym zacumowali łodzie, a

gdzie teraz mężczyźni poili swoje bydło. Krowy z ogromnymi

garbami na grzbietach podnosiły głowy, gdy je mijała, i żałośnie ryczały. Na ich szyjach Florence dostrzegła głębokie blizny, z których wojownicy upuszczali zwierzętom krew, następnie

mieszali ją z mlekiem i pili. Saad opowiadał, że według

miejscowej tradycji ów napój stanowił sekret siły i piękna.

Na pokładzie szybko znalazła torbę z lekami, jednak

chłopaka nadal nigdzie nie było.

„Mam nadzieję, że nic mu się nie przytrafiło. Później go

poszukam, na razie wezmę chininę i zajrzę do mnichów –

postanowiła. – W ten sposób nie będę musiała dźwigać całego kufra”.

Otworzyła zamek i energicznie zabrała się do wyszukiwania

lekarstw wśród rolek gazy i licznych małych flakoników, które Sam starannie zapakował i umocował

pasami do ścianek we

wnętrzu kufra.

Wszystko było na swoim miejscu, brakowało jedynie

niewielkiej buteleczki, którą na bieżąco uzupełniał chininą.

Przysiadła na piętach i zastanowiła się.

Po chwili wstała, zamknęła kufer, a potem wyszła na pokład i zeszła z „Diahbiah”, stojącej w bezruchu na kotwicy. Woda była spokojna, zaledwie kilka kółek i bąbelków powietrza zdradzało istnienie życia pod jej powierzchnią. Pasterze w tumanie

czerwonego kurzu pędzili swoje bydło w kierunku misji Saint Croix. Śmiali się i rozmawiali, a sznury, które mieli

przymocowane z tyłu do pasa, kołysały się w rytmie ich kroków.

Sam opowiadał kiedyś, że wcześniejsi podróżnicy pisali o

plemionach, w których wojownicy nosili ogony podobne do

końskich. Przypuszczalnie chodziło im o te sznury.

Niebo zrobiło się białe. W rozłożystych koronach akacji

usiadły marabuty, a czaple schowały się w sitowiu. W ciężkim, wilgotnym powietrzu obwisły kwiaty surmii i drzewa ognistego.

Przynajmniej odrobina życia. Mimo że ziemia wydawała się

bardzo żyzna, Morlang twierdził, że nie udawały się na niej ani winogrona, ani nawet granaty. Palmy daktylowe zakwitły, ale nie rodziły owoców. Florence westchnęła. Ona też kwitła, ale nie rodziła owoców. Nigdy nie będzie rodzić. Zaciśnęła pięści i poczuła, jak paznokcie wbiły się w jej dłonie. Ból przyniósł

ukojenie. Może tak było lepiej, tu, w Afryce, w ciągłej podróży.

Kto mógł wiedzieć, co przyniesie przyszłość?

Przypomniała sobie o Saadzie. Gdzie on przepadł? Widok

chat wzbudził w niej pewne obawy. Jej Saad! Popatrzyła w niebo, na którym uformowały się pasy granatowe jak atrament.

Niebawem miał nadejść zmierzch podobny do nocnej ciszy.

Zbliżała się godzina gorączki.

Gdzie był Saad?

Zobaczyła przed sobą chatę z lazaretem. Przystanęła z wahaniem.

Naraz z ciemnego wejścia chaty wychyliła się na moment

czyjaś głowa i zaraz znów się cofnęła. Florence widziała ją bardzo krótko, niemniej jednak to wystarczyło, by rozpoznała wełniste włosy i parę bystrych oczu. Przyspieszyła kroku.

Co Saad robił w lazarecie? Co dzieciakowi strzeliło do głowy?

[2] Biblia Warszawska, Piąta Księga Mojżeszowa, 32,41.

Rozdział 7

Saad ponownie podstawił ojcu Lukasowi pod nos niewielki

flakonik. Patrzył, jak ręka mnicha próbowała się unieść, ale brakowało jej sił na wykonanie tego niewielkiego ruchu. Saad szybko zabrał butelkę, a ręka mężczyzny trafiła w pustkę. Chłopak miał ochotę

się roześmiać, ale nie potrafił. Uniósł wyżej brodę.

Łzy? A może tylko pot z czoła spływał mu do oczu? Przetarł dłonią twarz. Powinien się cieszyć.

Nadeszła godzina zemsty na dwóch duchownych. Tymczasem radość z ich nieszczęścia nie chciała nadejść.

– Saad, proszę, podaj mi butelkę – wyszeptał ojciec Anton za jego plecami.

W przyćmionym świetle wieczoru Saad ledwo mógł rozpoznać jego twarz. A może gorączka zniekształciła mu rysy?

Skóra mężczyzny nie przylegała do ciała, a kości przebijały się przez koszulę.

Chłopak pokręcił głową. Powinien działać powoli, napawać

się ich nieszczęściem. Nie najlepiej mu wychodziło. Wbrew sobie czuł litość dla leżącego przed nim mężczyzny.

Ojciec Anton uczynił wysiłek, próbując się unieść i popatrzeć Saadowi w oczy, lecz jego wzrok trafił w bezdenną pustkę. Mnich westchnął i opadł z powrotem na posłanie. Materac stanowiła wiązka słomy, na którą narzucono prześcieradło. Saad z

obrzydzeniem spojrział na materiał. Z pewnością od początku

choroby obu mężczyzn nikt nie zmieniał pościeli. Pod licznymi plamami z krwi, potu i ekskrementów nie dało się rozpoznać

pierwotnej barwy tkaniny. Ksiądz Anton leżał spokojnie. Tak spokojnie, jakby już nie żył. Saad pochylił się nad nim i lekko go trącił. Mnich jęknął.

Tymczasem ojcu Lukasowi udało się wyciągnąć rękę po chininę.

– Na Boga, Saad, daj mi butelkę. Zawsze byłem dla ciebie dobry – wyszeptał.

Saad mocniej zacisnął palce na flakoniku i przysunął go do

swojej piersi. Dlaczego unosiła się i opadała tak szybko? Poczul w dłoni chłodne szkło. Wreszcie nadeszła chwila, na którą tak bardzo czekał.

– Dobry dla mnie? Do dzisiaj noszę na plecach i na siedzeniu blizny na pamiątkę twej dobroci, ojcze Lukasiu. Ale w pewnym sensie masz rację, nie byliście dla mnie aż tak litościwi jak Amabile del Bono!

Wasz przyjaciel, któremu mnie sprzedaliście, zna o wiele wymyślniejsze formy okazywania miłosierdzia

niż różga.

Wyprostował nogi i podciągnął dżubbę. Niech mnich obejrzy

sobie blizny na jego kolanach!

– Zobacz, kiedyś przez całą noc kazał mi klęczeć na rozbitym szkle, bo nie dość prędko przyniosłem wodę jego psu.

Znów uniósł brodę i oblizał wargi.

Poczuł słony smak.

Ojciec Anton, leżący na sąsiednim posłaniu, westchnął cicho, a później otworzył oczy i zaczął mówić:

– Zobaczcie, Maria! Jak pięknie kręci się w tańcu!

Miał pianę na ustach.

Saad wyciągnął szyję i patrzył na mnicha. Nie zostało mu

wiele czasu, to pewne. Był już w innym świecie. Bredził o jakiejś Marii, która bez wątplenia nie miała nic wspólnego z jego

Najświętszą Panienką.

Pasibrzuch, dobrze mu tak, niech ma za swoje. Kto wie,

może podając chininę, mógłby odrobinę przedłużyć mu życie?

Życie gorsze od śmierci. Może udałoby mu się przeciągnąć

cierpienia mnicha? Pozwolić mu cierpieć tak, jak on cierpiał w domu Amabile del Bona?

Zauważył, że ręka ojca zwiotczała. Była koścista, obsypana

krostami i śladami po ukąszeniach owadów. Pewnie nie miał nawet siły utrzymać w niej butelki ze swoją wódką, dzięki której malaria miała ułatwione zadanie z ojcem Antonem.

– Saad, proszę, powiedz, czego chcesz za flakonik z

lekarstwem? Oddam ci wszystko, co mam! – jęknął ojciec Lukas, szperając w słomie. W mroku chaty Saad przyglądał się, jak pot występuje na czoło mnicha, i słuchał jego świszczącego oddechu.

Przysiadł na piętach, zwyczajem miejscowych pasterzy. Co ojciec Lukas miał zamiar mu zaoferować?

Mnich się wyprostował i podsunął Saadowi sakiewkę.

W pierwszej chwili chłopak z osłupienia wypuścił z ręki

flakonik, który upadł na ziemię i potoczył się po zakurzonej podłodze. Ojciec Lukas potrząsnął woreczkiem raz i drugi. W

środku brzęknęły monety. A więc Saad się nie pomylił.

W sakiewce było złoto, którym Amabile del Bono zapłacił za

niego i resztę dzieciaków. Pieniądze okupione krwią. Przypuszczał, że co najmniej połowa jego towarzyszy już nie żyła. Amabile odsprzedał ich od ręki.

Ojciec Lukas musiał zauważyć wyraz twarzy Saada, bo opadł

na posłanie i roześmiał się wysokim, piskliwym śmiechem, od którego Saada przeszły ciarki. Brzmiał jak głos koczokodanów towarzyszących im po drodze w górę Białego Nilu. Bez przerwy rozdziawiały swoje białe-czarne pyski i darły się, wydając wysokie dźwięki, od których wibrowało mu w uszach.

– Ty mały szcurze. Nigdy nie potrafiłeś się oprzeć złotu. Ale powiem ci jedno. Nie możesz go zeżreć, wypić, nie uchroni cię przed gorączką ani przed śmiercią. To tylko złoto! Amen.

Po tych słowach rzucił sakiewkę pod nogi chłopaka, tuż obok butelki chininy, po którą ponownie wyciągnął rękę. Zachichotał i dostał ataku kaszlu. Z ust poleciało mu trochę krwi. Saad się cofnął.

Flakonik wciąż leżał na ziemi między nimi. Wreszcie ojciec Lukas przestał się śmiać, ale w dalszym ciągu krwawił.

„Musi mieć jeszcze jakąś inną chorobę” – pomyślał Saad.

Ojciec Lukas dotknął czubkami palców butelki, starając się ją podnieść. Flakonik przeturlał się w inne miejsce, pozostawiając po sobie ślad na zakurzonej ziemi.

– Nie jest tego za dużo. Twój przyjaciel Baker musi mieć

więcej na statku. Przynies mi wszystko, co znajdziesz. Dam ci więcej złota – obiecał ojciec Lukas.

Saad popatrzył na nabrzmiałą, błyszczącą twarz mnicha. Pot

okrył jego ciało niczym druga skóra, a oczy utonęły głęboko w oczodołach.

– No dalej, Murzynie. Pokaż, że się do czegoś nadajesz.

Wszyscy jesteście tacy sami, przeklęta hołota!

Saad nachylił się i podniósł zarówno butelkę, jak i sakiewkę ze złotem. Czuł w ręku ciężar niewielkiego lnianego woreczka, na którym wyhaftowano znak firmowy domu handlowego del Bona.

Na jego dłoni leżało życie. Wolne, dumne życie, które mógłby rozpocząć. Wyczuwał przez płótno kształt poszczególnych monet.

Podniósł głowę. Zauważył, że ojciec Lukas go obserwuje, oczami tak wąskimi jak szparki.

– Idź wreszcie, jak sądzisz, ile jeszcze mogę czekać?

Przynieś mi całą chininę, jaką ci się uda znaleźć. Niech twoi nowi państwo zdechną zamiast mnie. Rusz się! Wszyscy jesteście tacy sami.

Saad podjął decyzję w chwili, gdy w koronach drzew siewka

zaczęła swoje żalosne nawoływania o deszcz.

Ukląkł przed posłaniem i odłożył sakiewkę w kurz, tuż przed oczyma ojca Lukasa. Głowa mężczyzny opadła na słomę.

Następnie podniósł flakonik i jeszcze raz podsunął go ojcu

pod nos. Pokręcił nim w prawo i w lewo, a później odwrócił do góry dnem. Chinina zabulgotała. W

końcu Saad schował butelkę do kieszeni i przetarł dłonią wilgotne od gorączki czoło

duchownego.

– Ojczye Lukasie. Powiem ci coś na pocieszenie tuż przed

śmiercią. Życzę ci, by spadły na ciebie wszelkie cierpienia tego świata, mimo to chcę, abyś wiedział, że wszystkie wasze nauki o dobroci twego Boga i razy różgą nie były daremne. Zdradziłeś mnie i sprzedałeś, bo każdy tutaj tak robi. Lecz ja – przerwał na chwilę, by jeszcze raz wytrzeć z potu czoło ojca Lukasa – ja nie postąpię w ten sposób. Ci ludzie, Baker efendi i *sitt*, uratowali mi życie. Doznałem od nich dobra i wiem, że oddałbym za nich życie.

Ale robię to z własnej woli, a nie dla złota.

Ojciec Lukas kolejny raz się roześmiał. Chciał uderzyć

Saada, ale chłopak się cofnął. Stopą przysunął sakiewkę bliżej twarzy mnicha.

– Masz, nie zabierzesz jej z sobą, w tej kwestii Amabile del Bono miał rację. Nie zeżresz jej ani nie wypijesz, jak sam

powiedziałeś. Ciesz się nią, ojczye Lukasie.

Mnich się zachłusnął. Język musiał mu się zsunąć do gardła.

Odkasznął krwią. Panujący w chacie zaduch, przesycony

smrodem stęchlizny, wykręcał Saadowi żołądek. W ścianach

chrobotały karaluchy, długie jak jego mały palec. Zobaczył szczura znikającego pod siennikiem ojca Antona. Spod ciała umierającego mężczyzny dochodził szelest i trzaski.

– Żegnaj, ojciec Lukase – powiedział. – Umrzesz, za to ja

żyję. Ciesz się, bo umierasz ze świadomością, że nie wszystko poszło na marne, że nie wszyscy jesteśmy tacy sami. Czyż ta świadomość nie jest dla ciebie pocieszeniem?

Odwrócił się i nie zdążył już usłyszeć odpowiedzi ojca

Lukasa.

Florence złapała go za ucho i przez niskie drzwi wyciągnęła z chaty na zewnątrz, w ciepłe wieczorne powietrze Saint Croix.

Saad krzyknął z bólu i oburzenia. Zastanawiał się, jak długo tam stała.

Florence była zaskoczona własnym gniewem. Złapała

chłopaka za ramiona i potrząsnęła nim.

– Co tam robiłeś? Skąd masz chininę? – krzyknęła, wyjmując

mu z ręki butelkę. – Była w kufrze z naszymi lekami! Ukradłeś ją?

– pytała. – W ten sposób dziękujesz nam za wszystko, co dla ciebie zrobiliśmy?

Saad płakał, przecząco kręcąc głową.

Zorientowała się, że nie wydusi z niego żadnej odpowiedzi.

Naraz poczuła się zmęczona, bezgranicznie zmęczona. Puściła Saada i usiadła na płaskim kamieniu w cieniu namorzynu. Ukryła twarz w dłoniach. Miała dość tego świata. Ale wyczuła, że Saad wciąż stoi niezdecydowany w miejscu, w którym go zostawiła. Po chwili usłyszała jego zbliżające się kroki.

Gałązki trzaskały pod jego nagimi, szerokimi stopami. Jakby podchodziło do niej jakieś dzikie zwierzę.

Słyszała jego płacz.

– *Sitt*, wybacz mi. Przecież słyszałaś, nie zdradziłem was ani was nie okradłem. *Sitt*, wszystko ci zawdzięczam. Jeśli mnie zostawisz, wskoczę do Nilu, do krokodyli. W całym moim życiu nikt nie był dla mnie taki dobry jak ty i efendi!

Poczuła, jak ujmuje jej dłoń. Podniosła wzrok. Upadł na

kolana i całował jej rękę, pokrytą gęsto krostami i śladami po ukąszeniach. Otarła oczy drugą ręką.

– Co tam robiłeś? – spytała cicho.

Saad pokręcił głową.

– Nie zrozumiesz, *sitt*, wybacz mi. Ci ludzie sprzedali mnie Amabile del Bonowi. Gdybyście z efendim nie przyjechali do

Chartumu, del Bono rzuciłyby mnie na pożarcie swoim psom.

Chciałem zemsty. Nie zrozumiesz.

Florence uniosła brwi.

– Dlaczego sądzisz, że cię nie rozumiem?

Saad wzruszył ramionami.

– Jesteś *sitt*. Skąd możesz wiedzieć, jak to jest być niewolnikiem?

Przez chwilę siedziała w milczeniu przed Saadem, który

klęczał przed nią, wyciągając ku niej wewnętrzne strony dłoni. W

drzewach nad nimi coś zaszumiało, pewnie małpa, ptak, a może jaszczurka. Zawahała się, ale w oczach Saada wciąż widziała pytanie. W końcu podjęła decyzję. Zaczęła rozpinać guziki

mankietu przy rękawie. Jeden po drugim. Kiepsko jej szło, palce bowiem odmawiały posłuszeństwa.

W oczach chłopca widziała, że jej nie rozumie.

„Zaraz, Saad, poczekaj” – pomyślała.

W pewnej chwili niemal się ucieszyła, że będzie mogła

podzielić się z nim swoją tajemnicą. W końcu odpięła wszystkie guziki. Rękaw zwisał luźno. Wiatr chłodził jej skórę, gdy zaczęła wysoko podwijać materiał.

Saad zmarszczył czoło.

Florence odwinęła rękaw aż do ramienia i odwróciła je w

stronę chłopca. Oczy Saada zrobiły się okrągłe. Jej rana się zagoiła, pozostawiając po sobie czystą bliznę, której kształt przypominał księżyc w nowiu, księżyc Sulejmana. Wciąż był

wyraźnie widoczny. Przesłanie, które będzie można odczytać przez całe jej życie.

– *Sitt* – wyszeptał Saad.

Florence nie miała pewności, czy w głosie chłopca usłyszała przerażenie, czy może zdumienie.

– Teraz wiesz, dlaczego cię rozumiem – powiedziała krótko,

po czym opuściła rękaw do nadgarstka. Saad skinął i zaczął

zapinać jej guziki. Florence przyciągnęła do siebie jego głowę i mocno go objęła. Saad się do niej przytulił. Siedzieli tak oboje, aż w oddali Morlang kazał kucharzowi uderzyć w gong oznajmiający porę kolacji. Nadszedł czas, gdy należało wrócić do domu. Saad podniósł głowę, wstał i wyciągnął rękę do

Florence. Pomógł jej wstać.

– Czy kiedykolwiek miałaś w sercu taką nienawiść, *sitt*?

Nienawiść, która kazała ci zabić albo umrzeć? – zapytał.

Florence popatrzyła na dziedziniec, na którym rozbłysły

nocne ogniska. Z listowia dochodził szelest. Położyła rękę na ramionach Saada i ruszyli do domu Morlanga.

– Tak, nienawidziłam. Ale wiesz, co jest najlepszą zemstą?

Saad milcząco pokręcił głową. Florence czuła ciepło jego ciała.

– Pozostanie przy życiu. Życie to najlepsza zemsta na kimś, kto wyrządził ci krzywdę.

Noc opadła na okolicę tak nagle jak kurtyna. Świat misji w Saint Croix zamarł na moment. Florence miała wrażenie, że ciemności pochłaniały jej słowa i myśli, robiąc z nich swą tajemnicę.

Ciało Sama było twarde i domagało się pieśczoł. Podczas

podróży stał się jeszcze bardziej umięśniony, chociaż wydawało się to niemożliwe. Florence pozwoliła, by ściągnął jej przez głowę koszulę, i rozkoszowała się powiewem powietrza na skórze. Czuła jego usta pieścące jej szyję delikatnymi pocałunkami i wędrujące coraz niżej. Zatrzymał się, zlizując z jej skóry krople potu.

Odrzuciła głowę do tyłu, opierając się o poduszkę i o ścianę kabiny.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Proszę – odezwała się cicho.

Sam podniósł na chwilę oczy przypominające światełka w

ciemnej kabinie. Jego usta i język wędrowały do jej biustu. Pieścił

jej piersi, ssał ich brodawki. Florence słyszała jego westchnienia, wsunęła palce w jego gęste włosy, głaskała go po skórze głowy, na której czuła piasek Nilu. Jej ciało się wyprężyło, uda się bezwiednie rozłączyły. Sam pochylił się nad nią, poczuła w pępku jego język zataczający kręgi. Co jakiś czas całował pieprzyk między pępkiem a łonem.

– Proszę – powtórzyła. Miała wyschnięte gardło.

Znów poczuła jego ręce. Uniósł jej biodra, a jego język

znalazł się między jej udami. Jakby się nią delectował. Zdawało się, że sprawia mu to tyle samo przyjemności co jej. Cały czas go czuła. Później wsunął w nią palec i odnalazł owo sekretne miejsce, w którym zbiegło się całe jej istnienie. Florence rozłożyła uda tak szeroko, jak tylko mogła. Sam znieruchomiał. Przysunęła biodra w jego stronę.

– Proszę – wyszeptała po raz trzeci. Widziała, jak się

uśmiechnął, poczuła jego pocałunek, a później czubek jego języka, krótkie uderzenia w miejscu, gdzie najbardziej go pragnęła, bez przerwy, aż poczuła w żyłach topniejącą krew i wygięła się z okrzykiem rozkoszy. Miała wrażenie, że jej własny oddech był

jedynym odgłosem na świecie.

Sam leżał z głową między jej udami, aż jej oddech się

uspokoił. Jeszcze raz pocałował jej krocze, a ona drgnęła. Jej ciało było teraz wrażliwe, nabrzmiące z rozkoszy.

– Wśród otaczającej nas śmierci, chcę cię każdej nocy kochać i codziennie z tobą żyć – usłyszała jego głos. – Kto wie, jakie pomysły przyjdą jutro do głowy tym dzikusom – dodał, wskazując brodą dziób statku za swoimi plecami, gdzie spała załoga.

Florence się roześmiała i lekko odsunęła jego głowę. Później przewróciła się na brzuch i uniosła pośladki. Sam wydał z siebie cichy, zdziwiony okrzyk.

– Czasami dzicy miewają niezłe pomysły, pewnie zawsze tak się kochają.

Sam jęknął, gdy sięgnęła po niego i pomogła mu od tyłu

odnaleźć drogę do swojego wnętrza. Następnie zamknęła uda wokół niego i ciaśniej go przytrzymała.

Usłyszała jego głos, ochrypnięty z podniecenia.

– Gdzie to widziałaś? – zapytał, powoli wsuwając się w nią głębiej.

Nie odpowiedziała, tylko zaczęła poruszać biodrami. Czuła

Sama, jego życie i miłość, wchodził w nią głęboko, raz po raz, aż i on krzyknął i zlany potem ciężko opadł na jej plecy. Ich oddechy się zespoliły.

„Wśród panującej dookoła śmierci potrzebujemy życia i

miłości. Tak, to najlepsza zemsta” – pomyślała z uśmiechem na ustach, zasypiając mocno przytulona do Sama.

„Chyba śnię – pomyślał Sam. – Florence leży obok mnie.

Słyszę jej oddech. W takim razie kto jeszcze tak głośno tu

oddycha? Kto się ukrył w mroku kabiny?” Nasłuchiwał w

ciemności. Nie, to nie był sen. Bardzo wyraźnie słyszał czyjś oddech, stłumiony i świszczący. Florence spokojnie leżała koło niego na łóżku, zwinięta w kłębek jak mały kociak. Pocałował jej nagie ramię i po cichu, nie robiąc hałasu, sięgnął ponad nią na oparcie krzesła, gdzie wisiał w kaburze jego pistolet.

Oddech stał

się dłuższy, wolniejszy, jakby szukający siły. W ciemności nie mógł nic dostrzec. Nieproszony gość nie zadawał sobie trudu, by ukryć swą obecność.

– Kto tam jest? – zapytał Sam. W swoim głosie słyszał

resztki snu. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Mimo to miał

wrażenie, że zauważył na drzwiach przesuwający się cień. Niech to diabli, zaraz mu pokaże! Nikt nie będzie się wkładał do jego kabiny!

Odbezpieczył broń i z lekkim trzaśnięciem odciągnął kurek.

– Liczę do trzech. Później strzelę! – ostrzegł. Nie było

odpowiedzi. Znow oddech.

– Raz... – zaczął. – Dwa... i...

– Nie! – wykrzyknął żeński głos.

Samowi z osłupienia omal nie wypadł z ręki pistolet. Poczuł, że palce kobiety zacisnęły się wokół jego nadgarstka. Sięgnął za siebie i pchnął okiennicę. Do ciasnego pomieszczenia wsączyło się księżycowe światło.

– Bacheeta! – zawołał zdumiony.

To była czarna niewolnica z pewnego plemienia, daleko na

wschodzie kraju. Sam musiał kupić ją i jej siostrę. Mężczyźni nie chcieli sami mleć mąki na swoje podpłomyki.

– Efendi, umieram! – usłyszał jej głos.

– Bzdura – roześmiał się. – Tak szybko się nie umiera. Co się stało?

Chwycił jej rękę. Miała wilgotną skórę. Padało?

Pod wpływem jego dotyku Bacheeta krzyknęła z bólu. Sam pociągnął ją ku oknu.

– Wielki Boże! – szepnął na jej widok. – Co się z tobą stało?

– zapytał, delikatnie gładząc ją po głowie, by nie sprawić jej więcej bólu.

Zamiast odpowiedzi Bacheeta znów się rozplakała i pokręciła głową. Jej usta były zbyt spuchnięte, by mogła mówić, a oczu nie było w ogóle widać spod ran. W ostatniej chwili zdążył ją złapać, gdy osuwała się obok niego na ziemię. Przy tym ruchu z ran

trysnęło jeszcze więcej krwi. Spływała po jej głęboko ponacinanej skórze, z ramion na nogi, z których wyglądało żywe mięso. Sam dobrze wiedział, co się wydarzyło. Podniósł kobietę i ułożył ją na posłaniu obok Florence. Prześcieradło natychmiast zabarwiło się na czerwono. Bacheeta została solidnie pocięta korbaczem. Mimo to żyła, i jeśli Bóg tak zechce, nie powinna umrzeć.

Sam spojrzał na spokojną twarz pogrążonej we śnie Florence.

Wskoczył w spodnie, przypiął pistolet i sięgnął po własny korbacz.

Usłyszał jęk Bacheety. Zdecydował się poruszyć ramię

Florence. Wystarczyło delikatne dotknięcie. Otworzyła oczy.

Położył palec na ustach, a ona skinęła. Następnie usiadła i dostrzegła leżącą obok Bacheetę. Zakryła usta rękami, tłumiąc krzyk.

– Mój Boże. To zwierzęta – wyszeptała. Sam potwierdził

skinieniem głowy.

– Załóż jej opatrunki i spróbuj zatamować krwawienie.

Muszę wyjść.

Florence zsunęła się z łóżka i pocałowała go, zanim wyszedł.

– Bądź ostrożny. Może powinnam pójść razem z tobą?

W następnej chwili zabrała się do wyciągania spod łóżka

skrzyni z materiałami opatrunkowymi.

Sam pokręcił głową. Musiał sam to załatwić.

Bezgłośnie zamknął za sobą drzwi kabiny, wychodząc na

pokład „Diahbiah” w noc pełną życia.

Na kładce zobaczył z oddali jasne ognisko na dziedzińcu

misji. Słyszał, jak hipopotamy parskają i rozchlapują wodę w miejscach, gdzie ryczące żaby wskakiwały do rzeki. Na drugim brzegu zauważył jakieś ledwo dostrzegalne ruchy. W chłodzie nocy słonie i bawoły przyszły do wodopoju. Pomyślał o Bacheecie leżącej w jego kabynie i mocniej ścisnął korbacz. Gdyby winowajcami okazali się dzicy Morlanga, wówczas musiałby go poprosić o zaprowadzenie porządku.

Nie miał pojęcia, czy pijany Austriak z chorą łydką byłby jeszcze w stanie utrzymać się na nogach.

Zeskoczył na ląd. Jego stopy ugrzęzły w przybrzeżnym

trzęsawisku. Na goleniach i udach poczuł trzcinę utrudniającą mu ruchy. Usłyszał okrzyki i śmiech.

Kilkoma uderzeniami korbacza wyciął sobie przejście i ruszył w górę skarpy. Zaczął biec. Mimo chłodnego wiatru poczuł, że na plecach zbiera mu się pot.

Wokół dziedzińca strzelały w czarne niebo namorzyny,

niczym olbrzymi strażnicy. Słyszał uderzenia bębna, tupanie stóp, ochrypły śpiew, narastający i opadający, by wreszcie zniknąć w rytmie bębna. Ujrzał tańczących mężczyzn, ich cienie drgały i rozciągały się. Sam niespodziewanie wszedł w ich krąg. Dzicy Morlanga, którzy też tańczyli, nie zwrócili na niego uwagi. Ich nagie, nasmarowane ochrą i popiołem ciała wyginały się jak

sitowie na wietrze. Sam przeszedł między tańczącymi, zaglądając w ich na wpół przymknięte oczy, patrząc na ich błyszczące zęby, gdy ściągali usta w osobliwym grymasie. Podnosili i opuszczali ręce, a ich ciała falowały. „Jakże są piękni” – pomyślał i w tej samej chwili złązał się za tę myśl. Nikt, ale to nikt by go nie zrozumiał. Może z wyjątkiem Florence. Florence, która nigdy nie wydawała pochopnych osądów.

Krzyki, które wcześniej słyszał, dobiegały z obozowiska jego własnych ludzi nieopodal chaty Morlanga, gdzie zaczynał się las Gondokoro. Sam poczuł w sobie coś podobnego do lęku, ale się opanował.

Tancerze zostali z tyłu, a przed nim była jedynie noc.

Ściana ciemności zagradszała mu drogę niby znak zakazu. Nagle znów coś usłyszał. Wysoki, udęczony głos kobiety i śmiech jego ludzi. Przebiegł obok chaty Morlanga w kierunku pozostałych ognisk, przy których zastał to, czego się spodziewał.

Dwie kobiety leżały na ziemi. Na ich ramionach i piersiach

siedzieli mężczyźni, podczas gdy kilku innych przyciskało do ziemi ich rozsunięte uda. Płomienie ognia rzucały zniekształcone światło na scenkę rozgrywającą się przed jego oczami.

Zobaczył swego dowódcę Sakiego, który stał obok

nieszczęsnych kobiet, trzymał w ręku bat i z uśmiechem

rozbawienia dopingował podwładnych. W tej chwili Arab Bellal wstał z jednej z kobiet i sięgnął po swój korbacz. Sam widział, jak z zadowoleniem dotknął swego przyrodzenia, nim okrył ciało

sięgającą pięt dżubbą. Teraz Bellal ponownie uderzył pejczem w krwawiące ciało kobiety, która drgnęła, ale nie wydała z siebie głosu. Roześmiał się i kolejny raz się zamachnął. Ale nim zdążył

wymierzyć cios, korbacz Sama ze świstem owinął się wokół jego nóg.

Sam szarpnął batem i Arab z krzykiem upadł w kurz.

Podszedł do niego bliżej. Bellal leżał przed nim, wciąż krzycząc i śmiejąc się jak opętany. Najpewniej uznał to za dalszy ciąg zabawy. Kątem oka Sam zauważył, że jakiś inny mężczyzna

próbował zająć miejsce przy kobietach. Wyciągnął z kabury

pistolet i dwa razy wypalił w powietrze. Ludzie wyglądali na zdziwionych.

Sam wykorzystał sprzyjającą chwilę i ściągnął korbacz z nóg Bellala. Bat świsnął w powietrzu i zaczął

uderzać na ślepo w mężczyzn otaczających kobiety. Krzyczeli, podrywali się do góry i umykali w cień namorzynów albo chowali się za Sakim, swoim

dowódcą.

Tylko Bellal leżał na ziemi u nóg Sama.

Trzymał się za bolące miejsca i krzyczał:

– O co ci chodzi, efendi? Przecież to tylko brudne

niewolnice. Cóż innego moglibyśmy z nimi robić? – roześmiał się obleśnie i próbował wstać. – Możesz się do nas przyłączyć, efendi, nie powiem nic *sitt!*

Sam się odwrócił i zaczął go okładać korbaczem. Bellal z

jękiem trzymał się za głowę, a z rękawów jego kaftana zostały poszarpane strzępy. Sam przetarł czoło nagim przedramieniem. Na chwilę się zatrzymał, miał mokrą skórę.

Bellal nie miał broni, ale zasłużył na karę.

Sam odwrócił się w stronę kobiet. Wydawało mu się, że obie

jeszcze oddychają.

– Zanieście je na pokład „Diahbiah”. Zobaczmy się jutro na apelu – rozkazał w ciemność. Kto miał

zamiar usłuchać jego

polecenia, niechaj je wykona. Do diabła, to on tu dowodził, nikt inny! Zobaczył, że kilka cieni oderwało się od grupy mężczyzn i podeszło do skatowanych kobiet.

Następnie wymierzył Bellalowi kopniaka na odchodne.

Mężczyzna zakasłał, po czym wypluł trochę krwi i zęb.

Raptem poczuł na udzie słaby dotyk. Spojrzał w dół. Obok

niego stał Saad, a za nim Richaarn. Postać olbrzyma przysłoniła noc. Dopiero teraz zauważył, z jaką wrogością mężczyźni na niego patrzyli.

– Dobrze, że przyszliście. Pomóście zanieść kobiety na łódź i opatrzcie je – nakazał.

Bellal zaczął wstawać. Trzymając się za bolące członki,

splunął przed Samem. Później powiedział po arabsku coś, czego Sam nie zrozumiał.

– Co on mówi? – zapytał Richaarna.

Ale olbrzym pokręcił tylko głową i objął w talii jedną z

kobiet, by ją wesprzeć.

Sam wiedział, że Richaarn doskonale zrozumiał słowa

Bellala.

Arab jeszcze raz je powtórzył i pogroził pięścią w kierunku Sama.

– Co powiedział? – spytał znów Sam, chwytając Saada za

łokieć.

– Mówi, że *sitt* i ty zapłacicie mu za to. Jeśli jemu nie uda się dokonać zemsty, wówczas zrobi to za niego Amabile del Bono. Del Bono poprzysiągł zemstę tobie i *sitt*, cały Chartum o tym wie. Del Bono jest teraz kilka dni drogi od Gondokoro. Bellal i wszyscy jego ludzie pomogą del Bonowi, jak przyjdzie co do czego –

objaśnił cicho chłopak.

Sam wymierzył Bellalowi jeszcze jednego kopniaka.

– Wynoś się, nim zapomnę o wszystkich chrześcijańskich

przykazaniach – wysyczał przez zęby.

Bellal odpełził w cień, pod osłonę ciemności.

Saad pokręcił głową.

– Powinieneś był go zabić, teraz miałeś doskonałą

sposobność, efendi. Bellal będzie ci sprawiał kłopoty.

Sam poszedł wolno w stronę łodzi. Saad szedł za nim.

„Diahbiah” stała spokojnie na Nilu, który w tym miejscu stała niemal nieruchomo. Na niebie pokazały się pierwsze przebliski światła. Przekłęta noc minęła i nadszedł dzień, prawie jak

nieoczekiwany prezent. Bolało go ramię, a skórę miał wciąż moką od krwi i potu. Miłość z Florence, jej bliskość sprzed kilku godzin, wydawała się teraz minionym, niemal zapomnianym sennym

marzeniem. Wszystko, co czyste i piękne, zdawało się bardzo odległe. Gdy Sam wrócił na pokład, siewka zaintonowała swą

monotonną pieśń i pierwsze hipopotamy wynurzały grzbiety z

przybrzeżnych trzęsawisk. Ich mądre oczy zerkały na Sama

ciekawie z chlupoczących fal Białego Nilu. Strzygły uszami, jak gdyby chcąc wyczuć jego nastrój. Jedno zwierzę rozdziawiło

paszczę, jakby do ziewania. Między jego grudkowatymi zębami natychmiast przysiadła czapla złotawa, ostrym dziobem

wyszukując resztki pożywienia.

Sam odwrócił się do Saada.

– Prześpij się trochę. Później uderz w bęben i zwołaj ludzi.

Zrób im musztrę. Bierzemy kurs na Gondokoro. Na noc

przybijemy tam do portu. Będziemy czekać.

– Czekać? Na co, efendi? – zapytał Saad.

Sam zastanowił się przez chwilę. „Poczekamy na

zakończenie mego snu. Na kres tęsknoty”. Opanował melancholię.

– Na efendich Speke’ a i Granta. Na rozwiązanie największej zagadki świata. Ostatniej zagadki.

Poczekamy też na konsula Pethericka. Oto cel naszego oczekiwania.

Sam wszedł do kabiny. Był zmęczony. Bardzo zmęczony.

Czy wszystko miało pójść na marne? Tyle trudu i nakładów?

Zajęty własnymi myślami nie zauważył, jak Saad pokręcił

głową i zamruczał coś pod nosem.

– Czekanie na Amabile del Bona nie jest zdrowe.

Chłopak się odwrócił, podniósł płaski kamień i puścił kaczkę po wodzie, pomiędzy tłustymi ciałami hipopotamów. Na Nilu

rozprysły się kropelki wody, a później wszystko wróciło do normy.

Żaden z hipopotamów nie podniósł nawet głowy. „Ta obojętność –

pomyślał Saad – wszyscy powinniśmy ją pojąć. Może efendi

powinien być bardziej podobny do hipopotama? Bez wątpienia

byłby wtedy szczęśliwszym człowiekiem”.

To pomyślawszy, odwrócił się i ruszył w górę nadbrzeżnej

skarpy. Miał zamiar uderzyć w bęben i kazać mężczyznom

ćwiczyć. Wiedział, że musztra nie wypędzi niechęci z ich serc.

Rozdział 8

Góra Lardo wrzynała się wąskimi klinami w wody Białego

Nilu, tworząc ostre rafy. Florence dostrzegła pierwsze ciało dryfujące na falach. Odsunęła się od relingu

„Diahbiah” i zderzyła się z Richaarnem, który stał za nią niczym ochronna ściana.

Przestraszyła się i cicho krzyknęła.

– Co to jest? – spytała, wskazując na unoszące się na wodzie zwłoki, ku którym wyciągały paszcze pierwsze krokodyle. – Co im się stało?

Czując obecność stojącego za sobą Richaarna, odważyła się

rzucić jeszcze jedno spojrzenie za reling. Mężczyzna miał ręce związane z tyłu na plecach. Brakowało mu dłoni. Jego ramiona i rozmoczone kikuty jeszcze raz wynurzyły się z wody, a później jakaś tajemnicza siła wciągnęła ciało w głąb *suddu*.

Florence zakryła dłonią oczy. Gdy opuściła rękę, po

zwłokach nie było śladu. *Sudd* nakrył je dywanem z pnączy.

Richaarn jej nie dotykał, tylko odezwał się cicho:

– W dalszej podróży zobaczymy więcej takich rzeczy. Dużo,

dużo więcej, *sitt*. Tak postępują handlarze niewolników z mężczyznami z plemienia Bari, gdy uda im się ich schwytać.

Kobiety i dzieci porywają w niewolę, natomiast mężczyźni, którzy w obronie swoich żon i dzieci atakują ich zatrutymi strzałami, zrzucają z przybrzeżnych raf na pożarcie krokodylom. Ludzie Bari boją się takiej śmierci bardziej niż kuli czy stryczka.

– Ale dlaczego nie mają dłoni? – spytała Richaarna.

– Ręce zatrzymują jako trofea. Amabile del Bono ma w swoim domu pokój, w którym całe ściany obwieszono są dłońmi.

„Diahbiah” płynęła przed siebie, zbliżając się do Gondokoro.

Z masztów dochodziły pierwsze okrzyki wzywające załogę, by

rozpoczęła przygotowania do przybicia do portu. Florence

widziała, że Sam przejął koło steru. Wokół szarego, ostrego wierzchołka góry Lardo zbierały się mgły, chociaż niebo było jeszcze błękitne i bezkresne jak we śnie.

Dotarli do Gondokoro.

– Bellal, co powiedzieli tragarze? – spytał Sam.

Starał się nie przybierać zbyt surowego tonu. Bellal odwrócił

się do niego. Rozmawiał z przednią strażą tragarzy należących do ekspedycji del Bona, którzy właśnie przybyli do Gondokoro.

Prowadzili z sobą zrabowane bydło, ich osły i muły były ciężko obciążone, a oni sami też nieśli skrzynie i kosze pełne kości słoniowej. Niewolnicy szli z główną częścią karawany.

– Ludzie del Bona są dziesięć dni drogi od nas. Podróżują z nimi dwaj biali mężczyźni. Podobno przez długi czas pozostawali więźniami jakiegoś króla, daleko na południu. Obaj byli ciężko chorzy. Możliwe, że tylko jeden z nich pozostał przy życiu. Drugi mógł umrzeć – odpowiedział Bellal głosem niezdradzającym

emocji. Obliznął usta. – Obaj byli bardzo chorzy. Bardzo, bardzo chorzy.

– Hm.

To była jedyna odpowiedź, jakiej Sam mógł udzielić,

usłyszawszy jego relację. Biali mężczyźni, to mógł być każdy o karnacji nie tak czarnej jak skóra tubylców. Może jacyś nieznani handlarzom Arabowie albo Turcy, którzy rościli sobie prawo do tych terenów. Miał nadzieję, że tak właśnie było. Ale w głębi duszy domyślał się, że nieznanymi podróżnikami byli niewątpliwie

Speke i Grant.

– Dziękuję, Bellal – zmusił się do uprzejmej odpowiedzi.

Ale Bellal zdążył się już odwrócić do niego plecami i rozmawiał z innymi tragarzami, którzy rozbijali obóz dla del Bona.

Sam ruszył wzdłuż chat miasta Gondokoro w stronę własnego obozowiska.

Przyglądał się symbiozie, w jakiej żyli tubylcy obok co

najmniej sześciu setek pomagierów handlarzy niewolników! Każdą chatę okalał gęsty żywopłot z kolczastych krzewów. Podwórka wyściełała twardo udeptana mieszanina popiołu, krowich

odchodów i piasku. Przy chatach wznosiły się ku niebu maszty, do których były przywiązane rogi wołu albo czaszka jakiegoś innego zwierzęcia, ozdobiona plecionką z kogucich piór. Oznaczały groby mężczyzn z rodzin zamieszkujących domostwa.

Przed chatami siedziały kobiety, trzymając dzieci,

przywiązane na biodrach albo przy piersiach. Kobiety były nagie, a ich jedyną osłonę stanowiły małe fartuszki z pereł lub metalowych kółek, nie większe od figowego liścia. Sam zauważył, że na ich skórze nie było ani jednego włosa, poza wełnistą kępą na środku głowy, ozdobioną piórami. Na ramionach i wokół pasa miały

tatauze, które smarowały dodatkowo ochrą i tłuszczem. Ich ciała wyglądały jak pokryte rybią łuską.

Świeciły się w słońcu niczym świeżo wypieczone cegły. Kobiety nieśmiało pozdrawiały Sama i zaraz szybko odwracały oczy, pieszcząc dzieci lub rozglądając się za nowym ziarnem do zmielenia.

Wyczuł ich myśli i uprzejmie uchylił kapelusza.

Czy to ten biały mężczyzna, który nie przyjechał po to, by

rabować i zabijać? Czy to w ogóle możliwe? Na pewno kłamał i zdradzi ich tak samo, jak wszyscy inni przybysze. Być może chciał

je podstępnie wykraść, zadać im gwałt, rozbić ich rodziny i zamordować mężów, a na koniec sprzedać w niewolę, gotując im los gorszy od śmierci. Podejrzały, że niewiele się różnił od reszty obcych, którzy w oczekiwaniu na kolejną ekspedycję w głąb lądu umilali sobie czas plądrowaniem, gwałtami i mordem.

Przypuszczalnie był taki sam jak mężczyźni, którzy odbierali im wolność.

„Dziesięć dni drogi” – pomyślał Sam, idąc dalej. Tyle

dzieliło ich od obozu handlarzy, ostatniego obozu przed nieznanym światem, który się za nim zaczynał.

„Dziesięć dni drogi. Potem rozstrzygnie się mój los.

Czego powinienem sobie życzyć? Żeby Speke nie żył? A

może żeby żył, ale by nie zdołał odnaleźć źródła Nilu, źródła mej tęsknoty? Tęsknoty wszystkich ludzi?

By poniósł klęskę?”

Sam z powrotem wsunął na głowę kapelusz i szedł wolno do

swojego obozu. Z jego chaty unosił się dym. Wyglądała spokojnie i zapraszająco. Jego rodziną byli Florence i Saad. „Czego

powinienem sobie życzyć? Nie mam pojęcia”.

Jego stopy zostawiały ślady w czerwonym kurzu. Za chwilę

delikatny wiatr je zasypie. W powietrzu tańczyły drobne ziarenka pyłu. Obejrzał się za siebie. Wszystko znów wyglądało tak, jakby nigdy go tam nie było. Jakby nigdy nie postawił stopy na

afrykańskiej ziemi. Jakby jego marzenie o odnalezieniu źródła Nilu nigdy nie istniało.

– Efendi, jesteśmy głodni. Mamy dość podpłomyków i

warzywnej papki. Od wielu dni nie upolowałeś żadnego krokodyla ani hipopotama. Dziś w nocy pójdziemy do wioski Bari i

przyprawimy wołu. I kobiety! Potrzeba nam więcej niewolnic.

Pracujemy jak zwierzęta i nie mamy nikogo, kto by nam w nocy posłużył.

Sam podniósł wzrok znad map, które właśnie studiował w

cieniu akacjowego drzewa. Te same mapy, które przysłał mu

kiedyś Murchison. Papier zrobił się wiotki i łamliwy od

wielokrotnego rozwijania, zwijania i obracania w rękach.

Niektórych nazw nie dało się odczytać. Sam potrzebował dłuższej chwili, by dotarły do niego słowa mężczyzn. Ustawili się w

półkolu między nim a jego chatą. Wstał. Wolał mieć chatę na oku.

Florence dostała rano wysokiej gorączki i nie chciał się od niej zbytnio oddalać. Z miejsca, w którym siedział, mógł swobodnie obserwować wejście.

Bellal wyglądał ponuro. Przeształ z nogi na nogę,

okazując niecierpliwość. Na co czekał? W jego oczach pojawił się jeszcze jakiś inny, nieokreślony błysk.

Pułapka? Sam poczuł

narastający gniew, ale opanował emocje.

– Mam wrażenie, że w Chartumie wyraziłem się dość jasno.

Nie ma mowy o plądrowaniu ani braniu niewolników – odrzekł spokojnie.

Bellal skinął głową. Zdawało się, że był zadowolony z otrzymanej odpowiedzi. Dał znak i raptem w rękach mężczyzn pokazały się maczugi i baty gotowe do zadania ciosu. W

Chartumie Sam wypłacił każdemu z nich z góry pięciomiesięczny żołd. Wierzył, że dzięki temu będą mu wiernie służyli. I to właśnie na nich miałby polegać w najtrudniejszych godzinach swojego życia! Czyżby już wszystko było stracone?

Nie namyślając się dłużej, zaczął działać. Postąpił krok do przodu i złapał Bellala za kołnierz. Zdawało się, że mężczyźni wokół niego tylko czekali na to, żeby Sam któregoś z nich

zaatakował. W mgnieniu oka poczuł na sobie uchwyt rąk,

szarpięcia, cios spadający na ramię, później jeszcze jeden na plecach. Bolało. Nogi się pod nim ugięły, maczuga trafiła go pod kolanami.

– Saad! – krzyknął, próbując jednocześnie sięgnąć po

przytroczony do pasa korbacz. – Saad! Bij w bęben! Równy takt!

Marsz!

Saad zaczął z całej siły walić w bęben. Tymczasem Arab

roześmiał mu się w twarz, mimo że Sam w dalszym ciągu trzymał

go mocno za gardło. Nagle poczuł jego ręce na grdyce.

Gwałtownym ruchem odsunął od siebie mężczyznę, zamachnął się i zdzielił go pięścią w nos. Bellal cofnął się o krok i pomacał się po twarzy. Między palcami pokazała się krew. Bellal ryknął i Sam zrozumiał, że Arab dał znak do ataku.

Ludzie wokół niego zawyli i skoczyli na Anglika. Zaczęli go szarpać.

Sam usłyszał krzyk Saada. Głos chłopaka zatonął w

panującym jazgocie. Bellal zarechotał. Mężczyźni wrzeszczeli.

– Niewierny psie! Chcemy niewolników! Chcemy kości

słoniowej!

– Amabile del Bono ma rację! Wyprawa z tobą na nic nam się nie zda, a do tego ściągnie na nas gniew Allaha!

– Wszyscy zginiemy! Zabić efendiego!

Mężczyźni wydawali gardłowe wrzaski, zacieśniając krąg

wokół Sama. Sam krzyczał. Wykrzykiwał rozkaz za rozkazem. Do jego uszu docierał stłumiony dźwięk bębna Saada. Do diabła, wszyscy powinni rozumieć po angielsku!

Próbował wziąć głęboki oddech i w tej samej chwili otrzymał

cios w skroń. Na moment ogarnęły go ciemności. Ale nim zamknął

oczy, zdążył zauważyć, że grupa nacierających mężczyzn

niespodziewanie się rozstała.

Padł strzał, później jeszcze jeden. Uściski zelżały.

Otworzył oczy i zobaczył Florence ze strzelbą opartą o

biodro.

Mężczyźni otoczyli ich szerokim kołem. Sam potarł dłonią

skroń. „Co ona tu robi? – pomyślał. – Przecież gorączka przykuła ją do posłania. Rano nie miała nawet siły usiąść”.

Zauważył, że oparła się na strzelbie, wspierała się na niej i chyba niewiele mogłaby teraz z nią zrobić.

Florence i broń! Kiedyś się zarzekła, że nigdy jej nie dotknie.

Usłyszał jej głos.

– Co to ma znaczyć?! Psy!

Lufą strzelby dźgnęła plecy jednego z buntowników. Łotr

upadł na kolana i spuścił głowę.

Florence odetchnęła głęboko, zbierając siły.

– Zdrajcy! – zawołała. – Wasze matki musiały się parzyć z wieprzami!

Mężczyźni pomrukiwali, obracali w rękach broń i

niezdecydowanie przestępowali z nogi na nogę. Na wszelki

wypadek trzymali się na bezpieczną odległość od Florence.

Wiedzieli, że zasłużyli na tę zniewagę.

Sam strząsnął z siebie ręce, którym nagle zabrakło

zdecydowania.

– To bunt, Florence.

W jego tonie było mniej zdecydowania niż w głosie Florence.

– Kto jest przywódcą? – usłyszał jej pytanie.

Wskazał na Bellala, który trzymał się za okrwawiony nos.

Florence się zawahała, po czym mocniej przysunęła do siebie strzelbę. Spod opalonej skóry zaciśniętych dłoni przeświecały białe kostki. Na jej nagim ramieniu widać było napięte mięśnie. Mówiła dalej:

– Bellalu, efendi ci daruje, jeśli ucałujesz jego dłoń i

poprosisz o wybaczenie. Tu, na oczach nas wszystkich –

oznajmiła.

Nogę, odzianą w but z wysokim ochraniaczem, postawiła na

dużym kamieniu. Sam znów miał wrażenie, że szukała oparcia, by się nie przewrócić. Położyła strzelbę na kolanie. Rozluźniona, mimo to gotowa do strzału.

Mężczyzna milczał. Łypał na Florence oczami

pociemniałymi z wściekłości. Sam zrozumiał. Bellal został

skarcony przez kobietę i mimo że była to *sitt*, jego arabska duma nie mogła się z tym faktem pogodzić.

Ale Florence spokojnie zniosła jego spojrzenie. Znała swoją siłę. Jej jasne włosy opadały swobodnie na ramiona, koszula była rozpięta aż do piersi, co ułatwiało oddychanie. Rękawy podwinęła do łokci, a pasek Sama przytrzymał w talii jej spodnie.

Mężczyźni widzieli przed sobą dumną i silną *sitt*.

Tymczasem Sam wiedział, jak bardzo jest krucha i delikatna.

Poczuł suchość w gardle, usłyszawszy, jak mężczyźni zaczęli pomrukiwać. Co zdecydują?

Ale Florence patrzyła na nich niewzruszona. W końcu się

odezwała:

– Bellal, mówiłam do ciebie. Słyszałeś. *Yalla!* – rzuciła po arabsku. Rusz się, zrób, co do ciebie należy!

Lufą strzelby zakreśliła łuk od niego w stronę Sama, który

właśnie wstał i poprawiał ubranie. Rękaw u koszuli miał

oberwany, podobnie jak kilka guzików przy kamizelce.

Mężczyźni wciąż się naradzali. Sam się rozejrzał. Chyba

zgadzali się z Florence. Jeden z nich, stojący najbliżej Bellala, trącił Araba w ramię.

– *Yalla!* – powtórzył za Florence.

– *Yalla! Yalla!* – przyłączyli się pozostali.

Kobieta oparła rękę na biodrze i ułożyła strzelbę w zgięciu łokcia. Wydawało się, że się uśmiechała.

Sam przyjrzał się Florence. Nie miał pojęcia, jak mimo

choroby zdołała się utrzymać na nogach. Blask w jej oczach nie był skutkiem gorączki, tak samo jak rumieńce na policzkach.

Żądza przygody napełniała ją energią, Sam wyraźnie to widział. O

tak, Florence była jego żoną.

Bellal wystąpił do przodu. Mężczyźni umilkli. Niektórzy

odłożyli maczugi i maczety na wydeptaną trawę i skrzyżowali ręce na piersiach. Obserwowali Bellala, każdy jego ruch. Bellal stanął

przed Samem. Po chwili wahania ujął rękę, która przed chwilą rozbiła mu nos. Sam poczuł na dłoni krótki, suchy dotyk warg Bellala.

– Przebacz, efendi – wymamrotał Arab.

– Wybaczam ci. – Sam zmusił się do wypowiedzenia tych

słów.

„To już koniec, mój plan spełzył na niczym – pomyślał. – Jak miałbym dalej podróżować z tymi ludźmi? A przecież tutaj nie uda mi się zebrać nowej załogi. Nie wiem, czy mógłbym jeszcze

komukolwiek zaufać”.

Tymczasem Florence uniosła strzelbę i wystrzeliła w górę

salwę. Sam przełknął ślinę ze zdziwienia. Trzymała broń tak, jakby w życiu nic innego nie robiła. Zrobiła to, żeby uratować mu życie, świetnie o tym wiedział.

– Zgoda i posłuszeństwo! – zawołała, a mężczyźni

powtórzyli jej słowa przy wtórze wystrzałów.

– Zgoda i posłuszeństwo! Zgoda i posłuszeństwo! – wołali i

tupali nogami.

Florence znów wystrzeliła, później jeszcze raz i jeszcze raz.

Z okolicznych akacji poderwały się spłoszone wikłacze, jak popiół

ogniska niesiony porannym wiatrem.

„Tylko jeden wystrzał – pomyślał później Sam, myjąc przed

jedzeniem ręce i spocony kark. – Jeden strzał jak jedno pytanie”.

Jeden strzał, na który raptem z lasów nadeszło dziesięć albo sto razy więcej odpowiedzi. Odwrócił

głowę i stłumił okrzyk. Wśród koron drzew u stóp góry Lardo unosiły się w niebo gęste chmury prochowego dymu. Słyszał teraz nieustające salwy, jedna za drugą.

Mężczyźni puścili się biegiem w kierunku lasu.

– Del Bono, del Bono! – usłyszał wołania. Wymachiwali

maczugami i maczetami, niektórzy podskakiwali i tańczyli w

biegu.

Sam widział, że Florence poruszała ustami, lecz w

panującym zgiełku nie usłyszał ani jednego słowa. Małpy

piszczały, przeskakując z gałęzi na gałąź, przerażone ptaki ulatywały w powietrze, a motyle gęstymi, kolorowymi chmurami tańczyły nad krzakami, na których jeszcze przed chwilą spokojnie odpoczywały.

Sam popatrzył w stronę lasu gęsto okalającego Gondokoro.

Zdawało się, że był nie do przebycia. Jednakże teraz otworzył się przed pierwszymi tragarzami ekspedycji del Bona, wypływając ich w sam środek osady Gondokoro. Mężczyzn było pięciuset, a może sześciuset. Nieśli na plecach kosze wypełnione kością słoniową i klatki z dzikimi zwierzętami.

Większość była wychudzona. Na piaskach otaczających Gondokoro nic nie chciało rosnąć, a

pszenica kosztowała osiem razy tyle co w Chartumie.

Sam słyszał coraz więcej strzałów. Gęsty dym przesłonił widoczność, zmaścił światło i sprawił, że trudno było oddychać.

Niespodziewanie od strony Nilu podniósł się wiatr, rozgarniając tumany dymu i robiąc w nim prześwit. Sam dostrzegł

muły i woły zaprzęzione do wozów. Rzędy powiązanych z sobą niewolników. Każdy ich krok wywoływał brzęk łańcuchów. Wielu z nich miało pokrwawione kostki i nadgarstki, ale nikt nie

zawracał sobie tym głowy i pędzono ich dalej. W karawanie

zauważył mężczyznę, którego ostatni raz spotkał przed wieloma laty na parowcu z Cejlonu do Anglii. Ów człowiek mógł mu na zawsze odebrać marzenia i nadzieję. Człowiek, który teraz miał

zagarnąć dla siebie prawo do nieśmiertelności. Sam widział, jak James Henning Speke energicznym krokiem maszeruje w jego

kierunku, ubrany w łachmany, ale wolny. U jego boku trochę

wolniej szedł James Grant, wspierając się na drewnianej kuli.

Za nimi na mocnym, niskim mule o błyszczącej sierści jechał

Amabile del Bono. Wystrzelił w powietrze ostatnią salwę. Na widok Sama i Florence Maltańczyk się uśmiechnął. Następnie

odwrócił się w stronę niewolnika, który się potknął i przewrócił, pociągając za sobą kilku towarzyszy niewoli, i począł okładać go korbaczem. W końcu mężczyzna zdołał wstać.

Florence opuściła strzelbę.

– O Boże, miej nas w opiece – usłyszał jej szept Sam.

Skwitował jej westchnienie skinieniem głowy. Nie miał teraz czasu dla Amabile del Bona.

Wybiegł naprzeciw Speke' a i Granta.

Speke i Grant zatrzymali się. Wokół nich nieprzerwanie trwał

diabelski taniec mężczyzn z ekspedycji Sama, którzy nawoływali, krzyczeli i oddawali salwę za salwą w duszne powietrze.

Sam dostrzegł, że Speke osłonił ręką oczy przed jasnymi

promieniami południowego słońca i patrzy w jego kierunku.

– Petherick? To ty? – usłyszał jego pytanie i przyspieszył kroku.

– Nie, nie! To ja, Baker! Sam White Baker! Pamiętasz? –

zawołał, biegnąc. Był tutaj, by przywitać Speke’a, właśnie on, a nie żaden z dżentelmenów, których Królewskie Towarzystwo

Geograficzne uznało za bardziej godnych zaufania. Tylko on, Sam Baker!

– Baker, na miły Bóg, co ty tutaj robisz? – zdziwił się Speke.

Stał tuż przed nim. Widział włosy Speke’a, wypłowiałe, przetykane siwymi pasmami, zwieszające się aż na plecy.

Popatrzył na jego przeżartą przez słońce twarz. Głębokie bruzdy wokół ust i oczu przywiodły Samowi na myśl niezliczone odnogi Nilu na mapach Murchisona. Popatrzył mu w oczy wypełnione

niezdrowym blaskiem. Widziały źródło Nilu? Popatrzył na usta Speke’a, wąskie i spękane. Czy piły ze źródła Nilu? Sam pragnął

wejrzeć w głąb niego, by się przekonać, czy jego własne marzenie jest nadal żywe. Co się wydarzyło tam, w odległych lasach? Miał

ochotę chwycić rodaka i potrząsnąć nim, wytrząsnąć z niego

odpowiedź. Teraz. Natychmiast!

Speke się wyprostował. Był wysoki, wyższy od Sama.

Nareszcie zaczął mówić:

– Nil.

– Tak? – dopytywał się niecierpliwie Sam. – Co z Nilem?

– Zagadka Nilu została rozwikłana. *The Nile is settled.*

Nadęty osioł, pomyślał Sam, otwierając na powitanie

ramiona. Nie miał innego wyjścia. Powitanie Speke’a było jego obowiązkiem jako Anglika. Poczł ucisk w piersi, gdy Speke

odwzajemnił jego uścisk, coraz mocniej zgniatając go w objęciach.

Zauważył, że Speke się rozplakał. Wielki mężczyzna drżał w jego ramionach i płakał, jakby nie płakał

przez cztery minione lata.

Sam trzymał go, bezbronego, w końcu poklepał go delikatnie po ramieniu.

– No, stary druhu, dobra robota! To wielka chwila dla Anglii

– powiedział, bo nie mógł znaleźć żadnych innych słów.

„Poczucie klęski to więcej, niż jestem w stanie znieść –

pomyślał. – Speke odniósł zwycięstwo. Przegrałem. Wszystko, wszystko było daremne. Wszystkie wysiłki, wszystkie pieniądze”.

Zdjął rękę z ramienia Speke’a i był zadowolony, że też mógł

wytrzeć sobie oczy. Każdy pomyśli, że dym z wystrzałów okopcił

mu twarz. Nikt nie mógł się zorientować, że płakał w godzinie chwały, triumfu odniesionego w hołdzie dla jego ojczyzny.

„Najhaniańniej potępiona dusza w dniu Sądu Ostatecznego

nie miewa się gorzej niż ja w tej chwili” – pomyślał ze smutkiem.

– Odkryłeś źródło Nilu – odezwał się.

Speke zawahał się i zmęczonym gestem przejechał dłonią po

wychudłej twarzy.

– I tak, i nie – odrzekł.

Florence zobaczyła Sama przytrzymującego Speke’a i

Speke’a trzymającego Sama. „Coś się wydarzy – uznała. – To

wszystko nie mogło być na nic. Coś się wydarzy”. Przetarła

rękawem wilgotne czoło i musiała usiąść. Siedząc na kamieniu, położyła flintę na wyciągniętych udach i podniosła głowę.

Amabile del Bono zdawał się czekać tylko na nią.

Siedział na swoim mule. Jego wzrok uwięził Florence.

Jednocześnie z pochyloną głową słuchał słów swojego zastępcy Mohammeda Hera, który kilka dni wcześniej przybył do

Gondokoro z Chartumu. Kaftan Mohammeda Hera był jak zwykle

nieskazitelnie biały. Florence pomyślała, że w skwarze dnia wygląda jak duch. Jedyne czerwony turban lśnił na jego czarnych włosach jak kropla krwi. Mówił cicho i z pośpiechem. Kilka razy skinął w kierunku Sama i Speke'a, a później na ich ludzi. Florence widziała, że Amabile się uśmiechnął i wsunął

pod brodę rękojeść korbacza. Następnie wydał Mohammedowi Herowi jakieś

polecenie, które ten przyjął. Zobaczyła, że Mohammed Her

wyszczrzył zęby w uśmiechu, gdy odchodząc, umyślnie potrącił

Saada. Saad upadł na ziemię, wstał i pobiegł do Florence. Usiadł w kurzu obok niej, podciągając podrapane i brudne kolana. Na jego czole lśnił pot.

– Coś się wydarzy, *sitt* – powiedział. Miał zatroskany głos. –

Nic dobrego.

Florence pokręciła głową. Ale nim zdążyła mu odpowiedzieć,

dostrzegła, jak Amabile del Bono dotknął korbaczem swych

pełnych ust. Złożył na skórze czuły pocałunek, a później wykonał

pejczem delikatny, pieszczotliwy gest w jej kierunku.

Wstała, przyciskając strzelbę do piersi. Nie mogła złapać

tchu. Czy naprawdę kiedyś nienawidziła broni? Bała się jej? Teraz nie chciała jej wypuścić z rąk.

– Tak, Saad, coś się wydarzy – potwierdziła.

Saad siedział w cieniu akacji. Kreślił patykiem koła w

czerwonym piasku, małe, większe, później znów je zamazywał i zaczynał od nowa. W ten sposób wyglądał, jakby miał zajęcie, i bez trudu mógł podsłuchać rozmowę efendiego i tego Speke'a.

Efendi nie wyglądał na szczęśliwego, siedział, popijając lurowatą bawarkę. „Ten napój smakuje mi tylko wtedy, gdy liście herbaty wrzuca się bezpośrednio do wrzącego mleka i mogę go sobie suto posłodzić” –

skonstatował. Ostatnią słodką herbatę piłem dawno temu. Westchnął. Zapasy się kurczyły. Wiedział, że gin, który Baker efendi prawdopodobnie wieczorem zaproponuje Speke'owi, to resztkę alkoholu, jaki jeszcze został jego panu. Kilka butelek efendi schował głęboko w swoich skrzyniach, na później, gdy opuszczą Gondokoro. Dopiero wtedy miała się zacząć poważna

wyprawa. Rzecz jasna *sitt* i efendi nie potrzebowali alkoholu tak, jak kiedyś ojciec Lukas.

Saad odwrócił głowę i poprzez korony drzew popatrzył w

kierunku misji Saint Croix w dole Nilu. Odór napływający do osady znad rzeki wywracał mu żołądek.

Odpady pochodzące od

ponad tysiąca ludzi, którzy tu teraz przebywali, mieszały się z bagnistym *suddem*. Śmierdziało gorzej niż śmierć, którą widział w twarzy ojca Lukasa. Nie wiedział, czy mnichów już pochowano.

Może tak, może nie. Nakreślił kolejne kółko i nastawił uszu. Nie powinno mu umknąć ani jedno słowo.

Sitt podeszła do mężczyzn. Miała na sobie niebieską suknię z obcisłą górą i szeroką spódnicą. W rękach trzymała tacę, na której stało kilka szklanek i płaska butelka z ginem. Saad obserwował ich dyskretnie spod przymkniętych powiek, jak się tego nauczył w misji w Chartumie. Spostrzegł, że Speke i Grant podziękowali wprawdzie *sitt*, ale wcale na nią nie patrzyli. Poczł złość. Kim była jego *sitt*? Może niewolnicą? Mimo wszystko nie ruszył się z miejsca.

Florence wróciła do chaty i Saad zobaczył, że Speke pochylił

się do przodu i położył rękę na ramieniu efendiego.

– Baker, kim ona jest? Gdy cię widziałem po raz ostatni,

byłeś żonaty z Henriettą! – zawołał z oburzeniem. Oburzeniem, które nie pasowało do tego świata, Sam wyraźnie to poczuł.

Sam nalał do szklanek trochę ginu.

– Henrietta nie żyje. Panie, świeć nad jej duszą. Florence jest moją żoną przed Bogiem, chociaż nie przed ludźmi. W każdej

kwestii jest mi równa.

Saad usłyszał w głosie Sama ostrzeżenie. Ale Speke i Grant

najwyraźniej go nie dosłyszeli. Teraz Grant pochylił się do przodu.

Skóra jego twarzy była zaczerwieniona.

– To szaleństwo przywozić tu z sobą kobietę. Gdzie ją

poznałeś?

Wypił niewielki łyk ze swojej szklanki i chudymi palcami

przejechał po długich, zapoconych włosach.

Saad zobaczył Florence stojącą w cieniu chaty. Czy ona też

słyszała każde ich słowo?

Sam nie znalazł od razu odpowiedzi na pytanie Granta.

Kołysał napojem w szklance, w tę i z powrotem. Krótka przerwa w konwersacji wystarczyła Speke'owi, by się roześmiał.

„Jego śmiech jest podobny do szczekania psa” – pomyślał

Saad.

W dalszym ciągu nie spuszczał oczu z Florence, a

jednocześnie nastawiał ucha.

– Ach, rozumiem. Jest twoją kochanką. Oczywiście twoja

tajemnica będzie u mnie bezpieczna. Sam miałem kobiety, tam, w lesie.

Uśmiechnął się ironicznie i przeciągnął się. Sam nie zdążył

mu nic odpowiedzieć, bo Speke znów się odezwał:

– W Londynie będę musiał opowiadać o innych sprawach niż

miłostki w buszu, nieważne, gdzie znalazłeś tę dziewczynę.

Uniósł szklanke. Na szkle załamały się ostatnie promienie

słońca.

– Panowie, za Nil.

Saad przymknął na chwilę oczy, a Speke powtórzył:

– *The Nile is settled*. Zagadka Nilu została rozwikłana.

Dokładnie tak, jak przypuszczałem, wypływa z ogromnego jeziora.

Na cześć naszej królowej ochrzciłem je Jeziorem Wiktorii! –

oznajmił.

Saad zobaczył, że Sam również podniósł szklanke i

przyłączył się do toastu. Popatrzył w stronę chaty. Florence znikła.

Westchnął. Zrozumiał. Brak ślubu stanowił hańbę. Gdy był jeszcze dzieckiem, w jego wiosce ukamienowano dziewczynę, bo leżała z mężczyzną, który nie był jej mężem. Ale Speke musiał się pomylić. Jak efendi mógłby nie poślubić takiej kobiety jak *sitt*?

Przecież każdy chciałby mieć taką żonę.

„Każdy” – pomyślał, pochmurniejąc, i przypomniał sobie

wzrok Amabile del Bona.

Później skupił się z powrotem na rozmowie trzech mężczyzn.

Speke odstawił szklanę na stół.

– Cieszę się, że ci się powiodło, Speke. Chociaż jestem

trochę rozczarowany, że dla mnie nie został ani jeden listek z laurowego wieńca.

Saad zobaczył, że Speke i Grant wymienili szybkie

spojrzenia. Później Grant się odezwał:

– Najlepiej będzie, jak wszystko szczerze opowiemy.

Speke przytaknął.

– Baker, twój liść z wieńca laurowego czeka na ciebie w

buszu, przy jednym ze źródeł Nilu. Zdradzę ci więcej. Ale musisz mi przysiąc na własne życie, na wszystko, co jest ci najdroższe na ziemi, że uczynisz wszystko, ale to absolutnie wszystko, by zerwać ten liść.

Saad zobaczył, że Sam się wyprostował.

– Oczywiście, przyrzekam. Ale dlaczego mówisz o jednym

ze źródeł Nilu?

Sam wychylił się do przodu. Oczy mu płonęły. „To

niedobrze, jeśli pragnie się czegoś tak bardzo, jak efendi tego źródła Nilu. Po co w ogóle chce wiedzieć, skąd płynie wielka rzeka? – Saad nie mógł wyjść ze zdziwienia. – Będziemy musieli za to zapłacić”.

Speke sięgnął do kieszeni na piersi swojej koszuli i wyjął z niej jakiś papier.

– Tu masz mapę, którą naszkicowaliśmy z Grantem zgodnie

ze swoimi przypuszczeniami. Muszę być z tobą szczerzy, Baker. –

Powiodł palcem po papierze. – Tutaj jest Jezioro Wiktorii. Z tego źródła Nil płynie na północ. Ale za wodospadem Karuma rzeka leniwie płynie na zachód. Nie udało nam się prześledzić jej biegu.

Gdy dalej na północy znów znaleźliśmy rzekę, płynęła silnym nurtem z południowego zachodu.

– Tak? – zapytał Sam. – Dlaczego nie mogliście pójść z

nurtem? Przecież byliście przez długi czas w pobliżu tamtego zakola.

Ze zmarszczonym czołem studiował dłuższą chwilę mapkę

rozłożoną na stole pomiędzy mężczyznami.

Saad wyciągnął szyję, ale nie udało mu się nic zobaczyć.

Speke pogładził się po brodzie. W wieczornym świetle jego

policzki wydawały się zapadnięte, a spojrzenia oczu nie dało się zauważyć. Zaczął mówić:

– Król Kamrasi, który tak długo trzymał nas w niewoli,

powiedział, że za Jeziorem Wiktorii rzeka przez kilka dni płynie na zachód i wpływa do drugiego jeziora, zwanego Luta N'zige. Z

Luta N'zige zbiera jeszcze więcej wody i ze zwiększoną siłą płynie dalej na północ, w naszą stronę.

– Znalazłeś to jezioro? – spytał Sam ochrypłym głosem.

Saad zobaczył, że podniósł szklankę do ust, ale nie pił.

Speke i Grant znów na siebie spojrzeli. Następnie Speke

pokręcił głową.

– Nie, mówię ci prawdę, Baker, bo bez tej wiedzy żaden z

nas trzech nie może wrócić do Anglii. Mówię ci prawdę, bo

czekałeś tu na mnie. Spełniłeś to, co ten łotr Petherick obiecał

Królewskiemu Towarzystwu Geograficznemu. Zaczekałeś tu na

mnie i teraz twoją łodzią i z twoją pszenicą mogę wrócić do Chartumu. Sam, chcę ci podziękować.

Musisz dopełnić mojej

misji. Podejmiesz ekspedycję do królestwa Kamrasiego.

Sam skinął, a na twarzy Speke'a ukazał się wąski uśmiech.

Grant spuścił oczy. Speke ciągnął:

– Miej się na baczności przed Kamrasim. Jest podstępny jak

wąż. Nie pozwolił nam szukać jeziora Luta N'zige. Musisz wkupić się w jego łaski i napełnić go trwogą.

Musisz przekupić go

prezentami i zagrozić mu bronią. Musisz się zorientować, kto jest jego przyjacielem, a kto wrogiem, kto

żoną, a kto córką. Może wtedy ci się uda. Jest nieobliczalny. Musi ci się udać! Znajdź to jezioro, Baker.

Proszę! Znajdź drugie źródło Nilu. Dopiero wtedy zagadka Nilu znajdzie swoje pełne rozwiązanie – przyznał i wypił

łyk ze swojej szklanki, pozwalając, by gin spłynął mu po gardle. –

Przyrzeknij mi to na wszystko, co dla ciebie drogie – powtórzył

jeszcze. – Ważne, żebyś najpierw złożył wizytę królowi

Kamrasiemu, nie zaglądał do sąsiedniego kraju, w którym rządzi jego brat Rionga. Jeśli na początek pojedziesz do Riongi, wówczas Kamrasi cię nie przyjmie. Wtedy wszystko pójdzie na marne.

Nasza i twoja podróż.

Saad zauważył, że oczy Speke' a powędrowały ku chacie, z

której wyszła Florence. Przyniosła mężczyznom świeżą wodę.

Miała obojętny wyraz twarzy. Ale Saad był pewien, że wszystko słyszała.

Speke mówił dalej, jakby nic się nie stało.

– Dialekt Kamrasiego jest też trudny. Na jego tereny nie

docierają handlarze niewolników, dlatego nikt z nich nie mówi tamtejszym językiem. Raczej nie uda ci się znaleźć tłumacza.

Przez to i nasze plany spaliły na panewce.

Florence podeszła do Sama, który natychmiast przysunął dla

niej krzesło. Usiadła i z uśmiechem napełniła mężczyznom

szklanki. Nie można było odgadnąć jej myśli. „Och, Allahu –

pomyślał Saad. – Nikt nie ma takiej *sitt* jak ja”.

Sam położył rękę na ramieniu Florence.

– Jak się dostaniemy do tego jeziora? – zapytał.

Speke cofnął się na oparcie krzesła.

– Najpierw musielibyście przejść przez góry Ellyrii, później przebyć kraj plemienia Latuko. Dalej traficie wreszcie do

Kamrasiego, do Unioro czy Ugandy.

Sam skinął.

– Przyrzekamy. Na wszystko, co dla nas drogie. Nie

zważając na koszty. Na życie – obiecał i popatrzył w oczy Speke’a, a później Granta. – Najpierw góry Ellyrii. Później Latuko. Stamtąd do Kamrasiego, nie do jego brata Riongi. Kamrasi może nam wskazać drogę do jeziora – powtórzył za nimi. – Wszystko bez jakiegokolwiek tłumacza, bo nie znamy nikogo, kto mówiłby w języku Kamrasiego – dodał.

Saad przełknął ślinę, a Sam wzniósł toast.

– *Gentlemen*, za źródło Nilu. Królu Kamrasi, nadchodzimy!

Saad zauważył, że Speke i Grant przez chwilę się zawahali.

W końcu podnieśli swoje szklanki.

– Życzymy wam powodzenia. Kamrasi to wcielony diabeł,

tak samo jak jego brat Rionga. Ale anioł będzie potrafił go obłaskawić. – Speke skłonił głowę przed Florence, nadal na nią nie patrząc.

„Dureń – obruszył się w myślach Saad. – Pycha przed

upadkiem chodzi. Nawet nie chcę wiedzieć, co wyprawiał w lesie z kobietami plemienia Kamrasi.

Przecież z jakiegoś powodu król musiał się rozgniewać na Speke’a, nie bacząc na jego podarunki, perły i amunicję”. Na temat zachowania Speke’a Saad słyszał co nieco od tragarzy z ekspedycji del Bona.

Saad wstał i otrzepał spodnie. „Najwyższy czas, by wydać

polecenia kucharzowi, który miał przygotować kolację” –

pomyślał poirytowany. Coś wisiąło w powietrzu. Bellal i jego bunt.

Amabile del Bono, Mohammed Her i ich rozmowy z Sakim przy

nocnym ognisku. „Może będziemy musieli sami wyruszyć nad to przeklęte jezioro”. Słyszał, jak *sitt* i *efendi* śmiali się z wyraźną ulgą. Później Sam uniósł szklankę w wieczorną czerwień nieba.

– Za trzy dni wyruszamy! – zawołał.

Oj tak, coś się wydarzyło. Ich podróż znów miała cel.

Cel tak odległy i nieosiągalny, jak tylko można sobie

wyobrazić.

Rozdział 9

Nad ocienionym stawem obok gaju tamaryndowców panował

obojętny spokój. Wokół pni oplatały się hibiskusy, a na ścieżkę zwieszały się ciężkie od rosy kwiaty surmii. Między korzeniami jednego z drzew wylegiwał się zwinięty wąż. Na jego łuskowatym ciele widać było wybrzuszenie kryjące nie do końca strawioną kolację.

Florence miała wrażenie, że jest jedynym człowiekiem na

ziemi, który zdążył się już obudzić. Saad opisał jej dokładnie drogę nad wodę, lecz dopiero po dłuższych poszukiwaniach zdołała

odnaleźć wąską leśną ścieżkę. Jakaś kobieta z plemienia Bari wskazała jej kierunek nieśmiałym gestem, przy którym zadzwoniły niezliczone bransolety zawieszane pomiędzy jej nadgarstkiem a łokciem.

Florence rozchyliła sitowie i stanęła nad brzegiem. Jakaś

przestraszona czapla uniosła się w powietrze. Jutro zamierzali wyruszyć. Nie byli pewni dokąd. Nie wiedzieli, kto będzie im towarzyszył.

Bez wątpienia Saad i Richaarn. Chciała się nacieszyć tą

chwilą spokoju. Zebrać myśli, zapomnieć. Zapomnieć, jak

Petherick i jego żona wyszli niespodziewanie z lasów Gondokoro.

Jak oboje zapewniali o swej niewinności, nie przyznając się do udziału w handlu niewolnikami i kością słoniową. Zapomnieć, jak Speke obrażał Pethericka, jak zagroził, że w Londynie go zrujnuje.

Petherick miał mu przyjść z pomocą, tymczasem nie było go na miejscu. Tragarze przyznali, że Petherick handlował na własną rękę niewolnikami i kością słoniową. Obcinał zmarłym głowy i obgotowywał je w celach naukowych, jakby stanowiły trofea.

Chciała zapomnieć, jak Kate, żona Pethericka, zaklinała Speke'a, by nie oceniał pochopnie jej męża i postarał się dostrzec jego dobre cechy. Na próżno. Petherick był zrujnowany, a jego kariera konsula dobiegła końca. Speke i Grant zabrali „Diahbiah” z

częścią zapasów i pożeglowali z powrotem do Chartumu.

Westchnęła. Chciałaby przez chwilę żyć wyłącznie własnym

życiem. Nie musieć na nic uważać, przewidywać. Chciała po

prostu być. Nad wodą odłożyła na trawę strzelbę zabraną z

posłania Sama. Wystraszone cykady wyskakiwały szerokim łukiem ze źdźbeł. Broń była naładowana, ale zabezpieczona. Usiadła na płaskim kamieniu, starając się nie poruszyć stojącej obok budowli termitów.

Czerwony słup był wyższy od niej. Wokół kamienia

zauważyła cienki sznur czerwonych mrówek, które bezbłędnie

odnajdowały na człowieku najcieplejsze miejsca i niemiłosiernie kąsały. Popatrzyła na gładką tafłę wody, w której odbijał się poranek. Dzień był jeszcze nieskazitelnie czysty.

Saad zapewnił ją, że w stawie nie ma krokodyli. W Nilu

miały dość zajęcia. Miała nadzieję, że się nie mylił. Roześmiała się. Jej śmiech zdawał się jedynym dźwiękiem na świecie.

Rozpięła ochraniacze i zsunęła długie buty. Skórę na stopach miała poodgniataną. Wstała, rozpięła pas obejmujący jej biodra i zdjęła spodnie. Jej długie, wysuszone nogi były w dalszym ciągu tak samo blade jak w domu Sulejmana. Rozpięła dwa guziki i

zjęła przez głowę koszulę. Włosy swobodnie spłynęły na jej nagie ramiona i piersi, osłaniając je jak chusta. Potarła ramiona i na jednym z nich wyczuła delikatny wzniesienie w miejscu, gdzie dzięki zabiegom Sama została już tylko niewielka, wygojona blizna.

W tej samej chwili usłyszała w krzakach trzask.

Uniosła głowę, czujna niczym wietrząca zwierzyna. Kto to

był? Pewnie jakieś zwierzę, może bongosy? Ściana lasu była

zamknięta. Zrobiła parę kroków w stronę stawu i zanurzyła w wodzie duży palec stopy.

– Brrr, zimna – mruknęła, brodząc. Tęskniła za prawdziwą

kąpielą, przyjemniejszą niż moczenie się w miedzianej kadzi Sama, gdzie polewano jej głowę wodą.

W gęstwinie znów coś trzasnęło. Tym razem odgłos dobiegł z

bardzo małej odległości. Zwierzę musiało być niezwykle duże, skoro tak śmiało poczynąło sobie w lesie.

Może to rzeczywiście bongosy? Woda sięgnęła jej do ud. Ilaste podłoże było miękkie i śliskie. Pochyliła się lekko i dotknęła palcami powierzchni wody.

Znów westchnęła, było jej dobrze.

Później uniosła głowę i znieruchomiła.

W miejscu, gdzie wydeptana bosymi stopami ścieżka

wychodziła na polanę za stawem, stał Amabile del Bono.

Florence nie krzyczała. W domu Sulejmana i podczas wielu

przepełnionych strachem nocy w trakcie ich podróży nauczyła się, że nie wolno krzyczeć. Należało działać. Rozpoczął się milczący wyścig do brzegu. Amabile okazał się szybszy, niż się

spodziewała. Nie zdążyła wyjść z wody ani dobiec do swojego ubrania.

Chwycił ją, gdy wyskoczywszy na trawę, rzuciła się w kierunku strzelby.

Jej purdey[3]! Czy wiedział, że jest uzbrojona?

Na ramieniu poczuła jedną jego rękę, a na ustach drugą.

Słyszała jego oddech, szybki i podniecony, odwrócił ją, zmuszając, by na niego patrzyła, po czym przycisnął ją do piersi i roześmiał

się.

– Słyszałaś, jak szedłem? Chciałem, żebyś mnie usłyszała.

Najprzyjemniejsza jest radość oczekiwania.

Wsunął rękę w jej rozpuszczone włosy i pociągnął do tyłu jej głowę.

– Zostaw mnie, bydlaku – powiedziała spokojnie. – Zabiję

cię.

– W takim razie na pewno cię nie puszczę! Wciąż taka

dumna, pani Baker? A może nie? Słyszałem, że wcale nie jesteś panią Baker. Jaka jest twoja cena, wolna kobieto? Wygląda na to, że można cię mieć za darmo. Amabile del Bono nie płaci za miłość

– roześmiał się i przycisnął usta do jej warg. Czowała, jak siłą je rozchyła. Zadławiła się, po czym z całej siły ugryzła jego

wciskający się, drażący język. Odepchnął ją od siebie,

przytrzymując za ramię. Złapał się za usta. Dostrzegła krew na jego wargach. Jej własny zadyszany oddech pulsował w uszach Florence jak poranne uderzenia bębna.

– Poczekaj, zapłacisz mi za to. Tym razem nie masz przy

sobie korbacza! – zawołał.

Rzucił ją na ziemię obok płaskiego kamienia, na którym

wcześniej siedziała. Niedaleko jej purdeya. Widziała lufę leżącą w wysokiej trawie jak ciemny, gładki wąż. Gotowa do strzału. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko. „Muszę zyskać na czasie” –

przeszło jej przez myśl. Szamotała się, broniła, uderzała. Trafiała go w ramię i krzyknęła, gdy niespodziewanie wykręcił jej ręce i przycisnął do ziemi nad jej głową.

Przejechał językiem po jej ciele, raz, drugi, a później ją

ugryzł. Krzyknęła. Naraz usłyszała, jak się roześmiał. Przekręcił ją trochę, wystawiając na bezlitosne światło poranka piętno

połyskujące na jej ramieniu tak jasno jak księżyc.

– A więc to tak! Półksiężyc tureckich handlarzy, wszędzie

bym go rozpoznał! Gdzie Baker cię kupił? Pewnie zechce zmiany, kogoś na twoje miejsce, jak z tobą skończę. Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia co do ceny, jak mężczyzna z mężczyzną.

Na chwilę zwolnił uścisk na jej rękach, chcąc rozchylić i

przycisnąć do ziemi nogi, którymi go kopała. Jednocześnie sięgnął

do swych poplamionych skórzanych spodni.

Florence wykorzystała ten moment.

Uderzyła go od dołu w brodę, złapała za włosy i odciągnęła

do tyłu jego głowę, a potem przeturlała się na bok, w kierunku, gdzie leżała strzelba. Z całej siły, której dodała jej desperacja, rzuciła się do tyłu w wysoką trawę i trafiła ręką na broń.

Lufa pieściła jej palce niczym obietnica.

Amabile zaczął przeklinać, ale raptem umilkł, bo Florence

zamachnąwszy się, uderzyła go w skroń kolbą z wiśniowego

drewna. Usłyszała trzaśnięcie czaszki. Maltańczyk odsunął się do tyłu i padł na kolana. Florence skoczyła, unosząc broń nad jego głowę do ponownego ciosu.

Amabile jęczał i trzymał się za czerep. Podniósł oczy.

Wydawało się, że szuka wzrokiem czegoś konkretnego, ale

zatrzymał się na jej nagim ciele. Oparł się ręką o ziemię.

– No, na co czekasz, zabij mnie, póki jeszcze możesz. W

przeciwnym razie pożałujesz tego – powiedział, oglądając krew na swoich rękach. W końcu spróbował wstać.

Florence odciągnęła kurek i wzięła Amabilego na muszkę.

– Nie ruszaj się, del Bono. Na kolana. Nie zbliżaj się –
groziła.

Pochyliła się w bok i drżącymi palcami zebrała swoje
ubrania. Przyroda wokół nich zamarła w milczeniu.

Amabile del Bono zaczął się śmiać. Znowu skierowała na
niego broń. Jego śmiech stał się jeszcze bardziej donośny.

– Ręce do góry – rozkazała. Usłuchał, nie przestając się
śmiać.

Zwinięte w kłębek ubrania trzymała pod pachą. Postąpiła
kilka kroków do tyłu, wracając na wąską ścieżkę.

– Zostań na miejscu. Możesz się poruszyć, dopiero jak
doliczysz do stu. Jeśli za mną pójdziesz, zabiję cię – zagroziła.

– Od razu mnie zastrzel, Florence. Inaczej będziesz żałowała
– powtórzył i przestał się śmiać.

Pod wpływem jego spojrzenia zaschło jej w gardle. Wsunęła

stopy w buty i nie zawiązując sznurówek, puściła się pędem przed siebie. Nie zważała na wystające
korzenie ani gałęzie pod nogami.

Poczuła nawrót gorączki, przed oczami miała mroczki, jej skórę pokrył zimny pot. Z pewnej odległości
znowu dobiegł do niej

roześmiany głos Amabile del Bona.

– Źródło Nilu? Postaram się, by stało się dla was wszystkich bramą do piekła! Wszędzie dotrę przed
wami i nigdzie nie

doznacie przyjaznego przyjęcia!

Gdy zobaczyła swoją chatę, oparła się zmęczona o pień

palmy daktylowej. Wiatr uformował nad jej głową dach z liści.

Cień, niczym kojąca dłoń, osłonił jej myśli, chłodząc strach. Może powinna była go zabić, tam, gdy miała
sposobność? Po prostu nacisnąć spust? Nie potrafiła.

Ach, Amabile del Bono mocno przeceniał swoje możliwości.

Dostrzegła Sama stojącego przed chatą razem z Koorshidem Agą.

Obaj zajęci byli rozmową z niezbyt roslym wodzem plemienia

Bari. Widziała, jak Sam podziwiał tarczę mężczyzny, zrobioną z pancerza żółwia, jego ostre jak noże pierścienie i okrywającą ramiona wodza skórę serwala.

Sam mówił, a wódz kiwał głową, na której kołysały się pióra zdobiące koronę jego włosów. Mężczyzna miał im umożliwić

podróż przez swoje terytorium, z dala od zatrutych strzał i niespodziewanych lawin śmiercionośnych kamieni podczas

przeprawy przez wąwóz w Ellyrii. Kilka tygodni temu setki

tragarzy z pewnej ekspedycji po niewolników straciły w ten

sposób życie.

Sam podał wodzowi rękę. Doszli do porozumienia.

Zamierzała przemilczeć niebezpieczną przygodę, która

spotkała ją nad wodą. Po co zawracać Samowi głowę? Otwarta

wojna z del Bonem mogłaby postawić pod znakiem zapytania całą wyprawę. Amabile nie był tego wart.

Przecież właśnie o to mu chodziło. Nie wpadnie w jego sidła!

Wzięła głęboki oddech, oderwała rękę od pnia i pod osłoną

krzaków włożyła na siebie ubranie. Przed wyjściem do Sama na polanę z wdzięcznością przycisnęła do ust lufę strzelby.

Jutro mieli wyruszyć z całym dobytkiem. Wtedy Amabile del

Bono zostanie jedynie wspomnieniem. Nie, zaledwie złym snem.

„Jutro wyruszamy w pochodzie z Mohammedem Herem i

ludźmi del Bona, którzy jeszcze raz zapuszczają się w busz.

Dobrze, że podarowałem Mohammedowi Herowi dwulufową

strzelbę i wiele innych wartościowych przedmiotów” – pomyślał

Sam, wychodząc z chaty.

Bagażę przygotowane, powiązane w paczki i zapakowane do

skrzyń, leżały na środku czysto zamiecionego placu między

chatami. Pięćdziesiąt bel, po pięćdziesiąt kilo każda. Dokładnie obliczył, ile pereł, miedzianych obręczy, ryżu, soli, kawy, cukru, mąki, lekarstw i amunicji był w stanie unieść każdy z ludzi. Ludzi, z których Sam nie widział teraz ani jednego. Osły i wielbłądy nie były przygotowane, jak kazał, lecz wałęsały się po placu, muskając owłosionymi wargami krzaki, z których część była trująca.

Wielbłądami zwykle zajmował się chłopiec, zwierzęta zżerały bowiem wszystko, co wpadło im w zęby.

Ale żadnego z dzieci nie było widać. Do skrzyń dobierały się właśnie pierwsze kohorty białych mrówek.

Pod wpływem ich kwaśnej śliny skóra, drewno i papier przemieniały się w pył.

Jedynie Saki, mrukliwy dowódca Sama, przysiadł na jednej

ze skrzyń i na niewielkiej planszy grał sam z sobą w mankalę.

– Saad, bij w bęben! Głośniej! Mocniej! Saad! Saad? – wołał

Sam. Tego ranka było mu na przemian gorąco i zimno. Z jakiegoś powodu chinina zdawała się nie zbijać gorączki mimo sporej

dawki, jaką zażył. Wciąż nachodziły go dreszcze, coraz

silniejszymi falami.

– Saad! – zawołał jeszcze raz.

Wyglądało na to, że chłopak też gdzieś przepadł.

Saki podniósł głowę i się zaśmiał. Później wrócił do gry.

Pionki bao wydawały klekoczący dźwięk, spadając do dołków

planszy. Poza tym wokół panowała cisza. Nienaturalna cisza.

Nagle uniosła się zasłona przysłaniająca wejście do chaty.

Zobaczył Florence wychodzącą na dwór z ciemnego wnętrza. Była bardzo blada i mocno trzymała za rękę Saada. Sam zmarszczył

czoło, gdy zobaczył, jak szybkim krokiem podeszła do Sakiego.

Nim ten zdążył podnieść wzrok, Florence złapała go za rękaw, zmuszając, by wstał.

– Czy ludzie są gotowi do drogi?

– Oczywiście, *sitt* – odparł Saki z niedbałym uśmiechem. –

Musisz jedynie wydać rozkaz do wymarszu.

Florence go szturchnęła.

– Właśnie to robię. Gotowi do wymarszu! Jucicie osły,

zwijajcie namioty i szałas. Wyruszamy, nim słońce stanie wysoko na niebie!

Sam dostrzegł, że w oczekiwaniu na reakcję Sakiego jeszcze

bardziej zbladła. Zacisnął dłoń na rękojeści swego raylleya. Saki spoglądał na nią i nie miał zamiaru się ruszyć.

– Sukinsynu! Nie słyszałeś, co powiedziałam? – zapytała.

Saki się skrzywił i splunął z niesmakiem w piasek przed jej stopami. Florence odwróciła się do Sama.

– Saad ma rację, Sam. Podśluchał ich. Dziś w nocy przed

naszym wyjazdem mają zamiar wykraść broń i amunicję, a nas

zabiją przy najmniejszej próbie oporu.

– Brednie – stwierdził Saki.

– Wszystko słyszałem! – potwierdził Saad, podchodząc do

Sakiemu, któremu sięgał ledwo do pępka.

Saki wymierzył mu kukuksa, aż chłopak upadł na piach.

– Zdrajca! – usłyszał Sam okrzyk Saada.

Saki się zaśmiał.

– To ty jesteś zdrajcą. Nikt nie pójdzie z tym chrześcijańskim psem, który jest twoim panem, taka jest prawda. Razem z

Richaarnem możecie ponieść skrzynie. Bawcie się dobrze. A teraz mam zajęcie. Mohammed Her wyjeżdża właśnie po bydło i

kobiety. Chcę iść z nim.

– Mohammed Her? – zdziwił się Sam. – Przecież jedziemy

razem.

Mężczyzna oparł ręce na biodrach.

– Tak ci się wydaje – odezwał się w tej samej chwili

Mohammed Her, wyłoniwszy się spomiędzy chat niczym duch. Jak na ironię, zarzucił sobie na ramię strzelbę Sama.

– Właśnie ruszamy. Twój ludzie idą ze mną. Jeśli przyjdzie ci do głowy, by za nami jechać, zabiję jak psa ciebie i twoją kobietę.

Rozkaz Amabile del Bona.

Sam podszedł do Sakiemu i energicznym ruchem wyciągnął

papiery z kieszeni na piersi jego kaftana. Wśród nich były zapisane nazwiska jego ludzi i wysokość wypłaconego żołdu. Szybkim

krokiem poszedł do sypialni i zanurzywszy pióro w atramencie, napisał w poprzek listy dużymi literami: BUNTOWNICY.

Następnie oddał dokument Sakiemu.

– Jeśli uda mi się wrócić żywym, zapłacisz za to w

Chartumie. Zostaniesz powieszony w imieniu królowej Anglii.

Saki i Mohammed Her zarechotali.

– Możesz wrócić do Chartumu albo zdechnąć. Ale w tym

lesie na pewno nie postawisz nogi – powiedział Mohammed Her, wskazując na otaczającą ich nieprzeniknioną ścianę zieleni.

Sam poczuł, jak rodzi się w nim bezsilna wściekłość. Złapał

za korbacz wiszący u jego pasa.

Mohammed Her śledził wzrokiem jego ruchy i śmiał się.

Zdawało się, że tylko czeka na wybuch Sama.

Sam oprzytomniał.

– Poproszę o pomoc Koorshida Agę. Zaczekam dwanaście

miesiący, jeśli będzie trzeba. Aż znów nadejdzie pora podróży. Po następnych deszczach.

Mohammed Her wzruszył ramionami, szykując się do

odejścia.

– Rób, co uważasz. Żaden z ludzi Koorshida Agi nie

przyjdzie ci z pomocą, Turek może rozkazywać, co zechce.

Ibrahim, kierujący jego ludźmi, kazał ci przekazać taką samą wiadomość jak ja. Zastrzelili was, jeżeli wyruszysz do lasu za nim i jego ludźmi. Jeśli natomiast zamýślasz pozostać tu dwanaście miesięcy, wówczas wyręcą nas Bari.

Sam zaczął się trząść. Poczłł kwasność w przełyku, ostrą i gorzką. Gorączka rozpałła jego krew, przyspieszyła bicie serca.

Zniekształcała myśli. Może za jej sprawą wszystko wydawało mu się trudniejsze, niż było w rzeczywistości?

Nie, znalazł się w diabelnie kiepskim położeniu. Sytuacja

była rozpaczliwa, właściwie najgorsza z możliwych. Oparł się o jedną ze skrzyń, jakby szukając wsparcia. Nawet ludzie Koorshida Agi byli przeciwko niemu! Nie wątpił w życzliwość Turka, ale wiedział, że tutaj, w buszu, Koorshid Aga musiał słuchać swoich ludzi tak samo jak oni jego.

Mohammed Her i Saki rozmywali się w jego oczach, ich

sylwetki nienaturalnie się wydłużyły, twarze zamieniły się w pyski szczerzące zębiska, pożerające jego marzenia i nadzieje. Jak we śnie zobaczył, że się odwrócili i odeszli, przechodząc pomiędzy skrzyniami.

Czuł się jak odurzony trucizną.

Po drodze Saki kopnął jakąś paczkę, coś powiedział, po czym on i Mohammed Ali zaczęli się śmiać.

Obaj mężczyźni znikli

między chatami, gdzie powitały ich niczym bohaterów śmiechy, nawoływania i salwy. Sam zakrył twarz rękoma, nie chciał nic więcej widzieć. Świata, ludzi ani porzuconego, opustoszałego obozowiska wystawionego na żrące promienie słońca. Słońca,

które było teraz jego wrogiem. Stało już wysoko na niebie, co oznaczało stratę kolejnego dnia. Ten, kto nie wyruszył przed wschodem, zostawał na miejscu. Następnego dnia słońce

zamierzało kontynuować swe dzieło, parzyć i przypalać. Przez jakiś czas siedział spokojnie, bez ruchu, uwięziony we własnych myślach.

Potem poczuł na sobie dotyk palców Florence. Najpierw

gładziła go po włosach, później odsunęła ręce z jego twarzy.

Pocałowała go w czoło tak delikatnie i niepewnie, że ledwo poczuł

jej wargi. W jej pocałunku wyczuł bezradność.

– Co mamy robić, Florence? – wyszeptał. – Wrócić do

Chartumu? Wyśmieją nas. Nil doniesie ich drwiący śmiech aż do Kairu, a później do Europy.

Powinniśmy zrezygnować? Wrócić do domu?

Uwadze Florence nie uszło lekkie wahanie, z jakim

wypowiedział ostatnie słowa. Przecież właśnie tej jednej rzeczy nie mieli. Domu. Byli wolni, tak bardzo wolni, aż do bólu. Przez chwilę patrzyła na Sama, a następnie wytarła mu chustką czoło.

Chustka była brudna i mokra, gdy chowała ją z powrotem do

kieszeni.

– Musisz odpocząć. Oboje musimy odpocząć. O zmroku

ruszymy w drogę – powiedziała i jeszcze raz go pocałowała. Tym razem jej pocałunek był mocniejszy, bardziej zdecydowany. Jakby jego słabość dodała jej siły. Niewiarygodnej siły. Sam przełknął

ślinę. Liczyło się to, że miał Florence, nieważne, co miało nastąpić.

– My? – zapytał. Chciało mu się spać. O tak, spać. Chciał

zapomnieć. Nim będzie zmuszony zawrócić, poddać się. Wtedy

usłyszał słowa Florence. Przez chwilę mu się wydawało, że to senne przywidzenie, że majaczy w gorączce. W głowie mu wrzało.

Tymczasem nie śnił, naprawdę do niego mówiła.

– Tak, wyruszymy. My: Saad, Richaarn, ty i ja. My –

powtórzyła.

Wódz Bari pociągnął obfity łyk z łupiny tykwy napełnionej

merisą, piwem warzonym przez jego plemię. Następnie pokręcił

głową i rzekł:

– To niemożliwe. Co mógłbyś wskórać z jednym mężczyzną

i chłopcem? Kto będzie chronił twoją żonę? Nie mogę ci zapewnić spokojnego, swobodnego przejścia w góry Ellyrii. W wąwozie

będziecie zdani na łaskę plemienia Ellyria. Zrzucają na was skalne odłamki i będziecie martwi. Musisz porozmawiać ze swymi

ludźmi. Obiecuj im wszystko, co będziesz musiał obiecać. Znasz ich chciwość. Obiecuj im słońce, księżyc i gwiazdy, jeśli nie chcesz im dać kości słoniowej, kobiet ani bydła. Potrzebujesz ich.

Młody wojownik, który siedział u jego boku, skinął głową.

Sam mu się przyjrzał. Musiał pochodzić z jakiegoś innego

plemienia, był bowiem wyższy, a jego włosy nie były długie, lecz tworzyły coś w rodzaju filcowego hełmu, zapewne latami starannie splatanego i ozdabianego perłami, piórami i muszlami.

Sam zapytał o imię młodego mężczyzny.

– Adda – odparł tamten, klepiąc się w pierś w okolicy serca, i usadowił się przed Samem w odpowiedniej pozie, by ten mógł go namalować. Samowi zwykle najlepsze pomysły przychodziły do głowy, gdy trzymał w ręku węglowy ołówek. Na pożegnanie

sprezentował Addzie czerwoną chustkę, którą mężczyzna

przywiązał sobie w pasie. Przy każdym kroku trójkątny czerwony ogonek powiewał i kołysał się nad jego siedzeniem. Przez moment Sam zastanawiał się ze zdziwieniem, dlaczego Adda nie przysłonił

materiałem swego nagiego przyrodzenia. Niemniej nie mógł

powstrzymać uśmiechu, ujrawszy, jak mężczyzna idąc, co chwila się oglądał, podziwiając kolorową powiewającą szmatkę.

Florence zauważyła, jak Sam następnego dnia rozmawiał z

ludźmi. Groził i kusił. Chodźcie. Ze mną. Dzisiaj!

Wreszcie zebrał kilkunastu mężczyzn, którzy dzień i noc

kłócili się z Sakim. Nie łudziła się, że nagle staną się posłuszni.

Wiedziała, że przed zaśnięciem nie będzie pewna świtu, a po przebudzeniu nie będzie mogła liczyć na spokojny sen. Miała jednak również świadomość, ile rzeczy mogło się jeszcze zmienić w drodze, w obliczu niebezpieczeństwa i wszystkiego, co

nieprzewidywalne.

Najważniejsze, że w ogóle będą mogli wyruszyć.

Muszą się postarać, by dotrzeć do Ellyrii przed ludźmi

Mohammeda Hera i Ibrahima. Gdyby handlarze pierwsi dotarli do tamtejszego plemienia, z całą pewnością podburzyliby jego

członków przeciwko nim, a wtedy wszyscy zginęliby marnie pod gradem kamieni, dzieląc los oddziału tragarzy sprzed kilku

miesięcy. Jeśli natomiast to oni pierwsi dotrą do Ellyrii i za pośrednictwem tłumacza uda im się rozmówić z wodzem,

wówczas zdobędą pewną przewagę.

Ellyria, Latuko, Kamrasi. Później biała plama na mapie, na

której przypuszczenia Speke'a co do dalszego biegu Nilu za

Jeziolem Wiktorii równie dobrze można by nakreślić mlekiem albo sokiem z cytryny. Właśnie tam mają się udać, w samo serce

nieznanego lądu. „Boże, miej nas w swojej opiece” – pomyślała Florence.

Patrzyła, jak siedemnastu mężczyzn, wśród których był także Bellal, pakuje bagaże na wyścielone dywanami grzbiety osłów.

Kundle!

Worki i tobołki ze skóry gazeli były z sobą powiązane w

ustalonym przez Sama porządku. Wallady przeskakiwał z grzbietu jednego zwierzęcia na drugie, aż w końcu z pozornym spokojem rozsiadł się na wielbłądzie. Florence odwróciła głowę do tyłu.

Szałas były już złożone. Miała na sobie bryczesy, koszulę z długim rękawem, długie buty i zasznurowane do kolan

ochraniacze. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, zbliżając się do Nilu. Pierwsze fale rzeki przybrały barwę płomieni.

Florence zagryzła zęby. Nie mieli przewodnika ani tłumacza.

Mimo to, jeśli wyjadą o zmroku, będą mieli przewagę.

A więc aż tak daleko się posunęła. Była zdecydowana pójść znacznie dalej.

– Saad! – przywołała do siebie chłopca. – Idź i powiedz

Bacheecie, żeby upiekła *kisras*. Dużo, dużo *kisras*. Niech je zapakuje, jak tylko ostygną.

Saad posłuchał. Westchnęła. Pomimo wszystkich cudownych

opowieści o tryskających źródłach i rwących strumieniach, jakie im obiecywano po drodze, powinni napełnić wodą wszystkie

bukłaki z tykwy, zwane *guerbas*. *Kisras*, niewielkie ciemne placuszki, miały stanowić ich pożywienie do gór Ellyria,

oddalonych o trzydzieści albo czterdzieści mil. Za Ellyrią powinni dotrzeć do terenów Latuko. Speke zapewniał, że tamtejsi

mieszkańcy znali Kamrasiego i powinni wskazać im drogę.

„Ellyria, Latuko, Kamrasi – powtarzała jak mantrę, ciągle od nowa. – Później biała plama i nieznany ład, którego nie oglądało dotąd ludzkie oko”.

Z nadejściem nocy opuścili Gondokoro. Wysoko na niebie

świecił księżyc w pełni, matowa, jaśniejąca tarcza, jak zgubiona w ciemności moneta. Las żył własnym życiem, oddychał własnym

oddechem. Góra Belignan była dobrze widoczna, mimo że leżała dziesięć mil dalej. Oprócz nich w okolicy nie było żadnej ludzkiej istoty, jednakże dochodzące z oddali uderzenia bębna i śpiewy napełniały powietrze osobliwą powagą, przyprawiając je

niewypowiedzianą groźbą.

Sam jechał na czele karawany na koniu imieniem Filfil, co po arabsku oznaczało pieprz. Miał odnaleźć szlak wiodący po

wschodniej stronie góry. Za nim jechała Florence, a z tyłu Saad na swoim wielbłądzie. W siodle przed chłopcem rozsiadł się Wallady, a z boku wisiał bęben i juki pełne placków *kisras*. W rękę Saada energicznie powiewała brytyjska flaga. Drugą ręką trzymał wodze wielbłąda, czasami je podnosząc, by się osłonić przed niskimi kolczastymi gałęziami. Florence starała się skoncentrować na piaszczystym podłożu pod kopytami swojego konia Tetela. Ponad dwie godziny później przez gęste gałęzie akacji i namorzynów zobaczyli przeświecający płomień ogniska. To przypuszczalnie ludzie del Bona, którzy razem z Ibrahimelem pierwszego dnia

posuwali się wolno, by dać reszcie tragarzy czas na dobiecie do grupy. Usłyszała strzał i wołanie strażnika.

– Zabierajcie się stąd! Jeżeli zostaniecie w pobliżu,

nakarmimy wami hieny!

Po tym ostrzeżeniu wystrzelił jeszcze dwa razy w powietrze, przecinając nocną ciszę, która niebawem zamknęła się z powrotem za plecami Sama, Florence i ich tragarzy, którzy nie myśleli się zatrzymywać.

Florence spięta Tetela ostrogami. Zapowiadała się długa

nocna jazda. Bolały ją kości, gdy Sam pozwolił im wreszcie

zatrzymać się na postój. Przespała kilka godzin na twardej ziemi i obudziło ją wołanie Sama.

– Jucście wielbłądy! Za godzinę wszędzie słońce!

Nikt się nie poruszył. Mimo powagi sytuacji musiała

powstrzymać się od śmiechu, gdy Sam krzyczał na ludzi.

– Śpijcie smacznie, przyjaciele. Nie zwracajcie na mnie

uwagi, leżcie sobie i palcie fajki. Chętnie wykonam za was waszą pracę! – sarknął i zabrał się do pakowania bagaży. Kilku mężczyzn podniosło się z wyrazem zawstydzenia na twarzach, ale i tak nim zdążyli wszystko zapakować, wzeszło już słońce.

Stracili godzinę marszu, godzinę przewagi nad Turkami

Ibrahima.

Florence popatrzyła z troską na Sama, który odwzajemnił jej spojrzenie.

– Wymarsz! Będziemy jechać w dzień i w nocy. Ruszać się,

ruszać. *Yalla! Yalla!* – zawołał, podnosząc rękę.

Pierwszego dnia jechali przez las, w którym drzewa zdawały

się sięgać nieba. Korony splatały się, tworząc płaski dach, zatrzymywałyienne światło i filtrowały je, wpuszczając w głąb jedynie blade, nieokreślone cienie. Wśród drobniejszych gałęzi wielkie jak dłoń pająki snuły gigantyczne sieci. Motyle tańczyły wokół liści, ostrożnie omijając najeżone ostrymi kolcami konary akacji. Barwnie upierzone ptaki zanurzały długie, smukłe dzioby w kolorowych kielichach kwiatów. Gdy Florence chciała im się

przyjrzeć, w twarz uderzyły ją z impetem cierniste akacjowe pędy i podrapały jej policzki. Z trudem stłumiła okrzyk bólu. Ścieżka była gęsto zarośnięta długimi, zwieszającymi się na ziemię

gałęziami, w które wplątywały się kopyta wielbłądów, toteż ludzie musieli prowadzić zwierzęta, ciągnąc je i popychając. Ciernie rozrywały sakwy, więc szlak ich wędrówki znaczyła ciągnąca się za nimi wąska smuga kawy, herbaty, soli i ryżu. Florence słyszała złorzeczenia Sama. Pomagała mężczyznom łątać rozdarcia

szmatami, co stanowiło mozolną pracę, od której drętwiały jej palce, tymczasem na pakunkach nieustannie przybywało nowych dziur. W końcu ze zmęczenia ledwo mogła się utrzymać w siodle na Tetelu. Część zapasów bezpowrotnie stracili, fundując

pożywienie termitom i mrówkom.

Nadchodziła druga noc, ciemna i nieprzyjazna. Chmury

przesłoniły księżyc. Florence odchyliła głowę daleko do tyłu, by popatrzeć na góry, które właśnie mijali.

Ostatni wielki deszcz wyłobił w gruncie głębokie rowy. Impet wody wyrwał ziemię i przeorał górę potężnymi bruzdami. Przy każdym korycie rzeki, rowie czy urwisku musieli rozjuczyć pięć wielbłądów, przeprowadzić je na drugą stronę, a później znów mozolnie, sztuka po sztuce, ułożyć pakunki na grzbietach zwierząt.

Florence dostrzegła, że mężczyźni tracili cierpliwość do

wielbłądów, odpłacając się kapryśnym stworzeniom razami kijów i wyzwiskami.

– Półgłówek! Sukinsyn! Rusz się albo upieczemy cię na

kolację!

Za to do osłów, które pozwalały się chwycić za uszy i za

ogony i tak z ładunkiem na grzbietach pokonywały najgłębsze rozpadliny i strome zbocza, mówili pieszczotliwie „mój bracie”

albo „moje kochanie”.

– *Yalla, Habibi, Yalla!* – brzmiało jak piosenka.

W ten sposób mijała godzina za godziną, księżyc zbladł i

robiło się coraz ciemniej. Noc zasnuła myśli zasłoną żałoby i beznadziei. Wszyscy milczeli. Mężczyźni byli zbyt zmęczeni, by rozmawiać, a i strudzone zwierzęta wlokły się powoli, kopyto za kopytem.

Naraz usłyszała okrzyk Saada:

– Stój! Psiakrew, stój!

Jego głos poszybował w ciemności, a za nim rozległ się

brzęk garnków, patelni i wypakowanych po brzegi plecaków

niesionych przez jego wielbłąda. Na końcu dały się słyszeć tępe dźwięki, jakby uderzenia bębna. Odgłosy kilkakrotnie się

powtórzyły, aż wreszcie zwierzę razem z bagażami dotarło do dna rozpadliny.

Wallady zaczął krzyczeć i zwinąwszy się w futrzany kłębek,

razem z wielbłądem zsunął się do głębokiego rowu, którego w ciemnościach nikt wcześniej nie zauważył.

Wielbłąd żył i był w dobrym stanie, ale trzeba go było siłą wyciągać z wykrotu. Z

bębna został płaski placek i przestał się do czegokolwiek nadawać.

Saad i Wallady byli cali i zdrowi. Worek z *kisras* też udało się uratować.

Była pierwsza w nocy.

– Więcej nie dam rady – wyszeptała cicho Florence. Bardzo

cicho, ale Sam chyba ją usłyszał. Odwrócił głowę. Miał zwieszona ramiona, a właściwie całe jego ciało wisiało w siodle Tetela.

Popatrzył chwilę w doskonałą ciemność nad ich głowami, jakby w poszukiwaniu wsparcia. Następnie podniósł rękę na znak rozkazu.

– Rozładować zwierzęta! Odpocznijmy na równinie. Saad,

rozstaw flagę.

Przed sobą mieli wielkie, płaskie kamienie. Mężczyźni

psiocząc, niemrawo zbierali chrust i gałęzie na ognisko. Słyszeli wycie hien, które niebawem zaczęły podchodzić bardzo blisko obozu. W nocy wykraadały mężczyznom spod głów worki z niezbyt dokładnie wyprawionej skóry. W pobliżu rozległ się ryk lwa. Sam naładował strzelbę i gotową do strzału położył

sobie na kolanach.

– Saad, rozdaj *kisras* – poleciła Florence.

Na myśl o małych słonych placuszkach poprawiło jej się

samopoczucie. Wszyscy czuli głód. Ssący, palący głód

niedopuszczający do głów żadnej innej myśli. Oprócz tej jednej, że musieli dotrzeć do gór Ellyrii przed del Bonem, Mohammedem

Herem, Ibrahimem i jego Turkami!

Przyglądała się mężczyznom, zbyt zmęczonym nawet na swe

zwykłe biadolenia. Jedzenie powinno poprawić im humor.

W tej chwili ponownie usłyszała wołanie Saada. Tym razem

brzmiało jeszcze bardziej rozpaczliwie niż w tamtym momencie, gdy jego wielbłąd zsunął się z urwiska.

– Wallady, ty diable! Piekielny pomocie! Poczekaj, niech cię dostanę w swoje ręce!

Zobaczyła, jak Wallady odskakuje w bok i ucieka. W łapce

trzymał coś małego i ciemnego. Saad biegł za nim wielkimi

susami, a w rękę niósł worek, w którym przechowywali placki.

Setki *kisras*. Worek był pusty. Wallady w podskokach zniknął w ciemności. Florence słyszała jego śmiech przypominający skowyt dzikich psów.

Saad jeszcze raz pogroził mu pięścią.

– Uciekaj, niech cię pożrą hieny! Lwy cię rozedrą, a sępy

rozniosą twoje kości!

Następnie zwrócił się do Florence i pokazał jej pusty worek.

– Zżarł placki! A te, których nie zżarł, pewnie wyrzucił. Nie mamy nic, ale to zupełnie nic do jedzenia.

Wszyscy położyli się spać bez kolacji. Po zaledwie trzech

godzinach Florence się obudziła. Wokół nadal panowała absolutna ciemność. Sam siedział przy ognisku, zwrócony do niej plecami.

Ciernistą gałęzią dłubał w gorącym żarze. Wallady spał zwinięty w kłębek na jej brzuchu, najedzony i zadowolony. Podniosła go ostrożnie i położyła na ziemi. Wstała i cichym krokiem podeszła do Sama.

Drgnął, gdy położyła mu rękę na ramieniu. Oczy miał

głęboko zapadnięte, zaś jego skóra przyjęła w owej godzinie między wczorajszym a jutrzejszym dniem barwę popiołu. W

milczeniu przytuliła do piersi jego głowę i nasłuchiwała jego galopujących bez wytchnienia myśli. Co się stanie, jeśli nie zdążą do Ellyrii przed Turkami? Wtedy wszystko przypadnie.

– O czym myślisz? – spytała po cichu. Odetchnął i wypuścił

powietrze.

– Ellyria, Latuko. Kamrasi. O tym myślę.

– Wiem – odrzekła i objęła go.

Po krótkim milczeniu Sam znów się odezwał:

– Musimy wyrzucić sto funtów soli. Gdy nadejdzie poranna

szarówka, będziemy musieli zacząć kopać w korytach rzeki w

poszukiwaniu wody. Nasze zapasy się kończą. Mam jeszcze tylko jedną pełną butelkę.

Florence skinęła, pocałowała jego włosy i dalej trzymała go w objęciach. Nad nimi świecił olbrzymi, okrągły księżyc. Sam zapatrzył się w niego hipnotycznym wzrokiem. I tak ogrzewali się nawzajem w chłodnym świetle przetykającym bezkresny firmament szarymi i fioletowymi pasmami. Z czystego przyzwyczajenia

poczuła pragnienie. Na razie tęskniła jeszcze za herbatą, ale wiedziała, że niedługo będą w stanie wypić wszystko. Wodę, sok, kawę, mleko, urynę, krew. I nie będzie niczego, ale to absolutnie niczego, co mogłoby zaspokoić ich pragnienie.

Widziała, że mężczyźni zamiast kopać w poszukiwaniu

wody, znaleźli w szlamowatej dolinie nadpsutą głowę zwierzęcia podobnego do świni. Natychmiast zarzucili wyznaczone zadanie i klaskali zadowoleni. Guźcowi brakowało kłów, których

prawdopodobnie użyto do wyrobu broni, a oczy miał wyjedzone przez ścierwniki. Szakale rozszarpały

szczęki i wyżarły mózg.

Zapewne zwierzę zostało dopiero niedawno zabite, ale ohydny odór padliny trzymał Florence w dużej odległości od

commentarzyska. Za to mężczyźni śmiali się i śpiewali. Wizja

nieoczekiwanej uczyty, będącej podarunkiem od tak nieprzychylniej zazwyczaj przyrody, sprawiła im ogromną radość. Rozpalili ogień za pomocą dwóch patyków, które z nieprawdopodobną

cierpliwością pocierali o siebie w dymiących dłoniach, i ustawili na nim kocioł. Mieli w nim zagotować tę odrobinę wody, do której udało im się dokopać. Kości i pozostałe na czaszce mięso, które nawet lwy i hieny uznały za mało wartościowe, roiło się od

robaków i czerwi. Florence poczuła, jak jej pusty żołądek się skręca. Powstrzymała odruch wymiotny, przypominający jej

najgorszy okres gorączki. Sam wypuścił powietrze przez nos i patrzył w inną stronę. On też nie mógł znieść smrodu zepsutego mięsa.

– Czerwie wypełzają temu zwierzakowi z uszu i z nosa, jak

ludzie w Londynie, gdy kolejny raz zapali się jakiś teatr! –

mruknął.

Mężczyźni usłyszeli jego słowa i dobrodusznie się

roześmiali, wypłaszając czerwie delikatnymi, rytmicznymi

uderzeniami patyka o zmasakrowany czerep. Woda szybko się

zagotowała. Ludzie zasiedli wokół kotła i śpiewali, by zapomnieć o głodzie, dopóki łeb nie zmięknie.

Słyszając śpiew, Florence zamknęła oczy. Przypomniał jej się

inny wieczór na innej ziemi, gdy w niebo wznosiły się głosy z ciemnych gardeł. „Ta zdolność do radości”

– pomyślała, unosząc rękę w odmownym geście, gdy Richaarn próbował jej uprzejmie zaoferować kawałek mięsa. Najlepszy kawałek z całego łba,

wiedziała o tym. O piątej po południu świński łeb był już

doszczętnie ogryziony i wyssany, a tykwowe bukłaki nareszcie napełnione świeżo wykopaną wodą o delikatnym posmaku mułu.

Sam kazał ostatni raz napoić zwierzęta i ustawić osły.

Kamienista równina, na której obozowali, przeszła w strome

zbocze. Florence spoglądała w górę, gdzie wspaniałe szczyty z piaskowca odcinały się od wieczornego nieba. Sam wydał rozkaz do wymarszu.

W milczeniu krok po kroku przedzierali się wytrwale przez

trzecią noc. Myśli Florence nie wybiegały dalej niż do kolejnego uderzenia końskiego kopyta. Godzina wlokła się za godziną.

Później słońce przegnało noc i rozproszyło jej beznamiętną

ciemność. Paliło jej ciało i umysł. Niespodziewanie ciszę przerwał

głos Sama. Florence podniosła wzrok. Przed nimi otworzył się widok na rozległą równinę. Jakaż siła targająca ziemią zmusiła ją tu do odpoczynku? Chmury rzucały na równinę ciemne, ruchome cienie. Tu i tam z ludzkich siedzib unosił się w niebo dym, szary i nieskończony. Patrzyła na jasne i ciemne odcienie zieleni stepu, krzewów i lasu.

Zerknęła na Sama, który przecierał palcami oczy, a następnie też skierował wzrok na równinę. Wiedziała, że nie dostrzegł nic z wiecznej doskonałości rozciągającego się przed nimi krajobrazu.

Wypatrywał jedynie tumanów kurzu, które mogłyby zdradzić

obecność tureckiej karawany na drodze do Ellyrii. Nie, bez

wątpienia byli daleko, daleko za nimi.

Spojrzała w niebo. Zdawało się nie mieć końca, nawet tam, w dali, gdzie połyskiwały błękitne góry Ellyrii. Na ich szczytach opierały się chmury, którym szpice rozcinały brzuchy. Błyskawice przeszywały niebo niczym przelotna myśl, o której tępy grzmot pioruna każe zaraz zapomnieć. Sam zaklął. Nad tamtą okolicę nadchodził już deszcz. Gdyby deszcz ich dogonił, albo karawana deszcz, wówczas musieliby czekać tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu.

Florence delikatnie ustawiła Tetela za Filfilem i ruszyła

śladem Sama. Zjeżdżali ze zbocza w poszukiwaniu miejsca na

obozowisko, zostawiając w tyle ciągnącą się powoli karawanę.

Sam wskazał przed siebie i odwrócił się do niej.

– Tam, przy tym samotnym figowcu. Tam się zatrzymamy. A

ja pójdę na polowanie. Niech mnie diabli, jeśli dziś wieczorem nie zjemy na kolację antylopy albo zebry!

Będzie uczta, urządzimy ucztę!

– Powiedziałaś przed chwilą, że zatrzymamy się przy

samotnym drzewie? – zapytała i rozejrzała się dookoła. Otaczało ich morze twarzy. Na stepie

pokazywało się coraz więcej ludzi, którzy zmiierzali w stronę miejsca ich planowanego obozu. Biegli i podskakiwali w takt własnej muzyki. Przed sobą mieli około

pięciuset, a może nawet sześciuset wojowników z twarzami

pomalowanymi ochrą i popiołem, a w ich sfilcowanych włosach kołysały się muszle, pióra i perły.

Florence zauważyła łuki przewieszane przez ich ramiona, strzały wystające z kołczanów i ostre szpikulce włócznie. Czy i te były zatrute, podobnie jak strzały wojowników Bari? Ich myśli zagubiły się wśród wrzasków

mężczyzn, którzy teraz okrążyli ich w tańcu, tworząc kilka kręgów.

Wyskakiwali wysoko w powietrze, podnosząc obie nogi, a później znów groźnie przykucali, podczołgivali się do nich, na zmianę przysuwając się i odskakując. Słyszała dyszący oddech, gdy ich ciała szybko unosiły się w górę.

Florence zmuszała się ze wszystkich sił, żeby ze wstrętu, a przede wszystkim z wyczerpania nie zakryć rękami uszu i oczu, by się odciąć od przeraźliwego przedstawienia. Mężczyźni wciąż się przybliżali.

Florence czuła ich zapach, smród kóz, krwi, tłuszczu, popiołu, dymu i ziemi. Zamknęła oczy.

Skuliła się w sobie i krzyknęła, gdy któryś z tancerzy ją musnął, potrącił i popchnął.

Wyczuła, że Sam sięgnął do wiszącego u pasa rewolweru i do

strzelby, przytroczonej do juków obok niego. Otworzyła oczy.

Saad opowiadał, że niektóre z tutejszych plemion zjadały ludzi, że wprawdzie woleli dzieci, ale w okresach głodu brali również kobiety. Podobno najpierw rozbijali ofiarom czaszki o pień

drzewa, uderzając dotąd, aż z nieboraków uszło życie. Później ich patroszyli i piekli na rożnie nad ogniskiem, dokładnie tak samo jak upolowaną gazelę.

– Sam... – usłyszała własny szept. I jeszcze raz: – Sam.

Chwycił ją i przyciągnął bliżej do siebie.

– Jak któryś tylko cię dotknie, zastrzelę go – powiedział jej do ucha. Skinęła.

– Zabiję nas, zanim oni to uczynią. Słyszysz mnie?

Przycisnęła się do niego, usuwając się przed jednym z

podskakujących, wirujących ciał.

– Gdzie ty, tam i ja – wyszeptała.

W tym momencie rozedrgana postać zatrzymała się tuż przed

jej twarzą.

Florence krzyknęła, ujrawszy przed sobą wymalowaną

maskę, która z wyszczerzonymi zębami posykiwała w jej stronę, uderzając w podniebienie falującym językiem. Zobaczyła

rozczapierzone pazury i trzepocące pióra. Mężczyzna wyciągnął

zza pleców kure, wyszczerzył zębiska i jednym naciśnięciem

szczęki odgryzł zwierzęciu łeb. Ciepła krew trysnęła na jej skroń i Florence krzyknęła. Mężczyzna przewrócił oczyma, pokazując

białka, po czym otworzył usta z zębami okapującymi czerwoną krwią i zawył w niebo. Jego pysk nie miał w sobie nic ludzkiego.

Zobaczyła błysk, gdy z zawieszanej na plecach skórzanej pochwy ozdobionej muszlami wyciągnął

maczetę. Słońce załamało się na ostrzu. Przycisnęła się do pnia figowca, usta miała pełne kurzu, który wszędzie się wzbijał. „A więc śmierć” – pomyślała.

[3] Purdey – strzelba konstrukcji słynnej firmy James Purdey

& Sons, londyńskiej wytwórni broni, oficjalnego dostawcy broni dla angielskiego dworu królewskiego.

Rozdział 10

Saad wbił oczy w ziemię przed sobą. Wallady siedział na

jego ramieniu, a właściwie powinien był tam siedzieć. Zwierzę było niezwykle zaniepokojone, Saad jeszcze nigdy go takim nie widział. Nawet wtedy, gdy jego wielbłąd osunął się w przepaść.

Wallady podskakiwał na jego ramieniu, łapał go za włosy, wspinał

się na głowę i wyciągał szyję, jakby chciał wyrzeć daleko na równinę, na której kilka godzin temu zniknęli Sam i Florence.

Później krzyknął głośno, kiedy jakiś kamień trafił go w głowę.

Ukucnął na karku Saada i popiskiwał obrażony, wygładzając swoje czarno-białe futerko.

Saad się roześmiał, nie zważając na kurz wciskający się do

jego krtani.

– Tak, przyjacielu, uwielbiasz dokuczać innym, ale sam tego nie znosisz. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie – powiedział małpce.

Tak właśnie było. Wallady żarliwie kochał Florence, w razie potrzeby akceptował też efendiego jako swego pana, tubylców zaś, tragarzy i handlarzy niewolników prześladował żartami i kpina.

Mimo to Saad odwrócił się do tragarzy i pogroził im pięścią.

– Dajcie spokój Wallady’emu! – zawołał.

– Zamknij dziób, pajęczaku, w przeciwnym razie każę cię popędzić i znów zjedziesz z urwiska – odparł Bellal i splunął.

Saad mlasnął urażony.

– Efendi ci jeszcze pokaże, Bellal – odciął się. Zdawał sobie sprawę, jak słabo zabrzmiały jego słowa na tym wzniesieniu ponad bezkresną równiną. Chciał się znów odezwać, ale Wallady zaczął pisać i boleśnie zaciskając łapki na jego włosach, wskoczył mu na ramiona.

– A kiedy z efendim będzie koniec, małpę ugotujemy na kolację – dodał Bellal.

– Dlaczego miałyby być koniec z efendim? – zapytał Saad, opierając ręce na biodrach. Zebrawszy całą odwagę, na jaką było go stać, zastąpił drogę Bellalowi.

„Niech mnie diabli porwą, jeśli ustąpię temu podłemu łajdakowi” – pomyślał.

Karawana stała w miejscu. Osły skorzystały z okazji, by się na chwilę położyć. Niektóre tarzały się w kurzu, porykując z radości, jaką sprawiała im ta nieoczekiwana kąpiel. Kilka paczek spadło na ziemię, bransolety i woreczki z perłami poturlały się w piach.

Bellal się roześmiał.

– I tak jesteś już prawie martwy, czarnuchu, wiem, co mówię.

W Ellyrii jesteśmy umówieni z Amabile del Bonem, a dokładnie mówiąc, z jego prawą ręką Mohammedem Herem. Zaczeka na nas

albo my na niego. Wtedy twój efendi będzie mógł nazreć się piachu i zdechnie.

Saad pokręcił głową. Bellal znów się zaśmiał i uderzył kijem w łydki chłopaka.

– Będziesz moim niewolnikiem, mam to obiecane. Nie martw się, lubię małych chłopców.

Z tymi słowami odwrócił się do swoich ludzi, uczynił

nieprzyzwoity ruch biodrami i wszyscy mężczyźni ryknęli

śmiechem. Saad zauważył, że kilka niewolnic, które pieszo

towarzyszyły jeźdźcom, odwróciło oczy. Jedna z nich oczekiwała dziecka Bellala. Saad ją rozpoznał. To była kobieta, której tamtej nocy w Gondokoro efendi uratował życie. Pręgi, które Bellal wyciął w jej ciele korbaczem, zdążyły się zagoić. Bellal nazywał ją swoją zebłą i w drodze popędzał kijem, gdy potrzebowała

odpoczynku.

W tym momencie z oddali dobiegł odgłos wystrzału. Odbił

się echem po nizinie. Z uschniętego drzewa podniosła się gromada sępów i niby ciemna chmura poszybowała ku równinie. Saad

patrzył za nimi, szukając cienkiej smużki dymu po wystrzale. Tam musieli być Sam i Florence. Przysłonił dłonią oczy, ale w dole nie udało mu się nic dostrzec.

– Naprzód! – zawołał i posadził Wallady’ego na ramieniu.

Nie zważał na Bellala, który z obleśnym uśmiechem przesłał mu w powietrzu całusa, a następnie oblizał wargi.

Florence płakała i kurczowo trzymała się Sama, który

ładował dwulufową strzelbę. Jego palce drżały, ale zdecydowanym gestem ułożył broń w zagłębieniu między obojczykiem a szyją i wycelował, zataczając lufą kręgi wokół nich. Dzięki temu dzicy utrzymywali pewną odległość.

„Nic dziwnego – pomyślał – Turcy albo del Bono już tu byli, bo tubylcy znają broń i jej działanie. Jeśli zginę, jeśli Florence zginie, to zabierzemy kilku dzikusów z sobą na tamten świat”.

Jednocześnie spoglądał znad strzelby, próbując się

zorientować, czy karawana zdążyła już pokonać zbocze wiodące w dół wzniesienia. Nic nie było widać, otaczało ich bowiem zbyt wielu wrzeszczących, piszczących i podskakujących mężczyzn.

Ich pomalowane ciała przypominały wizerunki diabłów ze

średniowiecznych płócien, które oglądał w katedrze w Yorku.

Wiedział, że na widok setek wojowników jego ludzie, niewiele myśląc, wezmą nogi za pas albo zaczekają na del Bona czy

Ibrahima, którzy za dzień lub dwa mogli ich dogonić.

Na koszuli poczuł ręce Florence. Trzymała go kurczowo.

Gdyby przynajmniej ją mógł uratować! Nie zasłużyła, żeby

być tu z nim, by razem z nim umrzeć. Zamierzał zabić najpierw Florence, a później siebie, nim barbarzyńcy rozprawią się z nimi wedle własnego zwyczaju.

Jakaś ręka chwyciła go za włosy i potrząsnęła jego głową.

Podniósł wzrok. Przed nim stał stary, zgarbiony mężczyzna. Stał

pośrodku rozszalałego tłumu i trzy razy uderzył w ziemię swoją laską. U jej nasady, jak gałka, umocowana była mała główka

antylopy, na szyi starca wisiał naszyjnik z zębów lwa i piór perliczki, który stanowił jedyne okrycie jego nagiego ciała. Miał

wysuszoną skórę, a pomarszczone przyrodzenie zwieszało mu się do połowy ud.

Błysnął dwoma zębami, jedynymi, jakie pozostały w jego

szczęce, a następnie odezwał się łamanym arabskim.

– Skąd przybywasz? Jesteś Turkiem, chcesz rabować nasze

bydło, kobiety i dzieci?

Sam otoczył ramieniem Florence, przyciągnął ją do siebie i

pokręcił głową.

– Jestem Brytyjczykiem, poddanym wielkiej królowej

Wiktorii, która mnie chroni.

– Brytyjczyk? A co to takiego? Jesteś Turkiem! Masz kolor

skóry Turka – parsknął stary. Wskazał na spaloną słońcem twarz Sama i pogroził maczugowatą laską.

Sam zamrugał oczami, ale się nie cofnął. Mężczyzna był

podobny do ujadającego psa. Nie wolno było okazać strachu.

– Wierz, w co chcesz – odparł krótko.

Stary uśmiechnął się szyderczo.

– A twój syn? To chyba twój syn? – zapytał, wskazując

Florence.

– Moja żona – odpowiedział Sam i ochronnym gestem

mocniej przycisnął ją do siebie. Czuł drzenie jej wiotkiego ciała przytulonego do jego ramienia, gdy wycierała ze skóry i włosów kurzą krew, która nie zdążyła jeszcze zakrzepnąć.

– Jego żona! *Kaddaab! Kaddaab!* – zawołał stary, wytupując nogami kółko na piasku. *Kłamca! Kłamca!*

Uformował sękate

palce na kształt szponów, sięgając w ich kierunku, jakby chciał ich pochwycić.

– *Kaddaab!* – krzyknął jeszcze raz. Mężczyźni podchwycili to słowo i zaczęli jeszcze wścieklej wrzeszczeć i skakać.

– *Kaddaab! Kaddaab!* – rozlegało się wokół nich niczym oskarżenie. Starzec wykorzystał zaskoczenie Sama i odebrał mu flintę, którą skierował ku niebu i wystrzelił. Huk strzału

rozbrzmiewał przez jakiś czas powracającym echem. Stary

roześmiał się ostro i pogroził bronią w stronę gór.

– Wybacz, Florence – wyszeptał Sam. Skinęła głową i

zamknęła oczy. W uszach huczały im szalone głosy barbarzyńców.

Sam pomyślał, że to ostatnie dźwięki w ich życiu.

Naraz zaległa cisza. Otworzył oczy i rozejrzał się ze

zdumieniem. Wokół panował spokój, od strony setek mężczyzn nie dochodził ani jeden szmer. Gdzieś w oddali słyhać było jedynie bęben, natarczywy, jednakże nie tak groźny jak wezwanie *nagary*, wielkiego wojennego bębna.

Garbus rzucił się w piach na kolana. W jego ślady poszła

reszta wojowników. Otaczało ich morze pochyłonych, kołyszących się pleców.

Sam próbował wyrzeć z cienia i popatrzeć w jasne

południowe światło, lecz białe, ostre promienie za bardzo go oślepiły.

W tej samej chwili tłum się rozstał. Przez długi szpaler

wojowników zmierzał w ich kierunku jakiś wysoki mężczyzna.

Bez wątpienia był ich wodzem. Mężczyźni oddawali mu cześć,

zaintonowali cichą melodię, falującą ze zmieniającym się

natężeniem. Mężczyzna był nagi, a jego skóra, w której nożem wycięto starannie bliznę przy bliznie,

błyszczała w

popołudniowym słońcu niczym tafla lustra. Na głowie miał

idealnie uformowany hełm z pozaplatanych sfilcowanych włosów przeplatanych muszlami, perłami i piórami. Sam przymrużył

powieki. Światło boleśnie kłuło go w oczy.

W następnej chwili musiał się uśmiechnąć, a później głośno

się roześmiał. Wstał i wyciągnął ramiona. Wyczuł, że Florence spojrzała na niego w osłupieniu i wciągnęła głęboko powietrze.

Następnie też wstała i wytarła ręce o nogawki spodni, klejące się od krwi i brudu.

Nie, nie pomylił się. Patrzył przed siebie, w kierunku

młodego wodza. Mężczyzna był nagi, ale niezupełnie. Z tyłu u jego pasa wisiała nieco przybrudzona, niewielka trójkątna chustka z czerwonej tkaniny. Materiał kołysał się nad jego siedzeniem dokładnie tak samo jak wtedy, gdy został przewiązany w

Gondokoro, po tym jak mężczyzna pozował Samowi do rysunku.

Sam wstał i wyciągnął na powitanie ręce.

– Adda! – zawołał głosem pełnym niedowierzania,

odwzajemniając mocny uścisk młodego wodza. – Adda, Adda! –

powtórzył jeszcze dwukrotnie, a młodzieniec odezwał się do niego po arabsku:

– Witam cię w moim plemienu, efendi.

Następnie odwrócił się i zaczął krzyczeć na swoich ludzi.

Niecierpliwie machając rękami, odganiał ich do tyłu. Garbusowi z laską wymierzył kopniaka, aż stary się przewrócił. Broń Sama upadła na piach. Adda ujął flintę, podniósł starca, po czym jeszcze raz nim potrząsnął i przegonił.

Następnie, położywszy Samowi rękę na ramieniu, oddał mu

broń. W tej samej chwili Sam dostrzegł swoją karawanę

pokonującą ostatni kawałek stromego zbocza. Na czele pochodu złożonego z ludzi i zwierząt powiewała flaga brytyjskiego

imperium. Widok trzepoczącej na wietrze czerwono-niebiesko-

białej materii jeszcze nigdy nie wydał się Samowi tak piękny jak w owej chwili, pośród szarej ziemi i

skał pooranych bruzdami przez deszcz. Odsunął od siebie Addę na długość ramienia.

– Mam dla ciebie dużo prezentów! Miedziane bransolety i

cudowne perły – uśmiechnął się.

Młody wódz też się roześmiał.

– Chodźmy, zaszlachtujemy wołu. Niech przyniosą dzbany

merissy! Tykwy i miód! – powiedział i rzucił za siebie rozkaz w kierunku wojowników zastygłych w oczekiwaniu za ich plecami.

Od tłumu natychmiast oderwała się grupka młodszych mężczyzn, którzy szli, śpiewając i podskakując.

Sam patrzył za ich

oddalającymi się, długimi cieniami. Potem westchnął i spojrzał na Florence, która stała obok niego blada i milcząca.

– Cóż za wyborny pomysł – odpowiedział. Mimo głodu i

pragnienia starał się stać prosto i pewnie. Richaarn zatrzymał

karawanę.

– Pomóżcie memu przyjacielowi rozjuczyć zwierzęta –

rozkazał Adda swoim ludziom. Sam widział, jak tubylcy wsuwają zwinne palce w miejsca, gdzie plecionka koszy była luźniejsza, i sprawdzali ich zawartość. Wymacawszy bransolety i perły, wołali głośno za siebie do swych pobratymców. Coraz więcej ludzi

przychodziło rozładowywać pakunki.

„Są trochę zbyt gorliwi jak na mój gust, ale cóż zrobić” –

pomyślał Sam, nie przerywając im pracy.

Żyli i tylko to się obecnie liczyło.

Wallady tańczył naokoło mężczyzn, robił miny i rzucał w

nich kamieniami. Śmiali się, wykradając dalej wszystko, co im wpadło w ręce. Sam dobrze widział, co się dzieje. Zerknął w stronę Florence, która tylko wzruszyła ramionami i też się roześmiała.

– Zacznijmy świętować – zawołał Adda z zadowoleniem i

podał Florence tykwę napełnioną świeżą merissą. Przytknęła

łupinę do ust i piła chciwie. Piwo spływało jej po obu stronach brody.

– *Sitt*, efendi! – usłyszał Sam wołanie Saada. Zobaczył, jak chłopak podbiegł do Florence i objął ją chudymi ramionami.

Następnego ranka, w pierwszych bladych promieniach

wstającego dnia, Sam dał sygnał do wymarszu. Ptaki jeszcze

milczały, a osada po wczorajszej zabawie nadal pogrążona była w smacznym śnie. Wyczerpane zwierzęta leżały smętnie pod

wyplecionymi z trawy pojemnikami z ziarnem, które wyglądały jak wywrócone do góry nogami ptasie gniazda. Kilka kur dziobało w piasku. Jedynie stary garbus był już na nogach, zgodnie z poleceniem, jakie poprzedniego wieczoru otrzymał od Addy. Miał

towarzyszyć Samowi i Florence do krainy Ellyrii jako tłumacz.

Stał wsparty na lasce z głową antylopy. Wiatr igrał między piórami jego naszyjnika. Sam przyjrzał się jego markotnej, pooranej zmarszczkami twarzy. „Ten mężczyzna może uratować nam życie

– pomyślał. – Albo i nie”. Dawno zdążył się nauczyć, że po

czarnych nie należy się spodziewać takich samych zachowań jak po białych. Równie dobrze można byłoby oczekiwać od dzikiego konia tego samego co od ujeżdżonego, pełnokrwistego

wierzchowca. Odwrócił się, kontrolując ustawienie zwierząt w pochodzie i bagaż tragarzy. Saad niecierpliwie przebierał palcami na cuglach. Dotychczas był przyzwyczajony uderzać w bęben, gdy wyruszali. Bęben, który teraz, rozgnieciony i zapomniany,

spoczywał gdzieś na dnie przepaścistego urwiska, zdającego się przedzielać tę krainę na dwie części.

Sam zauważył, że i Florence w oczekiwaniu siedziała już na

Tetelu. Wallady skulił się przed nią w siodle i z powrotem zasnął.

Jego plecy unosiły się i opadały, cichutko mruczał, prawie jak kot.

Florence była blada i unikała jego spojrzenia. Wiedział, że potrzebowała spokoju. „Później. Za dzień” – powiedział sobie.

– *Yalla!* – rzucił i jednocześnie kątem oka zauważył, jak dwóch młodych wojowników zniknęło w stepie, biegnąc w stronę gór Ellyrii niczym przemykające cienie mrugających rzęs albo miraż nastającego dnia.

Kroki niesły ich szybkim lotem coraz dalej od osady, aż wkrótce o ich niedawnej obecności mogła świadczyć jedynie delikatna chmura kurzu.

Sam wiedział, że ich zadaniem było uprzedzić plemię Ellyria o ich przybyciu. A może mieli donieść komuś innemu o ich

karawanie? Jak daleko sięgała w rzeczywistości potęga Addy?

Dalej niż wpływy Amabile del Bona?

Odwrocił głowę w stronę gór. Nigdzie nie zobaczył

najmniejszego śladu tureckiej karawany pod dowództwem

Ibrahima ani ludzi del Bona. Dobrze. Był pewien, że wygrał

wyścig.

Od Ellyrii dzieliło ich jeszcze jakieś pięć mil. Miał zamiar dotrzeć do osady i hojnie obdarować wodza, by zapewnił im

swobodne przejście do kraju Latuko. Jeszcze pięć mil i będą mieli za sobą pierwszy etap dzielący ich od jeziora Luta N'zige. Pięć mil!

– *Yalla!* – zawołał jeszcze raz i spiął ostrogami Filfila.

Usłyszał, jak Florence za jego plecami cicho cmoknęła na Tetela.

Góra Ellyrii wyłoniła się przed nimi zupełnie

niespodziewanie na tle bezkresnego krajobrazu żyznych ziem.

Musiała mieć około tysiąca metrów wysokości. Jej wierzchołek wrzynał się w niebieski firmament.

Przełęcz pokrywały gęsto skalne głazy, niektóre z nich były tak duże i potężne jak domy w Chartumie.

Wielkie masy granitu stoczyły się same, inne zostały zepchnięte. Pomiędzy kamieniami wyrastały drzewa zsupłane z sobą i powykręcane na skutek żmudnych prób dotarcia do

słonecznego światła. Florence widziała, jak Sam próbował ściąć jedno z nich, by utorować drogę pochodowi i jednocześnie zdobyć drewno na wieczorne ognisko. Po uderzeniach siekiery na pniu zostawały ledwo widoczne ślady. W efekcie jego wysiłki spełzły na niczym. Starzec mlasnął językiem i wyszczerzył w uśmiechu bezzębne dziąsła.

– *Babanoose* – powiedział tylko. – Arabowie nazywają to drzewo *babanoose*.

– Co to znaczy? – zapytała Florence.

Sam wzruszył ramionami.

– Coś jak „żelazne drzewo”. Co prawda, to prawda.

Florence pozwoliła Tetelowi powoli i ostrożnie stawiać

kopyta, ale mimo to nawet jej nieduży koń z trudem przedzierał się w gąszczu drzew, gałęzi, cierni i raptownie wyrastających na drodze granitowych ścian. „Obładowane wielbłądy nie dadzą sobie rady” –

pomyślała smętnie. Na każdym zakręcie ludzie zdejmowali bagaże z grzbietów zwierząt, a później pakowali je na nowo.

Mozolna wędrówka przez wąwóz miała im zająć większą część

dnia. Odwróciła głowę i wyteżyła słuch. Nie słyszała nic prócz własnego ciężkiego oddechu i parskania koni. Stary garbus, który był przewodnikiem karawany, pokonywał przeszkody niczym

antylopa. Wczepił kostropate palce w skalną szczelinę i podciągnął

się na chudych ramionach. Jego uśmiechnięta twarz wyłoniła się z drugiej strony głazu.

– Tędy, efendi, tędy. Zaufaj mi – wyszeptał po arabsku.

Florence zadarła do góry głowę i popatrzyła na szczyt. W

tym miejscu prawie rok temu plemię Ellyria ukamienowało

karawanę liczącą stu trzydziestu ludzi. Wąwóz stanowił idealną pułapkę, w której podróżni byli zupełnie bezbronni. Zrzucenie z góry skalnych odłamków na ich głowy było dziecinnie proste.

Poczuła jeszcze większą suchość w gardle. Obolałymi

palcami ścisnęła cugle Tetela. Skórzane rzemienie wrzynały się niby druty w nabrzmiałe od upału dłonie.

Piekło ją całe ciało i z trudem powstrzymywała się od rozdrapywania czerwonych plam

powstałych wskutek gorączki. Jej gardło nadal drażnił irytujący odór krwi zabitej kury z poprzedniego dnia. Nie mogła się

wykapać. Saad bardzo się starał zeskrobać z niej suchymi liśćmi zaschniętą krew. Miała mętlik w głowie.

Wkrótce nadejdzie

krwawienie miesięczne. Ów dokuczliwy czas co miesiąc odbierał

jej wszelką radość życia i mącił myśli, a już kilka dni wcześniej ogarniało ją żalosne przygnębienie. Nie potrafiła nic na nie poradzić, musiała się pogodzić z jego nieuniknioną przyczyną.

Znów pomyślała o ludziach z tamtej karawany, których

tubylcy uśmiercili w wąwozie. Między odłamkami skał leżały

rozrzucone w szarym piasku pojedyncze kości. Miały oślepiająco biały kolor. Dzika przyroda błyskawicznie radziła sobie ze

zwłokami. Po kilku godzinach szkielety przestawały budzić

zainteresowanie sępów, hien i szakali. Ci ludzie zostali

przygniecen i zgruchotani głazami. W każdej chwili mógł ich spotkać taki sam los.

Wokół panowała absolutna cisza. W przytłaczającym upale

nawet termity nie wychylały się ze swych ogromnych termitier, zbudowanych z przesuszonego drewna zmieszanego z ziemią i

twardych jak kamień. Na akacji wisało gniazdo dzikich pszczół.

Sam zmusił Filfila do ominięcia szerokim łukiem gałęzi z ich siedliskiem. Pszczoły nigdy nie atakowały w pojedynkę. Ofiarę opadała chmara setek, czy nawet tysięcy owadów, zbita w ciemny, śmiercionośny obłok i niemal natychmiast pozbawiała

nieszczęśnika życia.

Florence zerknęła za siebie. Wielbłądy i osły, które musiano co chwila rozjuczać i od nowa załadowywać, zostały daleko w tyle. „Jeśli oboje z Samem przeżyjemy przeprawę przez tę

przełęcz, będzie to znaczyło, że ani Ibrahim, ani Mohammed Her jeszcze tu nie dotarli. W pewnym sensie bardziej obawiam się tego Turka niż dowódcy Amabile del Bona. Ludzie Ibrahima są bardziej lubiani od trupy Maltańczyka” – rozmyślała, przyglądając się dwóm cieniem sunącym po kamieniach. Drgnęła przestraszona, ale zaraz się uspokoiła. Cienie należały do pary wielkich szarych ptaków, które podniosły się do lotu z gniazd nad urwiskiem.

Powietrze na przełęczy spęczniało od koszmarnego skwaru. Pot spłynął jej do oczu, poczuła pieczenie.

Już niedaleko. Wiedziała, że jeżeli w ciągu kilku najbliższych minut nie zostaną zabici, wygrają wyścig z handlarzami do krainy Ellyrii. Na kamieniu, tuż obok kopyta Tetela, wylegiwał się w słońcu skorpion, czarny i bezpieczny w swej skorupie. Miał schowane żądło. Florence

wyjęła słuch, szukając w ciszy odgłosów kopyt reszty karawany.

Nie, nic.

– Uważaj, Florence – usłyszała przyciszony głos Sama.

Chciał uniknąć echa. Spojrzała do przodu. Przed sobą mieli

bardzo stromy spadek, prowadzący w dół pociętego rozpadlinami dna przepastnego jaru, ostrzejszy i sięgający głębiej niż wszystkie urwiska, które dotychczas zdołali pokonać. Ściągnęła cugle, kierując konia w kierunku zbocza. Tetel parsknął, a łęk siodła boleśnie wpił się w podbrzusze Florence. Woda w bukłaku cicho zachlupotała.

Przed ich oczami rozpostarła się dolina Ellyrii, porośnięta naprzemiennie lasem i stepami. Jakies pięćdziesiąt czy

sześćdziesiąt mil dalej zaczynało się skąpane w mgielnych oparach pasmo błękitnych gór. Ich szczyty zanurzały się głęboko w

chmurach. Nie było wątpliwości, że zbliżała się pora wielkiego deszczu.

– Jesteśmy prawie na miejscu. Jeszcze jakieś dwadzieścia minut i będziemy się mogli cieszyć zwycięstwem nad Turkami.

Udało nam się dojechać przed nimi.

Florence spojrzała przez ramię w stronę przełęczy, którą zostawili za sobą.

Wokół niezmiennie panowała niczym niezmacona cisza.

Gdzie się podziała ich karawana? Nic nie było słychać. Żadnych kroków ani utyskiwań. Nic. Zmarszczyła czoło i popędziła Tetela za Samem i Filfilem wzdłuż stoku stromego urwiska, ku dolinie Ellyrii. Podłoże zrobiło się miększe, łatwiej się jechało. Sam zaczął

pogwizdywać jakąś piosenkę. Florence знаła melodię i słowa, coś o Brytyjczykach wyznaczających kierunki nurtów świata. W

pewnym momencie oprócz gwizdu Sama wpadł jej w ucho jakiś

dodatkowy dźwięk, piękniejszy od każdej muzyki. Usłyszała

szmer wody! A właściwie nie szmer, lecz szept, przywoływanie.

Cichą zachętę.

– Sam, potrzebuję odpoczynku – odezwała się. – Tam jest

woda.

Odwrócił się do niej, później jeszcze raz spojrzął przed siebie i skinął głową. Skierował Filfila na lewo, w kierunku, z którego dochodził chłupot.

– Mamy wystarczającą przewagę. Zsiądźmy z koni i

odetchnijmy – powiedział, gdy dojechali do źródła. Woda tryskała mocnym, równym strumieniem na wymyte kamienie i zbierała się w misie, na której dnie Florence zobaczyła miękki piasek.

Westchnęła i przywiązała cugle Tetela do nisko pochylonej

gałęzi mimozy, ustawiając konia przy wodopoju obok Samowego Filfila. Schyliła się i ułożyła dłonie w miseczkę. Woda tryskała z kamieni i spływała jej po palcach. Ochlapała sobie twarz,

spłukując wżarty w skórę kurz. Spojrzała na Sama, który z

wyciągniętymi nogami usadowił się na dużym, płaskim głazie i studiował rozwinięte mapy. Garbus przykucnął w cieniu akacji obok koni i żuł jakąś cienką gałązkę. Później wypił niewielki łyk ze swojego

bukłaka. Rozszedł się kwaśny zapach mleka

zmieszanego z krwią. Patrzył gdzieś w przestrzeń. W akacjach siedziały dwa wikłacze. Głośno ćwierkały i kłóciły się o wiszący na drzewie kolczasty owoc. Z upodobaniem budowały swoje

kuliste gniazda w suchych, splątanych gałęziach akacji. Stary zdawał się zapaść w drzemkę. Długie, skórzaste ramiona splótł

wokół zakurzonych kolan. Opadła mu dolna warga, a oddechowi towarzyszył świszczący odgłos.

Poza tym nic nie było słychać. Gdzie utknęła ich karawana?

Ściągnęła przez głowę koszulę. W zasadzie powinna być

zadowolona, że ma kilka minut dla siebie, z dala od czających się spojrzeń.

Sam też przymknął oczy. Miała wrażenie, że zasnął. Jego

długie kończyny leżały swobodnie wyciągnięte na ziemi. Miło było tak na niego patrzeć.

Zanurzyła ramiona w misie z chłodną, czystą wodą. Ta

świeżość! Rozkoszna jak wspomnienie o miękkim ciele Mai i owej chwili w Widyniu, gdy pierwszy raz ujrzała Sama. Naraz beztroską ciszę zmącił jakiś dźwięk. Tam, w oddali, ludzie i osły.

Wyprostowała się, pospiesznie wciągnęła na siebie

przepoconą koszulę i nałożyła na głowę kapelusz.

Nie myliła się. Uderzenia kopyt, głosy, niezadowolony ryk

osła. Nareszcie są ich ludzie! Wielbłądy stąpały niemal bezgłośnie, delikatnie stawiając na ziemi szerokie kopyta. Wiedziała, że ich nie usłyszy. Doskonałe miejsce na odpoczynek przed ostatnim etapem drogi do Ellyrii. A Saad powinien mieć jeszcze w jukach resztki mydła, które kazała przygotować w Chartumie z olejku

migdałowego. Dzięki Bogu torba z mydłem nie spadła razem z

wielbłądem z urwiska.

Sam też się obudził. Uniósł głowę i nasłuchiwał. Później

uśmiechnął się do niej i zacisnął pięść na znak zwycięstwa. Cieszył

się. Dali radę. Wygrali wyścig z Turkami, na razie.

Wstał, by wskazać ludziom drogę do miejsca postoju.

Niebawem wszyscy pojedą do osady plemienia Ellyria, nie

niepokojeni przez wrogo nastawionych handlarzy próbujących

podburzyć przeciwko nim tubylców. Florence westchnęła. Koniec sielanki, niedługo muszą ruszać w dalszą drogę. Głosy, stuk kopyt i trzaskanie gałęzi były coraz bliżej. Za chwilę ich zobaczą.

– Nasza karawana, nareszcie! – zawołała z ulgą, przysiadając obok Sama na kamieniu. Z tego miejsca miała dobry widok i była widoczna dla zbliżającego się pochodu. Znów zdjęła z głowy

płaski kapelusz z szerokim rondem i mokrymi palcami przejechała po sklejonych, przepoconych włosach.

Później zaczęła

wymachiwać kapeluszem.

Cały czas machała, starając się zwrócić ich uwagę. Pierwsi

jeźdźcy przejechali przez przełęcz i skierowali się w stronę źródła.

Nie mogła dostrzec wśród nich Saada. Właściwie nikogo nie

rozpoznała. Pewnie z powodu ostrego światła albo zmęczenia, które płatało jej figle.

Machała i machała, a spośród głązów i drzew wyłaniało się

coraz więcej mężczyzn, którzy kolejno się do nich zbliżali, a później mijali miejsce ich postoju. Machała jeszcze, gdy między blokami granitowych skał ukazała się flaga karawany.

Materiał błyszczał jak plama czerwonej farby, na której

skrzył się srebrny półksiężyc, sierp o końcach ostrych jak nóż. Za nim posuwał się pochód, wąski i złowrogi niczym czarna mamba.

Coraz więcej mężczyzn, z których żaden nie podniósł ręki w

geście pozdrowienia. Florence przestała liczyć, gdy po około stu pięćdziesięciu jeźdźcach z gęstwiny wyszła zgoła podwójna liczba tragarzy ze skrzyniami pełnymi amunicji, pereł i żywności.

Zerknęła na Sama, który skubał zębami dolną wargę. Teraz

mogli się dokładnie przyjrzeć twarzom jeźdźców. Naprzeciwko nich z przeraźliwym spokojem i ledwo dostrzegalnym uśmiechem zadowolenia na twarzy jechał Ibrahim ze swoimi ludźmi.

Rozdział 11

Zwierzę ryczało żałośnie. Mimo licznych razów kijem

wzbraniało się przed zrobieniem kroku do przodu, zarażając swą żałością pozostałe osły. Niektóre położyły się z powrotem na gorącej, piaszczystej ziemi. Przewracały oczami i zaciskały wargi na żółtych zębach z pragnienia i wycieńczenia.

„Jeśli jeszcze trochę poleżą, niedługo podejną do nich

pierwsze leopardy” – pomyślał Saad, nic nie pojmując. Bellal i Saki musieli to robić specjalnie, żeby opóźnić podróż i

uniemożliwić im swobodne przejście przez tereny Ellyrii. Czynie wszystko, by umożliwić Mohammedowi Herowi albo Ibrahimowi

dogonienie ich karawany i po rebelii do nich dołączyć. Któregoś razu wycięli błędną drogę w gąszczu drzew żelaznych. Gęstwina stawała się coraz bardziej zwarta. Saad o mało nie poranił ramion o poszarpane czarne kamienie. Bellal się uparł.

– Tylko tą drogą możemy pojechać, żadną inną!

Aż nagle wyrosła przed nimi gładka, nieprzenikniona skalna

ściana. Wiele godzin zabrało im zawrócenie karawany,

przepakowywanie bagaży i powrót. Bellal i Saki przez cały czas gwizdali i podśpiewywali. Innym razem rozerwały się worki na grzbiecie wielbłądów. Oglądając poszarpany materiał, Sam

wyraźnie zobaczył ślady ostrego noża Bellala. Stracili wiele kilogramów kawy i soli. Później któryś osioł miał kolec w kopycie.

Albo cierń pod torbą przy siodle, który sprawiał mu ból. Saad zagryzał zęby. Myślał o Florence.

Przypomniał sobie mądrość, którą mu przekazała podczas spotkania z ojcem Lukasem i ojcem Antonem.

Mimo to walczył z sobą. Czuł w sobie żywy zew

dzikiego, wolnego jestestwa, spierający się z niezbyt kompletnym wychowaniem, jakie otrzymał u mnichów. Bellal wyszczerzył

zęby. W Saadzie wzięła górę Afryka. Cienka zapora

chrześcijańskiej mądrości, której i tak nigdy do końca nie udało mu się zrozumieć, pękła jak pod naporem powodzi. Gdy Bellal, wskazując okrzykiem błędny kierunek, zepchnął worek z grzbietu wielbłąda, Saad poczuł, jak wzbiera w nim potężny, pierwotny gniew.

Rozległ się brzęk, jakby coś się rozbiło. Czy to skrzynia, w której Sam trzymał swoje instrumenty, a między nimi kompas i termometr? W każdym razie w środku musiało być coś drogiego sercom Sama i Florence.

„Przeklęty pomiot parszywej suki, spłodzony przez

sodomitów i świnię! – Saad zacisnął palce na korbaczu. – Skoro Bellal nazywał tę biedną niewolnicę zebra i miał przy tym tyle radości, mogę mu zafundować identyczny wzór” – pomyślał

chłopak.

Bellal oparł się o granitową skałę. Zdawało się, że przyszła mu do głowy jakaś myśl. Uniósł dżubbę i wysikał się na kopyto jednego z wielbłądów. Następnie wyszczerzył do Saada zęby w szyderyczym uśmiechu.

– No, nasz dzielny mały dowódco, dokąd teraz jedziemy?

Którędy prowadzi najkrótsza droga do twojej *sitt*, byś mógł

wreszcie zlizać z jej obcasa gówna hien? – Udał, że się zastanawia.

– Czy Amabile del Bono kazał ci kiedykolwiek zeżreć gówno?

Nie? W takim razie naprawię to niedopatrzenie, jak tylko staniesz się moją własnością.

Saad zsiadł z wielbłąda i stanął przed Bellalem. Patrzył w

górze na jego twarz i czuł jego nieświeży oddech. Podniósł korbacz.

Bellal oparł się na ośle i położył łokieć na grzbiecie

zwierzęcia. Nadal zjadliwie się uśmiechał.

Saad wiedział, że jego przeciwnik tylko czeka na to, co

chciał zrobić. Czekał na pierwsze uderzenie, by rozpętać nową rebelię. Miał dogodną sposobność, bo Florence i Sam byli daleko.

Ludzie Bellala stali niemo w napięciu, przygotowani do skoku.

Saki w oczekiwaniu stanął przy Bellalu. Jego postawa przywiodła Saadowi na myśl węża, który najpierw prostował się ze

spęczniałym gardłem, by zaraz zaatakować z niewyobrażalną dla człowieka prędkością. Plująca kobra.

Pryskała jadem w oczy, skąd trucizna błyskawicznie trafiała do krwiobiegu.

Saad poczuł, że wściekłość ustępuje z jego trzewi. Przecież on nie był żadną plującą kobrą. Był z tymi mężczyznami sam na przełęczy Ellyrii. Miał dopiero dwanaście lat. Co powinien zrobić, jak wyjść z opresji?

Ręka z korbaczem zaczęła mu ciążyć. Bat zwisał w dół,

dotykał piachu. Bellal uniósł brew. Czekam, zdawał się mówić.

W końcu między Bellalem i Saadem wyrósł Richaarn. Jego

duże, ciężkie ciało, na którym skóra błyszczała w popołudniowym słońcu niczym węgle ogniska zagaszone wodą z bukłaka,

stworzyło mur między mężczyzną a chłopcem. Richaarn. Jego

piersi nie zdołały okryć nawet koszule efendiego, które ten mu oddawał. Gołymi rękami wyrwał przed chwilą kilka mniejszych drzew żelaznych.

– Spokój – rzekł Richaarn głosem, w którym brzmiało

wspomnienie domowego ogniska i pieczonej kozy. – Spokój,

musimy dotrzeć do Ellyrii. Efendi na nas czeka. Na pewno jest już na miejscu – nakazał, patrząc w oczy Bellalowi i Sakiemu. Dwaj mężczyźni zamienili z sobą szybkie spojrzenia.

– Na pewno – powtórzyli tajemniczo.

Richaarn z cichym świstem wypuścił powietrze między

zwinętymi wargami. Saad wiedział, że i on wiedział. Prawdziwy sprawdzian mieli dopiero przed sobą.

Nie mieli pojęcia, co Bellal i Saki planowali zrobić w Ellyrii razem z ludźmi Amabile del Bona albo Ibrahima, ale ich zachowanie nie wróżyło nic dobrego.

Richaarn podniósł rękę.

– Dalej! *Yalla!* – zawołał. – Bellal, załaduj sobie na plecy pakunki, których nie uniesie twój osioł z cierniem w kopycie.

Później się nim zajmiemy. *Yalla!*

Bellal zawahał się, a później odwrócił. Splunął i zaczął

zdejmować bagaże z pleców osła. Jednakże zamiast włożyć je

sobie na plecy, wydał ostry gwizd. Niewolnice siedziały

nieruchomo w kucki na zakurzonej ziemi. Z ich grupki wyszła powoli kobieta nosząca jego dziecko.

– Dalej, zebro – rozkazał Bellal, wskazując worek ważący

najmarniej pięćdziesiąt kilo.

Saad, który siedział już w siodle, oparł ręce na łęku. Nie

mógł nic uczynić. Bellal rzucił mu złośliwy uśmiech, po czym kijem do poganiania osła wymierzył

kobiecie mocne uderzenie w kark, gdy ta wciągała worek na obręcz, stabilizującą ładunek na jej głowie.

Kobieta jęknęła z bólu i mozolnie się wyprostowała. Z

przodu zwisał jej ciężki brzuch. Z wysiłku jej twarz jeszcze bardziej pociemniała, nabrzmiące żyły na skroniach pulsowały.

Bellal dla rozrywki zadał jeszcze jeden cios. Saki się roześmiał.

Saad zobaczył, że Richaarn odwrócił głowę.

Dalej. Musieli jechać dalej. Saad wiedział, że Richaarn miał rację.

Usłyszał, jak niewolnica Bacheeta wołała coś do innych kobiet. Bacheeta, druga z kobiet, które efendi tamtej nocy uratował.

Jej słowa brzmiały jak zachęta. Nie mówiła w dialekcie Bari, w którym zwykle porozumiewała się z towarzyszkami.

Saad odwrócił się do niej.

– Jakiego języka używasz? – zapytał.

Zerknęła na niego i zawahała się. Nagle twarz chłopca

obudziła w jej pamięci wspomnienie upiornej nocy w Gondokoro, żywe niczym orzeźwiający napój pity wspólnie w czasie wielkiego upału. Uśmiechnęła się.

– Unioro – odparła cicho.

Bacheeta spojrzała na niego tak, jakby robiła mu prezent, a on powinien to pojąć.

Saad się domyślił, że powinien być coś zrozumieć, ale nie miał pojęcia co.

– Gdzie nim mówią? – chciał wiedzieć. Nigdy nie słyszał tego dialektu ani jego nazwy.

Bacheeta znów się zawahała.

– To język króla Kamrasiego – odpowiedziała.

Richaarn podniósł rękę i karawana ruszyła.

Ludzie Ibrahima w całkowitym milczeniu minęli Sama,

Florence i starca. Nikt nie wykonał żadnego gestu, nikt nie burknął

„Salaam”, pozdrowienia wymienianego nawet między

największymi wrogami. Milczenie było groźniejsze od

najgorszych wyzwisk.

Stary garbus skrzyżował ręce na piersiach, kręcił głową i cicho mlaskał. Okazywał swoją dezaprobatę.

Ibrahim znajdował się na końcu karawany. Zaraz powinien

przejechać obok nich. Jego biały turban był starannie zawiązany, a na dżubbie nie było ani jednej plamy.

Miał wąski, lekko łukowaty nos z szerokimi, rozdętymi nozdrzami. Minął ich z wysoko

uniesioną brodą i oczami uparcie wlepionymi w jakiś odległy punkt, daleko za górami Ellyrii. Nawet na nich nie spojrzął i nie odezwał się słowem do Sama i Florence.

Cała jego postać emanowała dumą i szyderstwem.

– Poczekaj, jeszcze ci pokażę, gdzie raki zimują – usłyszała Florence słowa Sama. Kątem oka zauważyła, jak wyciągnął

pistolet z kabury przy pasie. – Jeśli nie uda nam się dojechać do Ellyrii, ty też tam nie dotrzesz, łajdaku – mruknął, po czym ułożył

pistolet na zgiętym łokciu drugiej ręki, udając, że celuje. Nie zadrżała mu ręka, miał o wiele za dużą wprawę w strzelaniu. Cicho trzasnął odciągany kurek.

Florence poczuła suchość w gardle. Ibrahim był jakieś pięć

metrów od nich, czuła smród jego osła. Sam chciał go zabić i rozpętać krwawą jatkę.

Nie! Podniosła rękę i położyła dłoń na lufie pistoletu.

Metal był nagrany słońcem.

– Nie – powiedziała.

– Dlaczego nie?

Usłyszała w jego głosie tłumioną złość i dotarła do niej

prawda. Jeśli nie miał cierpliwości nawet dla niej, oznaczało to, że nie potrafił sobie poradzić z rozczarowaniem i zmęczeniem, z wycieńczeniem duszy i ciała. „Muszę mu pomóc” – postanowiła.

– Porozmawiaj z nim – rzekła cicho. – Proszę.

Osioł Ibrahima zaczął się załatwiać i Ibrahim ustawił go

tyłem do miejsca, gdzie siedzieli Sam i Florence. Następnie cmoknął, popędzając zwierzę.

– O czym miałbym z nim rozmawiać? O tym, jak sobie

wyobraża swój pogrzeb? Z największą przyjemnością. Sępy na

pewno mi pomogą. Lwy też nie powinny poprzestać jedynie na nas

– odparł, znów podnosząc pistolet. Strząsnął rękę Florence.

Osiół Ibrahima znów szedł naprzód. Tym razem Florence

była bardziej stanowcza. Chwyciła za lufę i wyjęła broń z jego ręki.

– Sam, posłuchaj mnie, nawet jeśli później nigdy więcej nie będziesz chciał mnie słuchać. Tak, Ibrahim nas pobił. Wygrał, to prawda. Będzie w Ellyrii przed nami. Lecz jeśli teraz się z nim nie sprzymierzysz, będzie za późno. Wszystko pójdzie na marne.

Okaże się, że zmarnotrawiłeś majątek i siły. Czy naprawdę jesteś zbyt dumny, by wszystko uratować, zamieniając jedynie kilka mądrych słów z tym człowiekiem? Człowiekiem, od którego może wszystko, ale to wszystko zależy. Sam, przecież jesteś mądry, prawda?

Sam popatrzył na nią badawczo i nic nie powiedział. Ale po

sposobie, w jaki przygryzał dolną wargę, poznała, że rozważa jej słowa. Niewiele myśląc, ciągnęła dalej:

– Zawołaj go. Porozmawiaj. Zaoferuj mu podarunek. Miedź,

perły, dywany, broń, twoją ukochaną strzelbę, wszystko, czego zechce. Negocjuj. Na Boga, porozmawiaj z nim! Najważniejsze, że to nie Mohammed Her ani Amabile del Bono. Potrzebujemy

Ibrahima!

– Co miałbym mu zaproponować? Ma dość broni i bagażu –

warknął, oglądając swoje kolana. Jego ciało zmieniło się w mur, bastion niedopuszczający rozsądku ani ustępstwa.

– Czyż Speke nie mówił, że żadnemu handlarzowi nie udało

się dotąd przedostać na terytorium króla Kamrasiego? Że na jego terenach znajdują się nieprzebrane skarby? Złoto i tabuny słoni z głowami ciężkimi od kłów? – zapytała cicho.

Sam przytaknął. Ułożył głowę w skrzyżowanych ramionach i

milczał.

Florence spojrzała szybko na jego twarz, a później do przodu, na Ibrahima. Zad jego osła kołysał się powoli nad stepem,

posuwając się w stronę osady plemienia Ellyria. Za chwilę

odjedzie z zasięgu ich głosu. Za chwilę naprawdę będą musieli zrozumieć, co znaczy stracić wszystko.

Florence wstała i przyłożyła do ust zwinięte dłonie. Wargi

miała spękane od wiatru, każde słowo sprawiało jej ból, mimo to wołała ze wszystkich sił:

– Ibrahimie, *vakeel* najszanowniejszego Koorshida Agi, który zawsze okazywał nam przyjaźń. Wysłuchaj nas!

Obok niej Sam przeniósł ciężar ciała na pięty. Przycupnął jak wieśniak znad Nilu, który w zamyśleniu przygląda się popasowi swoich krów i ma na to czas przez cały dzień.

Florence nie odrywała wzroku od pleców Ibrahima.

„Proszę, proszę, zatrzymaj się” – błagała gorączkowo w myślach.

Mężczyzna ściągnął cugle osła. Odczekał chwilę, a później

się odwrócił. Słońce go oślepiało i musiał zmrużyć oczy, żeby ją zobaczyć.

– Czego chcesz, kobieto?! – odkrzyknął. Jego osioł zabrał się do skubania sawannowych ostów.

– Salaam, Ibrahimie – zawołała, składając na powitanie ręce na piersi.

– Salaam – odpowiedział niechętnie Ibrahim.

Florence szybko zeszła z płaskiego kamienia i ruszyła w jego stronę przez wysokie trawy stepu, sięgające niemal jej kolan.

Zatrzymała się przed nim. Po krótkim wahaniu zsiadł z osła.

Widziała zmarszczki na jego czole i zęby czerwone od żucia betelowych orzechów.

– Ibrahimie – zaczęła – dlaczego mielibyśmy być dla siebie

wrogami we wrogim kraju? Nie chcemy tego, czego ty szukasz, bydła, niewolników ani kości słoniowej.

Pragniemy jedynie

odnaleźć drugie źródło Nilu.

– Nie wierzę ci. Dlaczego tak wam zależy na tej rzece? Nie

macie u siebie rzek? Dlaczego narażacie życie tylko po to, by znaleźć jakąś rzekę? – zapytał.

Florence udała, że nie usłyszała jego zarzutów.

– Możesz nam pomóc i wyciągnąć dla siebie korzyści. Lecz

nawet jeśli nam nie pomożesz, żadna siła na świecie nie

powstrzyma nas przed dalszą podróżą do jeziora Luta N'zige. Ale wtedy kto inny udzieli nam pomocy i kto inny będzie miał z tego zysk. Może Mohammed Her albo Amabile del Bono. Możesz

powtórzyć to słowo w słowo Koorshidowi Adze – oznajmiła jakby nigdy nic.

Ibrahim przestąpił z nogi na nogę. Przy tym ruchu jego

dżubba zmarszczyła się jak czoło Ibrahima.

– Zysk? O jakim zysku mówisz, kobieto? Co możesz mi

zapropozować? – spytał.

– W kraju, do którego zmierzamy, nigdy nie postąpiła stopa

żadnego handlarza. To kraj króla Kamrasiego. Pagórki i doliny, żyzne, pełne wszelakich skarbów, wszystko, czego mogłaby

zapracować twoja dusza i dusza Koorshida Agi. Złoto, drogie

kamienie i kość słoniowa, więcej, niż mógłbyś sobie kiedykolwiek wyobrazić. Ponadto nasza królowa okaże wdzięczność wszystkim, którzy nam pomogli, i ukarze tych, którzy nam szkodzą.

Zauważyła, że zaczął się zastanawiać. Wodził po niej oczami, raz ją widział, za chwilę znów nie, tak samo jak owego wieczoru w misji *Saint Croix*, gdy po raz pierwszy spotkała go razem z Koorshidem Agą. Był handlarzem, ale wiedziała, że miał swoje zalety. Czule kochał swoją żonę z plemienia Bari i wspólną

córeczkę, które z nim podróżowały.

Poczuła obok siebie obecność Sama. Byłoby jej łatwiej,

gdyby wiedziała, że w nią wierzy, jak zawsze. Odchrząknął i również się odezwał.

– Salaam, Ibrahimie – pozdrowił tak cicho, że zrywający się wiatr niemal poniósł z sobą jego słowa.

– Salaam, efendi – odrzekł Ibrahim. Kilka razy się zakołysał.

Znak, że się odprężył. Osty muskały jego dżubbę, wczepiając swoje małe kolczaste główki w miękką bawełnę. Osioł próbował

dosięgnąć ich swoimi owłosionymi wargami. Słońce schodziło

niżej za horyzont.

– Musisz wybrać, Ibrahimie. Jesteś naszym przyjacielem czy

naszym wrogiem? Nie zapominaj, że dokonujesz wyboru również w imieniu Koorshida Agi i jego pomyślności – rzekła cicho i dobitnie Florence.

Ibrahim skinął głową. Zrozumiał. Teraz szukał jedynie

sposobu, który pomógłby mu zachować twarz, wiedziała o tym.

Popatrzył ponad jej ramieniem na płonące niebo, na którym

nadciągający wiatr wycinał głębokie bruzdy w zwalistych

masywach chmur.

– Ja sam nie jestem do ciebie wrogo nastawiony, efendi.

Tylko moi ludzie. Wszyscy uważają cię za szpiega. Pożeracz

wieprzowiny, który chce położyć kres naszemu bogactwu i

handlowi.

Florence skinęła bez słowa. Ważne było, żeby Ibrahim mógł

się teraz wypowiedzieć. Turek zerknął na swój obóz, rozbijany na rozległym stepie niedaleko wioski.

Następnie wskazał na rosłe drzewo po drugiej stronie osady, gdzie przechodziło stado zebra, a pasterze Ellyrii zaczęli spędzać swoje bydło do domu. Florence słyszała dzwoneczek przy furcie, potrącany przez każde zwierzę przechodzące przez niskie odrzwia. Mogła dokładnie policzyć zwierzęta. Ibrahim ponownie wskazał na drzewo.

– Rozbijcie się w tamtym miejscu. Przyjdę wieczorem, by z

wami porozmawiać.

Sam skłonił głowę.

– Na znak szczerych zamiarów podaruję ci dwulufową flintę

i złotą monetę z podobizną naszej królowej.

Ibrahim skłonił głowę, wsiadł na osła i wolno odjechał

stepem. Wiatr rozwiewał trawy, tworząc wzory tak swobodne jak jego natura. Z obozu dobiegły salwy witające Ibrahima. Kilka kobiet wydało powitalne okrzyki, przykładając dłonie do

wyciągniętych w dziobek ust. Na ich dźwięk Florence wciąż

przechodziły ciarki na plecach.

– Oczywiście, że mamy rzeki. I to jakie! – zirytował się Sam.

– Ten osioł powinien zobaczyć wiosną Tamizę. Co zdziałaliśmy?

Nadal nie zagwarantował nam swojej pomocy, prawda?

– Ciągłe jeszcze nie mówisz dość dobrze po arabsku –

roześmiała się. – „Przyjdę wieczorem, by z wami porozmawiać”, znaczy tyle samo co: „moi ludzie nie powinni na razie o niczym wiedzieć, ale jestem gotów z wami rozmawiać”.

– A Mohammed Her? – zaciekał się Sam i objął ją

ramieniem.

Florence oparła się o niego. Opuściła ją cała siła, którą w sobie zebrała na rozmowę z Ibrahimem. Sam musiał to wyczuć.

Wziął ją na ręce jak dziecko i zaniósł z powrotem do płaskiego kamienia, na którym niedawno siedzieli.

Przystawił bukłak do jej ust i pozwolił się napić. Pociągała małe łyki. Później zwróciła oczy na Sama.

Pogładził ją po włosach i pocałował jej wysuszone, popękane wargi.

– Rozbijemy obóz pod tamtym drzewem. Dam sobie radę z

Mohammedem Herem, jeśli Ibrahim będzie po naszej stronie –

powiedział, znów ją całując.

Florence skinęła i odwróciła się do kamienia, na którym

nadal leżała jej torba.

Tymczasem nigdzie nie było najmniejszego śladu po

garbusie, jakby stanowił jedynie wytwór ich wyobraźni.

Sam czuł na twarzy ciepło ogniska. Wokół niego dawno

zapadła noc, głęboka, nieprzejednana. W tej części świata nie było nic połowicznego, skonstatował.

Pochylił się do przodu i delikatnie dmuchnął w żar pod zwęglonymi polanami. Florence jest taka jak Afryka. Jak byt absolutny. Błysnął niewielki płomień. Sam jeszcze raz dmuchnął i zbliżył do niego suchą gałąź. Płomień wspiął się po niej, a później gwałtownie przeniósł się na grubsze, świeże polano.

Teraz pójdzie gładko, powinno wystarczyć ciepła. Oparł się o dywan zrolowany za jego plecami. Drugi taki dywan, misternie utkany we wzory z indyjskiego jedwabiu, spodobał się

Ibrahimowi. Podarował mu go.

Sam zmienił pozycję. Doszli do porozumienia, Turek i on.

„Ibrahim jest teraz moim sprzymierzeńcem, zawarliśmy coś w

rodzaju sojuszu, którego nie potrafię jeszcze nazwać. Sojusz w imieniu jego pana Koorshida Agi, któremu moje odkrycia mają przynieść bogactwo” – pomyślał.

Uśmiechnął się. Niech będzie. Koorshid Aga zawsze

okazywał mu przyjaźń w przeklętym Gondokoro. Ledwo zdążyli

rozłożyć pod drzewem obóz, gdy zza palisady wioski Ellyria

wyroili się tubylcy, gniewni, zaczepni i niebezpieczni jak

mordercze mrówki. Byli golusieńcy, wysmarowani tłuszczem i

ochrą, uzbrojeni w oszczepy, maczugi oraz noże z otworami na palce. Ibrahim stał u jego boku, położywszy mu rękę na ramieniu.

Podarował wodzowi Legge czerwoną bawełnianą koszulę, którą

ten z lubością miętosił między palcami. „Ze wszystkich łotrów, jakich widziałem w Afryce, ten Legge jest najbardziej podstępny i szczywany” – pomyślał Sam. Dał mu w prezencie kilogramy pereł i miedzianych bransolet. Wodzowi prezenty nie mieściły się już w rękach, ale mimo wszystko wskazał brodą jeszcze na rząd

stojących dalej koszy i worków.

– Co jest w środku? – kazał zapytać. – Czy to nie dość dobre dla mnie? Mój brzuch jest duży i musicie zaspokoić mój głód.

W paczkach były jeszcze butelki z ginem, niespodziewany

dodatkowy zapas, który Sam odkrył w Gondokoro. Legge złapał

butelkę i jakby nigdy nic wlał sobie do gardła jej zawartość. Teraz zapewne spał. Sam odwrócił głowę. Z

osady Ellyria nie dochodził

żaden dźwięk. Uśmiechnął się.

Ogień znów się rozpałił. Rozkoszował się ciepłem i

przymknął na moment oczy. Przez powieki widział światło

ogniska. „To właśnie jest Afryka – pomyślał. – Zamykanie oczu na nic się nie zda. Słońce już dawno mnie podziurawiło, moje ciało i duszę”. Otworzył oczy i spojrzał na wystającą z żaru rękojeść swojego sztyletu.

Ujął ją i delikatnie pociągnął, wysuwając ostrze z gorących węgli. Na czubku wisiało coś, co przypominało świecąca grudkę metalu. Sam chwycił mocno rękojeść noża i podmuchał na małą obręcz uformowaną wokół czubka ostrza. Kiedyś była rodzinnym sygnetem White Bakerów, który teraz zmienił się w grubą

obrączkę ze złota, jakby stworzoną dla wąskiej, silnej dłoni o długich palcach. Te dłonie wciąż sięgały po jego życie i wciąż je ratowały. Czy złota obrączka mogła wystarczyć takiej kobiecie jak Florence?

Ponownie podmuchał na kółeczko ze złota, które z

wolna zastygało w przypadkowy kształt. Wyglądało dziko i

pierwotnie. Sam zaśmiał się i odłożył na kamień sztylet, którym dawno temu na wyżynie w Szkocji upolował jelenia. Florence

spała. Obok powstawała dla niej obrączka. Sam chciał dopilnować, aż złoto przybierze odpowiednią dla niej formę. Potrzebowała spokoju po wszystkim, czego dzisiaj dokonała. Bez niej poniósłby ostateczną klęskę. Bez niej wszystko poszłoby dziś na marne.

„Bóg mi świadkiem” – pomyślał i popatrzył w odległe niebo,

na którym gwiazdy utkały swoją sieć. Między nimi połyskiwała owa biała wstęga, której nigdy nie zauważył na niebie w Anglii.

Ciemny firmament wyglądał, jakby był pokryty kroplami

rozlanego mleka. „Bóg mi świadkiem – powtórzył. – Jeżeli

Florence mnie zechce, jeśli miałyby mnie zechcieć...” Przełknął

ślinę i pomyślał o swoim pierwszym nieporadnym małżeństwie z Henriettą, córką wiejskiego pastora, o spędzonych z nią nocach, polegających bardziej na spełnieniu obowiązku niż na prawdziwej radości, o siedmiorgu dzieciach, z których trójka zmarła. To musiało być życie jakiegoś innego człowieka. On, nie, on narodził

się w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał Florence.

Gdy go zapytała: „Co chcesz robić, Sam? Jesteś wolny i masz majątek”.

Popatrzył w niebo.

W jego ciele rozchodziło się ciepło, spokój. Położył się i

poprawił zrolowany dywan pod głową. Chciał tutaj zasnąć. Tutaj, pośród gwiazd. Jedną z nich chciał nazwać imieniem Florence.

Tutaj, obok obrączki. Złoto przestało się żarzyć, zastygając w ostatecznym kształcie.

„Co chcę zrobić, Florence?” – rozmyślał. W końcu udało mu się zamknąć oczy. Wokół niego i w jego wnętrzu zapanowała cudowna, doskonała ciemność. „Bóg mi świadkiem, chcę się z tobą ożenić”.

Saad czekał. Czekał od momentu, w którym się dowiedzieli,

że Ibrahim i efendi mieli się porozumieć. Że razem zamierzali jechać do krainy króla Kamrasiego. Bellal i Saki musieli podjąć decyzję. Wiernie służyć efendiemu albo przejść do obozu

Mohammeda Hera i na wszelkie sposoby utrudniać im podróż.

Podburzać plemiona, rozbijać mosty, ukrywać studnie z wodą, maskując je suchymi roślinami, oraz oczywiście aranżować

niewinne drobne opóźnienia, na które nikt oprócz niego nie zwróci uwagi. Tymczasem za dzień albo dwa zacznie się do nich zbliżać wielki deszcz. Deszcz, który po drugiej stronie stepu Ellyrii wisiał

w powietrzu wśród spowitych błękitnymi mgłami gór. Deszcz miał

ich kosztować miesiące. Musieli czekać, gdyż nie będzie mowy o żadnej podróży. *Sitt* policzyła już swoje małe brązowe torebki z papieru, w których trzymała nasiona. Oznaczało to, że planowała ustawienie chaty i założenie ogrodu z warzywnymi grządkami.

Wreszcie bardziej urozmaicone jedzenie niż tylko korzenie

manioku, gorzkiego ugali, które porównywała z czymś, co

nazywała szpinakiem, żylaste mięso antylopy i egipskie gęsi, które efendi strzelał setkami w trawiastej sawannie, wzdłuż niewielkich rzecznych odnóg.

Saad czekał. Teraz wiedział, jak się czuły słonie przed

wielkim deszczem. Gdy dni ciągnęły się w nieskończoność,

nieprzewidywalne, a i tak podobne do siebie. Gdy niepewność i oczekiwanie wypełniały płuca, serce i mózg męką swego trwania.

„Nadchodzę – mówił deszcz, mówił niepokój. – Ale nie powiem wam, kiedy przyjdę. Czekać na mnie”.

– Legge, wódz plemienia Ellyria, to największy złodziej w

całej Afryce – powiedział cicho Sam do Saada podczas

pożegnalnej kolacji w Ellyrii. Następnego dnia planowali

wyruszyć w dalszą drogę na poszukiwanie owego zapomnianego

przez Allaha jeziora.

Saad potwierdził. Legge brał pełnymi garściami, lecz

zaciskał pięść, gdy miał dać coś od siebie. Kóz, warzyw czy drobiu nie pozwalał wymieniać za nic poza bydłem. Tymczasem Sam nie mógł zaoferować mu krów. W tej sytuacji wszystko, co efendi miał

do zaofiarowania, Legge przyjmował w prezencie.

– Od czasu naszego przybycia do Ellyrii przyniósł nam

jedynie garnek słodkiego miodu dzikich pszczół. Zresztą i on jest już pusty – rzekł Sam i kopnął nieduże naczynie, które potoczyło się w piach kilka metrów od ogniska.

„Dziękujemy Bogu, że *sitt* w Gondokoro wszystko tak dobrze zaplanowała” – pomyślał Saad. Na pożegnalną kolację efendi

kazał ugotować ryż i pomieszać go z miodem. Ludzie siedzieli po turecku wokół ogniska, nad którym wisiał kocioł. W środku

pyrkała masa ryżowa, a Florence dużą warząchwią nakładała

każdemu sporą porcję. Zapanował zgodny, pełen oczekiwania

spokój, mężczyźni z miskami w rękach czekali na swoją kolej.

Nawet tragarze efendiego i Bellal z Sakim zawiesili broń, chociaż jak zwykle mamrotali pod nosem, narzekając na skromny posiłek.

Raptownie ciemność się rozstąpiła i do ogniska podszedł Legge.

Za nim stało dwóch wojowników trzymających nad głowami

poходnie.

– Uczta? – kazał powtórzyć tłumaczowi. – Beze mnie?

Zróbcie miejsce dla Leggego, wodza Ellyrii.

Saad się przesunął i wódz umościł się wygodnie między nim

a Ibrahimem na koziej skórze, którą z sobą przyniósł. Saad się rozejrzał. Jego uwadze nie uszły ukradkowe spojrzenia

niezadowolonych ludzi. Ale zgodnie ze zwyczajem Arab dzieli się swoim posiłkiem. Wszystko inne stanowiłoby dużą niestosowność.

Legge odchylił na masywny kark głowę, która ze swym niskim, cofniętym czołem przypominała kształtem pocisk. Otworzył

szeroko usta, jak hipopotam paszczę, i z zadowoleniem począł

pchać do gardła ryż przyprawiony miodem.

Przygotowania do wymarszu przebiegały sprawnie. Saad ani

na chwilę nie spuszczał z oczu Bellala i Sakiego, Richaarn zaś nie odstępował na krok *sitt* i efendiego, pilnujących pakowania obozowiska w Ellyrii.

Na osłach, wielbłądach i wołach zamierzali pojechać na

wschód, przez trawiastą równinę, w kierunku błękitnego łańcucha gór. Długi pochód handlarzy oraz ich własnych ludzi sprawnie posuwał się naprzód, z wyjątkiem południowych godzin, w

których jedynie wielbłądy z niezrównaną cierpliwością stawiały kopyto za kopytem. Cała reszta opuszczała wzrok, przynajmniej w myślach próbując uniknąć słonecznego żaru. Sawanna przybrała barwę jawaru, które Bacheeta każdego ranka dla nich

przygotowywała. Suche źdźbła były ostre jak noże i raniły bosc nogi niewolnic człapiących obok jadących na zwierzętach

mężczyzn. „Ibrahim pilnuje porządku w swojej karawanie, trzeba mu to przyznać” – myślał z uznaniem Saad. Ludzie jeden za

drugim szli w ślad za flagą, otoczoną przez grupkę ośmiu czy dziesięciu mężczyzn. Jeden z tragarzy, podążający za flagą, niósł

na plecach karton z pięciuset nabojami, w gotowości na wypadek nieoczekiwanej napaści. Za każdą dziesiątką tragarzy jechał konno strażnik pilnujący, by nie przyszła im do głowy myśl o ucieczce.

Na końcu długiego węża wijącego się wśród traw sawanny kolejna ośmio- czy dziesięcioosobowa grupa niosła drugą flagę, za którą nie miał prawa się znaleźć żaden maruder. Kto za nią szedł, ten nie należał do karawany, stając się żerem dla dzikiej okolicy.

Nocowali przy studniach z wodą, a następnego dnia

wyruszyli przed wschodem słońca. Po trzech dniach zobaczyli więcej soczystej zieleni, teren stał się bardziej przyjazny. Efendi kazał zatrzymać się na noc w gaju platanów i baobabów. Chłód i ciemność dodały im otuchy, a cienie rzucane przez kamienie

okalające ognisko sprawiły, że twarze mężczyzn stały się

cieplejsze i miłsze. Otuliła ich czerń nocy, chroniła i łączyła, a jednocześnie oddzielała od reszty świata.

Siedzieli w kucki jak pierwotni ludzie na dziewiczym skrawku ziemi. Nie było niczego ani nikogo poza nimi, musieli polegać na sobie wzajemnie,

przynajmniej jeszcze tego jednego wieczoru. Kobiety się śmiały i śpiewały przy pieczeniu placków z jawaru, które smarowały

miodem dzikich pszczół. Najkrótszy odpoczynek pozwalał im

zapomnieć o bólu i nieszczęściu. Nawet niewolnica oczekująca dziecka Bellala co jakiś czas się uśmiechała. Efendi upolował

koba, duże zwierzę o potężnych, zawiniętych rogach. Na kolację wszyscy jedli mięso. Nadziana na szpikulce pieczeń smażyła się na otwartym ogniu, skapywał tłuszcz, czuć było swąd palonej sierści, ale Richaarn zręcznie obracał mięso nad płomieniem i pieczeń ze wszystkich stron była wspaniale chrupiąca i złota. Cudowny

zapach przyprawił obcą ciemność wokół nich.

Mężczyźni czekali, wzdychając. W końcu jedzenie było

gotowe. Richaarn wziął długi nóż i zabrał się do odkrawania plastrów z udźca.

Florence rozdawała ryż i gorzkie ungali.

„Ludzie są dziś dziwnie milczący” – pomyślał Saad przy

kolacji. Bellal i Saki nie odstępowali się na krok. Napełnili po brzegi swoje talerze i przeżuając, rzucali nieme spojrzenia na pozostałych. Saad widział, że w środku się gotowali. Bellal zdawał

się nie myśleć o niczym innym jak o rebelii. Saad widział jasny błysk jego zębów, gdy mężczyzna ogryzał włókna mięsa z kości, którą trzymał w ręku. Wyglądał jak lew szarpiący tylną nogę zebry.

Saad zerknął na Sama, który zaprosił na ucztę Ibrahima.

Rozmawiali i rysowali patykami mapy na piasku, później je

zmazywali i zaczynali od nowa, nie bacząc na resztę

zgromadzenia.

„Jutro dojedziemy do pierwszej wioski Latuków – pomyślał

chłopak. – Ludzie Amabile del Bona powinni być już na miejscu.

Jutro się zacznie – westchnął w duchu.

Jutro o tej porze mogę być martwy, więc na wszelki wypadek

zjem jeszcze kawałek tego udźca”.

Przełknął ślinę. Mięso było kruche i aromatyczne. Żuł i

smakował wolno i starannie, jakby każdy kęs miał być zarazem ostatnim. Testował siebie, milczał, czaił się i obserwował. „Czy się boję? No pewnie – przyznał sam przed sobą. – Jednak najbardziej boję się o moją *sitt*”.

Osada rozpościerała się płasko między drzewami, które musiały wyrosnąć o wiele wcześniej, niż pierwszy człowiek zbudował tam swoją chatę. Sięgały prawie do nieba, z gałęziami okrytymi gęstym listowiem, jak skrzydła olbrzymiego ptaka.

Słońce w zenicie rzucało poszarpane cienie ich koron z powrotem na sawannę, między osty i ostre, suche trawy.

Spragniona ziemia pod drzewami zabarwiła się na czarno od ludzi i zwierząt, odpoczywających w cieniu potężnych konarów.

Saad zmrużył oczy. Nie, nie pomylił się, nad głowami setek obozujących mężczyzn powiewała flaga *Amabile del Bona*. Nim

zdażył się odezwać do efendiego, Bellal i Saki wznieśli w górę odbezpieczone strzelby i według starej tradycji zaczęli strzelać na wiatr. Kilka strzałów podniosło kurz tuż przy kopytach Filfila i Tetela. *Sitt* usilnie uspokajała zwierzę, szepcząc mu do ucha i skracając cugle.

Saad dostrzegł, że mężczyźni wokół Bellala i Sakiego porozumiewali się wzrokiem. To nie była salwa na powitanie. Była sygnałem dla Mohammeda Hera. Nadjeżdżali, zgodnie z umową,

jaką zawarli w Gondokoro. Saad miał wrażenie, że mężczyźni niepostrzeżenie tworzyli krąg wokół Sama i Florence. Mieli

jednoznaczne zamiary. Przy najdrobniejszej próbie oporu mieli ich zastrzelić, a dobytek rozdzielić między ludzi. Bezkresny step miał

połknąć jego *sitt* i efendiego, jak wielokrotnie czynił to z wieloma innymi podróżnymi.

Właśnie rozgorzała kłótnia.

– Ostrzegam cię, jeśli weźmiecie stąd bydło i niewolników,

wówczas rozpocznie się wojna między naszymi panami! –

napomniał Mohammed Her Ibrahima.

Ibrahim splunął.

– Gwiżdżę na twoje ostrzeżenia! Ten teren nie jest jeszcze
zajęty. Zabiorę dla Koorshida Agi wszystko, co mu się należy.

Saad uniósł głowę. Ibrahim zsiadł z muła. Stał blisko

Mohammeda Hera, tak blisko, że wiatr rozwiewający ich dżubby połączył z sobą materiał. Ibrahim
krzyknął i chwycił Mohammeda Hera za kołnierz. Ten zaczął się bronić, chciał go od siebie odsunąć.

Saad podjechał na ośle do przodu.

– Ibrahimie, jeśli pojedziesz dalej z tym chrześcijańskim

psem, wejdiesz na moje terytorium. Jak was zobaczę na ziemi del Bona, wtedy was zabiję i nabiję na
pale jak ryczące żaby –

oznajmił Mohammed Her.

– Ziemia del Bona! – splunął Ibrahim. – Del Bono jest tym,

co pozostawia po sobie pies. Badamy nowe tereny. Nowe szlaki wymagają nowych praw! Zwolnij drogę,
Mohammedzie Herze,

albo użyję siły.

– Zgodnie z obyczajem handlowym nad Białym Nilem... –

zaczął Mohammed Her, gdy Ibrahim odepchnął go na bok, tak że Arab upadł na ziemię.

Ibrahim zwrócił się do swoich ludzi.

– Pakować zwierzęta i wsiadać! Jedziemy dalej do

Tarrangolle. Niech Mohammed Her zdechnie w tej dziurze we

własnych odchodach! Przeczekamy deszcz w Tarrangolle. *Yalla*, ludzie!

Mohammed powoli wstał i ponuro otrzepywał zakurzoną

dżubbę.

Saad widział, co się działo w głowie Mohammeda. Jeśli

Ibrahim zabierze niewolników, kość słoniową i bydło z terenów Amabile del Bona, wówczas wybuchnie
potężny konflikt między jego panem i Koorshidem Agą. Amabile uczyni go

odpowiedzialnym za ten zatarg. Tymczasem miał około

sześćdziesięciu mężczyzn, których mógłby postawić przeciwko co najmniej stu pięćdziesięciu uzbrojonym ludziom Ibrahima.

W tej sytuacji wolał zachować zimną krew, nawet gdyby miał

stracić twarz. Saad zauważył, jak Mohammed Her wymienił

spojrzenie z Bellalem. *Sitt* trzymała się nieco z boku, w cieniu namorzynowców. „Dobrze” – uznał Saad.

Wallady siedział bez

ruchu na jej ramieniu.

– Pakować bagaże i wsiadać! Ruszamy! – usłyszał okrzyki

efendiego.

Żaden z tragarzy Sama nie ruszył się z miejsca. Zdawało się, że rozkaz Sama do nich nie dotarł. Siedzieli w cieniu drzew, popijali merisę i macali piersi niewolnic leżących obok nich.

Śmiali się i rozmawiali z sobą jakby nigdy nic.

– Nie słyszeliście, co powiedziałem?! Jedziemy dalej, do

Tarrangolle. Tam rozbijemy obóz i przeczekamy deszcz –

powtórzył Sam, tym razem trochę głośniej i niecierpliwie.

Ibrahim siedział na mule, a jego ludzie prawie skończyli

przygotowywać ładunki do drogi. Zachowywał się tak, jakby

Mohammeda Hera w ogóle nie było i wydawał ostatnie polecenia przed wyjazdem. Jego żona z plemienia Bari i mała córeczka

siedziały już przed nim w siodle. Obie ssały kawałek cukru, który dostały w prezencie od *sitt*.

Saad znał efendiego i zauważył delikatną zmianę w

zabarwieniu skóry na jego twarzy. Sam był bardzo, bardzo

wściekły. Należało mieć nadzieję, że zachowa rozsądek.

Coś się ruszyło. Richaarn pociągnął pierwsze dwa wielbłądy

za cugle splecione z grubego sznura, kazał im uklęknąć i zaczął

pakować bagaże. Saad podjechał na ośle do efendiego na tyle blisko, by go chronić.

– Spotkamy się w Tarrangolle! – zawołał Ibrahim i dał sygnał

do wymarszu.

„I znów każdy dba o siebie” – pomyślał Saad.

Raptem zobaczył, że Bellal wstał. W ręku trzymał strzelbę.

Dwulufową flintę, którą Sam powierzył mu na czas pokonywania gór Ellyrii i dotąd nie zazażał jej zwrotu.

Bellal przeszedł między mężczyznami leżącymi w cieniu

drzewa. Jednemu z tragarzy nadepnął na rękę, ale mężczyzna był

już tak pijany, że tylko zabełkotał. Saki klepnął Bellalą

zachęcająco w udo i też się podniósł. Saad poczuł napięcie mięśni.

Był gotowy do skoku, jak młody gepard na pierwszym polowaniu.

Richaarn zdawał się panować nad wielbłędami, ale na jego

ramionach odznaczały się ścięgna, niczym liany oplecione wokół

baobabu. Saad szybko wymienił z Richaarnem nieme,

porozumiewawcze spojrzenie.

A więc i on był przygotowany.

Bellal zatrzymał się przed Samem.

Efendi uniósł brew, ale się nie odezwał. Bellal mocno wbił w piasek kolbę strzelby. Rozległ się tępy zgrzyt.

– Pożeracz wieprzowiny! Chrześcijański pies! Nikt z tobą nie pojedzie. Możesz powąchać kurz spod kopyt zwierząt Ibrahima, mamy dość mordęgi z tobą. Poszukaj sobie Murzynów do tej

brudnej roboty, my tu zostajemy z Mohammedem Herem.

Saad widział, jak w duszy Sama bierze górę wspomnienie

wszystkich kłopotów, wszystkich nieporozumień, które miały

miejsce w ostatnich tygodniach.

– Opuść strzelbę i zabieraj się do juczania wielbłędów! –

krzyknął. Jego twarz płonęła z wściekłości, przyjmując kolor podobny do tyłka pawiana.

Saad poczuł, że drżą mu palce.

Zacisnął je mocniej na rzemiennych cuglach. „Spokojnie –

upomniał się. – Spokój przychodzi od Allaha albo od Boga, zależy, kto się nami opiekuje”.

Bellal wyszczerzył zęby, oblizał wargi i splunął przed

Samem.

Saad zobaczył, jak jego ślina upada na szary piach, zbryła się z kurzem i wsiąka. Dookoła zaległa cisza.

Nawet wiatr wstrzymał

oddech, nie poruszył ani jednym liściem.

– Gównu zrobimy! – odparł Bellal.

– W takim razie zawsze rób tylko tyle! – zawołał Sam.

Efendi się zamachnął i jego pięść wylądowała na szczęce

Bellala. W tym ruchu było coś pierwotnego, coś rozpoznawalnego zawsze i wszędzie. Moc prawdziwego gniewu, która dała mu

prawo do użycia siły. Zamach ręki Sama przypomniawszy Saadowi

jego wuja, kowala w Fertitcie. Bellal przewrócił się do tyłu między skrzynie, szeroko rozkładając ręce i nogi. Jego kompani poderwali się na równe nogi, podbiegli do niego, a później ruszyli z pięściami na Sama. Saad słyszał ich okrzyki, zobaczył, jak sięgają do noży i błyskają zębami. Efendi mocniej ścisnął

kolbę strzelby,

odbezpieczył ją, ułożył na ramieniu i przystawił do szyi

najbliższego napastnika. Szarpnął nim kilka razy jak niesfornym psiakiem, a następnie z impetem cisnął go do tyłu.

– Macie słuchać! – krzyknął. – Macie mnie słuchać!

Bellal wstał. Splunął krwią i na nowo sięgnął po strzelbę.

– Wsiadać! – zawołał w tym samym momencie Richaarn.

Każde zwierzę miało na grzbiecie co najmniej pięćdziesiąt kilo.

Sam wskoczywszy na konia, jeździł w koło. Bellal ledwo zdołał

umknąć przed końskim kopytem i machnął strzelbą.

– Kto ze mną jedzie? Pytam po raz ostatni, później niech was diabli porwą! – zawołał efendi.

Jeden czy dwóch tragarzy wyszło z cienia namorzynów i włożyło na plecy ładunki. Pozostali przyglądali się im w milczeniu.

Mohammed Her podszedł do Bellala i wyjął mu z ręki broń.

Machnął nią w niebo, powleczone oszałamiającym, nieprzeniknionym błękitem.

– Baker, jeśli jeszcze raz staniesz na mojej ziemi, zastrzelę cię z twojej własnej flinty! Zrozumiałeś?

Saad zauważył, że efendi rzucił ostatnie spojrzenie na broń, którą zabrał mu Bellal. Wiedział, że Sam był w jakiś szczególny sposób przywiązany do tego niewielkiego fletchera. Na spuście i na kolbie z kości słoniowej widniały wygrawerowane jego inicjały.

Sam zwolnił cugle i spod końskich kopyt podniósł się kurz.

Wskazał ręką na buntowników.

– Niech sępy szarpią wasze kości! – krzyknął, a jego głos

poniósł się echem po sawannie. Zapadła cisza. Jego słowa

zaczęły się niczym pętle wokół poruszonych umysłów zebranych mężczyzn, Saad dobrze o tym wiedział. Zostali przeklęci.

– Sępy, Bellalu, zdrada nie przyniesie ci szczęścia! –

powtórzył Sam.

Następnie odwrócił Filfila, trącił szpicrutą Tetela, skłaniając zwierzę do lekkiego galopu, i razem z *sitt* odjechali.

Saad widział, że mężczyźni wokół Bellala kręcą się

niezdecydowanie.

Efendi ich przeklął! Taka klątwa mogła mieć poważne

konsekwencje, mimo że rzucił ją chrześcijański pies. Nie

wiedzieli, jaką siłą dysponował efendi. Przez cały czas sprzyjało mu szczęście i wszystko obracało się na jego korzyść. Bellal posłał

w powietrze kilka strzałów. Były słabe i osamotnione, nie miały siły zagłuszyć echa klątwy. Turek śmiał

się i wydawał okrzyki, ale jego radość nie wyglądała szczerze.

Saad popędził objuczone zwierzęta, by razem z efendim, *sitt* i Richaarnem jak najszybciej dogonić Ibrahima.

Rozdział 12

Florence czuła dotyk palców, które początkowo niepewnie, a

później coraz śmielej dotykały jej twarzy i gołej szyi. Na powitalną uroczystość włożyła na siebie suknię.

Miękka niebieska bawełna chłodziła nagą skórę, rozpaloną po kąpieli w miedzianej kadzi. W

obcisłym gorsecie, szerokich rękawach i wydętej spódnicy czuła się nieswojo. Strój krępował jej ruchy i utrudniał oddychanie.

Rano jak na złość włożyła do niej naszyjnik z zębami lwów. Sam uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

Rzemienna pętla naszyjnika ciasno ścisnęła jej szyję.

Jakiś nos zbliżył się do jej uszu, zawahał się, powęszył i

wycofał się zmarszczony. Usłyszała chichot jednej z dziewcząt, badającej dotykiem płatki jej uszu z dziurkami, w których od lat nie było kolczyków, a wąskie kanaliki musiały już dawno

zarosnąć.

Młoda dziewczyna okazująca daleko posuniętą śmiałość

zmarszczyła czoło i zwróciła się do stojącego w tyle chaty Latuki, którego Commoro, wódz plemienia Latuko, oddał do dyspozycji Florence i Sama. Młody wojownik należał do tragarzy Ibrahima, który w kraju Latuko wykorzystywał go jako tłumacza. Teraz, w obecności kobiet, wojownik czekał cicho w drzwiach chaty. Jego mocne, nagie ciało lśniło tłuszczem i ochrą, włosy zaś, splecione z pasmami kory, tworzyły wspaniałe filcowy hełm ozdobiony

perłami i muszlami porcelanek. Florence wiedziała, że ułożenie tej misternej fryzury wymagało co najmniej ośmiu do dziesięciu lat.

Na pytanie dziewczyny mężczyzna się roześmiał i pokręcił

głową, jakby uważał, że plecie bzdury.

Florence zerknęła niepewnie w jego kierunku, gdy

przysunęła się do niej druga z dziewcząt, tak samo młodziutka i naga jak poprzednia. Raz i drugi nieśmiało skubnęła jej wargę, odsłaniając dolne zęby Florence, a ujrawszy, że żadnego nie brakuje, wydała okrzyk udanego przerażenia i zasłoniła twarz rękoma.

Zachichotała, po czym wszystkie zebrane wokół niej

dziewczęta i kobiety zaczęły się śmiać. Kobiety przysnęły się do siebie jak stadko kóz, którymi w kurzu na zewnątrz opiekowali się ich synowie. Biusty zakołysały się na twardych, wklęsłych

brzuchach, a gładka skóra ich pokrytych rytualnymi bliznami twarzy, osadzonych na szyjach przyozdobionych miedzianymi

obręczami, delikatnie się zaróżowiła, przez co stała się jeszcze ciemniejsza. Florence nigdy jeszcze nie widziała w Afryce tak pięknych istot jak owe kobiety. Były całkiem nagie. Jedyne

okrycie stanowiły ozdoby na szyjach, uszach i ramionach. Miały ciemną skórę. Jej barwa przywodziła Florence na myśl nocne

niebo zaciągnięte chmurami. Przy każdym ruchu na długich,

gibkich członkach odznaczały się mięśnie, będące zaprzeczeniem miękkości ich skóry. Przypominały boginie olbrzymki, zstępujące z gór albo z nieba. Wszystkie były wyższe od Florence o głowę lub dwie i dorównywały wzrostem Samowi. Latukowie byli bez

wątpienia ulepieni z innej gliny niż członkowie plemienia Bari z ich supłowatymi kończynami czy Ellyriowie o cofniętych czołach i dziwacznie kulistych brzuchach.

Dziesięć, a może dwadzieścia kobiet ścisnęło się w chacie

Florence. Niektóre miały przy biodrach przywieszzone dzieci.

Maluchy przyglądały się gościowi oczami głębokimi niczym

pustynne źródła. Przy najmniejszym dźwięku matki wciskały im do ust brodawki swych piersi, a niemowlaki z upodobaniem

zabierały się do ssania.

Pomieszczenie było wysokie na sześć metrów i zwężało się

ku stropowi zrobionemu z wiązek suchych gałęzi. Kobiety

wypełniły je zapachem potu, krwi, kurzu, miłości, popiołu,

tłuszczu i dymu. Gorzka woń drażniła nozdrza Florence, ale nie sprawiała jej przykrości. Tak pachniały tutejsze kobiety. Tak pachniała ich wzajemna więź, wspólne życie i cierpienie. Zapach je określał, wyróżniał, zawierał życie i śmierć, wojnę i pokój, miłość i nienawiść w osadzie, w całej tej bezlitosnej krainie.

– Co się stało? Co powiedziała? – zapytała Florence Latukę.

Serce mocniej jej biło, poczuła ciepło rumieńców na

policzkach.

– Co powiedziała? – powtórzyła i pochyliła się do przodu, by lepiej usłyszeć jego odpowiedź.

Ale młody Latuko najwyraźniej wstydził się powtórzyć

słowa dziewczyny. Przesząpił z nogi na nogę i odwrócił głowę.

– Powiedz wreszcie – roześmiała się siedząca po turecku

Florence, po czym uniosła się na kolana. Poczwała miłe odprężenie w mięśniach pośladków, zmęczonych długą jazdą w siodle. Pod łydkami czuła cudowną miękkość jedwabnego perskiego dywanu, którym Sam wyścielił ich chatę. Drugi taki dywan sprezentował

wodzowi Commoro z Tarrangolle. Wielkiemu wodzowi Commoro,

który w podziękowaniu przysłał do jej chaty swoje żony.

– Powiedziała, że jesteś piękna – odparł z wahaniem młody

wojownik.

– Dziękuję – odpowiedziała i uśmiechnęła się do

dziewczyny.

Ta znów odważyła się zerknąć spomiędzy palców. Ponownie

wskazała zęby Florence i wszystkie kobiety wybuchnęły

śmiechem. Chatę wypełniły okrzyki, głosy stawały się coraz

donośniejsze.

– Co jeszcze? – zapytała Latukę Florence.

– Powiedziała, że byłabyś jeszcze piękniejsza, gdybyś dała

sobie wyrwać cztery dolne zęby, zgodnie z tutejszym zwyczajem.

Wtedy dolna warga zwisałaby na brodę, z czym na pewno byłoby ci bardzo do twarzy.

Florence zdusiła śmiech i skinęła głową.

– Powiedz, że wezmę sobie jej radę do serca i pomyślę o

tym.

Florence dała kobietom znak, by usiadły i częstowały się

plackami z miodem i zsiadłym mlekiem kóz, które kazała

przygotować. Kobiety chętnie usłuchały. Najpierw najstarsza podwinęła łydki pod uda i uklękała naprzeciwko Florence.

Następnie jedna po drugiej, odpowiednio według pozycji,

wszystkie kolejno przysiadły na dywanie. „A więc to są żony wodza Commoro – pomyślała Florence. –

Nie, jego ulubione żony

– poprawiła się w myślach, gdy jedna z nich wychyliła się do przodu i przeczesła dłońmi jej włosy, starając się wyczuć palcami ich osobliwy kolor, przypominający jej ziemię i słońce. – To jego ulubione żony. Setka pozostałych nie przyszła”. Zerknęła na całe mnóstwo pereł i bransolet, które zamierzała podarować damom na zakończenie wizyty. Leżały w pęczkach, bransolety związane

skórzanymi rzemieniami, niby wielkie obejmy.

„Na podarunki dla wszystkich jego żon nie byłoby mnie stać”

– pomyślała.

– Dlaczego nie ma blizn na skroniach? Czyż kobieta z jej

pozycją nie powinna ich mieć? Dlaczego nikt nie naciął jej

policzków? Dlaczego nie ma w uszach krążków?

Takimi i podobnymi pytaniami kobiety nieustannie

zasypywały młodego Latukę, który starał się, jak umiał, by jak najmilej i jak najuprzejmiej przetłumaczyć je Florence. Nadal siedział przy drzwiach, na tle światła afrykańskiego dnia, białego niczym mleko, rozżarzonego jak kowalskie żelazo.

Najstarsza z kobiet uniosła rękę.

– Może nie jest żoną tego obcego? Powiedz, wojownik, ile

żon ma ten biały mężczyzna i jaką pozycję ona zajmuje wśród reszty?

– Czy podarowała mu synów? Zapewne w dalekiej

przeszłości, bo jest chuda jak szczapa i dawno przekroczyła wiek, w którym się rodzi synów – spytała druga, marszcząc czoło.

– Dlaczego nie nosi ozdób? Jeśli jest jego ulubioną żoną, to dlaczego nie daje jej ozdób?

Młody Latuko tłumaczył najlepiej, jak umiał, momentami

nawet z pełnymi ustami, albowiem kilka młodszych kobiet

odważyło się zaproponować mu durrę z miodem.

– No właśnie, dlaczego nie nosi ozdób? Gdzie perły w jej

włosach? A obręcze na szyi, łańcuchy z drogimi kamieniami i bransolety na ramiona? Dlaczego jej ręce są gołe od nadgarstków po łokcie? To nie przystoi żonie potężnego mężczyzny!

Florence odstawiła wyciosaną z drewna miskę, z której przed chwilą popijała kwaśne kozie mleko.

Napój, przypominający jej ajran z domu Sulejmana, orzeźwił ją i nasycił, ale na języku pozostał specyficzny nalot.

– Ależ noszę ozdoby – zaprzeczyła i ze zdziwieniem położyła dłoń na naszyjniku z lwich zębów, który Sam założył jej na szyję jeszcze w Chartumie.

Miał ją chronić. Ochronić przed wszystkim, przed czym mogłaby potrzebować ochrony.

Kobiety zamilkły i patrzyły na nią osobliwym wzrokiem.

Najstarsza z wahaniem odstawiła miskę. Pochyliła się do

przodu i pomacała naszyjnik. Zastanowiła się, a później mlasnęła językiem i z uznaniem skinęła głową.

Powiedziała coś do swych towarzyszek, na co te również skinęły i zaczęły się naradzać.

Ich twarze wyrażały harmonię, było w nich milczące, doskonałe piękno.

– Co mówią? – napierała Florence.

– Powiedziały... – młody mężczyzna się zawahał. – Mówią,

że jesteś lwicą. Twoje ozdoby to słońce, powietrze, ziemia i woda.

Jesteś dniem, jesteś nocą. Jesteś deszczem i jesteś suszą, jeśli twój mąż tak cię kocha, że nie dotyka żadnej innej kobiety poza tobą.

Tak powiedziały, *sitt*.

Opuścił głowę i odwrócił się. Następnie wyszedł z półmroku

panującego w chacie w jasne światło dnia. Dokąd poszedł?

Florence się zdziwiła. Na poszukiwanie deszczu? Ostudzić duszę, którą widok nagich, roześmianych, ale niedostępnych dla niego kobiet napełnił jeszcze większym niepokojem?

Po wyjściu młodego wojownika wśród kobiet zapanował

beztroski, sielankowy nastrój. Cicho z sobą rozmawiały, śmiały się do Florence i kładły na niej dłonie.

Wstały i otoczyły Florence, która też się podniosła. Szerokie, kościste ramiona kobiet dotykały się wzajemnie, uniosły głowy z wielkimi oczyma, wilgotnymi i ciemnymi jak daktyle, ze szlachetnymi, wąskimi nosami, pełnymi ustami i wydatnymi szczękami. Oczy kobiet błyszczały. Wzięły Florence w środek i zaczęły śpiewać, obracać ją i obejmować.

Florence przymknęła powieki i skupiła się na odczuciach.

Rozkoszowała się ciepłem, sympatią i bliskością jak odprężającą kąpielą po długiej konnej jeździe przez zakurzone bezdroża, zmywającą z niej gorycz i niepewność minionych tygodni,

miesiące i lat. To cudowne uczucie było warte więcej od

prezentów, które zamierzała podarować na drogę każdej z kobiet.

– Proszę, przyjdźcie do mnie jeszcze. Wkrótce. I

przyprawdźcie z sobą wszystkie swoje siostry, córki, siostrzenice i przyjaciółki! – zachęciła, chociaż tłumacz dawno już wyszedł.

Kobiety kiwały głowami.

Te kilka chwil pozwoliło jej na moment zapomnieć, że miała

na świecie tylko jednego bliskiego człowieka. Jednego jedyne go człowieka, dla którego cokolwiek znaczyła i który dla niej coś znaczył. Sama. Czy to możliwe, by oprócz nich istniało na ziemi dwoje innych ludzi tak bardzo z sobą związanych, tak silnych i właśnie dlatego tak niezwykle wrażliwych jak ona i Sam?

Plemię Latuko czekało na deszcz. Co się nie powiodło ich

wodzowi Commorze? Wszak dotychczas zawsze skutecznie

przywoływał deszcz. Czyż nie dość kóz mu przyprowadzili, za mało pięknych córek oddali za żony? Kraj konał, umierał z

pragnienia, nieruchomo, w cierpieniu. Psy spały w piachu przed chatami, ich skołtuniona sierść koloru dojrzałych bananów zlewała się z kurzem niesionym przez Tarrangolle z ostatnimi powiewami słabego wiatru. W uschniętych krzakach nie poruszał się ani jeden chrząszcz, a liście mieszały się z ziemią.

Pałaca susza ciągnących się w nieskończoność dni szarpała wszystkim nerwy i wyciskała z nich ostatnie soki. Widzieli chmury nadciągające w stronę

Tarrangolle znad dalekich gór; drażniły się z nimi, dawały

nadzieję. Ale jakby na przekór zatrzymały się nad ostrymi

szczytami, rozładowując swą zawartość z dala od osady. Kiedy tamta kraina się wreszcie nasyci? Kiedy

pozwole chmurom

popłynąć dalej razem z ich wilgotnym ładunkiem?

Bębny grały do późnej nocy, pieśni płynęły do nieba z gardeł

tak suchych jak cała okolica. Później i to ucichło.

Tego dnia Tarrangolle, duże, uporządkowane miasto z trzema

tysiącami chat, które kształtem przypominały dzwony, a każda z nich miała wokół siebie utwardzony podwórzec, było pogrążone w martwej ciszy. Opuszczone i zapomniane. Nikt nie przechodził

przez przejścia w wysokim płocie z drzewa żelaznego. Pasterze z samego rana popędzili bydło, stanowiące największy majątek

Latuków liczący dziesięć, a może piętnaście tysięcy sztuk, przez sawannę w kierunku gór, gdzie mieli nadzieję znaleźć jeszcze kilka ostatnich wysepek zieleni. Znikli w obłoku krowich ciał,

ogromnych rogów i kurzu wzbijającego się pod kopytami. Wrócili wieczorem z suchymi językami i uschniętą duszą. Kobiety wstały przed wschodem słońca, włożyły na głowy gliniane dzbany i

wyruszyły w długą drogę do ostatnich dziur z wodą, w których spodziewały się znaleźć jeszcze kilka kropli wilgoci. Szły rzędem, chroniąc się przed ewentualną napaścią. Florence patrzyła za nimi, aż w oparach gorącego poranka znikły jej z pola widzenia.

Wyglądały jak ludzki strumyk. Nocą leopardy podchodziły pod miasto i pewnego razu zabrały z sobą noworodka, którego matka spała strudzona. Lwy rozszarpały młodego wojownika

próbującego obronić swoje stado. Słonie stratowały palisadę, za którą znalazły jedynie wymieciony do czysta spichlerz. W

wieczornym chłodzie hieny podkrały się do chaty Sama i jakby nigdy nic zabrały z sobą osła. Sam do nich strzelał, ale spudłował.

Gdy celował, pot zalewał mu oczy i drżały ręce. Czuł zbliżający się atak gorączki. Miał napięte nerwy, a skulony żołądek

podchodził mu do gardła.

– Tyle dobrego, że osioł był już kulawy – powiedział do

Florence jakby na pocieszenie.

„O jednego osła mniej – zaklął w duchu. – Deszcze nie

sprawią, że wyrośnie mi nowy. Przez deszcz wszystko jeszcze bardziej się opóźni. Kaze mi czekać, zmusi mnie do czekania. Do czekania na spełnienie marzeń. Gdyby wreszcie nadszedł”.

Sam siedział przed chatą na leżaku, który kazał sobie

rozstawić w cieniu akacji. Miejsce dawało osłonę przed słońcem i zatrzymywało świeże powiewy wiatru napływające od gór. Niebo było żółte jak rozlane żółtko jajka. Sam rozłożył przed sobą mapy, jak zawsze gdy siadał na odpoczynek. W rękę trzymał jedną ze strzelb. Rozłożył ją i zajął się starannym czyszczeniem kolby.

Naraz rozległy się krzyki. Jakieś sto kroków dalej, przed bramą Tarrangolle, Sam zobaczył kłęby kurzu podnoszone przez ludzi wybiegających z osady. Biegli, jakby coś ich goniło. Do jego uszu dotarły głosy, okrzyki i śpiew.

Odłożył na bok flintę i wytarł wilgotne dłonie w nogawki

spodni. Co się stało? Przysłonił dłonią oczy, żeby lepiej widzieć.

Ludzie stłoczyli się przed bramą i zwartą grupą ruszyli w

stronę jego obozowiska. Tuman kurzu posuwał się w kierunku jego angarepu. Sam odwrócił głowę.

Florence leżała we wnętrzu chaty i drzemała. Dobrze. Ledwo dostrzegalnym ruchem położył w

pogotowiu strzelbę. Jeden z mężczyzn wyprzedził grupę. Trzymał

w rękę jakiś podłużny przedmiot. Przyspieszył, a na powierzchni metalu załamał się promień słońca.

Sam zmrużył oczy. Nie miał wątpliwości, mężczyzna miał z

sobą broń.

Wstał i podniósł strzelbę. Następnie nieco się odprężył.

Niespodziewanie wśród powiększającej się grupy mężczyzn

wybiegających z Tarrangolle dostrzegł Saada i Richaarna, a

później jeszcze Ibrahima. Zauważył, że Ibrahim i jego ludzie są tak samo podekscytowani jak reszta.

Rozmawiali z tubylcami.

Odłożył broń. Saad oderwał się od grupy i puścił się pędem

w jego stronę.

– Efendi! Efendi! Żer dla sępów! Żer dla sępów! – zawołał,

zatrzymując się przy angarepie. Jego mizerne ramiona i wystające żebra niespokojnie się poruszały, całe ciało chłopca drżało z podniecenia i wysiłku.

– Co się stało? – zapytał Sam i posadził chłopaka na

posłaniu. Saad przewrócił oczami, starając się złapać oddech.

– Efendi, mają twoją flintę, twojego fletchera! – wyrzucił z siebie.

Sam się wyprostował. W tej chwili dobiegł do niego

mężczyzna z bronią. Ukląkł przed Samem i wyciągnawszy ręce, podał mu strzelbę.

Sam przymrużył oczy. Chwycił broń i ważył ją w dłoni. Bez

wątpienia był to jego fletcher, strzelba zrobiona dla niego na zamówienie przez Smitha, młodego, zręcznego rusznikarza z

Surrey. Na kolbie widniały jego inicjały. Tylko S dało się odczytać, natomiast W i B, oznaczające White'a Bakera, znikły pod

zaschniętą warstwą błota i czegoś ciemnego, przypominającego krew.

Sam podniósł głowę i popatrzył na biegacza, który

tymczasem zdążył wstać.

– Skąd to masz? – zapytał.

Saad nie pozwolił jednak mężczyźnie dojść do głosu.

– Żer dla sępów! – zawołał uradowany i zaklaskał w dłonie.

– Mohammed Her i jego ludzie zaatakowali osadę Latuków

niedaleko swojego ostatniego obozowiska. Ktoś im powiedział, że tamtejsi mieszkańcy mają dużo bydła.

Latukowie zostali

uprzedzeni i czekali na nich, setki wojowników. Wszyscy nie żyją, efendi. Latukowie zostawili ich ciała przed palisadą wioski. Ten człowiek mówi, że leży tam cała góra czaszek i kości

rozrzuconych po ziemi. Świeże i bielusienkie, do czysta ogryzione przez sępy. – Znów się roześmiał. –

Wszyscy martwi – powtórzył z zachwytem. – Mohammed Her, Saki i Bellal.

Po tych słowach padł przed Samem na kolana i dał znak

pozostałym, by uczynili to samo. Fala Latuków przyklęła przed angarepem Sama. Widział jedynie ich pochylone, mocne karki.

– Efendi, twoja klątwa się spełniła. Jesteś wielkim, bardzo wielkim czarownikiem. Teraz ludzie o tym wiedzą. Już nikt nie będzie ci się sprzeciwiał – oznajmił Saad.

Niespodziewany gorący powiew wiatru wymiół Samowi z

głowy wszystkie słowa. Nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć, więc tylko patrzył na Saada.

Czy chłopak mówił poważnie? Nie był pewien. Błyszczące

oczy Saada wpatrywały się w niego z uwielbieniem. Sam zauważył

w nich radość, dumę, zaufanie, a do tego więcej życia, niż było go na całej okolicznej sawannie.

Niewykluczone, że dodatkowo ukrył

się w nich jeszcze jakiś dyskretny, bardzo dyskretny szelmowski błysk, ale Sam nie był tego pewien.

Latukowie podnieśli głowy.

– *Morrte! Morrte, Mattat!* – zawołali.

Nie bacząc na upał i wycieńczenie, pierwsi mężczyźni

zaczęli tupać i podskakiwać z ożywieniem. Wśród

entuzjastycznych okrzyków zanieśli Sama do palisady miasta.

Okrzyki przerodziły się w śpiew, a ludzie w podskokach podjęli jego rytm i zaczęli tańczyć.

– Co to znaczy? *Morrte, Morrte, Mattat?* – zapytał Sam młodego tłumacza.

– Witaj, witaj, wielki czarowniku – odparł ten z dumą.

„*Morrte, Morrte, Mattat* – pomyślał Saad. – Mam nadzieję, że Bellal narobił w portki, nim zdechł. W

obliczu śmiertelnego przerażenia otworzyły mu się zwieracze... Mam nadzieję, że go rozpruli i wypchali jego ciało piachem. Mam nadzieję, że cierpiał

tak, jak chciał, bym ja cierpiał. A Mohammed Her? Jego mięsem sępy mogłyby się zatruć. Szakale pewnie dostały rozwolnienia”.

Saad wyobraził sobie poszarpaną białą dzubbę poplamioną krwią i czerwony turban wdeptany w piasek.

Ogarnął go radosny nastrój.

Przypomniał sobie, jak pewnego dnia przyniósł Amabile del

Bonowi zbyt ciepłą wodę do golenia. Mohammed Her wymyślił

wtedy, żeby go wybiczować korbaczem, a później natrzeć rany pieprzem. Innym razem po kolacji kazał

Saadowi tańczyć. Z

rewolweru wciąż strzelał w piasek tuż koło jego stóp.

Saad podniósł niewielkiego fletchera, którego chłodna lufa spoczywała na jego kolanach. Przyłożył metal do ust i ucałował.

Efendi starannie wyczyścił broń i podarował ją chłopcu. W podziękowaniu za wierną służbę.

– Mój, tylko mój – wyszeptał czule Saad. Od czasu gdy stracił niewielki woreczek z pionkami do gry w mankalę, nie miał nic, co by do niego należało. Wyłącznie do niego. Teraz miał własną broń. Stał się mężczyzną. Mężczyzną podróżującym z wielkim czarownikiem. Uśmiechnął się radośnie.

– *Morrte, Morrte, Mattat* – zamruczał jeszcze i roześmiał się.

Przybył Commoro. Wielki wódz Latuków składał wizytę równie wielkiemu czarownikowi Samowi w jego obozie u granic miasta Tarrangolle.

Przybył Commoro. Pewnego gorącego ranka przybył do chaty Sama, ale nie przyszedł pieszo, ten sposób poruszania się pozostawiał bowiem maluczkiem. Nie, Commoro był bogiem. Był zaklinaczem deszczu. Commoro sprowadzał życie i radość.

Commoro decydował o śmierci i suszy.

Jego ludzie się go bali, ale kochali go i czcili. Tak długo, jak długo deszcz przychodził wtedy, kiedy miał przyjść.

Zjawił się. Jego stopy nie dotykały kurzu, ponieważ go niesiono. Sam zobaczył pochód zmierzający do jego chaty.

Commoro, duży, ciężki mężczyzna siedzący na plecach drugiego mężczyzny. Tragarz miał na szyi jarzmo, jak wół. W piekielnej spiekocie po czole spływały mu do oczu krople potu, twarz miał wykrzywioną z wysiłku. Przy każdym kroku zapadał się po kostki w grząski, rozpalony piasek. Obok niego szedł drugi mężczyzna, trzymając nad głową Commory baldachim wypleciony z liści platanu.

Za Commorą postępowała cała armia wojowników, w skład

której wchodzili tylko jego synowie. Czterdziestu czy

pięćdziesięciu książąt, olbrzymich mężczyzn. Ich skóra błyszczała, a pióra we włosach kołysały się dumnie w takt kroków.

Wyprzedzał ich obłok zapachu potu, tłuszczu i beztroskiej

swawoli. Za deszcz, który przywoływał, Commoro przyjmował

zapłatę w postaci dziewczic. Jego wymagania spełniały wyłącznie najpiękniejsze, najmłodsze i najwyższe córki współplemieńców.

Te, które w ciągu roku nie zdołały obdarzyć go synem, odsyłał z powrotem do ich rodzin.

Sam i Florence wstali z angarepu na przywitanie wodza.

Sam słyszał, jak Florence wydaje Saadowi polecenia.

– Przynies durrę i pięć, nie, dziesięć tykwowych dzbanów z

platanowym sokiem. Pospiesz się!

Wielki Commoro dotarł do chaty Sama. Tragarz ukląkł, a

Commoro przerzucił nogi nad jego karkiem i ramionami.

Jeden z jego synów rozłożył na zakurzonej ziemi skórę

antylopy, prosto pod stopy Commory.

Wódz stanął na skórzanym kobiercu, potężny i wysoki.

Skrzyżował ręce na nagiej piersi. Pod skórą grały mięśnie, niczym młode zwierzęta. Jego oczy miały nieprzeniknioną czarną barwę, w której tęczęwka zlewała się ze źrenicą. Skierował je na Florence i Sama. Sam zauważył, że Commoro przywdział na wizytę

wszystkie insygnia swej władzy. Na przedramionach miał wojenne obręcze Latuków, nabijane długimi na palec kolcami. Przerazająca broń. Jeden z książąt, klęcząc obok ojca, trzymał jego włócznię, krótki łukowaty miecz i wydłużoną tarczę zrobioną ze skóry żyrafy albo bawołu, którą naciągnięto na owalną ramę. Oprócz tego

wielki Commoro nie miał na sobie żadnego innego ubrania.

Przez chwilę Commoro stał w milczeniu i patrzył na Sama.

Platanowy baldachim spełniał teraz funkcję wachlarza. Sam poczuł

na skroniach ruch powietrza.

Skłonił głowę.

– Witaj, wodzu Commoro.

Obaj mężczyźni ukłonili się sobie, następnie Commoro

położył Samowi rękę na ramieniu i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– *Morrte, Morrte, Mattat*, he? – zapytał, przechylając na bok głowę i błyskając ozdobami z pereł, muszli i miedzi. Następnie się roześmiał, jakby jego słowa stanowiły udany żart.

Sam też się roześmiał i wykonał zapraszający gest ręką.

Obaj z Commorą usiedli na angarepie. Commoro podciągnął

nogi i usadowił się po turecku, natomiast Sam odsunął nogi na bok. Florence stała przy żerdzi w cieniu dachu, pod którym wisiało kilka zmęczonych much. W gęstym, dusznym powietrzu nawet ich bzyzące skrzydełka nie miały siły latać.

Saad przybiegł z tykwami i plackami, które wyłożył na

angarepie między mężczyznami. Sam dostrzegł, że Commorze

spodobał się szacunek, jaki mu okazywano. Wódz kiwnął parę razy głową i siorbiąc, upił kilka łyków z guerby. Następnie sięgnął po durrę. Rwał, gryzł, przeżuwał i połykał, nie spuszczać z Sama oczu, błyszczących przebiegle, zupełnie jak oczy guźca.

Później przez chwilę się zastanawiał, aż wreszcie zaczął

mówić wolno i z namysłem:

– Słyszałem, że jesteś wielkim czarownikiem.

Słowa nie zdradzały jego nastroju. Sam doszedł do wniosku,

że powinien zachować ostrożność.

Skłonił głowę.

– Tak mówią – odparł i poczekał, aż tłumacz wykona swoje zadanie. Tymczasem wymienili z Florence szybkie spojrzenia.

Miał nadzieję, że jego odpowiedź wypadła wystarczająco skromnie.

Nieznacznie skinęła, a Sam znów odwrócił się do Commory.

Niech będzie.

Commoro pokręcił głową.

– W takim razie, jeśli jesteś wielkim czarownikiem, to czy

potrafisz w swoim kraju przywołać deszcz, tak jak ja to czynię dla mojego ludu Latuko? Czy jesteś równie wielkim czarownikiem jak ja?

Commoro mówił spokojnie, gdy tymczasem jego synowie

stali w napięciu. Żaden nie spuszczał wzroku z ojca. Bez wątpienia dobrze go znali. W jego pytaniu oprócz ciekawości czaiło się ledwo dosłyszalne ostrzeżenie. Sam je usłyszał.

– W domu, w mojej ojczyźnie, potrafię to zrobić, tutaj jednak w żaden sposób nie mógłbym się mierzyć z tobą – odrzekł Sam i znów skłonił głowę.

Zaproponował Commorze drugą guerbę.

Wódz zdawał się usatysfakcjonowany. Przytaknął, ujął

guerbę i wypił łyk napoju. Popatrzył w krnąbrne niebo i na

rozedrganą sawannę, a potem w kierunku górskich grzbietów,

przeklętych pożeraczy deszczowych chmur. Później znów zwrócił

się do Sama:

– Wobec tego pomówmy jak przyjaciel z przyjacielem,

czarownik z czarownikiem. – Pochylił się do przodu, by nikt oprócz tłumacza nie mógł usłyszeć jego słów. – Powiedz, czy będzie padało? Czy niedługo będzie padało? Bardzo niedługo?

Może jutro? A może wszyscy umrzemy z pragnienia i przysypani przez piach staniemy się żerem dla hien i sępów?

Przy ostatnich słowach ściszył głos do szeptu i rzucił

ostrożne spojrzenie w bok, na swoich oczekujących ludzi.

– Ty jesteś wielkim zaklinaczem deszczu, nie ja – powtórzył

Sam skromnie i z godnością.

Commoro nie był zadowolony z takiej odpowiedzi. Odsunął

od siebie talerz z plackami i zimną wołowiną, a następnie dumnie się wyprostował.

– No więc ja oczywiście wiem, co się wydarzy – rzekł. –

Jednakowoż chcę sprawdzić twoją siłę. Czy będzie deszcz? Nie będzie deszczu?

Jego oczy przywarły mocno do twarzy Sama. Żaden

najdrobniejszy ruch białego mężczyzny nie mógł ujść jego

uwadze. Sam spojrział w niebo sklepienie w niebieską, rozświetloną kopułę. Na horyzoncie nie było widać nawet jednej chmury. Nie było najłżejszego podmuchu wiatru, który mógłby stanowić

wskazówkę pozwalającą na udzielenie jakiejś odpowiedzi. Mimo to Sam robił, co mógł, żeby wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Wodzu Commoro, w ciągu tygodnia znacznie padać –

powiedział.

Commoro rzucił na niego szybkie spojrzenie błyszczących

oczu, a później zaklaskał w dłonie jak dziecko.

– Dokładnie to samo myślałem, Baker efendi! Jeżeli dwóch

wielkich czarowników myśli tak samo, wówczas przyroda musi się ugiąć!

Jego synowie też zaczęli się śmiać i klaskać w ręce.

Commoro dał znak i Saad zabrał się do pakowania podpłomyków, mięsa i platanowego soku w duże liście.

Orszak Commory szykował się do odejścia. Gdy jego tragarz

w towarzystwie rozdokazywanych książąt, piór i dzid znikł za bramami Tarrangolle, Saad podszedł do Sama.

Chłopak mlasnął z dezaprobatą.

Sam odwrócił się ku niemu.

– O co chodzi, Saad? Teraz też jestem bogiem deszczu –

powiedział z dumą i objął chłopca ramieniem.

Ale Saad w milczeniu pokręcił głową i popatrzył na niego ze smutkiem.

– Będą z tego kłopoty – oświadczył.

– Dlaczego? – zainteresował się Sam. – Przecież doskonale

się zrozumieliśmy, jak bóg deszczu z bogiem deszczu.

Przeciągnął się leniwie. Gdyby mógł opowiedzieć o tym

przyjaciołom w klubie! On bogiem deszczu! Wszyscy właściciele ziemscy od Devonu po Yorkshire powinni zabiegać o jego

względy!

Saad odrzekł z niezmiennym wyrazem twarzy:

– Ponieważ niedługo może się zdarzyć, że Commoro będzie

musiał ratować swoją skórę. Jeśli nie spadnie deszcz, będzie zmuszony znaleźć swoim ludziom jakiegoś kozła ofiarnego. Coś, co odwróci ich uwagę.

– Co masz na myśli? – spytał Sam. Starał się zrozumieć.

Saad westchnął.

– Commoro się boi, efendi. Znalazł się w kiepskim

położeniu. Jeśli nie zacznie padać, Latukowie ofiarują niebu swojego zaklinacza deszczu i wodza, by wreszcie się nad nimi ulitowało i zesłało deszcz. Podczas najbliższej pełni poderzną mu gardło. Szast-prast i po krzyku, tak po prostu. Commoro wolałby tego uniknąć, prawda? W związku z tym musi znaleźć inną osobę, na której jego ludzie będą mogli wyładować złość. Kogoś, kto ponosi winę za suszę. Kozła ofiarnego. A kto nim będzie, efendi?

Sam poczuł się wyczerpany. Opuścił ramiona. W tym kraju,

w tej części świata było coś, czego nigdy nie byłby w stanie pojąć, gdyby nie podsunięto mu tego pod sam nos. Saadowi owo

tajemnicze „coś” płynęło w żyłach, podobnie jak innym krew.

Wiedza.

– No któż by? – zapytał Sam, ale nie oczekiwał odpowiedzi

na swoje pytanie.

Florence stała w wejściu do chaty. Na ramieniu czegoś jej

brakowało. Gdzie był Wallady? Brakowało małej małpki i jej

beztroskiej pogody ducha. Od wczorajszego wieczoru nigdzie jej nie widziała. Może wyszła na sawannę w poszukiwaniu otworu z wodą? W takim razie niedługo powinna do niej wrócić.

Poczuła, że z tyłu po cichu zbliżył się do niej Saad. Oboje patrzyli przed siebie, na Tarrangolle. Skwar zniekształcał obraz palisady, zmieniając ją w drgającą ułudę.

Od wizyty Commora upłynął tydzień. Zapadła cisza. Zbliżało

się południe z osłabiającym skwarem, przypiekającym ludziom mózgi do czaszek. Słońce kłuło w oczy, dręczyło je. Ludzie

potrafili myśleć jedynie o wodzie. O wodzie, której chcieli, której potrzebowali, której skąpiło im niemiłosierne niebo. Chmury przepływały nad nimi pasmami, cienkimi jak nitki, które dopiero nad górami zbijały się w kłębki.

Zdawało się, że na dzisiaj skończył się pochód gości, z

których każdy chciał dostać którąś z rzeczy rozdawanych hojną ręką przez białego mężczyznę. Lekarstwa, sól, perły. Zwykle stali w ogonku przed jego chatą i czekali. W długiej, pozakręcanej kolejce czekali, aż Sam każdego z nich wysłucha i obejrzy.

Bezdzietnym kobietom dawał kostkę cukru albo łyżkę mąki,

młodym wojownikom rozdawał pióra sójki, które przywiózł z sobą z Anglii. Wszystko mogło pomóc, jeśli tylko miało się dostateczną wiarę.

– To cud – odezwała się Florence do Saada – że nie podniósł

się większy bunt. Cud, że Commoro nas jeszcze toleruje.

Saad nie odpowiedział. Florence czuła, że oboje zastanawiali się nad tym samym.

Czeka na deszcz? A co się stanie, jeśli deszcz nie nadejdzie?

A może czeka na coś innego? Saad poszedł wczoraj do Tarrangolle i z wrodzoną zręcznością dyskretnie nastawił ucha. Najstarszy człowiek w Tarrangolle nie przypominał sobie drugiej takiej suszy i tak spopielonej ziemi. Kozy padały z pragnienia po drodze do miski z mulistą wodą, kobietom puste piersi zwisały aż na

wychudzone brzuchy, niemowlęta ssały wysuszone brodawki.

Florence postanowiła schronić się w cieniu chaty. Chciała

przygotować nasiona albo wyszukać ubrania, które Saad miał

wieczorem nareperować.

Lecz w tej samej chwili ujrzała pierwszą kobietę wchodzącą

na wzniesienie.

– Zobacz – powiedziała zmęczona do Saada.

Nagie ciało młodej kobiety błyszczało odcieniem granatu.

Wysoka postać wydawała się jeszcze wyższa za sprawą dzbana z niepalonej, wypieczonej słońcem gliny, który niosła na głowie, uważnie balansując na ścieżce. Po sposobie, w jaki się poruszała, można się było zorientować, że naczynie jest pełne. Każdy jej krok przypominał harmonijną falę. Miała miękkie, giętkie ruchy, a dzban na głowie posłusznie spełniał rozkazy ciała i ani razu się nie zachwiał.

Florence obserwowała, jak kobieta zbliża się do ich chaty,

minąwszy wcześniej parujący w upale obóz Ibrahima. Mężczyźni smętnie leżeli w cieniu chat, popijali merisę i grali w mankalę.

Ludzie Ibrahima byli znudzeni beczynnością i oczekiwaniem, udręczeni słońcem, rozdrażnieni nieosiągalną urodą tutejszych kobiet.

Naraz wokół postaci z dzbanem podniósł się tuman kurzu,

jakby lwy rzuciły się na zwierzynę. Trzech czy czterech mężczyzn wynurzyło się z cienia i skoczyło na kobietę. Florence skuliła się w sobie, tłumiąc krzyk. Czyżby w biały dzień ogarnęło ich

szaleństwo? Usłyszała krzyk kobiety. Mężczyźni szarpali ją za nagie ramiona i nogi, ich ręce sięgały ku udom dziewczyny.

Zdawało się, że sami nie byli pewni, czego bardziej pożądamy: jej pięknego ciała czy dzbana z wodą, który niosła na głowie, dzbana, który teraz jeden z nich chciwie złapał w dłonie. Dzbana, który mimo spadających na nią razów, kobieta przytrzymywała

kurczowo zaciśniętymi palcami. Dzbana, który wreszcie jej

wyrwali, a ją samą, leżącą na ziemi, deptali i kopali przy wtórze licznych przekleństw. Pierwszy z mężczyzn lał sobie wodę do gardła, za chwilę drugi go odepchnął i zaczął łapczywie pić.

Kobieta wrzeszczała wniebogłosy, przekręciła się, próbując wstać, ale znów ją przewrócili. Tymczasem ze wzgórza nadbiegły jej towarzyszki. Florence i Saad stali w wejściu do chaty niezdolni wykonać najmniejszego ruchu.

– Spójrz – wyszeptała Florence.

Kobiety okładały mężczyzn wszystkim, co wpadło im w

ręce. Tłukły się dzbany. Florence słyszała brzęk rozbijanych skorup i krzyki. Zobaczyła, że kobiety wyrwały z rąk napastników strzelby. Wymachiwały w powietrzu rękami, wywijają kolbami

nad swoimi pięknymi, dzikimi głowami. Florence dostrzegła białe zęby odsłonięte do gryzienia i usłyszała gardłowe wezwanie do ataku. Kobiety nasypały piasku do lufy jednej ze strzelb, zalały ją wodą, a promienie słońca scementowały tę mieszaninę. Pomogły przyjaciółce wstać, upewniwszy się zaś, że poza rozbiciem dzbana nic jej się nie stało, znów podniosły krzyk, ostry, twardy, pulsujący w rytmie falujących języków i wibrujących gardeł, raniący uszy.

Na palisadach miasta poruszyli się strażnicy, usłyszeli wołanie i podali je dalej. Bramy się otworzyły, kobiety ze swymi

drogocennymi dzbanami wbiegły do środka, a kraty zamknęły się za nimi.

Później zapadła cisza.

W Tarrangolle zapanował całkowity bezruch.

Nagła martwota była bardziej przerażająca od najgorszej jawnej groźby.

– Sam – wyszeptała Florence tak cicho, że Sam bardziej

domyślił się jej słów, niż je usłyszał. Podniósł się z posłania we wnętrzu chaty i podszedł do niej.

– Co tam? – zapytał, całując ją w kark.

– Mam wrażenie, że Commoro dostał to, czego chciał –

odrzekła. W jej głosie brakowało siły.

– O czym mówisz? – zdziwił się. Otoczył ją ramieniem. Jego

ręka leżała ciężko na jej kościstym ciele.

– O odwróceniu uwagi – powiedziała krótko. – O koźle

ofiarnym.

Rozdział 13

To Saad znalazł Wallady'ego. Znalazł go, gdy późnym

popołudniem sprzątał chatę *sitt*. Słońce stało na niebie czerwone i ogromne. W słomie pokrywającej dach szeleściły karaluchy.

Jaszczurki wciąż trwały na swoich kamieniach, jak przypieczone na stałe, a osłabione gekony leżały bez ruchu, przyklejone do sufitu. Miotła Saada, wykonana z krzywej gałęzi akacji i wiązki ostrej trawy, dotarła do progu. W połowie zamasytystego ruchu chłopak nagle zamarł.

Przy wejściu do chaty leżało bezwładne ciało Wallady'ego.

Ktoś obciął mu uszy, ręce i ogon. Miał szeroko otwarte oczy, a w nich zastygły wyraz śmiertelnego przerażenia i bólu. Jego futro było w wielu miejscach przypalone gorącym żelazem. Długim

nożem rozcięto mu brzuch i wyjęto wnętrzności. Oprawcy

napełnili nieżywe ciało zwierzątka piachem i rzeczonymi

kamykami. Powoli, bardzo powoli Saad odłożył miotłę. Prawie bał

się dotknąć Wallady'ego, tak wyraźna była groźba wyrażona

zmasakrowanym ciałem małpy. Ale za chwilę się przemógł i

podniósł zwierzę, a raczej to, co z niego zostało. Przypominało mały nieforemny worek.

Saad zagryzł wargi. Nigdy specjalnie nie lubił Wallady'ego.

Małpka często go prowokowała i denerwowała, o tak, dobrze to pamiętał. W czasie najgorszego głodu wyzarła wszystkie placki!

Mimo to Wallady nie zasłużył na taki koniec. *Sitt* na to nie zasłużyła.

Szybko się odwrócił i popatrzył na nią. Florence była zajęta napełnianiem perłami niewielkich woreczków.

Dobrze. Ostrożnie odszedł kilka kroków od chaty, w

kierunku ogniska, które okrążył dzień tliło się niedaleko angarepu Sama. Dmuchnął w żar i dołożył

świeżych gałęzi. Podniósł się płomień, później jeszcze jeden. Gdy ogień rozпалиł się jasno, rozgrzewając wokół powietrze, Saad wysypał piasek ze zwłok

Wallady'ego, a następnie ułożył ciało małpki na przygotowanym w ognisku stosie. Rozszedł się gryzący smród palonych włosów i pieczonego mięsa. Kości pękały, wypuszczając szpik. Po kilku chwilach Wallady zamienił się w popiół. Saad wytarł oczy

podrażnione dymem, potem i łzami, których chciał oszczędzić swojej *sitt*. Później rozgarnął popiół i wrócił do miotły. Podniósł ją i z powrotem zaczął zamiatać, wolno, ze smutkiem.

Florence uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Wszystko w porządku, Saad? – usłyszał jej pytanie.

Spróbował się uśmiechnąć i skinął głową. Tymczasem ona

znowu zajęła się liczeniem pereł.

Noc była pełna twarzy, koszmarnych masek

powykrzywianych grymasami z przeszłości. Groźnych, wrogich, zakazujących. Białych, brązowych, czarnych. Zbudziły się do życia w jej śnie, przybliżyły się i odchodziły, jakby w jakimś tańcu pływając po powierzchni nocy, zataczały milczące kręgi,

zdecydowane pozostać i nie pozwolić o sobie zapomnieć.

Sulejman i piętno, które kazał jej wypalić tamtej nocy w Widyniu.

Fadeedah z oczami jak dwa źródła pełne cierpienia. Matka

Fadeedah z rękami zabrudzonymi krwią swojej córki. Khadidja, ciężarna gospodyni Pethericka. Chłopiec pokładowy, któremu tuż przed Gondokoro roztrzaskano czaszkę, a który mimo to wciąż trzymał w ręku swoją małą rzeźbę. Plemię Bari i jego zatrute strzały, tam, w Gondokoro. Amabile del Bono

przygniatający ją do ziemi ciężarem swego ciała w tamaryndowym gaju. Groźby

handlarzy, którzy wysłali ich grupę samotnie w szpony ciemności.

Tancerze młodego wodza Addy, którzy odgryźszy kogutom głowy, obryzgali ją krwią szamoczących się zwierząt. Ellyriowie

spychający im na głowy granitowe skalne bloki... Bellal, Saki, ich rebelia i zdrada. Mohammed Her pożarty przez szakale i robaki. A później Commoro. Jego uprzejmość z ukrytą w podtekście

wrogością. Pytania, na które potrzebował odpowiedzi, żeby

przeżyć. Jego twarz ukazywała się i znikła w jakimś osobliwym rytmie, szybciej i szybciej, przy akompaniamencie narastającego huku, który zdawał się dochodzić ze wszystkich stron.

Florence się przebudziła.

– Sam! – zawołała i usiadła z włosami sklejonymi od potu na czole i karku.

Nie było już ucieczki. Jej serce podjęło ów przejmujący rytm, pozwalając się porwać. Bum, bum, bum.

Florence rozpoznała ten dźwięk, choć dotychczas nigdy go nie słyszała. To nogara, wielki wojenny bęben wzywający mężczyzn do broni. Zwołujący do

walki przeciwko ludziom Ibrahima, do których i oni należeli.

Dudnienie nogary wprawiało powietrze w drgania, wznosząc się ponad murami Tarrangolle, w kierunku gór, przez sawannę, z

której właśnie nadeszła odpowiedź. „Ruszamy, ruszamy” – wołały z daleka napięte skóry bębnów w stronę Tarrangolle.

Następnego ranka dźwięk bębnów wydawał się częścią snu.

Wokół panowała taka cisza, jaka zapadała zazwyczaj na krótką chwilę przed wschodem słońca, gdy nawet najbardziej

przemądrzałe ptaszyska z szacunkiem wyglądały pierwszych

promieni światła. Sam spod przymrużonych powiek przypatrywał

się milczącemu porankowi. Ani jednego dźwięku. Florence

usłyszała, jak zmiął w ustach przekleństwo.

– Co się dzieje? – spytała, stając koło niego w drzwiach

chaty.

– Wysłali kobiety i dzieci w góry. Stąd ten spokój!

– Co to znaczy?

Sam przetarł czoło.

– To oznacza wojnę. Ci cholerni handlarze swoim dzikim

wybrykiem zburzyli w jednej chwili więcej, niż ja zbudowałem własnymi rękami.

– A więc wojna – wyszeptała Florence.

Cały dzień upłynął w takiej samej ciszy, jaka zdławiła

pierwsze godziny poranka. Bramy Tarrangolle pozostały szczelnie zamknięte. Nie widać było żadnego ruchu. Nogara milczała.

Nawet ludzie Ibrahima woleli nie opuszczać obozu.

Przycupnąwszy markotnie w cieniu drzew lub domów, obracali w dłoniach broń i co chwila na nowo ją czyścili. Milczenie sprawiało ból. Żadna z kobiet ani żadne z dzieci nie wróciło do miasta, a zza palisady nie dał się słyszeć nawet jeden męski głos. Gdy zaszło słońce, ciemność w parę minut spowiła całą okolicę. Florence wciąż dziwił brak stopniowo zapadającego zmierzchu. Między

dniem a nocą nie istniał żaden stan pośredni, tak było zresztą ze wszystkim w tym osobliwym kraju.

Dzisiejszego wieczoru owo nagłe przejście dnia w noc

przypominało zły omen, niepokojące przeczucie. „Tak musi

wyglądać śmierć” – pomyślała Florence.

Trzymała Sama za rękę. Oboje leżeli na angarepie i czekali.

Krew krążyła wolniej w ich żyłach, oddychali ostrożnie. Nie zaszczekał ani jeden pies, nie zawyła żadna hiena, cykady po cichu ukryły się w krzakach. Czuć było ciężar w powietrzu.

Florence patrzyła na Sama. Jego oczy lśniły, odbijając w

swym blasku żar tłącego się ogniska. W pewnej chwili ogień się podniósł, ale zaraz znów pochylił się i skurczył. Raptem Florence poczuła, że marznie. Czy przyczyną była gorączka, czy też nagły wiatr, który niespodziewanie się zerwał? Tak zimnego wiatru nigdy do tej pory nie czuła. Skąd się wziął?

– Tam – odezwał się Sam i usiadł. – Zaczyna się.

Musiał poczuć na skórze wibrację bębnów, bo dopiero po

niedługiej chwili na stepie odezwało się niskie, groźne dudnienie nogary. Tylko trzy krótkie uderzenia, później znów trzy i jeszcze raz trzy. Brzmiały jak wyrok.

– To znak do ataku – stwierdziła Florence i również usiadła.

Sam objął ją od tyłu ramionami i oparł głowę na jej karku.

– Tak – odparł zwięźle. – Czy mówiłem ci już, że cię kocham?

– Możesz mi to stale powtarzać i nigdy nie będę miała dość – odpowiedziała.

Roześmiał się i pocałował ją.

– Kocham cię. Jeżeli dzisiaj umrzemy, to przynajmniej się kochaliśmy. Mocniej niż wielu innych ludzi będzie kochało kiedykolwiek w życiu.

Ujęła go za rękę. Na wargach czuła ciepło jego skóry.

– Gdzie ty, tam i ja – szepnęła jak zakłęcie.

Skinął głową i z kabury przytroczonej do pasa wyciągnął pistolet. Broń leżała teraz na angarepie, obok jej uda.

– Umrę dla ciebie – odezwał się ochrypniętym głosem, ledwo

mogła dosłyszeć jego słowa. Poczwała jego palce przeczesujące jej włosy. Zawahał się, nim znów się odezwał. – Nie mamy szans, jeśli Commoro zwołał wszystkich swoich wojowników.

– Mamy dość kul? – spytała, biorąc do ręki broń.

Roześmiał się słabo.

– Celnie strzelasz, Florence. Wystarczy jedna. Nie chcę, żebyś wpadła im w ręce żywa, rozumiesz?

Spojrzała na niego. Otaczała go noc. Za chwilę Sam się w

niej rozplynie, pójdzie do Ibrahima i jego ludzi. Nogara innych plemion Latuko odpowiadała właśnie swej siostrze w Tarrangolle.

Z południa i z północy dobiegało z sawanny takie samo tępe dudnienie. Cały kraj szykował się do wojny.

– Adieu – rzucił jeszcze raz Sam, a jego głos zmieszał się z łomotem bębnow. W tym osobliwym brzmieniu zamknięte było ich życie. Jeszcze raz ją pocałował.

Przymknęła oczy i skinęła. Miał rację. Wystarczyła jedna

kula. Dobrze strzelała. Sam znikł w ciemnościach.

Później wstała i zabrała się do pracy. Nie, nie wpadnie w

łapska Latuków żywa ani martwa!

„Noc mi sprzyja – pomyślał Sam. – Noc jest moim

sprzymierzeńcem”. Odchodząc od angarepu, zmusił się, by nie patrzeć więcej na Florence, mimo że niczego bardziej nie pragnął.

Jeszcze raz zobaczyć jej twarz. Upewnić się, że ich historia, spotkanie i wspólne życie nie były jedynie snem. Oparł się

przemóżnej pokusie.

Sprzed wejścia do chaty zabrał angielską flagę. Materiał

smętnie zwisał w bezwietrznym powietrzu nocy. Nie była ciężka.

Prowadziła go na wojnę.

Pobiegł do chat Turków, między którymi biegali w panice

Ibrahim i jego przerażeni ludzie. Powietrze niosło ich krzyki i nawoływania jak ciężkie fale. Raptownie za palisadą Tarrangolle znów rozległ się pomruk nogary i wszystkie głosy w obozie

zamilkły.

– Baker efendi, oni porozcinają nam brzuchy i napełnią nasze ciała piaskiem! Jutro rano nasze kości będą leżały przed bramami Tarrangolle, tam gdzie leżą wszyscy, którzy zginęli w walce! –

zawołał Ibrahim, podbiegając do Sama, którego właśnie dostrzegł.

– Do diabła, za tymi bramami czyha śmierć. Dlaczego cię

posłuchałem?

Złapał Sama za ramię i potrząsnął nim. Sam jednym ruchem

uwolnił się z uścisku Ibrahima.

– Niezależnie od tego, co na nas czeka za bramami, razem

mamy większe szanse na przeżycie.

Ibrahim popatrzył na niego i zmarszczył czoło. Wokół niego

łoczyli się śmiertelnie przerażeni ludzie.

– Co masz na myśli? – spytał.

Sam uniósł ramię i wbił drzewce angielskiej flagi w suchą

ziemię. Kilka razy nim obrócił, upewniając się, że stoi prosto i mocno się trzyma.

– Ustaw tu turecką flagę, obok angielskiej, żeby wszyscy

widzieli, że walczymy ramię w ramię. Postaw strażę na wszystkich krańcach obozu i każ swoim ludziom obserwować drogę

prowadzącą z Tarrangolle do obozu.

Nogara znów się odezwała. Trzy razy. Sam widział, że

Ibrahim wciąż się waha. Na jego czole zauważył perełki potu.

– No i na Boga albo na Allaha, każ bić w bębny! Głośno i

zdecydowanie. Niech to diabli, nie pozwolimy, by te dzikusy napędziły nam strachu! Gdy ustawimy się w szeregach i z

Tarrangolle polecą pierwsza strzała, każ podpalić chaty.

Przepchniemy je do Tarrangolle. Miasto jest zbudowane ze szlamu i słomy, zajmie się jak chrust po długiej suszy. Ha, to dopiero będzie ognisko!

Ibrahim skinął. Był tak blady, że Sam się obawiał, by Turek nie zwymiotował na czubki własnych butów.

Jednakże Ibrahim się odwrócił, uniósł rękę i zaczął wydawać rozkazy.

– Bijcie w bębny! Bez przerwy! Zajmijcie pozycje!

Słyszeliście, co powiedział efendi. Macie we wszystkim słuchać jego rozkazów.

W tej chwili Sam poczuł, że ktoś ciągnie za brzeg jego

kurtki. Zerknął w dół i zobaczył Saada.

– *Sitt* mnie przysłała. Kazała przekazać, że jest gotowa.

– Jest gotowa? – powtórzył Sam. „Nie rozumiem – pomyślał.

– Nie chcę rozumieć”.

Saad skinął i się roześmiał.

– Tak, patrz, efendi.

Sam się odwrócił i spojrział w kierunku, który Saad

wskazywał mu palcem.

W ciemności między jego obozem a obozem Ibrahima

płonęły pochodnie. Zobaczył Florence, która na kolanach rozwijała na ścieżce wielkie bawole skóry.

Nad nią stał Richaarn, potężny jak noc, jak bastion odpierający jej strach. Wykonywał polecenia Florence z właściwym sobie spokojem, stanowiącym nieodłączną część jego olbrzymiego jestestwa. Wykładał w rzędach amunicję, butelki z prochem strzelniczym, szmaty, otwierał pudełka z

nabojami. Wreszcie Sam dostrzegł, że Florence kazała rozłożyć wzdłuż ścieżki całą broń, którą starannie przechowywali w chacie.

Wszystko wyglądało bardzo porządnie. Przygotowane do walki.

Na widok wyrazu twarzy Sama Saad kiwnął z zadowoleniem

głową.

– *Sitt* jest gotowa – powiedział raz jeszcze.

W głosie chłopaka Sam usłyszał dumę i miłość. Skinął. Tak,

Florence była gotowa.

Mijała godzina za godziną. Słyszeli głos bębnów z obozu

Ibrahima, zagłuszający dudnienie z drugiej strony palisady, z Tarrangolle. „W życiu nie usłyszę już niczego innego niż te bębny

– pomyślał Sam. – A jeśli nawet, to i tak nigdy nie zapomnę ich brzmienia”. Na niebie pokazały się cienkie nitki ciemnego fioletu.

Prawdopodobnie dochodziła szósta, zbliżał się wschód słońca.

Było ciemniej niż zwykle, może za sprawą chmur? Sam nie

potrafił tego na razie ocenić.

Dziwnym trafem bitwa w promieniach dziennego światła

wydawała się mniej groźna.

Przed bramami Tarrangolle wciąż stali zebrani ludzie

Ibrahima. Na palisadach Sam dostrzegł wodza Commore w

towarzystwie wojowników. Każdy z nich trzymał wysoko nad

głową rozpaloną pochodnię. Światło płomieni upiornie

zniekształcało ich wymalowane twarze.

Na chwilę zapadła cisza. Sam zobaczył, że Commoro

podniósł ręce i głęboko wciągnął powietrze. Napiął mięśnie na szerokiej piersi oraz ścięgnął na ramionach, które odznaczały się wyraźnie, upodabniając go do statui boga. Wojownicy byli nadzy, lśniące ciała pomalowali w czerwone barwy wojenne, a ich twarze pałały żądzą walki i pragnieniem ucieczki od suszy. Powrzaskiwali i niecierpliwie dreptali w miejscu.

Commoro wydał głośny, przejmujący okrzyk, długi i

przerazający. Sam poczuł na ramionach gęsią skórę, a włosy na karku stanęły mu dęba. Okrzyk niósł z sobą żądanie krwawej

ofiary. W otwartych ustach Commory połyskiwały zęby, które

wyglądały na opiłowane. Blizny na jego skroniach, policzkach i szyi sprawiały wrażenie świeżych ran.

Sam przełknął ślinę. Ten mężczyzna był zwierzęciem, wspaniałym dzikim zwierzęciem. To godny przeciwnik, śmierć z jego ręki będzie łatwiejsza do

zniesienia. Commoro wzniósł kolejny okrzyk.

„Teraz. Ten krzyk wypowiedział nam wojnę. Oznajmił, że

wszyscy musimy zginąć. Zaraz wyleci pierwsza strzała, trafi mnie, wbije się w moje ciało i zabije”.

Sam zamknął oczy.

Nogara znów się odezwała, turecki bęben odważnie stawił jej czoła.

Coś trafiło go w skórę z krótkim świstem, przypominającym

raczej kulę ze strzelby. Usłyszał szum i poczuł uderzenia na swym nagim ramieniu. Ciepłe i wilgotne.

Pomacał ręką, spodziewając się dotyku ciemnej, kleistej krwi. Nie czuł bólu. „Jeszcze nie” –

pomyślał. Uniósł palec do ust i polizał płyn. To nie była krew!

– Woda! – wyszeptał. – Ibrahimie, to woda! Pada! – zawołał, przekrzykując głosy i dudnienie bębnów.

Teraz wyraźnie słychać było szum i plaskanie kropli wody,

gaszących płomienie wojny i niosących życie. Deszcz padał i padał, zmywając wszelki gniew i nienawiść.

Mężczyźni spojrzeli na siebie i Commoro znów zawył. Ale

tym razem był to okrzyk radości, dumy i triumfu.

Ibrahim rzucił się Samowi na szyję i ucałował go w policzek.

– Deszcz! – zawołał słowo, które natychmiast podjęli

wszyscy dookoła. Wydobywało się ze wszystkich gardeł, ze wszystkich stron.

– Deszcz! Deszcz! Deszcz!

Wojownicy z Tarrangolle podjęli rytm nawoływania i

odrzucając włócznie, poczęli podskakiwać i tańczyć.

Ludzie Ibrahima strzelali w powietrze salwę za salwą, aż

zamókł im proch. Commoro dalej stał na górze, na palisadach swojego miasta, wyciągając do nieba mocne ramiona. W rękach wciąż trzymał pochodnie, zawzięcie opierające się deszczowi. Sam widział, jak wielki wódz coraz szerzej otwiera usta

przypominające przepaścisty wąwóz Ellyrii i odchyliwszy głowę na kark, łapie w nie krople deszczu. Pił deszcz, który pozwolił mu przeżyć.

Był Commorą, bogiem deszczu. Spełnił swój obowiązek.

– Sam! – usłyszał głos Florence.

Poczuł na ciele uścisk jej ramion. Poczuł, jak wciąga go w

taniec, i przypomniał sobie pierwszy deszcz, który przeżyli wspólnie w Afryce. Pamiętał, jak kochali się w błocie, niemal namacalnie czując świeży przypływ życia.

– Pada, pada! Popatrz tylko! Pada! – śmiała się, a po jej

policzkach obok kropli deszczu spływały łzy. – Żyjemy, Sam, żyjemy – szeptała w jego ramiona, a tymczasem woda zalewała im uszy i spływała po karkach za kołnierze koszul, płynęła po plecach i wlewała się do butów, napełniając je i wylewając się na nogawki spodni. Pochodnie zgasły z sykiem.

Deszcz zalał ogień.

Napierająca ściana wody zamknęła im pole widzenia, ale razem z deszczem na nowo narodziła się przyszłość.

– Wyruszymy, gdy skończy się pora deszczowa. Został nam

ostatni etap podróży. Ludzie z plemienia Kamrasi, czekajcie na nas, przybywamy! – wyszeptał Sam do jej ucha.

Poczuł jej skinienie, choć nie mógł go dostrzec. Był

trzydziesty dzień kwietnia. „To będzie mój ostatni deszcz w Afryce” – obiecał sobie Sam. Po czternastu dniach marszu powinni dotrzeć do Nilu Wiktorii. Rzeki, na której drugim brzegu leżało miasto króla Kamrasiego. Miasto, które od tajemniczego jeziora Luta N’zige dzieliło dwadzieścia dni podróży. W

sumie

trzydzieści, może czterdzieści dni, które miały zadecydować o jego losie.

Florence przytuliła się do niego mocniej. Przyciągnął ją do siebie i razem z innymi zaczął tańczyć i podskakiwać w potokach rześistego deszczu zalewającego wszystko, co spotykał na swej drodze.

„Wkrótce nadejdzie maj – pomyślał jeszcze. – Wkrótce wszystko się zacznie. Już niebawem”.

Owo „wkrótce” wcale nie nadeszło tak prędko, jak Sam się

spodziewał. Nastął grudzień, gdy deszcz wreszcie ustał, a rzeki opadły i znów można było przejść przez sawannę. Plony

dojrzewały. Florence próbowała wszystkiego, co przynosiły jej kobiety z plemienia, między innymi wielkich zielonych owoców, w których spora pestka otoczona była jaśniejszym mięszem.

Smakował jak zdrętwiałe stopy. Kobiety Latuko śmiały się i

usiłowały wytłumaczyć Florence, że powinna smarować mięszem skórę, żeby stała się delikatniejsza.

Florence nie mogła znaleźć wygodnej pozycji na wole,

choć na wszelkie sposoby próbowała zginać i podkurczać nogi.

Zwierzę miało szeroki grzbiet, jednakże mimo dywanu, który Saad wsunął jej pod siedzenie, Florence nie potrafiła znaleźć na nim ani jednego miękkiego miejsca. Sam dał jej zwierzę, które ze względu na chudość przechrcił z „kotleta” na „gnata”.

– Wszystko w porządku? – zapytał Sam, odsuwając do tyłu

kapelusz, by móc na nią spojrzeć. Wół opuścił raptownie głowę i Florence o mało nie zsunęła się między jego długie rogi. Skinęła.

Niebawem wstanie słońce. Powietrze było świeże,

oczyszczone deszczem padającym ostatniej nocy. Zamierzali

przeprawić się łodziami na drugą stronę Nilu Wiktorii. Nilu wypływającego z olbrzymiego jeziora odkrytego przez Speke’a, z Jeziora Wiktorii, a później ginącego gdzieś w kierunku

południowo-zachodnim. Chcieli pójść z jego biegiem. Mieli przed sobą pierwszy dzień podróży, która miała ich doprowadzić do Kamrasiego.

– Czy możemy ruszać? – zapytał Sam i położył dłoń na jej

łydce.

Florence zagryzła wargi.

– Wszystko w porządku, ruszajmy! – zawołała. Sam uniósł

rękę; mimo przyjemnego chłodu wczesnego poranka miał na czole pot. Rozjaśniło się, ale dzień był nadal blady. Słońce nie zdążyło jeszcze dojść do zenitu, pozwalając ludziom na chwilę spokoju.

Florence wiedziała, że po śniadaniu Sam połknął ostatnie

dziesięć ziaren chininy. Długo je oszczędzał, skrywał niczym skarb, tak jak Sulejman, który chował pod materacem sakiewkę ze złotem. Lecz ten dzień wart był poświęcenia ostatniej dawki lekarstwa. Dzień, w którym wyruszali.

– Naprzód, ludzie, naprzód! – zawołał Sam, uderzając

szpicrutą kościstego wołu Florence. Poczula, że zwierzę drgnęło i ruszyło przed siebie. Kilka razy nieprzyjemnie nią zakołysało, aż w końcu udało jej się znaleźć wspólny rytm ze zwierzęciem.

„Prawie taka sama jazda jak na wielbłądzie” – pomyślała.

– Kamrasi, jedziemy do ciebie! – zawołał Sam jadący na

Filfilu i razem z Florence zajął miejsce na czele karawany. Za nimi podążał Ibrahim z czterdziestoma ludźmi. Reszta została w

Tarrangolle, gdzie mieli zająć pozycje.

Commoro wyszedł razem z całym swym narodem, by się z

nimi pożegnać.

– Dziękuję za wszystko, wielki Commoro – powiedział Sam.

Wódz spojrzał na Florence, a później odpowiedział:

– Uważajcie na siebie. Życzę wam, byście znaleźli swoje jezioro.

– Dziękuję – odparła Florence.

Commoro roześmiał się swoim wolnym, podstępny

śmiechem, zapowiadającym jakąś niespodziewaną, wyjątkową

myśl.

– Właściwie nigdy mi nie powiedziałaś, po co chcesz je

odnaleźć. Co zamierzasz z nim uczynić, jak je znajdziesz? Czy jezioro warte jest tych wszystkich trudów?

Gdy po godzinie Florence się obejrzała, Tarrangolle rozmyło się gdzieś wśród bezkresnej sawanny.

Otaczały ich wszystkie odcienie szarości, brązu i zieleni, z którymi pozostawione w oddali miasto się zlało, podobnie jak towarzyszące im zwierzęta. Florence skierowała przed siebie wzrok i myśli. Minione miesiące spędzone w Tarrangolle były okropne, naznaczone gorączką i robactwem.

Karaluchy długie na palec były dosłownie wszędzie, po prostu wszędzie. W chacie między nogami ludzi biegały szczury. Sam próbował otruć je arsenem. Stworzenia zdychały w dziurach, a ich rozkładające się szczątki wydzielały potworny smród. Za to teraz nareszcie jechali do królestwa Kamrasiego, który miał

im

umożliwić podróż do jeziora Luta N'zige, musiał im ją umożliwić!

Sam odwrócił się do niej.

– Dziś wieczór na kolację obiecuję ci zupę z antylopy i

wykwintny antrykot z gnu! Już dziś wieczorem, wytrzymaj.

Florence przytaknęła. Gdyby zdołała zebrać tyle sił, by być w stanie myśleć o najbliższym wieczorze, wówczas mogłaby myśleć o jutrze i o całym dalszym życiu.

Gdy opuścili krainę Latuków, krajobraz diametralnie się

zmienił. Równina była szeroka jak bezkresne morze, na którym uczynne pagórki tworzyły mniejsze i większe fale. Nie były dość wysokie, by zasłaniać widok, lecz dokładnie takiej wielkości, że stanowiły miłe urozmaicenie dla oka. Nie było drzew, jedynie niskie palmy; wśród nich znaczyła się ścieżka, wyraźnie

wydeptana przez ludzi, którzy nie byli badaczami ani handlarzami.

Rozłożyli się na odpoczynek u stóp wzniesienia, obok mokradła, z którego mogli zaczerpnąć wody.

Nigdzie nie znaleźli chrustu ani odchodów zwierząt, z których mogliby zrobić ognisko. Florence burczało z głodu w brzuchu, więc zajęła się żuciem rzemiennego paska, co pozwoliło jej zasnąć. Obietnica zupy z antylopy i antrykotu z gnu pozostała jedynie wspomnieniem. Jej skóra była napięta i cała się kleiła.

Zatęskniła za zielonymi owocami, którymi nacierały się kobiety z plemienia Latuko.

Następnego ranka, gdy się przebudzili, ścieżki nie było

widać. Nie mogli jej odnaleźć. Pewnie nocą stratowały ją słonie, ponieważ przecinała ich własny, tajemniczy szlak.

Sam westchnął. Przez chwilę się zastanawiał, po czym wydał

rozkaz:

– Podpalcie sawannę. Dzięki temu będziemy mieli dobre pole

widzenia.

Ogień zapalczywie wgryzał się w suche trawy, przeskakując

z kępy na kępę, i w krótkim czasie przemienił nizinę w obraz piekła. Powietrze rozgrzane ogniem uderzało w nich falami

niczym ściany. Niebo zasnuło się dymem i chmurami drapieżnego ptactwa. Myszołowy i zimorodki napadały na roje pszczół,

chrabąszczy, motyli i termitów wylatujących z mokradeł w

ucieczce przed płomieniami. Widok budził przerażenie, a

jednocześnie był urzekający.

– Mój Boże – usłyszała szept Sama Florence – tak musi

wyglądać piekło. Wybacz, ale musiałem to uczynić. Jak inaczej znaleźlibyśmy drogę do Kamrasiego?

Następnego ranka wszyscy tragarze zapadli się pod ziemię.

Korzystając z utorowanej drogi przez sawannę, uciekli do swoich wiosek. Ibrahim tylko wzruszał

ramionami.

– Nie, nic nie słyszałem. Ci ludzie poruszają się jak węże w trawie, jak ptaki w powietrzu. Co można zrobić, efendi? Nic. –

Markotnie wzruszył ramionami.

Nie miał wyjścia, musiał iść naprzód razem z Samem.

Ostatnimi czasy zaniechał polowania na nowe zdobycze, wierzył

bowiem w obietnicę bogactw w krainie Kamrasiego.

– Wyślij swoich ludzi, żeby zaciągnęli nowych tragarzy.

Sami nie damy rady – powiedział w końcu, a następnie podniósł z ziemi zwęgloną gałąź i zaczął ją żuć.

Florence widziała, jak Sam powiódł wzrokiem po bagażach.

Z czego mogli zrezygnować? „Co mogę zostawić?” – To pytanie wyraźnie było widać w jego oczach.

Jego wzrok zatrzymał się na jakimś przedmiocie leżącym

wśród bagaży. Na dużej, nieforemnej paczce.

Florence przestraszyła się i pokręciła głową.

– Nie, Sam, nie to. To ostatnie wspomnienie wygodnego

życia – zaproponowała.

Sam był nieugięty.

– Przykro mi, Florence. Kto miałby to nieść? Jest za ciężka.

Ta wanna jest odlana z masywnej miedzi. Musimy ją zostawić –

zdecydował. Nagle się zawahał. – Wybacz mi, ale ona nie jest nam niezbędna – powtórzył.

Gdy wyruszyli, miedziane naczynie skrzyło się w słońcu.

Florence ostatni raz obejrzała się za siebie, wanna zaś mrugnęła do niej z oddali, załamując promienie słońca i rozszczepiając je na tysiące błysków. Jakby na drogę do króla Kamrasiego przesłała jej sekretną wiadomość alfabetem Morse’ a z migających świetlnych ogników.

„Droga do Kamrasiego – pomyślał Saad. – Droga do

Kamrasiego sama nas znajduje. Kamrasi nie nazwał swego kraju Unioro, lecz Quanda. Brzmi podobnie do Ugandy, o której

wspominał Speke”. Kamrasi władał jeziorem. Jeśli uda im się do niego dotrzeć, wówczas w ich życiu nareszcie zapanuje spokój.

„Luta N’zige – powtarzał nieraz cicho przed zaśnięciem. – Luta N’zige. Co się później ze mną stanie –

zastanawiał się. Czy *sitt* odwiezie mnie z powrotem do Chartumu i tam mnie zostawi?

Nigdy! Nigdy by tego nie zrobiła. Nigdy nie chcę tam wrócić.

Wolałbym umrzeć. Nie, niech *sitt* zabierze mnie z sobą do Anglii.

Będę jej tam służył tak samo wiernie jak tutaj” – obiecał w myślach.

– O czym myślisz? – usłyszał pytanie.

Odwrócił głowę i zobaczył siedzącą obok niego niewolnicę

Bacheetę.

– Myślę o drodze do króla Kamrasiego, którą macie nam

wskazać razem z przewodnikiem.

Bacheeta roześmiała się i podrapała blizny, białe pręgi na

ciemnej nagiej skórze, które tamtej pamiętnej nocy Saki z Bellalem wycięli na jej ciele. Ukąszenia korbacza nie dało się zapomnieć.

– Chyba nie wierzysz w to, że zaprowadzimy efendiego do króla Kamrasiego? – zapytała z przebiegłym uśmiechem.

– Nie? – zapytał po prostu, bo ze zdumienia nic innego nie przyszło mu do głowy.

Bacheeta pokręciła głową i popatrzyła na niego ze współczuciem.

– A któż chciałby się dostać do Kamrasiego? Czy wiesz, co

on robi z takimi małymi chłopcami jak ty? Zjada ich na śniadanie –

oznajmiła, po czym otworzyła usta i wymownie kłapnęła białymi zębami. – Chaps i tyle! – Roześmiała się znowu i długimi palcami przejechała po swoich wełnistych włosach. – Nie, zaprowadzimy was do króla Riongi, brata Kamrasiego rządzącego sąsiednim

krajem. Obaj nienawidzą się do szpiku kości. Ale w plemienu Riongi żyje mój mąż i dzieci. Chcę wrócić do domu – zakończyła.

Saad ściszył głos.

– Ależ Bacheeto! Wiesz przecież, co Speke powiedział

efendiemu. W żadnym razie nie wolno nam najpierw pojechać do Riongi. Wtedy Kamrasi nas nie przyjmie i nie będzie chciał nam pomóc!

Bacheeta przytaknęła.

– Wiem – powiedziała sennie. – Ale cóż mogę zrobić? Chcę

do domu, do męża i dzieci.

Saad jej się przyjrzał. A więc wcześniej efendi uratował jej życie, ona zaś w podzięce tuż przed osiągnięciem celu zamierzała go zdradzić!

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytał ją, stojąc już na

nogach. Słońce zeszło niżej i pierwsze moskity unosiły się nad bagnami mącącymi piękno szerokiej równiny niczym rany chorego na trąd.

– Przecież jesteś jednym z nas, prawda? – spytała i też się podniosła.

Saad bez słowa odwrócił się do odejścia.

Bacheeta została przy bagnie. Uklęła i nachyliła się, by

zaczepnąć wody. Saad słyszał, jak zaintonowała jakąś piosenkę.

„Znów będę musiał porozmawiać z efendim w jego namiocie, jak mężczyzna z mężczyzną” – westchnął w myśli. Rozprostował

wątle ciało i zobaczył wyłaniający się przed jego oczami obóz.

Podróżowali do dziesięciu godzin dziennie, nie pozwalając

sobie na dłuższe chwile odpoczynku. To, co z daleka wyglądało na płaską, gościnną równinę, w rzeczywistości okazało się pasmem grzędawisk, stawów i niewielkich rzek. Dotarwszy do rozległego trzęsawiska, Florence musiała zsiąść ze swojego wołu. Wokół

wody i bagien rosły wysokie drzewa, które rzucały na podróżnych trochę ożywczego cienia. Woły z ciężkim ładunkiem na grzbietach wzdrygały się przed przejściem przez mokradła. Nie pomagały razy ani żadne krzyki, zachęty ani obietnice.

– Rozładować bagaże! – usłyszała komendę Sama Florence.

Wszystkie pozostałe paczki zostały zapakowane na angarep, który dwunastu ludzi Ibrahima przeniósł przez bagno.

– A teraz *sitt!* – rozkazał Sam i dał jej znak, by ona też weszła na angarep. Mężczyźni pomrukiwali z niezadowoleniem. Byli

zmęczeni po długim, wyczerpującym marszu. Florence się

zawahała. Sam skinął rozkazująco, toteż wreszcie usiadła na angarepie. Mebel z ciemnego tekowego drewna został podniesiony za cztery krótkie nogi. Zakołysał się. Mężczyźni zaklęli.

– *Sitt* jest za ciężka – sarknął jeden z nich.

– Nie możemy jej nieść! – wołali.

Florence poczuła, jak angarep się przechylił i krzyknęła.

Mężczyźni postawili łoże na twardej ziemi.

– Za ciężka? – rozjuszył się Sam. – *Sitt* jest za ciężka? Na Boga, co z was za słabeusze? Sam mogę ją przenieść.

– W takim razie zrób to – odparł spokojnie Ibrahim.

– Niech i tak będzie... – podwinął rękawy, a następnie ukląkł.

– Wsiadaj, Florence.

Stała za nim, objęła go rękami za szyję, po czym usiadła

mu na plecach i owinęła nogi wokół jego pasa. Sam ruszył przed siebie, w sam środek zdradzieckiego trzęsawiska. Gęsta woda pokryła szlamem jej rękę, w jednej chwili błoto przykryło jej skórę.

Sam stęknął. Wiedziała, że to nie z powodu jej ciężaru. Po

gorączce, którą przeszła w Tarrangolle, została z niej jedynie skóra i kości. On natomiast nie dalej jak wczoraj musiał cztery godziny odpoczywać, by przezwyciężyć atak gorączki. Komu zamierzał

cokolwiek udowodniać?

– Do diabła! – zaklął. Zgiął się i zapadł się głębiej w

szlamowate podłoże. Florence usłyszała plaśnięcie. Bagno na nich czekało. Oboje stracili równowagę.

– Sam! – krzyknęła i w tej samej chwili poczuła w ustach

silny, przywołujący mdłości smak mułu. Woda wypełniła jej gardło i nozdrza. Poczuła pijawki wczepiające się w jej nagie

przedramiona i z całej siły walczyła z wsysającym bagnem.

Wreszcie udało jej się wynurzyć, zaczerpnęła powietrza i

zobaczyła obok siebie Sama z twarzą czerwoną z wysiłku. Unosiła się koło niego na powierzchni grzęzawiska z wyciągniętymi na boki kończynami, bezradna niczym żaba.

– Nie mogę się ruszyć! – zawołał. Z każdym ruchem, którym

próbował się uwolnić, zdawał się głębiej zapadać w muł.

Florence popatrzyła w stronę drugiego brzegu, na którym

leżały już w kupkach ich pozostałe bagaże, brudne i poszarpane.

Ludzie Ibrahima rozwinęli linę i rzucili w ich kierunku. Sam pierwszy spróbował ją złapać, wyciągając drugą rękę w jej stronę.

– Chodź – stęknął, a jego głos był bezsilny, jakby wydawał

ostatnie tchnienie. Spojrzała na jego twarz. Miał zapadnięte oczy, okolone ciemnymi obwódkami.

Niespodziewanie się uśmiechnął. –

Dobra zabawa, prawda? – zapytał i przyciągnął ją do siebie, po czym oboje, trzymając się liny, zostali

wyciągnięci z bagna. –

Może przejdziemy z powrotem na drugą stronę i spróbujemy

jeszcze raz?

Nim zdążyła odpowiedzieć, poczuła pod nogami twardą

ziemię. Palcami stóp wpiła się w muł, a zabłoconymi, obolałymi rękami chwyciła mocno linę, z całą siłą, jaka jej jeszcze pozostała.

Wtedy bagno ich wypuściło, wydając ostatnie rozczarowane

młaśnięcie.

Dobrnawszy do brzegu, Florence położyła się nieruchomo na

plecach i zamknęła oczy. Mimo to przez zamknięte powieki

widziała roztańczone cienie kolorowych słonecznych plam. Sam przystawił jej do ust dzban z tykwy i pozwolił pić. Delikatnie wykręcał pijawki z jej ciała, nucąc po cichu piosenkę. Florence słuchała w milczeniu i oddychała głęboko. Gdy odzyskała siły, zaczęła się śmiać. Skręcała się ze śmiechu tak, że rozboleły ją boki. Śmiała się do rozpuku, aż więcej nie mogła.

Na ten widok Ibrahim, który tymczasem przeniósł przez

bagno ostatnią paczkę i obejrzał woły w poszukiwaniu ukąszeń i ran, pokręcił jedynie głową.

– To nic innego jak tylko gorączka. Efendi, z *sitt* jest niedobrze – oznajmił.

Florence jeszcze bardziej zachciało się śmiać.

– Twoja skóra pachnie błotem – powiedział cicho Sam i

przejechał czubkiem języka po jej ramieniu.

– Gdybyś nie zostawił mojej wanny, mogłabym się umyć.

Ale tak... – nie dokończyła zdania, bo przykrył ustami jej usta.

Wargi miał suche, spękane, ale mimo ich szorstkości Florence czuła wszystko, co kiedykolwiek pragnęła w życiu poczuć.

Odwzajemniła pocałunek, powolny i ostrożny, jednoczący

ich oddechy. Naraz wydało jej się, że jej całe ciało unosi się ku niemu. Ku niemu, który już na nią czekał, który zawsze będzie na nią czekał. Czuła każdą cząstkę siebie, każdą cząstkę jego i dobrze wiedziała, co oznaczało to wyostrenie zmysłów. Zbliżała się gorączka. Chwyci ich w szpony, a później, po trzech, może

czterech dniach wypuści, zostawiając wycieńczonych w złudnym wrażeniu zdrowia. Wiedziała, że powinni odpocząć, ale było jej wszystko jedno. Nie obchodziło jej, czy teraz tutaj z Samem roztrwoni resztę swoich sił. Po raz pierwszy od dawna znów

poczuła w sobie pragnienie miłości. Pragnienie, by jeszcze raz wzajemnie do siebie należeli, jak pierwszego dnia, przed prawie sześcioma laty, nie bacząc na chorobę i wojnę. Skóra obojga była gorąca, gdy Sam się na nią wsunął. Przekreślił się na bok, a ona zarzuciła nogę na jego pośladek i otworzyła się dla niego. Jej biodra zrobiły się miękkie, zapraszające. Położył dłonie na jej piersiach, gładził jej ramiona, plecy i kolana. Ich ciała zjednoczyły się cicho i głęboko. Zatonęli w sobie niemal bez ruchu. W

ich miłości była bliskość i ufność, obietnica, która przybliżała się i oddalała, aż w końcu została, taka jaką miała się spełnić i trwać na wieczność. Florence wiedziała o tym. Chciała żyć. Żyć dla niego.

Sam wstał z angarepu. Musiał chwilę odczekać, bo od

nagłego ruchu zrobiło mu się słabo. Kręciło mu się w głowie i oczy odmawiały posłuszeństwa. W jego nozdrza buchnął ostry

zapach skór leopardów, zmieszany z dymem z ogniska tłącego się kilka kroków dalej. Była noc. Na bezchmurnym niebie świecił

płaski krążek księżyca. Czy kiedykolwiek widział tyle gwiazd, tak wyrazistych jak dzisiejszej nocy? Nad jego głową mignęły dwie spadające gwiazdy i spłonęły pośrodku białego kręgu, który co noc podziwiał

na czystym afrykańskim firmamencie. Zmrużył oczy i spojrzał w górę. Próbował rozpoznać gwiazdozbiory wokół

spadających piękności.

„Kanopus jest dobrze widoczny” – pomyślał.

Zerknął na Florence, zagrzebaną w skórzanych derkach.

Rozpuszczone włosy spadały pasmami na jej ramiona i na czoło.

Zauważył sińce pod oczami, wystające kości policzkowe,

podkreślone przez gorączkę i wychudzenie.

„Chciałbym na zawsze zatrzymać tę chwilę – pomyślał. –

Byłoby cudownie, gdybym nie musiał jechać dalej ani wracać”.

Później popatrzył w stronę ogniska, przy którym siedział

przewodnik pogrążony w cichej rozmowie z Bacheetą. Musiał

posuwać się naprzód, nie miał złudzeń.

Poprawił pasek u spodni i wsunął za niego koszulę. Wreszcie poczuł się gotowy na wszystko, co miał

przed sobą. Na to, co po rozmowie z Saadem musiał teraz zrobić. Wolno podszedł do pary przykucniętej przy ognisku. Ukłąkł obok nich. Zginając kolana, poczuł w kieszeni spodni ucisk mapy, którą Speke naszkicował

podczas ich spotkania.

Wodospady Karuma i przejście do kraju Kamrasiego były na

niej oznaczone na wschód od Kanopusa. Dokładnie pod tą gwiazdą miało leżeć królestwo jego znieawidzonego brata Riongi, przed którym Speke go przestrzegał. W żadnym razie nie wolno mu było wejść na terytorium Riongi!

Rozmowa Bacheety z przewodnikiem urwała się.

Przez chwilę Sam trzymał dłonie nad gorącym żarem, jakby

chciał się jedynie ogrzać. Zauważył, że przewodnik się odprężył.

Wspólne spoglądanie w ogień łączyło ludzi, Sam o tym wiedział.

Westchnął i odchylił do tyłu głowę, by jeszcze raz popatrzeć w niebo. Kanopus przecinał południk dokładnie tak, jak Sam się spodziewał.

– Zimna noc, nieprawdaż? – zagadnął.

Oboje przytaknęli w milczeniu i wymienili spojrzenia.

– Ile dni podróży dzieli jezioro Luta N'zinge od miasta

M'rooli w kraju Kamrasiego? – zapytał, choć dobrze znał

odpowiedź.

– To daleko. Ale nie bardzo daleko – odparła cierpliwie

Bacheeta.

– Ile dni podróży? – nie dawał za wygraną Sam. Każdą

odległość określano słowem „daleko” albo „bardzo daleko”, a czasem nawet „nie za daleko”.

– Sześć do ośmiu dni, efendi – odpowiedziała Bacheeta.

Sam skinął głową w zamyśleniu.

– Powiedz, widzisz tę gwiazdę, tam w górze? – zapytał z

kolei przewodnika, wskazując na Kanopusa.

Przewodnik przytaknął.

– Oczywiście, efendi.

– W takim razie patrząc na tę gwiazdę, gdzie są wodospady

Karuma? – dopytywał się Sam, przysiadając w kucki, podobnie jak Bacheeta i przewodnik.

– Tam – uśmiechnął się z dumą przewodnik, wskazując

dokładnie w kierunku Kanopusa, gdzie według objaśnień Speke’a znajdowała się siedziba króla Riongi, wroga Kamrasiego. Gdy raz staną na ziemi Riongi, droga do jeziora Luta N’zige zamknie się przed nimi na zawsze. A tymczasem za kilka dni dotarliby do królestwa Riongi!

Sam wziął głęboki oddech. Poczł, jak ogarnia go fala

gorąca, a później zamienia się w strugi lodowatego potu. Zaczł

drzeć na całym ciele. Gdyby tylko udało mu się przeżyć

dostatecznie długo, by zdążył odnaleźć jezioro. Przekłęta

gorączka! Zebrał wszystkie siły i dostrzegł w oczach rozmówców badawczy błysk. Bez ostrzeżenia chwycił oboje za włosy i uderzył

ich o siebie głowami. Raz, drugi, z całą mocą. Rozległ się

paskudny zgrzyt. Bacheeta zajęczała z bólu, przewodnik krzyknął, próbując się uwolnić. Ale Sam trzymał

ich mocno za karki. W

końcu odezwał się cicho:

– Jeśli jeszcze raz spróbujecie mnie zdradzić, dokończę

dzieła, które Saki z Bellalem rozpoczęli w Gondokoro,

zrozumieliście, co powiedziałem? Rzucę was na pożarcie mojemu korbaczowi, jeśli nie zaprowadzicie mnie do Kamrasiego i tylko do Kamrasiego.

Puścił ich tak samo niespodziewanie, jak chwycił ich głowy.

Gdy wrócił do angarepu, ponownie ogarnęła go słabość. Wszyscy ludzie, wszystkie barwy i zapachy docierały do niego głośniejsz, jaskrawiej i ostrzej niż zwykle, a później całkiem zamarły, zbladły i rozplynęły się w nicości.

Przypomniał sobie ostatnie dziesięć gramów chininy, którą

zużył w Tarrangolle.

– Dziesięć gramów – wyszeptał i opadł na kolana. Jego

żołądek wszczął rebelię, a później zrobiło mu się ciemno przed oczami. Nie czuł, jak Richaarn podniósł go z szorstkiej ziemi i ułożył obok Florence na angarepie. Florence oddychała powoli, o wiele za wolno.

Wielka postać Richaarna sprawia, że noc wydaje się jeszcze

ciemniejsza, pomyślał Saad. Widział, jak mężczyzna usiadł przy angarepie i owinał swe potężne nagie ciało starą kraciastą derką.

Jej krata była niebiesko-zielona, podobna do osobliwej spódnicy, którą efendi czasem na siebie wkładał, by wspólnie z *sitt* zjeść kolację. Richaarn, czarniejszy od nocy, siedział w kucki przy łożu niczym skalny blok z granitu. Mur obronny chroniący przed

wszystkim, co mogłoby zagrozić jego panu. Ramiona, silne

niczym nogi młodego słońca, splótł wokół kolan. Opiłowanymi zębami zagryzał dolną wargę.

Saad wiedział, że w takich chwilach do Richaarna nie

docierało nic poza własnymi myślami. Potrafił wykluczyć z nich wszystko, co działo się wokół niego, i widział jedynie to, co chciał

zobaczyć.

Nad ranem ognisko wygasło. Ale Richaarn siedział spokojnie

obok angarepu, nawet na jedną chwilę nie spuściwszy z oczu

bladej twarzy swojego pana. Tak samo, jak to czynił przez całą ubiegłą noc.

Tymczasem Saad dawno zasnął, ale Richaarn nie spał.

Czuwał cierpliwie i cicho.

Ruszyli dalej, gdy tylko pozwoliły im na to siły. Pewnego

ranka pod koniec stycznia zostawili za sobą gęsty las i dochodzili do rzadkiego zagajnika. Florence wciągnęła w nozdrza powietrze, rozkoszując się zapachami. Wilgotne pnie wydzielają wspaniały, mocny aromat. Liście drzew były wąskie jak sierpy, pokryte

srebrną poświatą. Wiatr igrał w listowiu i cichy szum wypełniał

powietrze.

– Co to? – zapytała, nachylając się do Sama. Roztarła w dłoni liść i zauważyła, że jej spragniona skóra natychmiast wchłonęła oleisty sok.

Sam przysunął sobie do nosa jej palec. Był wycieńczony.

Poprzedniego dnia padł jego wół i sam przeszedł pieszo przez sawannę prawie dwadzieścia pięć kilometrów z bagażem na

plecach. Mimo to z lubością wciągnął nozdrzami zapach liści.

– Eukaliptus – powiedział. – Jego olejek pomaga przy

przeziębieniach. Niestety nie mam kataru, tylko malarię.

Florence się rozejrzała. Ścieżkę, która kiedyś prowadziła

przez las, dawno zarosła gęsta, wysoka trawa sięgająca ud. Jediną oznakę życia stanowiły przesieki wydeptane wśród drzew przez słonie i bawoły. Znów będą musieli podłożyć ogień, który pozwoli im rozpoznać właściwy kierunek. W oddali wznosiły się pagórki, przy których zamierzali się zatrzymać na odpoczynek.

Obóz, który rozbili na noc, był skromny. Rozłożyli się na

pagórkowatej równinie. Było zbyt ciemno, by mogli się rozejrzeć po okolicy. Sam upolował pięć perliczek. Florence wysysała z drobnych kostek szpik, żeby się choć odrobinę wzmocnić.

Rano po wschodzie słońca wstała pierwsza. Miała zdrętwiałe

kości. Czowała się jak jaszczurka wygrzewająca się w ciepłych promieniach. Podeszła do ogniska i naląła z guerby trochę wody, chcąc ją zagotować na przygasającym ogniu. Na szczęście zostało im jeszcze kilka liści herbaty. Później doprowadziła się do porządku i objąwszy ramionami wychudzone ciało, popatrzyła z pagórka na okolicę.

Dzień wypełniał się życiem, poranne opary z wolna opadały i widoczność stawała się coraz lepsza. Z

wyjątkiem miejsca na horyzoncie, gdzie ziemia stapiała się z chmurami.

Florence zmrużyła oczy.

Nie, to nie były opary, tam na horyzoncie. To chmura mgły

utrzymująca się nad ziemią.

Mgła? Mgła, a przecież opady deszczu dawno już ustały.

Mgła! Raptem zrozumiała.

– Sam! – zawołała. Odwróciła się i ruszyła biegiem,

potykając się o kamienie w pobliżu ogniska. Zabrała z sobą

kociołek z gorącą wodą. Rozległ się brzęk i trzask. Sam zerwał się z pośłania i bez zastanowienia chwycił za pistolet.

– Sam! Nil! Znów jesteśmy nad Białym Nilem! – zawołała i

objęła jego nagie ramiona.

Sam wstał, szybko owinął biodra prześcieradłem i razem z

nią odwrócił się ku słońcu, które z wolna zaczynało coraz

dotkliwiej przypiekać. Na szczycie wzgórza musieli na chwilę zmrużyć oczy oślepione jasnymi promieniami.

– Dotarliśmy do kraju Kamrasiego – wyszeptała Florence. –

Udało się, daliśmy radę!

Patrzyli na step, w kierunku niezdalnie palącej tarczy i

odległej doliny wypełnionej wieczną, delikatną mgłą. Tam, gdzie torowała sobie *drogę* rzeka, ochrzczona przez Speke’a mianem Nilu Wiktorii.

Zrobiło im się ciepło. Za sprawą słońca czy ich własnej krwi, która zaczęła szybciej krążyć w żyłach, zwężonych porannym

chłodem?

Tam, na ich oczach, spieniony żywioł niezliczonych

wodospadów, które pokonywała potężna rzeka, w połączeniu z

porannym światłem przemieniał wodę w tęczę połyskującą

wszystkimi barwami skrzydeł kolibrów, rozpiętą niby most między teraźniejszością i przyszłością.

Rozdział 14

Grzmot wody zagłuszał każde słowo. Florence obserwowała

przewodnika, który niezmordowanie unosił i opuszczał rękę z maczetą, naostrzoną o płaskie kamienie i skórzany pas,

przecierając im szlak wśród chaszczy. Gdzieniedzie istniały pojedyncze wąskie przesieki, zapewne wydeptane przez słonie, bawoły i nosorożce, ale wszystkie gubiły się gdzieś w gęstwinie.

– Nie możemy stracić z oczu Nilu – nakazał Sam. – Idźcie w

górze rzeki. Zaprowadzi nas do wodospadów Karuma.

Sam też krok po kroku przedzierał się naprzód. Torował

sobie drogę w kłębowisku gałęzi, traw sięgających jego głowy i pnączy zwieszających się z drzew tak

starych jak sama ludzkość.

Florence zwróciła uwagę na wyraz jego twarzy i niemal się przestraszyła malującego się na niej absolutnego zdecydowania.

Nic i nikt nie powinien próbować go powstrzymać tak blisko celu.

Za wszelką cenę pragnął dotrzeć do jeziora Luta N'zige dla pomnożenia chwały swej ojczyzny i zaspokojenia własnej ambicji.

Florence przeszedł dreszcz. Czy uczucie zimna spowodowane było niedawną refleksją? A może chorobą albo wysokością prawie

tysiąca trzystu metrów, na której się znajdowali.

Spojrzała w dół, gdzie dziesięć metrów pod nimi szumiał Nil.

W tym miejscu rzeka nie miała nic wspólnego z ociężałym,

skażonym, bagnistym Sundem i straszliwie cuchnącym w okresie suszy nurtem, który poznała podczas podróży z Chartumu do

Gondokoro. W bezpośredniej bliskości źródła, a może raczej

źródeł, rzeka była jeszcze silna i pełna nieustraszonej energii.

Oslabiony wół prychnął niezadowolony, gdy Florence

przemieściła na jego grzbiecie ciężar swojego ciała, mimo to wychyliła się jeszcze dalej, by móc podziwiać impet wody, która po długich deszczach zabierała z sobą wszystko, co odważyło się stanąć na jej drodze. Widziała swobodnie dryfujące pnie drzew budujące zapory w miejscach, w których przyroda

zaplanowała. Wkrótce Nil tworzył w tych miejscach wiry,

przeskakując nowy wodospad, który rozbijał jego

ciemnogrnatową toń na białą pianę.

Sam odwrócił się do niej i podniósł do góry jakiś długi,

kolczasty przedmiot.

– Co to jest? – zapytała, wyraźnie układając wargi, by mógł z nich odczytać jej słowa.

Zbliżył się i podał jej roślinę.

– Szparagi. Przynajmniej tak samo to wygląda. Dzisiejszego

wieczoru będziemy je jedli na kolację, jakim Sam Baker.

Las się przerzedził. Jakieś trzy tygodnie wcześniej tubylcy musieli go chyba poskromić, podkładając ogień. Florence

rozkoszowała się wolnym polem widzenia i swobodną jazdą.

Tymczasem dookoła odbijały już nowe rośliny i świeża trawa. Za kilka tygodni wszystko na powrót szczelnie zarośnie.

Raptem przewodnik się zatrzymał i odwrócił się do nich z posępną miną.

– Za najbliższym zakrętem zaczynają się wodospady Karuma

i królestwo Kamrasiego, tam was opuszczę – oznajmił.

Sam skinął głową. Florence zauważyła, że zerknął w

kierunku Bacheety, która szła daleko za nimi, obok Saada. Ale kobieta miała spuszczonego wzrok.

– Za tym zakrętem? W takim razie na co jeszcze czekamy? –

spytała Florence.

Wszyscy ruszyli. Woły, ostatnie osły, ludzie Sama i Ibrahima oraz niewolnice. Po pewnym czasie Sam wskazał przed siebie i coś zawołał. Na urwisku wznosiła się wioska Atada, niemal całkowicie przesłonięta mgłą i spienionymi wodami z wodospadów Karuma, przelewającymi się po płasko wymytych kamieniach. Atada, brama do królestwa Kamrasiego.

Sam odwrócił się do Florence, która akurat wyteżała wzrok,

starając się przez mgielne opary rozpoznać domy w wiosce. Chaty z trzciny i słomy mierzyły w przekroju dobre sześć metrów,

przypominając odwrócone do góry dnem kosze.

– Kamrasi kazał Speke’owi czekać sześć dni, nim pozwolił

mu się przeprawić przez rzekę. Mam nadzieję, że nam okaże

większą wyrozumiałość. Jutro będziemy na jego terytorium.

Florence przytaknęła.

Mężczyźni bezgłośnie zeszli ze zbocza Atady po przeciwnej

stronie rzeki. Saad pierwszy zauważył kanu odbijające od brzegu wodospadów Karuma. Był to płaski, przemyślnie wydrążony pień drzewa, w którym siedziało czterech czy pięciu wojowników. Ich włócznie

wystawały wysoko nad łódkę, siedzieli w kucki,

trzymając przed sobą duże, wydłużone tarcze. Kanu zręcznie

omijało wiry Karumy. Wodospad nie był zbyt wysoki, woda

spływała jakieś dwa metry niżej w dziwnie równomierny sposób.

Jego grzbiet rysował się ostrą linią na wodach rzecznego nurtu, który u dołu zaraz gwałtownie zakręcał na zachód, dokładnie tak, jak opowiadał Speke. W kierunku jeziora Luta N'zige, swojego drugiego źródła.

– Efendi! *Sitt!* Idą do nas! Wszyscy! I są ubrani!

Saad sam się roześmiał z zaskoczenia, jakie usłyszał we

własnym głosie. Tak było. Po drugiej stronie wodospadów Karuma brzeg i urwisko nad wodospadem wypełnił tłum mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy przyglądali się ciekawie przybyszom. Huk

wodospadów tłumiał głosy, ale Saad widział, jak wskazują na nich palcami. Kobiety były ubrane w trzciniowe i słomiane spódnice, za to piersi miały odkryte. Najmłodsze maluchy były nagie, natomiast starsze dzieci, tak samo jak mężczyźni i wojownicy, miały na sobie odzienia przypominające togi z ciemnego materiału albo bardzo miękkiej skóry.

Saad zauważył, że efendi mówił coś szybko do Ibrahima. Ten

skinął i natychmiast razem ze swoimi ludźmi wycofał się w cień platanowego zagajnika, gdzie nie byli widoczni.

Kanu zbliżyło się do brzegu, gdzie stała *sitt* z efendim. Łódka zwolniła, unosząc się na wodzie w odległości, z której

przekrzykując szum wody, można się było porozumieć.

Bacheeta podeszła do *sitt*. Saad rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Kobieta szybko skinęła, po czym przyłożyła do ust zwinięte dłonie i zawołała:

– Przybył brat Speke' a z wizytą do wielkiego króla

Kamrasiego!

Zdawało się, że jej głos zmieszał się z hukiem wodospadu.

Kanu dwa razy niezdecydowanie obróciło się wokół własnej osi.

Wioślarze z trudem opierali się prądowi rzeki. W końcu jeden z wojowników wstał i zawołał:

– Dlaczego zabrał z sobą tylu ludzi? Czy mają broń?

Bacheeta porozumiała się z Samem szybkim spojrzeniem.

– Ma tyle podarunków dla króla, że potrzeba mu wielu

mężczyzn do niesienia – odpowiedziała.

W tej samej chwili Saad zobaczył, że *sitt* i efendi zniknęli w gęstym listowiu platana.

Co zamierzali zrobić?

Czy akurat teraz musieli odejść? Jego uwagę znów

zaabsorbowali wojownicy w kanu.

– Pokaż nam go, pokaż nam brata Speke’a!

Bacheeta się odwróciła.

– Efendi? – zawołała pytająco w kierunku krzaków. Saad

zmarszczył czoło. Jednakże w tej samej chwili rozstały się zwisające na ziemię gałęzie drzewa i wyszli spośród nich efendi i *sitt*.

Zarówno Saad, jak i Bacheeta stłumili w sobie okrzyk

zaskoczenia. Efendi miał na sobie garnitur z grubej brązowej tkaniny, której splot przypominał nieco rybie ości. Marynarka miała długie rękawy i pasek, a spodnie sięgały do samych

czubków butów. Na głowę włożył tweedową czapkę.

– Speke też miał na sobie tweed, gdy spotkał się z królem

Kamrasim – szepnął Saadowi tytułem wyjaśnienia.

Chłopak przytaknął, nie rozumiejąc. Co to jest tweed?

Wydawał się potwornie szorstki, co do tego nie miał wątpliwości, oczy go nigdy nie myliły! Tymczasem zza platana wyszła *sitt* ubrana w suknię z bufiastymi rękawami, wąską talią i cudownie szeroką spódnicą udrapowaną z wielu warstw materiału,

podobnych do wodospadów na Nilu.

„Ta spódnica mogłaby stanowić wspaniałą osłonę od słońca”

– pomyślał Saad i z podziwu zaczął klaskać w dłonie. Kobiety lubiły, gdy się je podziwiał, zdążył się tego nauczyć od swoich pięciu sióstr.

Sitt uśmiechnęła się do niego i stanęła u boku Sama, który właśnie nabrał powietrza, pomachał czapką i zawołał:

– To ja! Brat Speke’a, Sam White Baker!

Rzeka szumiała. Hipopotamy strzygły uszami, wypuszczając

z nozdrzy w powietrze małe fontanny. Najedzone krokodyły, do złudzenia przypominające pnie drzew, wylegiwały się leniwie na brzegach. Woda kapiała z pnączy, tworząc kałuże, w których

później gasiły pragnienie tajemnicze stworzenia, jakich ludzkie oko nigdy dotąd nie miało okazji oglądać.

Brzęczały nektarniki, a pasiaste, czerwono-czarne włochate stonogi żwawo

przemieszczały się z kamienia na kamień. W nasyconym wilgocią powietrzu krążyły motyle we wszystkich kolorach tęczy. Pająki, wielkie jak dłoń, czekały na olbrzymich pajęczynach na swoje ofiary.

Węże, grube jak ludzkie ramię, oplatały się wokół gałęzi, syte i rozleniwione. Koczkodany o czarno-białych mordkach

rozdziawiały czerwone pyski, domagając się pożywienia.

Kameleony zmieniały barwę skóry z brązowej na zieloną.

Jaszczurki w szybkim rytmie wystawiały języki, a skorpiony

przesuwały się w cieniu, wysuwając żądła obok potężnych

kamieni, na których wylegiwały się zuchwałe góralki.

Saad z dumą zmieszaną z zakłopotaniem patrzył na ubranego

w tweedowy garnitur Sama White'a Bakera, który w samym

środku owego zwierzyńca zdejmował z głowy czapkę. Jego efendi.

– Czuję się niemal tak samo ważny jak Nelson na swej

kolumnie przy Trafalgar Square! – powiedział efendi do stojącej tuż za nim *sitt*. – Halo! – zawołał i energiczniej pomachał

tweedową czapkę.

Kanu przestało zataczać koła.

– Podejdź bliżej do brzegu! Rozepnij koszulę – rozkazał

przywódca wojowników.

Saad zobaczył, że efendi tym razem wyjątkowo usłuchał

polecenia. Jego pierś połyskiwała jasną plamą poniżej opalonej skóry na szyi.

Wojownicy przyjrzeni się Samowi i zaczęli między sobą

szeptać. Z brodą i w garniturze rzeczywiście do złudzenia

przypominał Speke'a.

Dowódca kanu znów się odezwał.

– Witaj, bracie *Mollege*!

Sam spojrział pytająco na Bacheetę, która się roześmiała.

– To znaczy „brodaty”, tak nazywali Speke'a.

Mężczyźni chwycili za wiosła i kanu przybiło do brzegu.

Wojownicy wyskoczyli z łódki i podbiegli do Sama całkiem

niespodziewanie, z wystawionymi do przodu ostrzami włóczni.

Sitt krzyknęła i schowała się za efendim. Mężczyźni śpiewali i wrzeszczeli. Tupali nogami tak, że brzęczały bransolety na ich kostkach i przegubach dłoni, otoczyli efendiego, wołając jakieś niezrozumiałe słowa.

– Witają was – wyjaśniła Bacheeta.

Sam skinął i uniósł ręce.

– Przyślijcie nam łódź, chcemy popłynąć do waszego króla

Kamrasiego, natychmiast! Komuś takiemu jak ja nie każe się

czekać. Król się rozgniewa, jeśli mnie do niego nie zaprowadzicie.

Nie będę czekał piętnaście dni jak mój brat Speke. Jeśli coś podobnego jeszcze raz się wydarzy, nikt nie będzie chciał was odwiedzać! – zawołał.

To powiedziawszy, podał każdemu z mężczyzn naszyjnik z

niebieskich szklanych perełek. Mężczyźni gwizdali i posykiwali z podziwu, przykładając sobie nawzajem korale do długich,

żyłastych szyj. Saad dostrzegł, że ich ubrania były chyba

wyplecione z rozmiękczonej kory. Materiał układał się miękko niczym prawdziwa tkanina.

Przez chwilę wojownicy w milczeniu słuchali tłumaczenia

Bacheety, a następnie zaczęli się śmiać.

– Co się dzieje? – zapytał Bacheetę Sam.

Przywódcą wojowników umilkł, puknął Sama w pierś i

zaczął mówić. Wkrótce po tym, jak w pobliżu kraju Latuków

brodaty Speke został przekazany ludziom del Bona, tamci

zaatakowali Kamrasiego, mimo że król wcześniej podarował im niewolników, kość słoniową i skóry leopardów. W bitwie zginęło trzystu ludzi Kamrasiego.

– Del Bono! – wyszeptała *sitt*.

– Czy wiesz, co król Kamrasi z nami robi, jeśli jeszcze raz przepuścimy przez rzekę do jego kraju białego człowieka albo kogokolwiek obcego? – zapytał wojownik za pośrednictwem

Bacheety.

Saad zobaczył, że Sam pokręcił głową.

Wojownik przyłożył otwartą dłoń do szyi, wydał charkotliwy

dźwięk i przewracając oczami, bezwładnie opuścił do tyłu głowę.

„Efendi zdaje się nic nie pojmować” – pomyślał Saad. Miał

wrażenie, że upłynęła cała wieczność. Wieczność, podczas której Nil wciąż szumiał, dążąc do swego drugiego źródła, które za sprawą Amabile del Bona miało teraz nie zostać odkryte. W

każdym razie nie przez efendiego. Sam siedział na kamieniu

milczący i blady, z wyciągniętymi przed siebie nogami. *Sitt* przykucnęła obok niego, nie bacząc na wałającą się w piasku suknię. Przemawiała do niego cichym głosem. Saad nie wiedział

jednak, czy efendi ją słyszał. Cały czas kręcił głową.

Wojownicy, gawędząc ze sobą, wrócili do kanu.

Po kilku ruchach wiosł znikli, pochłonięci przez mgliste

opary rzeki.

Nic nie było słyhać poza wzburzoną wodą Nilu.

– Bądźmy dumni. Dotarliśmy do wodospadów Karuma –

powiedziała cicho Florence. Na więcej nie starczyło jej sił. W

nasyconym wilgocią wodospadu ciężkim powietrzu było coś, co nasilało gorączkę. Przy każdym szybszym ruchu kręciło jej się w głowie. Sam spędził większą część dnia, leżąc w cieniu platana.

Uklęka koło niego, podając mu tykwowy bukłak z wodą do picia.

– Tak – odparł i oblizał spierzchnięte wargi. – Bądźmy dumni i patrzmy z radością w przyszłość. Mamy obok siebie rozszalałą rzekę, pięćdziesięciu głodnych mężczyzn, ani kęsa pożywienia, dobrych pięć dni marszu przez dziewiczą puszcę za sobą, a przed sobą pałającego zemstą murzyńskiego króla. Cudowna perspektywa.

Florence w milczeniu zatkała guerbę korkiem skręconym z

sitowia. Sam odwrócił głowę i skrzywił się. Najmniejszy ruch sprawiał mu ból. Gorączka wpełzała we wszystkie jego ścięgna i stawy, sprawiając, że puchły i piekły.

W tej chwili podeszła do nich Bacheeta. Uklękła obok Sama.

– Kanu wróciło – poinformowała i postawiła na ziemi kosz

ze słodkimi ziemniakami, podpłomykami z sezamowego ziarna,

długą zieloną fasolą i guerbą napełnioną sokiem z platana.

Wszystkie produkty były zawinięte w niewielkie czyste paczuszki, jakich Florence nie widziała dotychczas u żadnego innego

plemienia. „Ludzie Kamrasiego są nadzwyczajni” – pomyślała.

Sam usiadł z westchnieniem.

Florence troskliwie otarła mu czoło z potu, skapującego z

brwi do oczu.

– Wysłali do króla posłańca. Kamrasi zadecyduje, co z wami

zrobią.

Bacheeta patrzyła w ziemię. Jeśli cieszyła się z

niepowodzenia ekspedycji, to nie dawała tego po sobie poznać.

Później się odwróciła. Za nią stał jeden z wojowników w

oczekiwaniu na odpowiedź Sama.

– Powiedz mu... – zaczął Sam i odkorkowawszy guerbę,

wypił z niej łyk napoju. Przełknął z trudem i skrzywił usta. – Na miły Bóg, nie mogę się doczekać szklaneczki whisky, gdy

będziemy mieli wszystko za sobą! – westchnął, ale zaraz wrócił do tematu. – Powiedz im, że nie będę czekał bez końca. Niech

przewiezie przez rzekę mnie i *sitt*, i to zaraz, w przeciwnym razie zaszczycę swoimi prezentami jakiegoś

innego wielkiego króla.

Wtedy dopiero Kamrasi się ucieszy – powiedział i podobnie jak wcześniej przybyli mężczyźni, przejechał otwartą dłonią po szyi, wydał charkotliwy dźwięk i wywróciwszy oczami, odrzucił do tyłu głowę.

Bacheeta skinęła tak samo jak wojownik.

Florence poczuła, że Sam ciągnie ją w dół ku sobie, i z

uwagą wysłuchiwała jego cichych instrukcji. Na uchu czuła jego gorący oddech. Następnie przytaknęła i wyciągnęła z bagażu

dywan o prawie niewidocznym dla oka ściegu utkany z

perskiego jedwabiu.

Do tego dołożyła jeszcze stos koralii z niebieskich pereł, które nawlekała podczas ciągnących się w nieskończoność deszczowych godzin w Tarrangolle. Wiedzieli, że Speke też podarował ludziom Kamrasiego niebieskie perły.

Oczy młodego mężczyzny rozblęły. Mimo to otulił się

ciaśniej swoim czarnym płaszczem i powiedział coś do Bacheety.

Następnie zaczął rozwijać dywan, w który zawinął szklane

naszyjniki. W końcu wyszczerzył w uśmiechu zęby i zwrócił się do Bacheety, która tłumaczyła jego słowa.

– Nie odchodź, bracie Brodatego. Czekał tu. Jeśli teraz

znikniesz, wtedy Kamrasi...

Sam skinął, po czym przejechał otwartą dłonią wzdłuż szyi,

wydał charkotliwy dźwięk, przewrócił oczami i opuścił głowę na kark.

Wojownik pobiegł do swego kanu.

– Tego Kamrasiego trudno zadowolić – stwierdziła Florence.

– Wszystko jedno, czy odejdziemy, czy też zostaniemy na miejscu, on i tak chce wszystkim poderznąć gardła.

Sam się nie roześmiał. Spojrzała na niego. Znow zemdlał.

Tego samego wieczoru Sam odepchnął nogą od brzegu kanu,

które miało przewieźć na drugi brzeg rzeki Florence, Saada, Richaarna, Ibrahima i jego oraz wszystkie

podarki dla Kamrasiego.

Pod prezentami leżała dodatkowo derka, w którą owinął

pieczołowicie dziesięć strzelb i pięćset naboji. Nigdy nic nie wiadomo. Wojownicy energicznie wiosłowali, pokonując rzeczny prąd. Na przeciwległym brzegu na przystani płonęło jasno wielkie ognisko. Wojownicy dęli w rogi, dmuchali w piszczałki z sitowia i bambusowych rurek, bębnilili w bębny, a kobiety wydawały

okrzyki. Florence pomagała Samowi pokonać wzniesienie

obrośnięte po obu stronach bananowcami. Czuł, jak go wspiera i popycha do przodu.

– Wytrzymaj – szepnęła mu do ucha. – Wytrzymaj, jesteśmy

już w kraju Kamrasiego.

Dotarłszy do Atady, pochód zatrzymał się przed chatą

przywódcy, który z godnością wyszedł na zewnątrz, otulony w płaszcz z miękkiej kory i skór.

Sam się wyprostował i odezwał tak głośno, jak tylko mógł.

– Bądź pozdrowiony! Jestem Samuel White Baker, brat

Molegge. Czy *Molegge* was kiedykolwiek zawiódł?

Przez tłum przeszedł pomruk, a Bacheeta zaczęła tłumaczyć.

– Nie mógłby być lepszym człowiekiem.

– Sam widzisz. Musicie mi zaufać, tak samo jak zaufaliście

Molegge. Ufam wam z całego serca, jestem w waszych rękach. A jeśli wy mi nie ufacie, zabijcie mnie od razu! Zabijcie nas wszystkich!

Mężczyźni znów zamruczeli. Sam wyczuł, że jego słowa

zrobiły na nich duże wrażenie. Przywódca postąpił krok do przodu.

Trzymał coś ukrytego w fałdach szerokiego płaszcza. Sam

wyprostował plecy. Co to mogło być? Nóż? Miał nadzieję, że

mężczyzna nie zrozumiał dosłownie jego propozycji. A może

chciał zawrzeć z nim braterstwo krwi, jak wcześniej ze *Speke'em*?

Nie miał ochoty pić krwi pierwszego lepszego człowieka!

Przywódca wysunął rękę spod płaszcza i wyciągnął ją do

Sama. W końcu się roześmiał.

– *Molegge*.

Sam zobaczył, że między palcami mężczyzny wisi wąski

naszyjnik z niebieskich paciorków. Podsunął go Samowi. Ten z wahaniem wziął go do ręki, obejrzał

korale, a następnie przystawił

je sobie do nosa i do warg. Był to pierwszy ślad pobytu Speke'a, na jaki dotychczas trafił podczas długiej podróży przez afrykańskie kraje.

Noc była wściekle zimna. Sam przytulił się mocno do

Florence. Chata przydzielona im przez przywódcę była ciemna i nie miała okien. Słoma śmierdziała stęchlizną, pewnie nie zdążyła wyschnąć po ostatnich deszczach. Sam słyszał jedynie trzaskanie ognia na placu wioski Atada oraz głosy Saada i Richaarna, którzy na zmianę trzymali straż. Jutro mieli zabić wołu i wymienić mięso na słodkie ziemniaki, fasolę, jajka, mąkę, dziki miód, ziarna kawy i wino z płatanowca.

„Jutro” – pomyślał, przyglądając się

niebieskim paciorkom. Ich dotyk przypominał różaniec, uspokajał

i kojąco odurzał. W końcu zapadł w głęboki sen. Ale nie wypuścił

z palców małego niebieskiego naszyjnika. Paciorki były brudne i śniło mu się, że mył je w jeziorze Luta N'zige. Czyścił z krwi, potu i łez.

Ostatniego dnia stycznia Sam jeszcze raz podniósł rękę, dając znak do odjazdu. Richaarn podtrzymał go za łokieć.

– Gotowi wskoczyć na siodła? – zażartował, nie mieli już

bowiem żadnego wołu ani osła. Sam się uśmiechnął i spojrział w czarną twarz zaufanego mężczyzny.

Richaarn odsłonił w uśmiechu opiłowane zęby.

Wszyscy przytaknęli, oprócz Florence, która stała spokojnie wsparta o Saada.

Sam popatrzył na nią z troską, ale wytrzymała jego

spojrzenie.

„Ruszaj – powiedziała milcząco. – Idź, pójdę z tobą tak

daleko, na ile starczy mi sił”.

Sam ruszył, wspierając się przy każdym kroku na ramieniu

Richaarna.

Tego dnia w swoim dzienniku zanotował jedynie kilka

krótkich zdań.

– *F. cierpi na malarię. Wysoka gorączka.*

– *F. koszmarne osłabiona. Trzy oddechy na minutę, nie*

więcej.

– *Przeszliśmy pięć mil, nim w końcu upadłem. F. za słaba na nosze. Boże, dopomóż nam.*

– *Pokonaliśmy cztery mile. F. jest śmiertelnie chora. Dwa oddechy na minutę. Mój Boże, bądź przy mnie. Czy w imię marzenia poświęcę ukochaną istotę? Zabierz mi wszystko, ale błagam, tylko nie ją.*

Dwa dni później po długim śnie w cieniu tamaryndowca

napisał:

– *F. czuje się trochę lepiej. Pięć oddechów na minutę. Bogu niech będą dzięki. Bardzo liczę na skrzynię z lekarstwami, którą Speke zostawił Kamrasiemu. Skrzynia pełna chininy! To lepsze od yorkshirskiego puddingu! Bóg o nas nie zapomni!*

Gdy na horyzoncie pokazało się miasto M’rooli, stolica

Kamrasiego, przewodnik wykonał rozkazujący gest w kierunku

Florence i Sama, a następnie wskazał kanu przycumowane na

płytkiej wodzie przy brzegu. Niewielka rzeka przy ujściu do Jeziora Wiktorii tworzyła rozległe grzęzawisko porośnięte lotosem i papirusem.

– O co mu chodzi? – zapytał Sam Bacheetę.

Kobieta wzruszyła ramionami i wskazała wyspę na środku

rzeki. Była zupełnie pusta, nie rosły na niej żadne drzewa, a sitowie sięgało łydek i już wczesnym popołudniem Sam zobaczył

unoszące się chmury moskitów. Dostrzegł kilka niskich chat

przycupniętych przy brzegu.

– Nie – powiedział cicho i pokręcił głową. Pomyślał o

Florence, o gorączce trawiącej ich oboje. Na tamtej wyspie pełnej jadowitych oparów nie przeżyje nawet jednego dnia. Musieli

zostawić wszystkie bagaże. Do paska miał przytroczone trzy

perliczki, które rano ustrzelił. To było całe pożywienie, jakim dysponowali. – Nie – powtórzył z uporem.

Żadne jezioro świata nie było tego warte.

Bacheeta się zawahała. Przewodnik czekał zniecierpliwiony,

nagą stopą pukał w wilgotną ziemię.

– Tak – odezwał się słaby głos. Sam się odwrócił. Florence

próbowała usiąść na noszach. – Tak, powiedz mi, że popłyniemy na wyspę. Powiedz mi, że poczekamy w tej zadżumionej dziurze na jego wielkiego, łaskawego króla, którego gościnność jest dla nas prawdziwą rozkoszą.

Sam się zawahał, ale w końcu skinął przewodnikowi. Później

nachylił się do Florence i ucałował jej dłoń. Ale ona znów zapadła w sen. Podczas przeprawy łódką zaczął padać deszcz, odbierając im powietrze do oddychania i przesłaniając widok wyspy i

przeciwległy brzeg miasta M’rooli.

W chatkach nie było żadnego łóżka ani nawet legowiska. Sam

ostrożnie ułożył Florence na ziemi, ucałował jej blade usta i wsunął jej pod głowę swoją marynarkę. Z

dziurawego dachu

kapąco i woda wpływała pod ścianami do wnętrza. Podłoga

cuchnęła bagnistą mazią. Jeszcze raz ją pocałował.

– Wybacz mi – wyszeptał i wyszedł na dwór.

Richaarn pomógł mu wspiąć się na pagórek zbudowany

przez mrówki. Czuł na udach wielkie dłonie czarnego mężczyzny.

Bez niego przewróciłby się niczym szmaciana lalka. Ale przy jego pomocy mógł teraz popatrzeć na drugi brzeg, na którym

znajdowało się miasto M’rooli, miasto Kamrasiego.

– Co widzisz, efendi? – spytał Richaarn. Za nim stał Ibrahim i z takim samym wyczekiwaniem patrzył na Sama.

– Na brzegu jest czarno od ludzi. Rozpalili wielkie ogniska.

– Zaatakują nas! Otwórzmy do nich ogień! Strzelaj, efendi! –
zawołał Ibrahim.

Sam mu się przyjrzał. Długa podróż wywarła swoje piętno
także na nim. Pokręcił głową.

– Nie. Trzymają w rękach tylko tarcze, nie mają włóczni.

Zdejmij mnie na ziemię, Richaarnie. Muszę odpocząć przed
jutrzejszą audiencją u króla.

Samowi zrobiło się ciemno przed oczami, a jego ciało
zawisło bezwładnie na ramieniu Richaarna. Czarny mężczyzna
zaniósł swojego pana do chaty i ułożył go obok *sitt*.

„Król Kamrasi jest mężczyzną jak góra – pomyślał Sam,

mrużąc oczy przed promieniami słońca, okalającymi niby aureola potężne ciało Kamrasiego. – A może
tylko mi się tak zdaje, bo leżę tu na ziemi, bezbronny jak szczur, on zaś siedzi na miedzianym stolcu, a pod
nogami ma dywan ze skór leopardów? Bądź co bądź

nie leżę tu sam”. Żaden z poddanych Kamrasiego nie miał prawa stać w obecności władcy. Wszyscy
leżeli rozplaszczeni na

brzuchach, z trudem unosząc głowy, by widzieć króla.

Sam zobaczył, że Kamrasi wyszczerzył w uśmiechu

kompletne jeszcze uzębienie i pochylił się do przodu. Był dużym mężczyzną, a jego skóra błyszczała
jaśniej niż skóra większości członków jego plemienia. Szeroko rozstawione oczy króla były lekko
wypukłe, co nadawało jego twarzy wyraz nieustannego

zdziwienia.

– A więc jesteś bratem Brodatego – stwierdził. W jego głosie nie było słyhać zadowolenia ani też
rozczarowania, raczej

wyczekiwanie. Kamrasi podparł dłonią brodę i Sam zauważył, że jego paznokcie są czyste i krótko
obcięte. Zauważył też, że z wielkim zainteresowaniem przypatruje się Florence. Znów miała na sobie
czerwoną suknię, a Saad upiął jej włosy w schludny warkocz. Klęczała obok swoich noszy i wydawało
się, że sen dodał

jej sił.

Sam skinął.

– Tak, to ja. A tutaj, wielki królu, podarki, które dla ciebie przywiozłem.

Przy tych słowach wykonał gest w kierunku perskiego

dywanu, rozwiniętego na zakurzonej ziemi M’rooli. Był tak duży, że zakrył prawie cały plac przed krzesłem Kamrasiego.

Kamrasi uniósł brwi. Jego zamyślony wzrok błędził po

prezentach rozłożonych na kobiercu. Sam dostrzegł, że klęcząca obok niego Florence poruszyła się, a następnie odezwała.

– Mój królu, przyjmijcie nasze prezenty. Oto abba, płaszcz z czystego kaszmiru. Na północy, dwa lata drogi stąd, tam gdzie Nil wpada do wielkiego morza, takie płaszcze noszą wyłącznie

najświeńniejsi ze świętych...

Król skinął i przysłuchiwał się jej słowom, gdy prezentowała mu kolejno tureckie pantofle z miękkiej czerwonej skóry,

pończochy z białego jedwabiu, stos haftowanych chusteczek,

dwulufową flintę z zapasem amunicji oraz górę szklanych

koraliaków. Gdy skończyła, wskazał w milczeniu na niedużą

pomarańczową chustkę, którą miała zawiązaną na głowie. Z

jednego jej skraju zwisały srebrne perełki. Był to pierwszy podarunek otrzymany w Bukareszcie od Sama.

– Co? – spytała poirytowana.

– Król chce tę chustkę.

– Przecież dostał już dużo chustek – odparła, wskazując

podarki.

– Król chce tej – usłyszała odpowiedź. Bacheeta uśmiechnęła się krzywo.

Florence westchnęła i zdjęła z głowy obiekt królewskiego

pożądania. Kamrasi mlasnął z zadowoleniem, obracając w dłoni materiał. Następnie się odezwał, a Bacheeta spuściła głowę i zaczęła szybko tłumaczyć.

– Czy nie masz dla mnie już więcej broni, bracie Brodatego?

Chcę zaatakować mego brata Riongę i dać mu lekcję. Ludzie

tamtego mężczyzny imieniem del Bono znów są u niego i znów na mnie napadną, jestem pewien. Chcę, by jego najstarszy syn został

moim niewolnikiem, a jego żona kucharką. Poza tym ma za dużo bydła, jak na mój gust.

Sam podniósł rękę, żeby mu przerwać.

– Mam więcej broni, ale nie oddam jej w takim celu, mimo

że sam z ogromną chęcią dałbym szkołę ludziom del Bona. Jeśli chcesz zdobyć niewolników, bydło i kość słoniową, porozmawiaj z tym oto Ibrahimem.

Odwrócił się i wskazał na Turka, który czekał cierpliwie za jego plecami.

– Możesz z nim zawrzeć braterstwo krwi. Wtedy we

wszystkim ci pomoże.

Ibrahim się skłonił i wytrzymał badawcze spojrzenie króla.

Kamrasi skinął. Powiódł wzrokiem po zebranych, spojrzał na

Sama leżącego na noszach, czekającego za nim Ibrahima, prezenty rozłożone na dywanie pokrytym przepysznym wzorem i

błyszczące w słońcu, a w końcu na Florence, której na skronie wystąpiły perełki potu. Na jej skórę, jej długie włosy splecione w warkocz koloru blond, jej jasne oczy.

Później ponownie zwrócił się do Sama:

– Czego chcecie, jeśli nie chcecie niewolników, bydła ani

kości słoniowej?

– Chcemy dotrzeć nad Luta N'zige – odpowiedział Sam bez

zastanowienia.

Oczy Kamrasiego zwęziły się nieznacznie. Odchylił się do

tyłu. Mały chłopiec zaczął gwałtownie przepędzać liściami palmy muchy latające wokół króla.

– No tak, Luta N'zige. Brodaty też koniecznie chciał się tam dostać. Ale po co? Chcecie zbierać sól?

Brodatemu podarowałem dwie dziewczice. Był tu bardzo szczęśliwy i zapomniał o Luta

N'zige – poinformował Kamrasi, po czym się uśmiechnął i

wskazał na małą chatę ustawioną na skraju placu. Sam odwrócił

głowę. Przed chatą stały dwie młode kobiety. Każda z nich

trzymała w ramionach dziecko. Chłopcy mogli mieć po dwa, może trzy lata. Ich karnacja była o wiele jaśniejsza niż skóra pozostałych dzieci.

Sam odwrócił wzrok. Nie chciał tego oglądać. Kamrasi się

roześmiał. Następnie pokręcił głową i pochylił się do przodu. Jego głos był niski, przypominał Samowi dźwięk Big Bena, dzwonnicy londyńskiego parlamentu. Zamknął na chwilę oczy.

– Nie. To niemożliwe. Jezioro jest położone sześć miesięcy

drogi stąd... – dotarł do niego głos Kamrasiego.

Sam zapomniał o dobrych manierach. Przerwał królowi, a

jego podniesiony głos przechodził niemal w falset.

– Sześć miesięcy! Ależ słyszałem, że leży zaledwie dziesięć dni drogi stąd.

Dwóch wojowników Kamrasiego uniosło groźnie oszczepy.

Florence położyła mu dłoń na ramieniu.

– Ciii – wyszeptała. – Ciii.

Kamrasi zerknął na nią z zainteresowaniem. Gestem dłoni

nakazał Samowi milczenie. Sam usłuchał niechętnie.

– Ponadto, bracie Brodatego, jesteś za słaby na taką podróż.

Jeśli pozwolę ci wyruszyć, a ty umrzesz z powodu gorączki,

wówczas twój król przypisze mi winę za twoją śmierć i wypowie mi wojnę. Nie chcę tego – dodał i wysunął do przodu dolną wargę, jak niezadowolone dziecko.

Sam pokręcił głową.

– Mam jedynie wielką królową, która nagrodzi wszystkich,

którzy mi pomagają – powiedział. – Wierz mi. Pozwól mi jechać.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak zaklęcie.

Kamrasi się zamyślił. „Nadszedł stosowny moment, by

zapytać o lekarstwa” – pomyślał Sam. Spróbował się wyprostować, ale wszystkie mięśnie mu drżały i z powrotem opadł do tyłu.

Kamrasi wychylił się dalej przed siebie. W jego wzroku nie było współczucia, jedynie wyczekiwanie.

– Jeśli tak się martwisz naszym zdrowiem, to z pewnością masz jeszcze skrzynię, którą zostawił tu mój brat Speke? Skrzynię z lekarstwami? Jego głos drżał z napięcia i nadziei.

Kamrasi wybuchnął śmiechem i opadł na oparcie tronu.

– Skrzynia jest, ale lekarstwa zjadłem wszystkie w ciągu jednego tygodnia. Jesteśmy w krainie gorączki, zapomniałeś? Jestem królem. Muszę się chronić.

Sam poczuł słabość. Zakręciło mu się w głowie. Słońce przewędrowało przez punkt zenitu. Promienie wżarły się w jego czaszkę. Przełknął ślinę i zamknął oczy. Jego ciało opadło do tyłu na nosze.

– Pozwól nam jechać, wielki królu. Pozwól nam jutro wyruszyć. Dla twojej własnej sławy i chwały – usłyszał głos Florence.

Gdy Sam ponownie otworzył oczy, zobaczył nagle, że Kamrasi w uniesionej ręce trzyma garść krótkich kawałków słomy.

– To dwadzieścia cztery źdźbła słomy. Twój brat Brodaty podarował mi dwadzieścia cztery prezenty. Piękne prezenty. Ty dałeś mi dziesięć rzeczy. Dlaczego miałbym ci pozwolić tam jechać? Czuję się urażony twym skąpstwem! Daj mi więcej, wtedy pozwolę ci jechać.

„Daj! Daj! Daj! Bez przerwy mam tylko dawać. Wszyscy wciąż chcą jedynie coś mieć” – pomyślał Sam, czując w sobie narastający gniew. Gniew wysączający

resztkę sił.

– Niech i tak będzie – odparł, tłumiąc złość. – Podaj swoją cenę. Powiedz, co chcesz dostać w zamian za pozwolenie na naszą podróż nad jezioro Luta N’zige.

Kamrasi rozparł się wygodnie na swoim tronie z miedzi. Jego płaszcz z miękko wygarbowanej koziej skóry, przewiązany w pasie skórzanym rzemieniem, opadał aż na kolana i dopasowywał się z gracją do każdego ruchu właściciela. Kamrasi wyciągnął przed siebie nogi, a stopy ułożył tuż przed nosem Sama.

Paznokcie u nóg miał tak samo czyste i krótko przycięte jak u rąk. Sam wyczuł, że król zamierza przemówić. Zebrał wszystkie siły i powtórzył swą prośbę.

– Powiedz, czego chcesz. Dam ci to, a w zamian chcę tylko,

byś pozwolił mi pojechać do jeziora Luta N’zige.

Kamrasi miał na wpół przymknięte oczy, jakby się zastanawiał.

– Dostanę wszystko, czego zażądam? Dasz słowo honoru,

jako brat Brodatego?

Sam potwierdził. Nie miał już siły mówić. Czegóż Kamrasi

mógłby jeszcze od niego chcieć? Wolna droga nad jezioro Luta N’zige była dla niego warta wszystkiego.

Słońce paliło mu mózg i myśli. Siewka dawno umilkła.

Gdzieś odezwało się dudnienie bębna. Nowy wiatr pędził przed sobą chmury. Chmury zwiastujące więcej opadów. Jeśli spadnie za dużo deszczu, woda odetnie im drogę powrotną. Wtedy musieliby tu wytrwać cały rok. Zmurszeliby, a później zdechli.

– Czego tylko zechcesz – powiedział z rezygnacją w głosie.

Kamrasi opadł na oparcie. Miał roztańczony wzrok, oczy

błyszcząły mu z zadowolenia. „Głupi brat Brodatego – zdawały się mówić. – Taki sam głupiec, jakim okazał się Brodaty”. W tej chwili Sam pojął, o co chodziło. Zrozumiał, że popełnił błąd.

Niepojęty błąd, którego nie wybaczy sobie do końca swoich dni.

– Chcę tę białą kobietę – odezwał się Kamrasi i wskazał na

Florence.

Rozdział 15

Skąd efendi tak szybko wyciągnął broń? – zastanawiał się

Saad, gdy wszyscy wojownicy skoczyli na równe nogi, a kobiety podniosły krzyk i rzuciły się na ziemię, przykrywając sobą dzieci w obronnym geście. – Musiał ją mieć chyba ukrytą pod koszulą.

Echo wystrzału rozniosło się po placu M'rooli. Pod

wpływem raptownego, głośnego huków nawet Kamrasi osunął się

do tyłu na tronie.

Efendi usiadł na noszach. Jego pistolet znajdował się tuż przy piersi Kamrasiego. Z lufy unosiła się wąska smużka dymu. Nikt nie miał odwagi się poruszyć.

– W bębenku jest jeszcze jedna kula, królu Kamrasi. Kolejna.

Jeśli nacisnę teraz spust, nie pomoże ci żaden z twoich

wojowników, na nic zdadzą się twój podstęp i chciwość. Jeśli jeszcze raz ważysz się w ten sposób obrazić mnie i moją żonę, zastrzelę cię, jak cuchnącą hienę.

Kamrasi uniósł rękę w uspokajającym geście.

– Przecież dałeś mi słowo honoru...

Do *sitt* zdawało się dopiero teraz docierać, co się wydarzyło.

Usiadła z twarzą czerwoną od wysiłku, piekącego słońca i gniewu.

Zaczęła krzyczeć po arabsku. Saad nie miał pojęcia, że jego piękna, łagodna *sitt* tak potrafiła.

– Ty suczy synu! Krwiopijco! Odrażający spaślaku! Co ty

sobie wyobrażasz, za kogo się uważasz? Popatrz na siebie, jesteś owinięty w śmierdzące kozie skóry, z galaretowatym

brzuszykiem! Masz moralność hieny, zobacz, jak nas traktujesz, jesteśmy twoimi gośćmi! Okrywasz się hańbą! Niech podczas

najbliższego deszczu zatonię całe twoje bydło, twoje żony niech ci rodzą tylko bezpłodne córki, a termity stoczą twoje królestwo!

Jesteś ostatni z ostatnich! Należałoby cię rozdeptać jak karalucha!

Jak śmiesz mówić o słowie honoru? Nawet nie wiesz, co to słowo oznacza, padlinożerco...

Saad zauważył, że efendi próbuje wstać, żeby ją uspokoić.

Tymczasem Richaarn zdążył przesunąć się do przodu i położył

ręce na jej ramionach. Jak zwykle, sama bliskość jego potężnej osoby podziałała na nią kojąco. Obok niego Kamrasi wydawał się mały, blady i niegroźny. Tam, gdzie był Richaarn, panował spokój.

Wydawało się, że ułagodził *sitt*, chociaż jej pierś nadal gwałtownie falowała. W ciszy, jaka zapanowała na placu, wyraźnie było

słyszeć jej oddech.

Kamrasi się wyprostował. Machnął pogardliwie ręką.

– Wcale nie chcę takiej jędzowatej, krzykliwej kobiety.

Zatrzymaj ją sobie, bracie *Molegge*. Do tego jest chuda jak koza.

Ale za to daj mi tę małą strzelbę – zdecydował, wskazując na ulubionego fletchera Sama, którego Richaarn ze spokojem trzymał

w ręku. Ten sam model, który Sam podarował Saadowi w

Tarrangolle. – I jeszcze twój zegarek. Tak zabawnie tyka. Zegarek Brodatego otworzyłem kamieniem i przestał tykać. Daj mi za

niego swój – zażądał. – W zamian dam wam tragarzy. Będziecie mogli jutro wyruszyć nad jezioro Luta N'zige, albo jak tylko poczujesz się dość silny. Dodam ci eskortę na drogę.

– Broni nie dostaniesz. Nie ma mowy. Mimo to chcę jutro

wyruszyć – odparł efendi bez chwili wahania. Saad zobaczył, że *sitt* uklękła obok niego. Wciąż drżała i wsunęła dłonie w jego ręce.

Kamrasi oparł się na tronie. Uśmiechał się.

– A więc dobrze, efendi, jutro.

Później zaczął się śmiać, a wraz z nim wszyscy ludzie na

dużym placu M'rooli.

Trzystu diabłów. Eskorta przysłana przez Kamrasiego

składała się z trzystu diabłów. Florence huczało w uszach od ich wrzasku, dostawała oczopląsu od nieustających podskoków i

dzikich tańców. Przenikliwy gwizd rogów ranił jej wszystkie zmysły. Nie miała wątpliwości, dokładnie tak musiały wyglądać diabły, o których opowiadała jej w dzieciństwie Maja. Mężczyźni owinięli się w futra leopardów i skóry białych małp, a ich twarze, pomalowane czerwoną ochrą, tłuszczem i popiołem, wyglądały

niczym wykrzywione pyski. W pasie byli owinięci krowimi

ogonami, a na czołach mieli przywiązane rogi antylop. Do twarzy przymocowali sztuczne brody zrobione z krzaczastych końcówek zwierzęcych ogonów.

– Oni chcą mnie. Przyszli, żeby mnie zabrać. Kamrasi tak

łatwo nie da za wygraną – powiedziała cicho Florence, gdy Sam pomagał jej wsiąść na wołu.

Sam pokręcił głową.

– Po moim trupie. Chce napędzić nam strachu, nic więcej.

Florence przytaknęła, chociaż prawie nie zrozumiała jego

słów. Miała rozpaloną głowę. Z trudem zacisnęła palce na cuglach wołu.

– Patrz przed siebie! – zawołał do niej Sam. – Niebawem

będziemy na miejscu. Niedługo napijemy się wody ze źródeł Nilu.

Znów przytaknęła. Jeden z diabłów przyskoczył do niej i

ostro zadął w róg tuż obok jej ucha, po czym zaskrzeczał ze śmiechu, gdy drgnęła i skuliła się w sobie.

Jego zęby były

pomalowane na czarno węglem. Walili dziko w bębny, dęli w rogi.

„Kamrasiemu chodzi o mnie – pomyślała wycieńczona. – Te

diabły przysły mnie zabrać. Dlaczego? Czym zgrzeszyłam? Chcę patrzeć do przodu, tak jak powiedział

Sam”.

Otaczało ich morze traw. Krajobraz był płaski i bezkresny,

nie dając oczom najmniejszego oparcia, spływał ku horyzontowi i zlewał się z niebem. Diabły niezmordowanie krążyły wokół

Florence, niektóre tak blisko, że ich szesnastu ludzi nie mogło zachować miarowego kroku. Ibrahim zawrócił do wodospadów

Karuma po swoich ludzi i broń. Mieli wesprzeć Kamrasiego w

ataku na Riongę i załogę del Bona. Sam Ibrahim ruszył w drogę do Gondokoro, by przyprowadzić posiłki.

Jeden z tragarzy rozpłakał się ze strachu, gdy któryś z

diabłów do niego przyskoczył i oblizał mu twarz. Jakby zamierzał

go wstępnie zde gustować.

Następnego ranka tragarze zniknęli.

– Gdzie moi ludzie? – usłyszała Florence wołanie Sama.

Jeden z tańczących diabłów wykrzywił twarz i znacząco

pogłaskał się po brzuchu. Pozostali ryknęli śmiechem, dmuchali w rogi, darli się jak koczkodany i wyskakiwali w powietrze, najwyżej jak tylko potrafili.

Florence zamknęła oczy. Wszystko kręciło jej się przed

oczami, świat i własne życie, jak jakiś zawrotny, nieodwracalny wir.

Słońce stało wysoko na niebie, nim w okolicznych wioskach

udało im się znaleźć nowych tragarzy. Trzeba było teraz iść w najgorszym południowym żarze. Florence szukała w tobołku

swojego kapelusza. Zniknął. Czy w takim razie będzie musiała jechać bez nakrycia głowy? To było szaleństwo. Na krótką chwilę rozmył się obraz przed jej oczami. Zagryzła wargi, ale się nie odezwała.

Nie powinna absorbować Sama takimi drobnostkami.

Grzęzawiska przypominały Samowi *sudd*, chociaż były

gęściej rozłożone, trudniejsze do przebrnięcia i bardziej cuchnące.

Stał zanurzony po uda w przecinającej równinę masie słonawej wody, pełnej dryfujących drzew i pnączy.

Przy każdym kroku

musiał sobie torować drogę maczetą. Uderzał i uderzał, aż ze zmęczenia opadały mu ręce. Raptem usłyszał jakiś dźwięk. To nie było wołanie ani krzyk, tylko ostatni, rozpaczliwy jęk. To była Florence!

Obejrzał się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak jej ciało się

wyprężyło, twarz przybrała dziwny grymas i oblała się fioletem, a później powoli cała zaczęła się zapadać w bagno. Jak dziwnie spadła, sztywna i bezwładna, jakby ugodzona kulą w samo serce.

– Florence! – krzyknął i skoczył w jej kierunku. Bagno

spowalniało mu ruchy, chwytало go tysiącami palców. Walczył z całych sił.

– Psiakrew! – zaklął i rzucił się do przodu ruchem, jakiego nauczył się podczas gry w rugby. Przedzierał

się do niej, nie bacząc na niebezpieczeństwo, bez opamiętania. Jego ręce chwyciły Florence w ostatniej chwili, nim błoto zdążyło wessać jej głowę.

Resztkami sił przyciągnął ją do siebie i zamknął w uścisku, tu, pośrodku bagien rozleglejszych niż cała Anglia. Czuł w ramionach jej ciało, bezwładne i pozbawione życia. Zerwał się wiatr,

rozkołysały się trawy. Sam trzymał ją w objęciach i tulił jak dziecko, jak synów, którzy także umarli w

jego ramionach. Jego usta otworzyły się do krzyku i wypełniły się jej włosami, smakiem jej skóry. Nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Znów wstrząsnęły nim dreszcze, całe jego ciało trzęsło się z przerażenia. Całował ją i obejmował ramionami, by po raz ostatni ją ogrzać.

– Florence! Florence! – odzyskał wreszcie głos. – Zostań ze mną. Nie odchodź.

Czuł sztywność jej ciała i bijący od niego chłód. Miała

wywrócone oczy i półotwarte usta. Przyłożył ucho do jej warg. Nie wyczuł oddechu i nie usłyszał najmniejszego dźwięku. Przełknął

ślinę. Przywarł ciałem do jej ciała i rozpłakał się. Nareszcie płakał.

Coś w nim pękło. Pojął, co się stało, zrozumiał przerażającą prawdę. Odchylił do tyłu głowę i zaczął

krzyczeć na całe bagna, w górę, do słońca, które skrzywdziło Florence. Zebrał wszystkie siły do ostatniego krzyku, dla niej, dla swej miłości. Krzyk przebrzmiał

w nicości, gdzieś między niebem a ziemią, gdzie wieczna rzeka Nil musiała mieć swoje źródło. W owej nicości, którą on z jakiegoś powodu postanowił za wszelką cenę odnaleźć.

Nicości, w imię której zapłacił teraz najwyższą cenę.

Florence.

Co? Co nim powodowało?

Łzy sprawiały, że Saad nie mógł utrzymać łopaty. Dwa razy

trafił ostrym metalowym brzegiem w swoją stopę. Bolało, płynęła krew. Ale z radością przywitał ten ból.

Pozwolił mu zapomnieć o poranionej duszy.

– Ciii – odezwał się Richaarn i otoczył go ramieniem. – Kop dalej, chłopcze. To nasz ostatni prezent dla *sitt*. Piękny grób.

Blisko tego przeklętego jeziora, które koniecznie chcieli znaleźć –

powiedział. Starał się, by jego słowa zabrzmiały odważnie, ale gdy Saad spojrział na Richaarna, jego zwykle połyskująca granatem skóra była popielatoszara. Na znak żałoby posmarował się

popiołem z wygasłego ogniska, zgodnie z tradycją swojego

plemienia. Ostro opiłowanymi zębami pogryzł do krwi pełne

wargi. Rana zasklepiła się powoli, tworząc niebiesko-czerwoną skorupę. Oczy w kształcie migdałów

były zapuchnięte od płaczu, a skóra na policzkach, między rytualnymi bliznami w formie półksiężyców, wilgotna od łez. Całe ciało miał przygarbione ze zgryzoty.

– Chodź, kop dalej. Ona ci kiedyś podziękuje. Nieważne,

dokąd teraz pójdzie – powiedział Richaarn i zaczął płakać. Saad skinął głową, ale dalej stał bez ruchu.

Patrzył na *sitt*, którą Sam ułożył pod krzewem w pobliżu chaty użyczonej im przez naczelnika wioski Parkani. Siedem dni minęło od chwili, gdy *sitt* osunęła się do bagna, jakby ktoś strzelił

jej prosto w serce. Siedem dni temu efendi wyciągnął ją na brzeg, jej szczupłe ciało było już sztywne jak deska.

– Porażenie słoneczne. To tylko słoneczne porażenie –

powtarzał w kółko, nacierał jej ręce, unosił w górę nogi i chłodził

czoło. Wszystko na nic. Efendi nie odstępował jej na krok. Szli dalej, a on pilnował jej noszy jak pies swojego pana. Dotarli do Parkani. Nocą Sam nie spał, tylko zmieniał jej chłodne kompresy na czole i zwilżał usta wodą. Raz otworzyła oczy, ale miała spojrzenie obłąkanej, wywracała oczami, uciekała wzrokiem, nic ani nikogo nie rozpoznawała. Jakby gorączka i słońce pomieszały jej zmysły. Efendi w dalszym ciągu wzbraniał się przed snem.

Nawet Richaarnowi nie udało się go przekonać.

– Co będzie, jeśli ona umrze, a ja nie będę czuwał i nie będę mógł jej powiedzieć *adieu*? – spytał

Richaarna, gdy ten próbował

zanieść go na posłanie. Richaarn zrozumiał i zostawił go, stapiając się jak cień z nocą. Później Sam wybrał miejsce na grób.

– Tutaj – powiedział, wskazując na porośnięte jasnymi

trawami miejsce między drzewami eukaliptusa. Zaczęli kopać, ale raptem z oddali usłyszeli głos hieny.

– Przestańcie, natychmiast przestańcie! – zawołał Sam. – Na Boga! Co będzie, jeśli ją tu pogrzebiemy, a jakieś piekielne zwierzaki ją odkopią? Musimy znaleźć coś innego!

Saad pokręcił głową i znów się rozpłakał.

– *Sitt* nie może umrzeć – powiedział cicho chłopak,

wycierając nos. Richaarn bez słowa podniósł kilof i zaczął uderzać w ziemię.

Jeszcze raz i jeszcze raz. Kopał grób dla swojej *sitt*.

Pac, pac, pac, pukało ostrze kilofa o miękką ziemię. Ten

odgłos przypominał bicie serca.

Pac, pac, pac. Dźwięk w swej niezmaconej regularności

przenikał do jej zmysłów, skapywał jak woda na kamień, spływał

do wnętrza i odbijał się echem w piersi, w której znów powoli i regularnie zabiło serce.

– Sam, co to jest? – wyszeptała.

Sam leżał tuż obok niej, twarz przy twarzy. Czowała drżenie

jego palców, gdy z wilgotnego od potu czoła odsuwał jej sklezione kosmyki włosów. Czowała smak jego oddechu, kwaśny ze zgryzoty.

Pocałował ją i znów się rozplakał. Dopiero później się odezwał:

– Twój grób, Florence. Kopia twój grób. Miałaś porażenie słoneczne. Wszyscy byliśmy przekonani, że umarłaś, tam na grzędawisku.

– Gdzie diabły Kamrasiego?

– Odeszli. Wszyscy. Też sądzili, że nie żyjesz.

Na jej ustach pokazał się wątki uśmiech.

– Jak mądrze postąpiłam. Gdzie jesteście?

– W Parkani. W odległości jednego dnia marszu od Luta

N'zige – odpowiedział Sam.

Florence nic nie powiedziała, tylko znów zamknęła oczy.

Pac, pac, pac.

– Mój grób? Już nie potrzeba. Powiedz im, żeby przestali.

Wolę jeszcze troszkę pożyć.

Pac, pac, pac. Raptem uderzenia ustały. Florence usłyszała, że Saad się roześmiał. Później zapadła w sen i spała ku życiu.

Sam westchnął i oparł się o pień drzewa, w którego cieniu

leżała jego ukochana i za sprawą jakiegoś niepojętego cudu nadal żyła. Miał wrażenie, że jego serce również się zatrzymało, a teraz zaczęło na nowo bić. Po chwili wstał i poszedł poprosić żonę wodza, by

ugotowała dla Florence zupę z perliczki i zboża.

Powinna mieć jeszcze dwa dni odpoczynku. Później muszą ruszać.

„Upokorzenie. Rozczarowanie. Drwiny. Wrogość. Kłamstwa.

Nienawiść. Groźby. Powstanie. Wojna. Choroby. Głód. Pragnienie.

Śmierć. Wszystko na siebie przyjąłem. A teraz jestem tutaj. Jutro.

Jutro wykąpię się u źródła Nilu. Jutro” – pomyślał Sam i

przyciągnął do siebie pogrążoną we śnie Florence.

Słońce jeszcze nie zdążyło wstać, gdy Sam spał ostrogami

swojego wołu. Przed sobą trzymał w siodle Florence. Zwierzę drgnęło i leniwie ruszyło do przodu. Na śniadanie żuli ziarna dzikiej kawy, a w wiosce udało im się dostać jaja. W żołądku czuł

jeszcze przyjemne ciepło sadzonych jajek. „Niemał prawdziwe śniadanie” – pomyślał. Brakowało jedynie bekonu, wędlin, piure z ziemniaków, grzanek, grillowanych pomidorów, no i oczywiście wędzonej ryby. Brakowało tylko łyka wody z Nilu!

– Naprzód! – zawołał.

Dzień budził się z przejrzystością oczyszczającą zmysły.

Wyostrającą je jak ostrze noża, gotowego przeciąć cienką ścianę dzielącą rzeczywistość od obłądu. W

oczy wciskało mu się całe piękno dzikiej okolicy, oszałamiało go. Przed nimi na tle nieba rozciągał się górski łańcuch, niebieski i szary, nie do pokonania.

Góry stanowiły południową granicę jeziora, tak przynajmniej zaklinał się wódz Parkani. Dalej, za doliną, którą właśnie

przemierzali, rozlewały się jego wody. Mocno przyciskał do siebie Florence, odsuwając na bok opadające nisko gałęzie ciernistych krzaków i bardzo uważając, by kapelusz przez cały czas był nisko spuszczone na jej czoło.

– Jesteśmy już na miejscu? – usłyszał jej szept.

– Niebawem, kochana, niebawem – odpowiedział.

Spijał wzrokiem wszystko, co widziały jego oczy, by nigdy

tego nie zapomnieć. Cały otaczający ich bezmiar.

Miał przed sobą ostatnie wzniesienie porośnięte niskimi,

ciernistymi krzewami. W górze na niebie para orłów zataczała koła. Kłębiły się obłoki. Jeszcze tylko

kilka godzin dzieliło ich od kolejnego deszczu.

Podniósł rękę. Tragarze z Parkani zatrzymali się, tak samo

Richaarn i Saad. Florence odwróciła się do niego ze zdziwionym wyrazem twarzy.

– To wzniesienie pokonamy z *sitt* sami. Zaczekacie tutaj na mój znak – powiedział Sam.

Mężczyźni posłuchali. Zdjęli z pleców pakunki, poruszali

obolałymi ramionami do przodu i do tyłu. Następnie przysiadłszy na piętach w cieniu akacji, śmiali się i cicho rozmawiali. Co najmniej sto razy wchodzili na ten pagórek, bo nad brzegiem Luta N’zige zbierali sól. „Nie rozumiem mnie – pomyślał Sam. – Sto razy tam się wspinali i sto razy nie pojęli, co widzą”.

Ujął Florence za rękę. Jej ciepłe palce wsunęły się miękko w jego dłoń.

– Chodź. Chodź ze mną – powiedział cicho. – To

najcenniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek mógłbym ci podarować.

Szła za nim w milczeniu, gdy uważnie stawiając stopę za

stopą, wspinał się na ostatnie wzniesienie przed jeziorem Luta N’zige. Spod ich nóg osuwały się kamyki.

Wczepiali palce w

sękate, wysuszone korzenie i krok po kroku, metr po metrze

zbliżali się do wierzchołka.

Sam odchylił do tyłu głowę. Słońce rozbiło jego spojrzenie

na wielobarwne kawałeczki.

– Tam, Florence – powiedział i wskazał na szczyt

wzniesienia. – Tam bije źródło naszej tęsknoty.

Posuwali się wolno. Sam wspinał się na wzgórze i prowadził

Florence za rękę do celu ich podróży, ciągnął ją z sobą do sławy, do wieczności, gdzie zostaną niezapomniani. Mieli teraz widok podobny do tego, jaki roztaczał się przed oczami orłów krążących wysoko nad ich głowami. Spojrzenia obojga wzniosły się ponad wszystko, co znał biały człowiek.

Patrzyli przed siebie, wiodąc oczami przez migotliwą płaszczyznę daleko u swych stóp, trzysta metrów w dół wzniesienia, wzdłuż wąskiej, zygzakowatej ścieżki, aż po wodę przejrzystą niczym szkło.

Powierzchnia jeziora

błyszcząca jak tafla czystego srebra. Niewielkie fale lizały plażę pokrytą jasnym, drobnym piaskiem. Na

horyzoncie wodę okalał

łańcuch gór delikatnie połyskujących błękitem. Luta N' zige.

Rozdział 16

Efendi i *sitt* nie szli, tylko biegli. Nie, nie biegli, ale unosili się w powietrzu, a właściwie płynęli, pomyślał Saad.

Trzeba przyznać, że płynęli dość wolno. Efendi szedł

pochylony, wspierając się na bambusowym kijku, a za nim powoli i z mazołem podążała *sitt*. Po każdym dwudziestu krokach odpoczywała, łapiąc oddech i zbierając na nowo siły. Saad wspiał

się za nimi na wzgórze i patrzył w dół na jezioro, dla którego ta dwójka ludzi zdecydowała się wszystko poświęcić i o mały włos musiałyby to uczynić.

„Dlaczego?” – zastanawiał się Saad i postanowił, że więcej

nie będzie sobie nad tym łamał głowy.

Po prostu. W końcu je znaleźli. Wszyscy szczęśliwie dotarli do celu, cali i przy zdrowych zmysłach.

„Teraz musimy tylko szczęśliwie wrócić do domu” –

pomyślał Saad i naraz poczuł, że też musi usiąść. Dostrzegł na sobie czyjś cień. To był Richaarn, który w milczeniu przykucnął

obok niego. Gładka masa czerni napawającej otuchą w mieniącym się świetle dnia, źródło siły na pozbawionej nadziei pustyni.

„Mając u boku Richaarna, w każdej chwili możemy wrócić

do domu” – przysła mu do głowy bezsensowna myśl.

Florence usłyszała chrzęst piasku pod swoimi stopami i

pozwoliła Samowi pójść przodem. Ucieszył ją widok krzaka akacji z kolczastymi owocami. Między młodymi pędami uwiły swe

gniazda wikłacze. Zatrzymała się i sięgnęła do kieszeni spodni, podartych na kolanach, z poszarpanymi brzegami nogawek i

częściowo poprutymi szwami. Jednakże kieszenie były całe,

podobnie jak to, co w nich znalazła. Trzy wstążki. Biała, czerwona i zielona. Barwy Węgier. Barwy jej ojczyzny. Starannie opłotła wstążkami jedną z grubszych gałęzi. Wiatr porwał wąskie pasma tkaniny i załopotał nimi. Florence wiedziała, że materiał nie oprze się długo jego harcom.

– Moja ojczyzna jest teraz wszędzie. Wszędzie tam, dokąd

poniesie mnie wiatr. Moja ojczyzna jest przy Samie – wyszeptła i poszła za nim ku brzegowi Luta N'zige.

Sam zdjął w biegu buty. Jego nagie stopy czuły szorstki

dotyk piasku, ostre brzegi kamieni kłuły go w podeszwy pokryte zrogowaciałą skórą. Czuł i nie czuł.

Wbiegł do wody i zaczął ją rozchlapywać, podnosząc wokół siebie fontanny kropel. Zerwał z siebie koszulę, zdjął spodnie i wzięwszy szeroki zamach, odrzucił

je na bezludną plażę. Czuł na sobie fale Luta N'zige, wodę

przenikającą jego skórę. Później zanurzył się w marzeniach.

Otworzył usta jak do krzyku, pełnego niewiarygodnego triumfu.

Poczuł w nich chłodny metaliczny smak. Przepelniony rozkoszą, łapczywie pił ze źródeł Nilu.

„To rybia wioska – skonstatował Sam. Chaty pachną rybami,

słona, zaskorupiała ziemia przypomina rybią łuskę. Ludzie

wdychają i jedzą ryby, mają je przed oczami we dnie i w nocy.

Nędzna dziura na brzegu Luta N'zige: Vacovia”. Szedł wolno

przez osadę. Nigdzie nie było widać mężczyzn, kobiety zaś

łoczyły się w grupkach, brały na ręce dzieci i uśmiechały się nieśmiało, ale przyjaźnie.

Ziemia wokół jeziora była zbyt słona, by mogło na niej

cokolwiek wyrosnąć. A więc to o tej soli opowiadali ludzie

Kamrasiego! Woda w jeziorze nie była słona, tylko jego białe, spękane brzegi. Sól wydobywano z dużych dołów, a mieszkańcy Vacovii zajmowali się handlem. W dziurkowanych naczyniach

wielokrotnie przepłukiwano wodą błotnisty piasek, aż do

uzyskania soli o gorzkawym smaku. O chaty stały oparte harpuny, grube na palec liny z włókna platanów suszyły się na słońcu, a wielkość haków zamocowanych na ich końcach świadczyła o

ogromnych potworach żyjących w toniach Luta N'zige lepiej niż jakakolwiek rybacka sieć.

Następnego dnia poranne powietrze zamknęło się wokół nich

jak ściana więzienia. Duszne, kleiste, przesiąknięte gorzkim zapachem soli.

„Nikt z nas nie jest w stanie się podnieść. Wszyscy zbyt

osłabieni gorączką. Saad, Richaarn, trzynastu tragarzy, cztery niewolnice, Florence i ja. Pozbawieni sił”

– zapisał Sam w swoim dzienniku, nim pióro wysunęło mu się z dłoni i potoczyło po rybiej ziemi wioski Vacovia. W zamian za woreczek pereł wódz

plemienia oddał im do dyspozycji kilka chat i podarował jedną ze świeżo złowionych ryb, dorównującą swymi rozmiarami

Richaarnowi. Sam wyciągnął przed siebie rękę. Wszystkie mięśnie mu drżały. Podniósł pióro, zanurzył je w grudkowatym od piasku atramencie i pisał dalej.

„Florence uważa, że powinniśmy opłynąć jezioro. Tak, Nil

wypływa z jeziora w Koshi w kierunku Gondokoro i Chartumu.

Ale trzeba udowodnić, że to właśnie Nil, a nie jakaś inna rzeka wpływa do jeziora w Magungo. Do jeziora, które na cześć

małżonka królowej chrzcę mianem Jeziora Alberta. Nil wypływa z Jeziora Wiktorii i Jeziora Alberta, składając hołd królewskiej parze. Niechaj źródła Nilu uwiecznią ich miłość”.

Ostatnie litery były prawie nieczytelne, sam to widział.

Zamierzał je jeszcze raz poprawić, ale popadł w omdlenie.

– Czy to już wszystkie kanu, jakie mają? – zapytał Sam,

kopiąc w spróchniały, rozlatujący się w kilku miejscach pień drzewa u swoich stóp. Za lepszych czasów mogłoby nim popłynąć około dwudziestu ludzi, ale dziś?

Wódz Vacovii wzruszył ramionami. Sam westchnął.

Zrozumiał. Jeśli chce dostać łodzie, musi zapłacić. Decyzja należała do niego, nie miał wyboru. Jego przewodnik z wołami wyruszył do Magungo, pieszo, w deszczu, który już teraz padał

regularnie po kilka godzin dziennie. Tymczasem podróż opóźniła się o kilka kolejnych tygodni, bo na brzegu jeziora znów dopadła ich gorączka.

Florence miała rację, musieli opłynąć jezioro.

Wódz wyciągnął rękę i Sam wsunął w gładkie, jasne wnętrze

jego dłoni trzy sznury najpiękniejszych opali.

Wódz był zadowolony.

– Wielka rzeka wpływa do jeziora w Magungo – potwierdził

przypuszczenia i szkice Speke'a. – Ale z Magungo nie będziecie mogli popłynąć w górę rzeki do wodospadów Karuma. Po drodze jest zbyt wiele uskoków, za dużo katarakt – poinformował, a później na odchodnym coś sobie przypomniał i jeszcze raz się odwrócił. – Uważajcie na siebie. Na jeziorze często szaleją straszliwe i niespodziewane burze. Wielu naszych najlepszych rybaków przez nie utonęło.

Sam skinął głową, nie skupiając się na jego słowach.

Wódz zaczął wybierać wiosłarzy dla Sama spośród mężczyzn

z wioski. Kilku zgłosiło się na ochotnika, inni zostali wyznaczeni.

Ponuro chwycili za wiosła i burty kanu, które zamierzali przenieść do jeziora. „Nie wyglądają na zbyt silnych” – pomyślał Sam i odwrócił się ku wodzie. Rozpoczął się kolejny etap ich wyprawy.

Mieli zdobyć ostatni dowód na to, że Nil w Magungo wpływa do Jeziora Alberta. W Magungo, tam gdzie czekał na nich przewodnik z wołami. Z wołami, które miały ich zawieźć z powrotem do

Gondokoro, bez zbędnej zwłoki. Z powrotem do domu. Do Anglii.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Florence pomagała Samowi mocować cienkie łozy do burt

licho połatanego kanu. Wiosłarze drugiej łodzi siedzieli w cieniu rybackiej chaty i grali w mankalę.

– Ciągnij, ciągnij! – wołał, z całej siły wyginając gałęzie tak, by można je było zamocować również po drugiej stronie łódki.

Następnie naciągnęli na tę konstrukcję skóry i pozszywali je z sobą na końcach. Dzięki temu mieli dach nad głową. Florence ostrożnie włożyła do łodzi kury, które udało jej się wytargować u kobiet w wiosce, sadowiąc je w sąsiedztwie kozy, przywiązanej przy

jednym z siedzeń. Kilka kur zaczęło trzepotać skrzydłami,

wskoczyło na burtę i w mgnieniu oka znalazło się w wodzie.

– Głupi kurzy naród – mruknęła Florence i wyłowiła jedną z

nich, podczas gdy inne zostały porwane przez fale i utonęły.

– Ależ bajeczna łódź. Prawie tak wygodna jak nasza

„Diahbiah”. Chodź, opłyniemy jezioro. Relaksująca perspektywa –

powiedział Sam.

Florence skinęła. Spojrzała w stronę położonych na

przeciwległym brzegu błękitnych gór, które dzisiejszego dnia były ledwo widoczne gołym okiem. Tafla

Jeziora Alberta musiała być usytuowana sporo niżej niż otaczający ją ląd. Jezioro zdawało się okolone szpicami szarych i czarnych skał, sięgającymi aż po ów łańcuch błękitnych gór, przed którymi teraz kłębiły się chmury.

Zwykle około czternastej zaczynał padać deszcz. Czyżby pogoda się zmieniała? Najlepiej zrobiją, jeśli zaraz wypłyną.

Nie miała pojęcia, skąd zerwał się wiatr. Musiał wiać od

chmur, które widziała rano. Chmur, które teraz wisiały tuż nad nimi, czarne i groźne jak zaciśnięta pięść gotowa do zadania ciosu.

Raptem łagodne kołysanie łodzi przeszło w gwałtowne kolebanie, nad którym nie sposób było zapanować. Florence pierwsza je

poczuła, unoszenie i opadanie na falach, niosące z sobą nową, tajemniczą moc.

– Sam, czujesz to?! – zawołała, przekrzykując wiatr, który na chwilę ucichł, by zaraz wrócić z niespodziewaną siłą, wpychając jej słowa z powrotem do ust.

Sam przytaknął skinieniem głowy i omijając pakunki, kury,

kozy oraz ludzi, przeszedł na przód kanu i zajął miejsce na dziobie.

Przyłożył do ust zwinięte dłonie i zawołał:

– Wiosłujcie! Wiosłujcie! Wiosłujcie, ludzie! Raz, dwa, trzy, wiosłujcie! Wiosłujcie, psiakrew!

Florence zauważyła, że Richaarn złapał za wiosło, pod jego

błyszczącą od potu skórą odznaczały się mięśnie, mocne jak liny rybaków z Vacovii. Pozostali mężczyźni starali się iść w jego ślady, ale nadaremnie.

Nadeszło prawie południe, a słońce runęło w przepaść

między chmurami. Na wodzie zrobiło się ciemno i zimno. Florence rozejrzała się dookoła. Nie było widać linii brzegowej.

– Jak daleko jesteśmy od brzegu? – zawołała przez wciąż

nasilający się wiatr do Sama, który gestami starał się zagrzewać wiosłarzy do działania.

Prawdopodobnie bardziej domyślił się jej słów, niż je

usłyszał, bo podniósł rękę i wyciągnął cztery palce.

„Cztery mile” – odczytała z jego gestu.

Cztery mile dzieliły ich od bezpiecznego lądu, od ratunku.

Niebo poczerniało. Stało się ciemniejsze i bardziej

niebezpieczne niż kiedykolwiek nocą. Nie dochodził do nich ani jeden promyk światła. Wiatr uderzył w dach łodzi, zaplątał się w nim i załopotał. W tym samym momencie rozpadał się deszcz,

gęsty niby opadająca kurtyna, odciął ich jak krata od reszty okolicy. Ulewa spadła na Florence bez ostrzeżenia. Biła ją po głowie i ramionach, w mgnieniu oka przemoczyła ją na wylot i przycisnęła do dna łodzi, gdzie przez burzę wlewały się już pierwsze strugi wody. Krzyknęła i próbowała się podnieść, ale nacierająca fala pchnęła ją na deski. Woda jeziora wdzierła się teraz do łodzi ze wszystkich stron.

Wydawało się, że ludzie stracili kontrolę nad wiosłami. Kanu obracało się w kółko jak bąk, podskakując bezradnie niby korek na potężnych falach jeziora.

– Wylewać wodę! Wylewajcie wodę! – usłyszała krzyk

Sama. Podał Saadowi i jej okrągłe puste muszle, z których zwykle pijali. Później znów zawołał:

– Wiosłujcie, ludzie, wiosłujcie! Do wiosł!

Florence nie wiedziała, jakim cudem starczyło jej sił do

wylewania wody. Unosiła i opuszczała ramiona, bezustannie, w nużącym, absurdalnym rytmie. Czerpała muszlą wodę, którą fale jeziora i deszcz natychmiast po stokroć uzupełniały. Niebo

przeszyła błyskawica, oświetlając świat wokół na jedną łaskawą chwilę.

W migoczącym świetle zobaczyła wyprostowaną postać

Sama i krzyknęła, widząc wznoszącą się za nim falę, wysoką jak dom. Zdawało się, że za moment woda go porwie i pochłonie na wieki.

– Sam! – krzyknęła. – Sam! Trzymaj się mocno!

Fala wtoczyła się do łodzi i popłynęła dalej. Dostrzegła, że w ostatniej chwili zdążył się przytrzymać.

Natomiast ona sama wynurzyła się obok przeraźliwie beczącej kozy. Zakrztusiła się, wypluwając z ust Luta N'zige. Później woda na chwilę opadła, pozwalając kilka razy napełnić i opróżnić muszlę. Florence zobaczyła, że Sam otworzył usta i coś wołał. Coś, czego nie dało się zrozumieć w huku grzmotów nad ich głowami, w łopocie

podartych skór uderzających o konstrukcję z gałęzi wśród wycia i pogwizdywania wiatru.

Mężczyźni wypuścili wiosła. Fale natychmiast je porwały i

połamały jak gałęzie. Nawet Richaarn ułożył głowę na kolanach i przykrył ją rękami w obronnym geście.

Florence zobaczyła, że drży. Drżał, podobnie jak ona, z osłabienia, z wyczerpania, z nędznego strachu przed śmiercią, drżał na całym ciele.

Jeszcze raz popatrzyła na Sama, który znów się wyprostował

i coś pokazywał. Odwróciła głowę pod wiatr i fale piany. W

ostrym świetle kolejnej błyskawicy dostrzegła wysunięty w jezioro cypel, a za nim jakiś kształt przypominający bezpieczną zatokę.

Bezpieczna zatoka pośród skalnych szczytów, które ostre niczym brzytwy, wrzynały się w czarne niebo, upuszczając zeń coraz więcej deszczu. Musiało jej się wydawać.

Sam wołał i znów pokazywał w tamtym kierunku. Nie, nie

przywidziało jej się, zatoka naprawdę tam była! Zerwał się szkwał, wielka fala pochyliła łódź na lewą burtę i rzuciła Florence na jednego z wiosłarzy. Wyciągnąwszy rękę, chwyciła za ramię

Richaarna. Ten drgnął i poderwał się. Jego oczy miały wyraz, jakiego dotąd nie znała. Strach?

Rezygnacja w sytuacji, która zdawała się bez wyjścia?

– *Sitt!* – zawołał nagle pod wiatr, jakby dopiero teraz ją rozpoznał.

– Richaarn, wytrzymaj! Tam! Musimy się tam dostać!

Nie zważając na wiatr porywający jej słowa, smagający

kosmykami włosów mokrą twarz i przesłaniający widok,

nieustannie wskazywała na kawałek lądu na wpół przysłoniętego chmurami i pogrążonego w ciemnościach. A może wcale go tam

nie było? Może widziała go jedynie oczyma wyobraźni?

Richaarn podniósł wzrok, popatrzył w kierunku cypla i

zatoki. Zobaczyła, jak ów widok wniknął w jego oczy, odnajdując drogę do serca, pozwalając odzyskać odwagę. Zobaczyła, jak znów chwycił za wiosło i zabrał się do pracy, z całej siły, podobnej do siły wołu. Wiosłował na przekór deszczowi, falom i porywom

wiatru, aż pod dziobem kanu dało się słyszeć chrzęst zbawiennej ziemi.

– Z następną falą wszyscy wysiadać! Podnieść łódź i

wyciągnąć na brzeg! – wołał Sam.

Kolejna fala przysła szybciej, niż można się było

spodziewać. Mężczyźni i kobiety wyskoczyli i natychmiast

zanurzyli się w pianie. Florence poczuła, jak jakaś bezwzględna dłoń ciągnie ją po kamieniach i nadbrzeżnym piasku. Wstała, krztusząc się i wypluwając wodę. Miała pokrwawione ręce i

poobdzierane ramiona.

Sam i Richaarn podnieśli i złapali łódź. Pozostali mężczyźni podpełzali do nich spiesznie, starając się uniknąć następnej fali.

Złapawszy kanu, stękając i potykając się, wynieśli je dziesięć metrów w górę plaży.

– Dobra robota. Dobra robota – powiedział Sam, a Florence zauważyła, jak prostuje nogi, by nikt nie dostrzegł ich drżenia.

Długo trwało, nim wiatr i deszcz się uspokoiły. Wreszcie

wokół nich pozostało jedynie ciężkie powietrze. Florence leżała obok kanu, mokra w mokrym piasku.

Patrzyła za siebie. Morze nadal wyglądało tak samo jak niebo, a niebo tak samo jak morze.

Chciała już zawsze tak leżeć.

– Rozstawcie angarep i rozpalcie ognisko. Tam dalej są chaty.

Sprawdźcie, czy gdzieś nie ma zakopanego ziarna – rozkazał Sam.

Leżała teraz na angarepie, wpatrzona w ciepły płomień.

Ramię Sama otaczało jej szczupłe ciało, czuła się o wiele lepiej.

Obok posłania siedział Richaarn. Nie powiedział ani słowa,

odkąd rozpalili ognisko. Florence zauważyła owo dziwne

spojrzenie, które utkwiał w rozżarzonych gałęziach.

Otwartą dłońią gładziła go po doskonale uformowanej łysej

czaszce. Wciąż i wciąż, tak samo jak zwykle głąskała któreś z gromadki czarnych dzieci, tak jak głąskała Saada, który teraz przylgnął do niej, przytulony na angarepie.

– Już dobrze – mruzczała – już po wszystkim.

Już po wszystkim.

„Nieraz tak myślałem podczas podróży po jeziorze Luta

N’zige i później” – skonstatował Saad, gdy nad ranem na

widnokregu pokazał się wreszcie obóz Kamrasiego i Ibrahima.

Szedł na początku wyczerpanego pochodu. Efendi ani na krok nie odstępował noszy, na których znów leżała *sitt*. Potykał się o własne nogi, podobnie jak pozostałych dziesięciu ludzi za jego plecami, którzy

teraz w forsownym marszu w ciągu jednej nocy pokonali drogę do M'rooli. Ostre trawy raniły obolałe stopy, a oczy piekły od wypatrywania w ciemnościach niewyraźnego szlaku. Wstawał

blady świt, na gałęzi wysokiego platana pokrzykiwała siewka. Z

obozu Ibrahima, położonego poza granicami M'rooli, unosiły się pierwsze delikatne pasma dymu. To dobrze, na pewno zdążył już wrócić z Gondokoro.

Siewka jeszcze raz się odezwała.

„Cierpliwości, głupi ptaku – pomyślał Saad. – Jestem

pewien, że dzisiaj spadnie więcej deszczu, niżbyś sobie życzył”.

– Obóz! Efendi, obóz! Udało się! – zawołał chłopak i ku

własnemu zaskoczeniu podskoczył z radości.

Sam włożył do ust dwa palce i wydał ostry gwizd, jeden, a

później jeszcze drugi. W wysokich trawach za nimi coś

zaszeleściło i dwie antylopy, spłoszone hałasem, wielkimi susami zerwały się do biegu. Sam się uśmiechnął.

– Kto wie, inaczej Ibrahim mógłby kazać otworzyć do nas

ogień – mruknął i na wszelki wypadek jeszcze raz zagwizdał.

– Salwa! Salwa! – wołali mężczyźni idący obok niego,

mierząc lufami w powietrze. Z obozu też odpowiedziały im

powitalne salwy. Sam Ibrahim wybiegł szybko ze swojej chaty, z zaspną twarzą, z niedowierzaniem patrząc w kierunku efendiego i *sitt*. Za nim wyszły jego żona z plemienia Bari i mała córeczka.

– Baker efendi! A więc żyjesz! W Gondokoro wszyscy się

zarzekali, że umarłeś w drodze do swojego wielkiego jeziora. I *sitt*!

Podbiegł do noszy Florence i padł przed nią na kolana.

Czarne oczy utkwiał w jej bladej twarzy. Saad widział, że Ibrahim domyślił się wszystkiego, co się wydarzyło, nie potrzebował

dodatkowych wyjaśnień. Przysunął dłoń Florence do swoich warg w niemym geście uwielbienia.

– Żadna kobieta na świecie nie ma w sercu tyle odwagi co ty, *sitt*. Chwała Allahowi. *El Hamdu lillah! El Hamdu Lillah bil Salaama!* Dzięki niech będą Allahowi, bądź mu wdzięczna!

Za jego plecami mężczyźni odpalili kolejną salwę. Saad

zauważył, że w kilku chatach leżą wysokie stosy kości słoniowej.

Było ich tak dużo, że białe kły wystawały z niskich wejściowych otworów. A więc podróż do kraju Kamrasiego opłacała się

Ibrahimowi i jego panu Koorshidowi Adze, tak jak obiecywał

efendi. Za chatami otwierał się plac. Saad wyciągnął szyję i nadstawił uszu. Słyszał brzęk łańcuchów.

Oczywiście. Ibrahimowi obiecano nie tylko kość słoniową, ale również niewolników. Dużo, bardzo dużo niewolników, którzy mieli odbyć krwawą wędrówkę do Gondokoro.

Znów rozległ się huk wystrzału, a powietrze zrobiło się

ciężkie od dymu.

– *El Hamdu lillah! El Hamdu lillah bil Salaama!* – wołali teraz wszyscy.

Sitt leżała w milczeniu na noszach. Efendi zaklął. Kilka kul trafiło w piasek tuż pod jego stopami.

Ibrahim położył mu rękę na ramieniu.

– Chodź, bracie – powiedział. – Każę zabić wołu. Twoja żona powinna się napić zsiadłego mleka z miodem, które przywróci jej siły. Później przyjdzie do obozu Kamrasi. Tymczasem zobaczcie, co przywiozłem dla was z Gondokoro.

– Kamrasi? Czy wie, że udało się nam wrócić? – spytał

efendi.

Ibrahim przestąpił z nogi na nogę.

Jego dżubba poruszyła się przy tym ruchu jak żagiel na

wietrze.

– Nie, przyjdzie z innego powodu – odparł krótko, nie

kontynuując tematu. – A teraz obejrzyjcie prezenty.

Pochylił się i podał Samowi pęk listów, które oczekiwały na niego w Gondokoro, razem z najnowszym wydaniem „Puncha” i

„Illustrated London News”. Poza tym położył przy noszach

Florence belę materiału. Dotknęła tkaniny i uśmiechnęła się. Nowe suknie!

Saad dostrzegł, że Ibrahim gładzi z ociąganiem brodę i wciąż zerka ku horyzontowi za ich plecami. W

końcu jednak

zmarszczywszy czoło, zwrócił się do efendiego.

– Gdzie twój wielki Murzyn? Gdzie jest Richaarn?

Sitt zamknęła oczy. Efendi spuścił głowę i otarł twarz wnętrzem dłoni. Saad poczuł napływające do oczu łzy.

Nikt nie miał ochoty udzielić Ibrahimowi odpowiedzi.

Nikt nie chciał sprawić, by okropne przypuszczenie stało się prawdą, gdy wypowiedzą je głośno.

„To koniec” – pomyślał Saad, gdy na Jeziorze Alberta ich

kanu nareszcie przybiły do Magungo. Zgodnie z oczekiwaniem

przewodnik z wołami czekał na nich na miejscu, nie uciekł, jak to bywało w tubylczym zwyczaju.

Tymczasem zwierzęta kasłały i

cierpiały na biegunkę. Były chore i w takim stanie nie można było ich zjeść. Żołądki skręcały im się z głodu, gdy przyglądali się uczcie sępów rozszarpujących padlinę.

„To koniec” – uznał Saad, gdy rzeka, która w Magungo miała

być Nilem, okazała się leniwym, nieruchawym ciekim. Jakim

cudem tamta wirująca, wzburzona woda z wodospadów Karumy

miałaby kilka kilometrów dalej przejść w owo spokojne ujście?

Wreszcie po pewnym czasie, gdy efendi w milczeniu wpatrywał

się w rzekę, zauważył lilie wodne, które woda powoli, ale

nieprzerwanie unosiła w kierunku Jeziora Alberta w Magungo.

– Porusza się! Lilie się poruszają! Nurt! Tu jest nurt. To Nil, do diaska, Nil.

Efendi zaczął tańczyć z *sitt* milczący, zwariowany taniec, którego rytm i melodia brzmiały wyłącznie w jego głowie.

– Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy – liczył, obracając się w koło czterema dużymi krokami. Tańczyli, dopóki *sitt* starczyło tchu, co w jej stanie nie trwało zbyt długo. Później, nie przestając śpiewać, śmiać się i całować, wzniesli wodą toast, a *sitt* się nawet rozplakała.

„Wszystko skończone” – doszedł do wniosku, gdy musieli

przybić do pełnej zarazy, bagnistej, płaskiej, pozbawionej życia wyspy Patoan i żadne z tubylczych

plemion nie chciało im

udzielić pomocy. Chętnie przewieźli ich na drugą stronę jeziora, lecz wyłącznie za odpowiednią opłatą złożoną z najcenniejszych sznurów opali, uiszczoną z góry, później zaś zostawili ich samym sobie na śmierć głodową. Przez ponad dwa miesiące *sitt* i efendi leżeli w opuszczonych chatach. Odżywiali się owsianką, bo

Saadowi udało się odkryć w jednej z chat zakopany spichlerz ze zbożem. Kleik mieszał z gorzkim dzikim szpinakiem. Czasami Saad miał szczęście i udawało mu się trafić na odrobinę dzikiego miodu, który przynosił, szczęśliwie uchodząc z życiem przed atakiem morderczych pszczoł. Z kolei efendi gotował napar z dzikiego tymianku, który przekornie nazywał herbatą.

„Wszystko skończone” – pomyślał, gdy *sitt* i efendi

postanowili wyruszyć na morderczą wędrówkę do M’rooli, do

Kamrasiego. Mieli wybór, mogli zostać i niechybnie umrzeć albo wyruszyć z nikłą nadzieją na przeżycie.

M’rooli. Tam, gdzie powinien być już Ibrahim.

W przeddzień wymarszu Richaarn skontrolował pakunki.

Saad widział, jak z satysfakcją kiwał głową. Dobrze, wszystko było mocno powiązane, gotowe do drogi, spusty broni porządnie owiązane nieprzemakalną tkaniną.

Saad słyszał, jak Richaarn zwraca się do efendiego:

– Daj mi broń. Jeszcze raz przejdę się do wiosek, może uda

nam się znaleźć tragarzy.

Sam dał mu swojego pudreya i z obawą popatrzył w niebo.

Było ciemno, sierp księżycy w nowiu jedynie od czasu do czasu przebijał się przez chmury. Na firmamencie nie było gwiazd.

– Wróć zaraz, musisz się dobrze wyspać – powiedział do

Richaarna.

Richaarn wymknął się w noc, z którą w mgnieniu oka zlał się w jedną całość. Czekali.

Richaarn nie wrócił.

Nadal czekali. *Sitt*, efendi i Saad. Wszyscy.

Richaarn nie wrócił.

Przed wschodem słońca Saad wybiegł na poszukiwania. Nie

uszedł daleko, gdy na wąskiej ścieżce, wydeptanej wśród

wysokiego sitowia, natrafił na kałużę krwi i roztrzaskaną kolbę pudreya. Wokół krwi roiły się chmary much, a na jednym z

drewnianych odłamków wyraźnie było widać wyryte inicjały

efendiego. Pod kroplami krwi, której odpryski były widoczne również na rozbitej rękojeści.

Saad usiadł na piasku ogrzanym promieniami wschodzącego

słońca, tuż obok kałuży zgasłego życia Richaarna. Piekł go oczy.

Dopiero po kilku chwilach zaczęło do niego docierać, co się wydarzyło. Co on, a właściwie oni wszyscy mieli teraz począć?

Bez Richaarna. Czerwono-czarna, pomieszana z piaskiem ciecz na ziemi u jego stóp wyglądała bardzo nierzeczywiście. Czy to mogła być krew tego potężnego mężczyzny? Czy wszystko w życiu tak po prostu się kończyło? Jak się kiedyś urwie jego własne życie? To mogłoby się stać każdego dnia. Cud, że dotąd się nie zdarzyło.

– To koniec – wymamrotał, zbierając drewniane drzazgi,

które potem zaniósł efنديemu i *sitt*.

Florence posłusznie otworzyła usta, gdy drewniana łyżka

zbliżała się do jej warg. Był na niej biały kremowy płyn podobny do ajranu. Kobieta, którą Ibrahim przydzielił jej do posługi, uśmiechała się do niej z sympatią.

– Musisz jeść, pani. Musisz nabrać ciała dla efنديego –

odezwała się.

Florence spróbowała się uśmiechnąć. Była zbyt słaba.

Kobieta napełniła jej usta kremem. Miał smak mleka, soli i

krowiego moczu, którym ludzie Kamrasiego czyścili swoje

naczynia. Naczynia, w których świeżo udojone mleko zsiadało się w ciągu kilku godzin. Następnie ubijano je na pianę i

przyprawiano solą z Luta N'zige. Dzięki temu stawało się

lekkostrawne i dawało siłę.

Florence przełknęła zawartość łyżki. Mleko, sól i uryna

spłukały smak czarnej owsianki z gorzkim szpinakiem, która w ciągu ostatnich tygodni stanowiła

podstawę jej pożywienia.

Przełykała łyk za łykiem. Czuła smak życia. Wyborny smak.

Przymknęła oczy i zasnęła, po raz pierwszy od długiego czasu czuła sytość w żołądku.

– Dziękuję – wyszeptała jeszcze. Później już nic nie mówiła, a jej oddech stał się głęboki i regularny.

Nie widziała, jak kobieta się odwróciła, gdy Ibrahim stanął w drzwiach chaty. Miękkie światło późnego popołudnia rozmyło

zarys jego postaci. Nie widziała, jak Ibrahim wciska dziewczynie do ręki kilka perełek z czerwonej porcelany i nakazuje:

– Idź i kup więcej mleka. *Sitt* musi jak najwięcej jeść. Musi odzyskać siły.

Florence przebudziła się późnym rankiem następnego dnia i

miała wrażenie, że nadal śni.

„Albo to prawda, albo postradałam zmysły” – powiedziała do

siebie w myślach.

Zamknęła oczy i znów je otworzyła. Nie, przed sobą wciąż

miała ów obraz, który wydał jej się sennym marzeniem. To był

Sam, bez wątpienia, umyty i ogolony. Ale w co był ubrany?

Naturalnie. Miał na sobie ten sam strój, gdy wychodzili z portu w Chartumie. Odświętne ubranie ze swojego kraju. Stał pośrodku chaty krytej strzechą i przeglądał się ze wszystkich stron w ostatnim lustrze, jakie im jeszcze zostało. Obrócił się. Jego stopy udeptywały ziemię, którą poranny deszcz zamienił w błoto. Przez chatę przemknął spłoszony szczur, termity rozłożyły skrzydła, a gekon śledził nieruchomym spojrzeniem jego ruchy.

Florence nieporadnie ukryła twarz w poduszce i zachichotała.

Mężczyzna w lustrze wiernie powtarzał wszystkie ruchy

Sama, ale szkło było wklęsłe i wydłużało jego sylwetkę.

– Sam, wyglądasz jak strączek fasoli odziany w kilt! –

zażartowała. Schowała twarz w poduszkę i śmiała się do utraty sił.

Bolały ją boki i łzy spływały jej po policzkach.

Sam też zaczął się śmiać. Obrócił się wokół własnej osi i

podskoczył do góry, żeby się w całości obejrzeć.

– W centralnej Afryce wygląd ma wielkie znaczenie! W

przeciwym razie po co wojownicy z Tarrangolle przez osiem lat splataliby sobie włosy w misterne konstrukcje? Po co rozczinaliby swoim kobietom dolną wargę i wkładali im w płatki uszu

olbrzymie obręcze?

„Albo robią im jeszcze inne rzeczy” – dodała w duszy

Florence, ale nie powiedziała tego głośno.

Sam jeszcze raz obrócił się przed lustrem. Niebiesko-zielony kilt zawirował w powietrzu, podkolanówki z jasnej wełny nie przylegały tak dobrze jak kiedyś do jego szczuplejszych, a

jednocześnie mocniej umięśnionych łydek. Sztylet *skean dhu* zaginął gdzieś po drodze, a pas z małą myśliwską torbą, tak zwanym *sporraniem*, po tygodniach głodówki nad jeziorem musiał

zapiąć o trzy dziurki ciaśniej. Jedyne czapkę na głowie miał tak samo zawadiacko przekrzywioną jak na samym początku ich

podróży.

– W tym stroju mogę dziś śmiało stanąć naprzeciw

Kamrasiego. Mogę go prosić o tragarzy. Wyruszymy do

Gondokoro najszybciej, jak to tylko możliwe. Mamy koniec

kwietnia. Deszcz z każdym dniem będzie przybierał na sile. Jeśli jutro lub pojutrze ruszymy z tragarzami i wołami, wówczas może nam się udać. Dotrzemy do łodzi w Gondokoro, zanim wypłyną do Chartumu. Do Chartumu, Florence! – powtórzył.

Sam usiadł obok niej na noszach, przyciągnął ją do siebie i zamknął w ramionach. Poczowała skórzany rzemień na jego szyi.

Gdy przycisnął ją do siebie, coś ucisnęło jej piersi. Jakiś twardy, okrągły przedmiot zawieszony na rzemieniu.

– Sam, co to jest? – zaciękała się i sięgnęła ręką do jego koszuli. Tymczasem on chwycił jej dłoń i szybko ucałował jej palce.

– Talizman przynoszący szczęście. Nic więcej. Chodź, umyję

cię i pomogę ci się ubrać – zmienił temat.

Uniosła brwi, ale nie dopytywała się więcej.

Sam wstał i Florence usłyszała, jak zawołał na zewnątrz chaty.

– Saad, przynieś ciepłą wodę dla *sitt*!

– Jak tylko pomyślę, że musiałam zrezygnować z mojej

wanny, podczas gdy ty wciąż masz swój kilt! – powiedziała z udanym oburzeniem i roześmiała się.

– Po prostu trzeba wyznaczać priorytety – odparł i ściągnął

jej przez głowę koszulę, a następnie delikatnie pocałował jej szyję w miejscu, w którym stykała się z obojczykiem. Poczuła, jakby jej skórę musnęły skrzydła motyla.

Florence cicho westchnęła.

Jak wspaniale było znów czuć siłę. Siłę, by żyć, by kochać.

Do chaty wślizgnęła się młoda dziewczyna i ustawiła obok

noszy drewnianą misę napełnioną gorącą wodą. Sam zanurzył w niej kawałek materiału pochodzący z jednej z jego podartych koszul, a następnie dokładnie go wyżał.

– Zamknij oczy – powiedział cicho. Usłuchała. Czują

przyjemny dotyk ciepłej szmatki przesuwającej się po jej twarzy, uszach i szyi. Słyszała łagodny plusk, gdy Sam znów zanurzał

materiał w wodzie, a później go wykręcał. Znów i znów.

– Jakże jesteś piękna, Florence – powiedział cicho.

– Jestem jak wychudzony kot. Zobacz, prawie nie mam

piersi. Moje piękne piersi znikły.

Chciała się roześmiać, ale nie bardzo jej wyszło.

– W takim razie jesteś najpiękniejszym wychudzonym kotem

na świecie. Pij więcej mleka, a twoje piersi wrócą na swoje miejsce – odparł krótko, następnie odłożył

na bok szmatkę,

pochylił się nad nią i zamknął wargi na jednej z jej piersi. Ręką pieścił jej skórę, delikatnie jak oddech wieczornego wiatru w liściach płatanu.

Florence objęła ramionami jego szyję.

– Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś będziemy to robili, że
kiedykolwiek będziemy mieli dość siły, żeby znów się kochać –
szepnęła i poczuła łzy napływające jej do oczu.

– Na Boga, ostatnią rzeczą, jaką chcę w życiu zrobić, to
właśnie kochać się z tobą – odpowiedział Sam bez namysłu.

Poczuła na brzuchu dotyk jego palców, później między nogami. Za chwilę łagodnie i ostrożnie się w nią
wsunął.

– Czy mógłbyś najpierw zdjąć kilt? Drapie mnie – jęknęła

Florence i szerzej otwierając uda, zaczęła ssać jego szyję.

Sam się roześmiał, podniósł się raptownie i odrzucił kilt na biodra.

– Prawdziwy Szkot nigdy nie musi zdejmować kiltu. Nawet
do miłości! – sapnął.

Florence wydała zdziwiony okrzyk, gdy szybkim ruchem

gwałtownie podciągnął ją do góry, na siebie. Jej wnętrze ułożyło się wokół niego jak pierścień, otoczyła
mu szyję ramionami, a jego usta nie odrywały się od niej nawet na jeden oddech, jeden ruch.

Poruszał jej biodrami, odsuwał ją od siebie i przyciągał, powoli i z rozkoszą wzmagał jej pożądanie.

Rozluźniła uścisk wokół jego szyi i wyprężyła do tyłu plecy. Jej długie rozpuszczone włosy opadły na
słomianą matę przy posłaniu, biodra silnie przywarły do jego bioder, mocno zacisnęła uda wokół jego
pasa. Nagłym

ruchem przyciągnął ją do siebie, szerzej rozsuwając jej uda, tak że poczuła go całego, głęboko w
najsłabszym miejscu swego ciała.

Napierał na nią raz za razem, aż wreszcie odchyliła do tyłu głowę i zagryzła wargę, tłumiąc krzyk.

Uczucie, które ją ogarnęło,

przypominało pierwsze promienie słońca opływające członki po długiej, zimnej nocy. Jak łyk miodu
wyssanego prosto z

pszczelego plastra przez wygłodniałe usta po niezliczonych dniach głodu. Jak gorąca kąpiel po wielu
tygodniach wędrówki wśród pełnych kurzu bezdroży. Jak wszystko, co kiedykolwiek pragnęła poczuć.

Przez chwilę trzymał ją w objęciach, a następnie ułożył na

posłaniu i uklękawszy, oddał się rozkoszy. Później ona trzymała go w ramionach. Poczuła drapanie kiltu,

ale tylko się uśmiechnęła.

– Muszę pić więcej mleka – wymruczała Florence. – Dużo więcej mleka.

„Wtedy znów będę mogła popatrzeć na swoje odbicie w

lustrze – dodała w myślach. – Moje policzki znów się zaokrąglą, skóra się wygładzi i odzyska blask, a z oczu zniknie ten dziwny, rozpaczliwy wyraz”.

W tym momencie z oddali dotarło do nich dudnienie bębnow i dźwięk rogów.

– Nadchodzi Kamrasi. Potrzebujemy tragarzy, żeby jak najszybciej wyruszyć – powiedział Sam i uniósł rękę.

Florence uderzyła dłonią w jego dłoń.

– Tragarze i szybko w drogę – powtórzyła za nim.

– A więc dotarłeś do Luta N’zige. Czy dzięki temu stałeś się szczęśliwszy? Wyglądacie oboje na bardzo wygłodzonych –

odezwał się Kamrasi bez wstępów. – Jak szkielety – roześmiał się z własnego dowcipu, a jego świta pospiesznie mu zawtórowała.

Ale w tym śmiechu nie było radości. Wódz uniósł dłoń i tłum natychmiast zamilkł.

Twarz Kamrasiego przybrała wyraz powagi. Jak zwykle

siedział na miedzianym tronie, a jego szata uszyta z kozich skór była czysta i spływała miękkimi fałdami na stopy. Podniósł

zachęcająco rękę.

Sam przełknął gniew i skłonił głowę.

– Uprzejmie dziękuję, wielki królu. Podróż się opłaciła. A

moje lustro powiedziało mi dziś rano, że całkiem nieźle się prezentuję – odparł, unosząc dumnie podbródek.

– Twoje co? – zdumiał się Kamrasi. – Lustro? Chcę je

zobaczyć, cokolwiek by to było.

Sam zagryzł wargi i westchnąwszy, zawołał za siebie:

– Saad, przynieś lustro.

Król oglądał się ze wszystkich stron w szklanej tafli i śmiał się co chwila na widok zniekształconego odbicia swojej twarzy.

– Chcę to mieć! – zawołał oczarowany swoją osobą. –

Odbijam się tak samo jak w rzece. Zamknąłeś w nim wodę!

Bajecznie!

Raptem Kamrasi wstał i nie czekając na zaproszenie,

szybkim krokiem skierował się do chaty Sama.

– Zobaczmy, co jeszcze tu masz! – roześmiał się

ukontentowany.

Sam, Florence i Saad wymienili między sobą szybkie

spojrzenia. Wszystko, co było dla nich cenne, schowali u Ibrahima.

Po odgłosach dochodzących z chaty zorientowali się, że Kamrasi przetrząsa ich rzeczy. Zdawało się, że przewrócił posłanie i wyciągał nieliczne skrzynki i paczki, które udało mu się znaleźć.

Brzęczały rozsypywane perły, dzwoniły garnki, trzasnął drewniany zydel.

Następnie usłyszeli przekleństwa. Sam stłumił uśmiech.

Kamrasi wyszedł na zewnątrz i opadł na tron. Na jego

szerokiej twarzy zagościł wyraz niezadowolenia. Palce

wystukiwały szybki, niebezpieczny rytm na gałkach wieńczących podłokietniki tronu.

– Efendi, po co chcesz ode mnie tylu tragarzy, jeśli nie masz nic do niesienia? – zapytał podchwytliwie.

Sam się nie ugiął.

– Daj mi tragarzy. Chcemy jutro wyruszyć do Gondokoro.

Przy odrobinie szczęścia zdążymy złapać łodzie, nim przed

wielkimi deszczami odpłyną do Chartumu.

Kamrasi odchylił głowę i roześmiał się.

– Jutro? Chcecie jutro wyruszyć? Biały człowieku,

rozbawiasz mnie bardziej niż wszyscy ludzie, których

kiedykolwiek spotkałem! Posłuchaj – pochylił się do przodu w specyficzny sposób, który sprawiał, że jego ludzie zawsze trwożnie się cofali przed tym gestem. – Nikt się stąd nigdzie nie ruszy –

oznajmił Kamrasi bez ogródek.

Sam nie zdążył nic odpowiedzieć, bo nagle rozległo się tępe dudnienie. Miał wrażenie, że dobiegało ze wszystkich stron.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, o co chodzi.

– Nogary! Bębny wojenne – usłyszał szept Florence.

Kamrasi wychylił się do przodu.

– Tak, nogary. Mój brat Rionga nas zaatakował. Ale nie jest sam. Razem z nim idzie stu pięćdziesięciu ludzi tego Amabile del Bona, którzy już w zeszłym roku na nas napadli. Są uzbrojeni po zęby. Zanim wspomagani przez wasze strzelby nie wygramy

wojny, nikt się stąd nie ruszy!

Sam przełknął ślinę.

„Amabile del Bono” – powtórzył w myślach.

Usłyszał głębokie westchnienie Florence.

Wydawało mu się, że wyszeptała imię del Bona, ale nie był

tego pewien.

– Jak długo trwała ostatnia wojna z Riongą? – zapytał

Kamrasiego.

Król wyszczerzył zęby.

– Ostatnia prawdziwa wojna? Pięć lat. Mam nadzieję, że tym

razem z waszą pomocą pójdzie szybciej... Albo razem odniesiemy zwycięstwo, albo razem umrzemy, obaj, z twoją bronią w rękach.

Sam nie mógł nic powiedzieć. Nie mógł nawet myśleć.

Mieszanie się w wojnę między handlarzami niewolników i

afrykańskimi książętami nie należało do jego zadań. Bicie nogary wciskało się w jego uszy, w całe ciało.

Wreszcie się opamiętał i wyparł z umysłu hałas bębnowy, ich narastające dudnienie.

Pokręcił głową.

– Nie, Kamrasi. Nie dostaniesz moich strzelb. Ale dam ci za to coś innego. Coś o wiele potężniejszego od całej broni tego świata.

– A cóż to takiego? – mruknął ponuro król. Wydał wargi i ze świstem powoli wypuszczał powietrze.

– Moja flaga. Flaga brytyjskiego imperium – oznajmił Sam.

Rozdział 17

Słońce właśnie wstało. Sam wyszedł z Florence przed ich małą chatę, wokół której kazał urządzić ogrodzony podwórzec.

Florence przymrużyła oczy, patrząc w jasne promienie słońca, i rozejrzała się po placu, na którym Saad rozwijał właśnie brytyjską flagę. Materiał był przybrudzony i postrzępiony na końcach. Pośrodku placu wznosił się wysoki maszt, który Sam kazał zbudować ze ściętego platana.

Odchyliła do tyłu głowę. Saad wciągał flagę przymocowaną do sznura z platanowego łyka. Brytyjski Union Jack łopotał na szczycie masztu, wciągnięty na rozkaz Sama. Wyraźne barwy

granatu, bieli i czerwieni odbijały się na tle bladego jeszcze błękitu nieba.

Zerknęła na Sama. Widok flagi jego państwa zawsze sprawiał mu nieopisaną przyjemność. Tymczasem dzisiaj był blady i zaniepokojony, w napięciu spoglądał na zawieszoną u góry tkaninę. Gdy wiatr porwał flagę i załopotał, tchnąwszy w nią życie, Sam odwrócił się do Kamrasiego. Król stał obok niego z ponurą miną, w niedbale zapiętym kilcie, który przed laty odebrał Speke'owi.

– Wyślij posłańca do ludzi del Bona. Powiedz im, że Baker efendi chce się widzieć z ich dowódcą. I to jak najszybciej. To rozkaz.

Kamrasi skinął i przekazał polecenie swoim ludziom. Jeden z mężczyzn oddalił się biegiem. Kamrasi patrzył za nim. Później odwrócił się do Sama.

– Spójrz, ja też włożyłem swoją spódnicę. Dzięki temu

podczas ucieczki będą szybciej biegł.

Florence zauważyła, że Sam pokręcił głową.

– Prawdziwy król nie myśli o ucieczce. Poczekaj i zobacz, co się wydarzy.

Kamrasi skinął ponuro.

Amabile del Bona nie było wśród mężczyzn siedzących w

półkolu wokół Sama na podwórzu przed chatą. Florence przez cały dzień była zaniepokojona. „Gdy go zobaczę, będę musiała go zabić

– myślała. – Drugi raz nie pozwolę temu potworowi się

wymknąć”. Już sama myśl o nim budziła w niej strach.

Wspomnienie miękkiego kapelusza z szerokim rondem, spojrzenie jego oczu, które Saad porównał do stoczonej przez robaki gujawy.

Jej kojarzyło się z cętkowanym futrem leoparda, morderczo

przyczajonego, czekającego wśród gałęzi na swoją ofiarę. Samo jego imię przypominało Florence przerażającą bezradność, jaką czuła wtedy w tamaryndowym gaju. Nigdy nie opowiedziała

Samowi o tamtym zdarzeniu. Amabile del Bono był diabłem,

którego sama musiała pokonać.

Jednakże Maltańczyka nie było wśród dziesięciu handlarzy

przybyłych do M’rooli.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy mężczyźni ze

skrzyżowanymi nogami zasiedli wokół Florence i Sama. Wat-El-Mek, nowy dowódca del Bona, podwinął dżubbę i skłonił głowę.

Zabrał głos.

– To naprawdę ty, Baker efendi. I twoja *sitt* też wciąż żyje.

Doszły nas słuchy, że dawno umarliście.

– I właśnie z tego powodu będziemy się cieszyli jeszcze

dłuższym życiem – odparł krótko Sam. – Allah czuwa nad nami i nad naszymi przedsięwzięciami – dodał.

– Czego tu chcecie?

Czego chcecie od króla Kamrasiego? – zapytał, częstując

zebranych kawą i tytoniem, który kazał Kamrasiemu przygotować.

Stał teraz na środku. Jego kilt układał się w schludne fałdy, a Florence była zadowolona, że poprzedniego dnia kazała wyprać mu koszulę. Wyglądał władczo, gdy tak przemawiał do

przycupniętych, siorbiących mężczyzn.

Wat-El-Mek wzruszył ramionami.

– A czego moglibyśmy chcieć? – odpowiedział. –

Niewolników i kości słoniowej. Rionga obiecał nam, że

dostaniemy całą kość słoniową i wszystkich niewolników, jeśli zaatakujemy i zabijemy jego brata Kamrasiego. Del Bono chce przejąć kontrolę nad handlem w Unioro. Tu jest dużo kości

słoniowej.

Sam wyprężył ciało i wziął głęboki oddech. Później nawet

Florence się przestraszyła, gdy raptem zaczął krzyczeć.

– To obrzydliwe zuchwalstwo! Ten kraj należy do Anglii!

Ten kraj należy do mojej królowej! Odkryłem go w jej imieniu! –

to mówiąc, wskazał na tańczącą na wietrze flagę, z łopotem

uderzającą o maszt. – Powierzyłem handel Ibrahimowi! Kto

atakuję Kamrasiego, napada na mnie i na Anglię. Wat-El-Meku, jeśli każesz oddać choćby jeden strzał, weźmiesz choć jednego niewolnika czy zabierzesz jeden jedyny kiel, wówczas rozpęta się wojna. Wojna, rozumiałeś, co powiedziałem? Nie okazę ani krzty litości. A później wniosę na was wszystkich skargę do tureckiego gubernatora w Chartumie.

Florence stłumiła śmiech. Turecki gubernator był jeszcze

większym łotrem niż Amabile del Bono, wszyscy o tym wiedzieli.

Mimo to groźba odniosła pożądany skutek.

Wat-El-Mek przeżuwał, przełykał ślinę i namyślał się.

Zerknął na Sama, a później popatrzył do góry na brytyjską flagę łopoczącą na niebie nad królestwem Kamrasiego. Florence

dokładnie wiedziała, co się działo w głowach mężczyzn. Stał przed nimi człowiek, z którego wszyscy stroili sobie żarty. Biały, który nie chciał kości słoniowej ani niewolników. Człowiek, którego

przedsięwzięcie za wszelką cenę starali się uniemożliwić.

Człowiek, który osiągnął swój cel i nadal żył. Człowiek, którego mroczne przepowiednie się spełniły.

Wszystkie, każda z nich.

Opowieści o potędze Sama rozniosły się szybko po Gondokoro.

Marny koniec Bellala i Mohammeda Hera, jak również

niespodziewany deszcz w Tarrangolle.

– Niech będzie, efendi. Co proponujesz? – zapytał w końcu

mężczyzna.

Florence zauważyła, że Sam głęboko odetchnął. Wiedziała,

że czekał na to pytanie.

– Gdy wrócicie do swojego obozu, dam wam dwanaście

godzin na opuszczenie kraju Kamrasiego. Niech Rionga da wam wszystko, co chcecie, niewolników, bydło czy kość słoniową. Ale tutaj nie macie czego szukać. Handel na tym terenie należy do Ibrahima i Koorshida Agi.

Mężczyźni naradzali się po cichu. Sam dał znak, by młode,

nagie dziewczyny nalały im więcej platanowego wina. Wreszcie Wat-El-Mek skinął głową i wstał.

– Niech będzie, efendi – oznajmił z godnością. – Zgoda.

Kilka godzin później obdarowani prezentami odeszli do

swojego obozu, a do chaty Sama przybiegł Kamrasi.

– Fantastycznie. Zupełnie fantastycznie – pochwalił Sama. –

Jak sobie pójdą, wtedy my zaatakujemy Riongę. Będzie całkiem bezbronny.

– Czy możemy już wyruszyć? – zapytał cicho Sam. Niech

Kamrasi robi, co chce.

Król się zastanowił.

– Pewnie. Ale czy nie zechciałbyś mi jeszcze podarować

swojego kompasu i tej dwulufowej strzelby?

Tego wieczoru Florence pierwsza zauważyła drżenie liści.

Noc była rześka, powietrze miało świeży, urodzajny smak po padającym w ciągu dnia deszczu. Na liściach we wnętrzach platanów nadal lśniły krople wody.

Razem z ludźmi Ibrahima siedzieli wokół obozowego

ogniska. Kamrasi przysłał tłustego wołu, którego ludzie Ibrahima zaszlachtowali na ucztę z okazji zawarcia pokoju. Blask ognia nadawał twarzom wyraz spokoju. Mężczyźni śpiewali i klaskali w dłonie.

Saad tańczył z Bacheetą, wszyscy pokrzykiwali.

Florence odwróciła wzrok od tłustego wołu, którego co

chwila polewano merissą, i wpatrywała się w ciemność, w miejsce, w którym obozowisko okalały bananowce.

Kilka tygodni wcześniej sami przyszli tamtędy do M'rooli.

Teraz czuła, że za ścianą liści znów skryło się jakieś życie.

Wiedziała, że w gąszczu ktoś się przyczał. Listowie szeleściło, a ruch liści nie był spowodowany podmuchem wiatru ani obecnością zwierzęcia.

Odstawiła kubek z chłodną, gorzką merissą.

Pomyślała o innych liściach w innym obozie, wokół stawu w

tamaryndowym gaju. Nagle ogarnął ją przemożny strach przed

Amabile del Bonem, przed wszystkimi mężczyznami, którzy byli do niego podobni, jak Sulejman, jak Wat-El-Mek. Poczwała skurcz w żołądku. Rzeczywiście Amabile del Bono uczynił wszystko, by otworzyć przed nią bramy piekła. A jeśli teraz tam na nią czekał?

Jeśli Wat-El-Mek ich okłamał? Czy Amabile del Bono nie

powinien być razem ze swoimi ludźmi, gdy docierali do nowych terenów?

– Sam – szepnęła i wskazała na poruszające się liście.

Sam podniósł się powoli i wyciągnął z kabury u pasa pistolet.

Nie spuszczał wzroku z liści.

Saad przestał tańczyć. Bacheeta też zatrzymała się w pół

ruchu. Dobosz przestał uderzać w bęben. Ibrahim złapał za strzelbę leżącą za nim na piasku.

– Kto tam? – zawołał Sam.

Florence wsunęła się za jego szerokie plecy. W uszach słyszała szum własnego oddechu.

– Pokaż się! – zawołał Ibrahim. – Inaczej zaczniemy strzelać.

Zrobił to. Pokazał się. W mgnieniu oka wybiegł i stanął

pośrodku. Liście się rozdzieliły i wyszedł z nich on, zwinny i czarny jak noc: Richaarn.

Richaarn, który zabił w walce napastnika, roztrzaskując przy tym swoją strzelbę. Później się zgubił i szedł, kierując się szumem Nilu. Omijał słonie, starał się zmylić lwy i w ten oto sposób odnajdywał

drogę do M’rooli. Powoli, ale skutecznie.

Richaarn.

– Richaarn! Richaarn! Richaarn wrócił! – zawołał Saad i

objął Bacheetę. Huknęły salwy, a doboz z nową siłą zabrał się do bębnienia. Ibrahim wyciągnął nóż, by podzielić wołu. Sam

otwierał tykwowe bukłaki z platanowym winem.

Uczta rozpoczęła się na dobre. Richaarn wrócił.

„Niedługo razem z Samem wrócimy do domu – pomyślała

Florence. – Niedługo. Mamy maj”.

Pół roku później, siedemnastego listopada, Sam pomagał jej

usadowić się w miarę wygodnie na wole, którego wytargował od Kamrasiego. Wielki deszcz wreszcie się skończył, kraj był

wilgotny i syty. Florence obejrzała się za siebie. Na placu w M’rooli było czarno od ludzi. Ruszali.

Nareszcie ruszali. Widziała Kamrasiego stojącego z błyszczącymi oczami na środku placu

swej wioski. „Dziękuję Bogu, że nie będę więcej musiała oglądać tego człowieka”. Machał do niej obrazkami, które wycięli dla niego z „Illustrated London News”: londyńskie damy w

krynolinach, z włosami upiętymi z tyłu w szynion. Odwróciła wzrok, mając nadzieję, że tym samym uda jej się zapomnieć o wszystkich potwornościach, których była świadkiem w ostatnich miesiącach, podczas wojen, jakie prowadził z sąsiednimi

plemionami. Ogrom przemocy, jaką czynili kobietom. Dzieci

skazywane batami na niewolnictwo, na nienawiść, na śmierć.

Mężczyźni, którym obcinano ręce i głowy, a ciała wieszano za nogi na platanach. Innym buntownikom na przestrożę.

Kamrasi do nich machał. Położyła dłonie na cuglach wołu.

– Aż tylu ludzi – powiedziała cicho do Sama.

Przytaknął. Przybyli do wioski z garstką tragarzy i żołnierzy, a jak odjeżdżali?

– Nasza karawana liczy prawie tysiąc ludzi! – roześmiał się.

– Ibrahim zatrudnił siedmiuset tragarzy, którzy zaniosą mu do domu sto pięćdziesiąt ton kości słoniowej.

Koorshid Aga nie będzie miał powodu do narzekań. Swego czasu, przed Ellyrią, Ibrahim dokonał właściwego wyboru.

To powiedziawszy, pogłaskał ją po łydce odzianej w ściśle zasznurowany ochraniacz.

– Ruszamy, Florence. Teraz już nic nam nie grozi. Wiosną będziemy w Gondokoro i popłyniemy łodziami do Chartumu.

Obejrzał się do tyłu, gdzie właśnie ustawiano w rzędzie

ostatnie sztuki bydła, kozy i klatki z ptactwem. Czekał ich pięciodniowy marsz przez bezludną okolicę, a mieli do

wyżywienia tysiąc mężczyzn, kobiet i dzieci. Sam wziął głęboki oddech.

– Teraz już nic nam nie grozi – powtórzył niczym zakłęcie.

Nieoczekiwanie wyłoniła się przed nimi góra Lardo.

Pewnego ranka zobaczyli jej szczyt przebijający się przez gęstą zielen lasów wokół Gondokoro.

– Wystrzelimy salwy? – zapytał z entuzjazmem Saad.

Trzymał w ręku świeżo ściętą bambusową żerdź, którą teraz wyciągnął do góry, pozwalając brytyjskiej fladze swobodnie łopotać nad ich głowami.

Pierwsze chaty Gondokoro były oddalone od nich jedynie o

kilka minut drogi. Sam widział dumę, z jaką Saad wracał tym razem do Gondokoro jako zwycięski i zamożny młody mężczyzna.

Mimo to pokręcił głową.

– Jeszcze nie – zdecydował, lecz w tym samym momencie w

uśpione, stęchłe powietrze Gondokoro huknęły pierwsze

fajerwerki ze strzelb ludzi Ibrahima. Ptaki poderwały się z krzykiem z koron drzew. Małpy skakały z gałęzi na gałąź,

zrzucając im na głowy deszcz niedojrzałych owoców i gałęzi.

Mężczyźni oddawali salwę za salwą, rozradowani i

roześmiani łykali dym z własnego prochu. Niewolnicy w

łańcuchach u stóp stali w milczeniu. Czekali na to, co miało się wydarzyć. Raptem Ibrahim podniósł rękę.

– Cisza – rozkazał.

Umilkło echo ostatnich wystrzałów. Ludzie patrzyli na niego wyczekująco. Sam wiedział, że Ibrahim dobrze im zapłacił. Każdy z nich dostał cztery sztuki bydła.

– Efendi, *sitt*, posłuchajcie – powiedział Ibrahim.

Florence razem z Samem i Ibrahimem nastawiła uszu w

kierunku lasu otaczającego osadę Gondokoro. Wszędzie panowała absolutna cisza. Nikt nie odpowiedział na ich salwy, na

entuzjastyczną zapowiedź ich przybycia.

– Co się tam dzieje? – zastanawiała się głośno.

Pierwsze chaty znajdowały się w zasięgu ich wzroku.

Wyglądały na zamieszkane, ale z niskich drzwi nikt nie wychodził

na ich powitanie. Żaden wojownik plemienia Bari nie wystawił

strzały nasączoną śmiertelną trucizną, ani jedna niewolnica nie szła do rzeki po wodę i żaden handlarz nie przekomarzał się z samego rana z kolegą po fachu.

Ujrzeni jedynie żółtą flagę powiewającą w chłodnym wietrze

na środku placu.

– Żółta flaga? – zdziwiła się Florence. – Co to może
znaczyć?

Sam odchrząknął. Mimo to miał ochrypły głos, gdy
odpowiadał na jej pytanie.

– Zaraza. To znaczy, że Gondokoro zaatakowała zaraza.

Ibrahim podjechał na wole do Sama.

– Efendi, jak sądzisz, o jaką chorobę może chodzić? –
zapytał.

Sam wzruszył ramionami. Doskonale wiedział, że tu, w
Gondokoro, mogła się rozszaleć każda zaraza.

– Może cholera? – odpowiedział w końcu niemal z nadzieją.

W mieście nie było cholery. Panowała dzuma. Znaleźli się w
beznadziejnym położeniu.

W Gondokoro utknęło trzy tysiące niewolników. Egipski rząd
czynił starania, by ukrócić handel niewolnikami. Wskutek

zeszłorocznych ulewnych deszczy podniósł się poziom wody w

Białym Nilu i rzeka częściowo się zablokowała. Jedyne z trudem można było utorować sobie drogę
wśród mokradeł *suddu*. W

porcie stały tylko trzy statki. „Diahbiah” i dwie płytkie barki do przewozu zboża. Należały do Koorshida
Agi.

– Macie dla nas listy? Żywność? A może trochę materiału? W

tych łachach nie mogę się pokazać w Chartumie – zapytał Sam Koorshida Agę z nadzieją w głosie,
składając wizytę w jego domu.

Turek pokręcił głową. Poprzez opary dymu Samowi ledwo

udało się dostrzec jego gest. Koorshid Aga nakazał bez przerwy okadzać swój dom dymem, który miał
trzymać zarazę z daleka od jego dobytku.

– Niestety nic, Baker efendi. Przykro mi. Wszyscy

myśleliśmy, że dawno umarliście. Nikt, ale to nikt nie mógłby przeżyć tego co wy.

Skłonił głowę przed Florence sączącą słodką, gorącą kawę.

Co za bajeczny smak! Długie godziny spędziła w łaźni Koorshida Agi i teraz, wymasowana i namaszczona, znów czuła się jak

człowiek. Jak kobieta.

Sam przełknął ślinę. Żadnego listu, nic. Nikt w niego nie

wierzył, nikt na niego nie czekał. Czy jego wysiłki były tego warte? Koorshid Aga podniósł się ze swego kobierca i w

nieoczekiwanym geście położył Samowi rękę na ramieniu.

– Przykro mi – powiedział.

Sam skinął. Florence położyła dłoń na jego rękę.

Raptem Samowi przypomniał się wielki wódz Commoro,

bóg deszczu, który na odjeźdnym zadał mu pytanie: „A jeśli w końcu je znajdziesz, to swoje jezioro? Co wtedy? Co będziesz z tego miał?”.

Sam wstał i popatrzył z tarasu domu na szeroką, ciemną rzekę.

W Gondokoro zaraza dopiero wybuchła. W Chartumie

choroba pochłonęła do tej pory piętnaście tysięcy ludzkich istnień.

Wszędzie dookoła paliły się stosy. Zapanowała czarna śmierć.

Rozczarowanie miało zbyt gorzki smak, by można się z nim było tak łatwo pogodzić. Nikt nie czekał na Sama Bakera i na Florence Finnian von Sass. Chwycił się za pierś w miejscu, gdzie na

skórzanym rzemieniu wisiał pierścień, który dawno, dawno temu wykuł w ognisku. Może przynajmniej ten niewielki przedmiot

stanowi obietnicę, której mógł dotrzymać.

Florence podeszła do niego od tyłu, oparła brodę na jego

ramieniu, a rękami objęła go w pasie. Poczł jej oddech, jej życie.

„Nie ma nic ważniejszego od niej” – złął się w myślach i

odwrócił się do niej.

Popatrzyła na niego. Wielki księżyc przywrócił jej rysom

łagodność, jaką miały przed długą podróżą do serca Afryki.

Zastanowił się, ile mogła mieć lat. Dwadzieścia trzy, może

dwadzieścia cztery. Ale tej nocy wydała mu się pozbawiona wieku.

Był pewien jednego: wiedział, że do końca życia chce patrzeć na tę twarz z wyrazistym podbródkiem, piegami na nosie i jasnymi

oczami. Każdego ranka i każdego wieczora.

W samym sercu piekła stawiała czoła nawet największej

gorączce.

– Koorshid Aga da nam swoją „Diahbiah” – odezwała się

cicho. – Będziemy mogli popłynąć do Chartumu.

Sam roześmiał się krótko.

– Wspaniale. Czy wiesz, ilu ludzi zabiła dżuma w drodze do

Chartumu?

Słyszając ironię i gorycz w jego głosie, spokojnie popatrzyła mu w oczy.

– Wobec tego każ wyszorować łódź od góry do dołu mydłem.

Później przez trzy dni i trzy noce każ ją okadzać. Wtedy będziemy mogli wypłynąć. Musimy jechać do domu, Sam. Dłużej już nie

wytrzymam – dodała ciszej.

Sam otoczył ją ramionami.

– Wybacz. Wybacz mi. Naturalnie. Oczywiście, że

weźmiemy łódź Koorshida Agi – obiecał i pocałował jej włosy pachnące kadzidłami. Zapach mający powstrzymać śmierć.

Płynęli! Naprawdę płynęli! Saad stał przy burcie „Diahbiah”, słuchając ostatnich rozkazów do wyjścia z portu.

Rzeka była wezbrana. Zdawało się, że fale przeleją się nad

brzegami. Odbili od przystani i płynęli niesieni prądem w dół

rzeki. Łódź powoli przedzierała się przez gęsty *sudd* ze skłębionych pnączy, które oplatały jej dziób niczym sieć. Nad sobą mieli siarkowożółte sklepienie nieba, dym ze stosów, na których spalano ciała ofiar dżumy, nadawał mu osobliwą, odpychającą barwę.

„A może tylko mi się tak wydaje – zastanawiał się Saad. – A może niebo jest niebieskie? – Potarł oczy. –

Bardzo źle spałem.

Czuję okropny ucisk w głowie!”

– Saad, odwiąż cumy! – zawołał efendi i chłopak zwinnymi

palcami odwiązał ostatni węzeł na relingu „Diahbiah”. Energicznie rzucił linę na brzeg, nie wpadając przy tym do wody. Jakiś

mężczyzna złapał cumę i machnął do niego. Saad odmachął. Przy tym ruchu zaboląło go ramię.

– Do widzenia! Do widzenia! Pomyślnych wiatrów!

Na przystań przyszedł sam Koorshid Aga. Siedział w lektyce, otoczony niewolnikami. Kilku z nich osłaniało go markizą, inni zaś trzymali w rękach pojemniki z tłącym się kadzidłem.

Z pysków hipopotamów podniosły się czaple złotawe,

rozpościerając w powietrzu białe skrzydła. Olbrzymie żaby z głośnym pluskiem skakały do wody obok nagich dzieci z

plemienia Bari, które nie zważając na zarazę, chciały pomachać łodzi.

Siwe czaple, uniósłszy jedną nogę, wyciągały długie szyje.

Krokodyle zanurzały się bezgłośnie. Tłum ludzi budził ich

niepokój.

Saad z zadowoleniem wdrapał się na reling i machał w

kierunku oddalającego się Gondokoro. „Mam nadzieję, że nigdy więcej cię nie zobaczę, nędzna piekielna dziuro – pomyślał. –

Zdechnijcie wszyscy, diabelskie pomioty!” Wspiął się na palce, trzymając za jedną z niżej sięgających lin, gdy w tłumie ludzi zebranych na nabrzeżu dostrzegł Ibrahima.

– Do widzenia! Do widzenia! – krzyknął.

Ibrahim mu pomachał, tak samo jak reszta gapiów. Saad

zauważył śliczną żonę Ibrahima, pochodzącą z plemienia Bari.

Stała za mężem, a w podróży cały czas mu towarzyszyła.

„Diahbiah”, łódź efendiego, która w czasie dżumy odpływała

do Chartumu, stanowiła dla wszystkich isierkę nadziei.

– Niedługo do nas dojedziecie! Zobaczymy się w Chartumie!

– zawołał Saad i w tym samym momencie rozległ się huk

pierwszej salwy. Ludzie zaczęli kaszeć, zawył pies trafiony kulą.

Wystrzały rozcinały wodę na Nilu. Saad usłyszał głos efendiego:

– Ci głupcy gotowi są podziurawić mi burtę!

Łódź przyspieszyła, unosząc się bezgłośnie na wiecznej

rzece. Wiosła utrzymywały „Diahbiah” w środkowej części nurtu Białego Nilu. Wracali do domu! Płynęli do Chartumu! Wracał jako zwycięzca. Miał piętnaście lat. Mógłby wziąć sobie żonę. Mógłby mieć dzieci.

Mógłby sobie kupić dom i niewolników. „Oczywiście, że chcę mieć własnych niewolników, przecież wszyscy muszą

wiedzieć, że jestem wielkim panem – myślał. – A efendiemu wcale nie muszę o tym mówić. Jak razem z *sitt* przyjadą mnie odwiedzić, ukryję ich po prostu” – zachichotał w duchu.

Śmiał się jeszcze, gdy zakręciło mu się w głowie. Gdy ból

przeszył mu ciało. Gdy głowa zdawała się rozpadać na drobne kawałki. Gdy krew płynęła mu z nosa i z oczu. Jego wnętrze

zdawało się zamarzać. Świat wokół niego zrobił się żółty, później czerwony, a na końcu czarny.

– *Sitt* – jęknął i upadł bez przytomności na deski pokładu.

– Jak on się czuje? – zapytał cicho Sam, wsuwając głowę do

kabiny, w której leżał Saad, wyciągnięty na posłaniu ze słomy i skór. Niemniej jednak zdawał sobie sprawę, co się działo z

chłopcem. Rano, po pierwszym ataku, leżał pogrążony w delirium.

Gdy przybili do brzegu, by nazbierać chrustu, Saad skoczył do Białego Nilu, by ostudzić żar rozpalający mu głowę. W ostatniej chwili zdołali go uratować przed krokodyłami.

Florence podniosła wzrok i popatrzyła na Sama. Umyła

Saada, a teraz bezwiednie wypuściła z ręki gąbkę do miski z letnią wodą.

Sam dostrzegł kropelki potu połyskujące na jej skroniach. Na jej szczupłych ramionach widać było nabrzmiałe żyły. W kabinie panował palący zaduch. Pachniało kadzidłem, które Koorshid Aga dał im na

drogę. Cuchnęło krwią, którą zmyła z członków i twarzy chłopca, i ropą wypływającą z jego ran. Całe ciało chłopca

pokrywały pęcherze. Na początku pokazały się pod pachami i w pachwinach. Później obsypały go od stóp do głów. Istota leżąca na posłaniu przestała przypominać Saada.

– Jak on się czuje? – powtórzył swoje pytanie.

Florence pokręciła głową.

– Nie wiem – odrzekła cicho. – Muszę przy nim zostać.

Przystawiła do jego ust filiżankę z osłodzoną wodą

stanowiącą jedyny luksus, jakim tu dysponowała. Pił chciwie, zwracając na nią błagalny wzrok. Białka jego oczu zabarwiły się na żółto, przypominając rozlane żółtko jajka. Nie mógł mówić.

Miał spuchnięty język.

– Jak myślisz, da radę? – spytała Sama.

Sam zwlekał z odpowiedzią. Tak, czasem, choć bardzo

rzadko, zdarzało się, że komuś udało się przeżyć chorobę.

Najsilniejszym z najsilniejszych. A przecież Saad do nich należał.

W końcu zdecydował się przytaknąć.

– Tak, jeśli Bóg zechce. Florence, proszę, uważaj na siebie –

dodał szeptem.

Powinna wiedzieć, jak jest dla niego ważna. Chyba miała

świadomość, że i ona może się zarazić.

Tymczasem Florence wzruszyła ramionami i przetarła dłonią

czoło. Jej oczy jasno błyszczały w mroku kabiny.

– Ile razy Saad był gotów oddać za mnie życie? – zapytała,

tłumacząc swój upór.

Sam przytaknął, cofnął głowę i zamknął za sobą drzwi. W

miejsowości Fashoder, gdzie zatrzymali się na noc, udało mu się kupić na targu soczewicę, ryż i daktyle na zupę dla Saada.

Pożywną, ciepłą zupę. Może udałoby im się z powrotem wlać

łyżką życie w jego ciało?

Odchodząc, zobaczył Richaarna. Czarny olbrzym uniósł na

chwilę głowę, ale zaraz znów ukrył twarz w dłoniach. Trzymał

straż pod drzwiami kabiny. Nie chciał jeść ani nawet pić. Sprawiał

wrażenie, jakby całą moc swoich myśli skierował na Saada.

„Mamy już jednego, który wstał z martwych – pomyślał

Sam. – Może Saadowi też się uda”.

Mijał dzień za dniem, noc za nocą. Łódź przedzierała się z

wolna przez *sudd*, posuwając się z biegiem rzeki w stronę Chartumu. Florence spała przy Saadzie.

Trzymała w dłoni jego rękę, która ścisnęła ją w skurczach powodowanych gorączką.

Słyszała, jak krzyczał:

– Del Bono! Nie, nie! Proszę, nie! Nie do del Bona.

Usiadł na posłaniu i celując do wymyślanego

przeciwnika, jakby trzymał w rękach strzelbę gotową do strzału, krzyczał dalej:

– To nie może się powtórzyć! Nigdy więcej! Efendi i *sitt* postarają się o to.

Florence próbowała położyć go z powrotem na łóżko i

szeptala do niego:

– Tak, będziemy się starać. To się już nigdy nie powtórzy.

Saad opadł do tyłu na posłanie. Czy przeżyje kolejną noc?

Coś na kształt uśmiechu przemknęło po jego twarzy. A może były to jedynie przelotne nocne cienie.

Rano Florence się podniosła. Spojrzała na chłopca, który

teraz oddychał spokojnie. Przyłożyła dłoń do jego czoła. Skóra była chłodna. Zdawało się, że gorączka ustąpiła! Florence omal nie potknęła się o własne nogi, idąc ku drzwiom.

– Sam! Stał się cud! Mam wrażenie, że mu się uda!

Richaarn drgnął i wyprostował się.

– Karka, chodź do kabiny! – zawołała starą grubą niewolnicę, która przez cały czas czekała na nią przed drzwiami. Karka

podniosła się ze stęknieniem. – Popatrz na niego, a ja pójdę się umyć i zjem z efendim śniadanie. Później każ przygotować posiłek dla chłopca.

Karka skinęła i usiadła obok posłania Saada. Wzięła go za

rękę i ułożyła jego głowę na swoich kolanach. Murzynka

popatrzyła na chłopca i zaczęła nucić dzieciinną kołysankę.

Kościstymi palcami gładziła jego gęste, wełniste włosy.

– Idź już, *sitt*, jestem przy nim – powiedziała.

Gdy Florence wróciła, Karka nadal siedziała obok Saada.

Florence odniosła wrażenie, jakby nic się nie zmieniło. Saad leżał

spokojnie na swoim posłaniu, prawie odprężony. Tylko jego włosy przybrały raptem barwę popiołu.

Skórę na kościach policzkowych miał mocno napiętą. „W ciągu najbliższych tygodni będzie musiał dużo jeść, osobiście tego dopilnuję”.

Pogłaskała Saada po rękę. Nie odwzajemnił dotyku, ale miał

ciepłą skórę. Florence się uśmiechnęła. Później ze zdziwieniem uniosła brwi. Karka przebrała chłopca w czyste ubranie, które chciał włożyć, gdy dopłyną do Chartumu.

– W dalszym ciągu śpi? – zapytała cicho Karkę.

Stara pokręciła głową i przestała nucić.

– On nie żyje, *sitt* – powiedziała łagodnie.

Łódź stała na kotwicy w Wat Shley. Od Chartumu dzieliły ich trzy dni podróży.

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Spoczywaj w

pokoju, mały Saadzie... – głos Sama się załamał. Wszystko

brzmiało tak zwyczajnie, powtarzane tysiące razy. Nic, ani jedno słowo nie pasowało do młodego chłopca, którego krótkie życie tak gwałtownie zgasło.

Florence zaszłochała jeden jedyny raz. Później ukryła twarz w dłoniach. Richaarn wysmarował się od stóp do głów tłuszczem wymieszanym z popiołem. Pasta sprawiła, że uwypukliły się

wszystkie blizny zdobiące jego ciało. Zastygł w milczeniu ze spuszczoną głową i wydawał się jeszcze

potężniejszy niż zwykle.

Samowi zabrakło słów i nie wiedział, co jeszcze powinien

powiedzieć. Jego serce było zbyt pełne, a głowa pusta. Ten chłopak towarzyszył mu w podróży do śmierci i z powrotem do życia.

Zawsze mógł na nim polegać. Ile razy bystre uszy Saada i jego odwaga uratowały im wszystkim życie?

Co by się z nimi stało bez niego? Bez wątpienia spoczywaliby w grobie, takim jak ten. Nie wiadomo gdzie, daleko, wśród sawanny.

– Mam nadzieję, że hieny nie zakłócają mu spokoju – mruknął

Sam.

– Nie tu – odparł Richaarn i szybko się rozejrzał. Wybrali

piękną okolicę na miejsce ostatniego spoczynku Saada. Na wietrze powiewały wachlarze palm daktylowych, obok dzieci pędziły

przed sobą stadka kóz, Nil zaś z odwiecznym spokojem płynął w kierunku ujścia.

– Tutaj nie ma hien. Idź już, efendi. Odprowadź *sitt* na łódź.

Powinna się wyspać.

Sam był niemal zadowolony, że mógł odejść. „My Anglicy

nie jesteśmy stworzeni do tego, by wyrażać słowami wielkie

uczucia – pomyślał. – Chyba że na papierze. Ale tak oko w oko?

Lepiej nie”.

Ujął Florence pod rękę i delikatnie pociągnął ją za sobą.

Płakała tak bardzo, że nie widziała drogi pod nogami. Musiał ją prowadzić krok po kroku.

Nim wprowadził Florence na trap „Diahbiah”, ponownie się

obejrzał. Usłyszał jakiś dziwny dźwięk. Gęsia skórka pokryła mu ramiona.

Popatrzył w górę na skarpę i w białym świetle późnego

popołudnia ujrzał klęczącego Richaarna. Jego ciało przypominało doskonałą figurę z brązu. Ręce rozpostarł na grobie Saada, głowę odchylił do tyłu. Jego spojrzenie utkwilo w niebie, a głos pieśni-

zakłębciem wznosił się ku chmurom przepływającym nad ich

głowami niczym spienione kwaśne mleko plemienia Unioro.

Melodia, słowa ochryple i surowe, niezrozumiałe dla nikogo prócz samego Richaarna, szukały i odnalazły drogę do duszy jego

małego przyjaciela Saada, który miał odpoczywać w wiekuistym pokoju.

„Diahbiah” ugrzęzła w moczarach.

– Mam dość. Dosyć. Florence, pojedziemy dalej na

wielbłędach. Jutro wyruszymy do Chartumu. Richaarn, wyślij

posłańca, niech na nas czekają.

Richaarn skinął i znikł w korytarzach „Diahbiah”. Bez Saada na pokładzie nic nie cieszyło, trudno było wytrzymać. Sam

zniecierpliwiał się.

„Muszę patrzeć przed siebie. Saad, mamy przed sobą godzinę

triumfu” – pomyślał Sam.

Mieli nad głowami bezkresne rozgwieżdzone niebo, a wokół

siebie niezmierną pustynię. Poza ogniem ich własnego ogniska nigdzie nie było widać najmniejszego światełka. Nie rozłożyli namiotu.

– To ostatnia noc naszej wolności – wyszeptał Sam we włosy

Florence. – Od jutra staniemy się odkrywcami drugiego źródła Nilu. Jutro wyślę telegram do Murchisona, zaraz jak tylko

dotrzemy do Chartumu.

– Wobec tego cieszymy się nią – zamruczała Florence i

przytuliła się do niego pod kołdrą. Chłód pustyni przestał jej tak dotkliwie doskwierać, a za moment zupełnie o nim zapomniała.

„Musi tu być” – pomyślała Florence. Z wnętrza brzucha

przenikało do jej serca przenikliwie zimno.

Cały Chartum był na nogach. Każdy, kto miał w mieście

jakąkolwiek pozycję czy znaczenie, cała europejska ludność

zjawiła się na przyjęciu wydanym na ich powitanie.

Florence właśnie go dostrzegła. Wyczuła go wcześniej,

zanim ujrzały go jej oczy.

– Sam – szepnęła, sięgając do jego ramienia w poszukiwaniu pomocy.

Ale Sam jej nie słyszał, był bowiem pogrążony w rozmowie z Thibaudem, zagadkowym panem Chartumu, a później ścisnął rękę nowego gubernatora generalnego.

– Pańskie opinie na temat handlu niewolnikami... – usłyszała głos jakiegoś człowieka, który pociągnął Sama za sobą w kierunku grupki mężczyzn.

Naraz zrozumiała. Nie potrzebowała Sama. Dobiegła końca

jej własna podróż. Odwróciła się, a jej wzrok zderzył się z oczami Amabile del Bona. Błyszczały w odcieniach żółci i złota niczym najkosztowniejsze bursztyny.

„Zdaje się, że mnie szukałeś – powiedziała w myślach. –

Tymczasem to ja pierwsza odnalazłam samą siebie” – pomyślała z dumą i hardo uniosła głowę, celując podbródkiem w sam środek jego wzroku.

„Odnalazłam siebie”.

Amabile del Bono stał tuż przed nią, tutaj, na przyjęciu w

domu Włocha nazwiskiem Lombrosio, prowadzącego w Chartumie

orientalną i egipską spółkę handlową. Wciągnęła w nozdrza jego zapach. Zapach świeżego męskiego potu, olejku migdałowego,

którego użył po porannej kąpieli, drzewa sandałowego ze skrzyń, w których przechowywał ubrania, i trochę kadzidła, którego woń od czasów dżumy utrzymywała się we wszystkich domach.

Pamiętała, że Sulejman pachniał bardzo podobnie. Amabile musiał

dopiero przyjść. We wnętrzu przepastnego domostwa wciąż

jeszcze miał na głowie kapelusz.

Zauważyła, że popatrzył na Sama z ledwo dostrzegalną

ironią, i usłyszała śmiech mężczyzn stojących razem z nim.

Uniosła brwi. Przestały do niej docierać odgłosy przyjęcia.

– Mrs... Baker? – zapytał, krzywiąc miękkie, pełne wargi.

Uśmiechnął się. Jego wzrok powędrował do bufiastego woalu

rękawa przedpołudniowej sukni pożyczonej od signory Lombrosio, przez który widać było zarys jej ramion. Zatrzymał się w miejscu, gdzie od skóry odbijała się blada blizna w kształcie półksiężyca.

Uniosła wyniośle głowę.

– Tak?

Amabile nieoczekiwanie podniósł rękę i powoli, bardzo

powoli przysunął ją do kapelusza. Zdjął go. Na ramiona

Maltańczyka spłynęły lokami ciemne, wypielęgnowane włosy.

Twarz miał opaloną słońcem, ale na jego skroni Florence

dostrzegła odcinającą się od ciemnej karnacji niewielką białą bliznę po rozcięciu. W miejscu, gdzie nad stawem w

tamaryndowym gaju trafiła go kolbą strzelby. W Gondokoro, przed ponad pięcioma laty. Amabile del Bono trzymał w ręku kapelusz i dyskretnie się skłonił, a następnie odezwał się ściszym głosem:

– Wyrazy uwielbienia, pani Baker.

To powiedziawszy, odwrócił się i przepadł w tłumie.

Florence nigdy więcej go nie widziała.

Chartum. W górze Nilu. Suez. Kair. Richaarn poślubił

ogromną dziewczynę z plemienia Dinków. Miała na imię Zenab.

– Dinkowie to dobrzy ludzie, Richaarn – powiedziała

Florence i pomyślała o Alim, który przed wielu laty, w dzień targu w Widyniu, tak starannie ją umył.

Richaarn i Zenab zostali w Kairze. Czarny olbrzym

nieporadnie poruszał się w ubraniach, które Sam kazał dla niego uszyć. Pan Zech, dyrektor hotelu Shephard, zatrudnił go w roli lokaja.

– Jeśli ci się nie spodoba, nie musisz tam zostawać –

szeptnęła mu do ucha Florence.

Richaarn przytaknął. W kieszeni miał sakiewkę z

trzydziestoma napoleonami, które stanowiły zapłatę za pięć lat służby. Dzięki niej czuł się wolny, mógł zostać lub odejść.

Poklepał się po kieszeni i wyszczerzył w uśmiechu opiłowane zęby. Oblizał usta i powiedział:

– Idź już, *sitt*. Jeszcze się zobaczymy. Serce efendiego znów jest zbyt pełne, by pozwolić mu mówić.

Florence skinęła. Tak, powinni się znów spotkać. Kiedyś,

gdzieś, między niebem a ziemią. Teraz znali wszystkie te miejsca.

Aleksandria. Był wieczór, gdy parowiec z Suezu do Wenecji

wpłynął z opóźnieniem do portu. Jego przybycie zaanonsowała fioletowa chmura na błękitnym horyzoncie.

Z Wenecji mieli pojechać pociągiem do Paryża, a później

przebrać się na pociąg do Londynu. Miasta, które oczekiwało ich z palącą niecierpliwością. Speke po skandalu związanym z jego zachowaniem w Afryce odebrał sobie życie.

W zaistniałej sytuacji był tylko jeden odkrywca źródeł Nilu, którego należało odpowiednio uczcić: Samuel White Baker.

– O czym myślisz? – zapytał Sam, biorąc ją pod rękę. Na

ramieniu nosił czarną opaskę na znak żałoby po Speke’u, który udzielił mu znaczącej pomocy.

Florence oparła się na nim. Więcej poufałości nie mogła tutaj okazać, doskonale o tym wiedziała. Byli otoczeni przez oficerów powracających z Indii do domu oraz ich małżonki, siostry i córki o różowych policzkach.

– Myślę o tym, że się boję. Wydaje mi się, że w żadnym

momencie naszej podróży w ubiegłych latach nie bałam się tak bardzo, jak tu i teraz.

– Czego się obawiasz? – zapytał.

– Boję się ludzi, do których przynależysz – odrzekła z

wahaniem, ponownie zerkając na stojące obok kobiety, doskonale w swej paplaninie, lustrujące ją spojrzzeniami zimnych oczu.

– Do których przynależę? Istnieją wyłącznie tacy, do których przynależymy oboje. – Roześmiał się i ucałował jej dłoń. –

Florence, ten statek to kawałek angielskiej ziemi. Nie wejdiesz na nią bez zaręczyn ze mną.

– Co masz na myśli? – zdziwiła się. Naprzeciwno nich dwie

kobiety zaczęły szeptać. Ich związane na karkach szyniony poruszały się w rytmie wachlarzy.

Sam chwycił za swój sztywny kołnierzyk i rozpiął go kilkoma ruchami. Florence zobaczyła na jego szyi skórzany rzemień.

– Co to jest? – zaciekała się i przypomniała sobie, że widziała go już kiedyś w Unioro.

– Co to jest? – powtórzył jej słowa, wsuwając jej na palec

nieregularny, nieporadnie wykuty pierścionek ze złota. Florence zamrugała. Złoto rozmyło się przed jej oczami, rozpuściło się i miało smak soli. – Ale gdzie... i kiedy? – chciała wiedzieć, oglądając ze wszystkich stron dłoń z ciężkim pierścieniem. Był

trochę za duży na jej wychudzony palec.

Sam ponownie ujął jej dłoń i czule ucałował palec z pierścieniem. Damy z szynionami i wachlarzami syknęły z oburzenia.

– Dawno, dawno temu, Florence. Chyba na targu w Widyniu.

Już tam pojąłem cię przed Bogiem za żonę. A teraz chciałbym to zrobić jeszcze przed ludźmi. Wyjdź za mnie, Florence. Zostań w Londynie moją żoną, przed moją rodziną i przyjaciółmi –

wyszeptał, delikatnie przygryzając jej palec z pierścieniem.

Nie miała siły na odpowiedź. Zabrakło jej siły, żeby stać.

Resztki sił wypłynęły z niej razem ze łzami.

– Nie zamierzasz mi odpowiedzieć? – zapytał i ujął ją za

ramię, po czym przysunął do siebie. Przez materiał nowej sukni poczuła znajome ciepło jego ciała.

Roześmiała się i uwolniła z uścisku.

– Jeśli ty potrzebowałeś tyle czasu, żeby zadać pytanie, to ja chyba też mogę zostawić sobie kilka chwil na odpowiedź!

Tymczasem Sam mówił dalej:

– Jest jeszcze jedna rzecz, Florence...

– Tak? – spytała.

Sam wyjął z kieszeni na piersi jakiś papier, który okazał się złożonym telegramem.

– Od Murchisona. Serdeczne gratulacje i... Jej Wysokość

Królowa Wiktorja życzy sobie wynieść mnie do szlacheckiego

stanu. Zostanę sir Samuelem White'em Bakerem.

W tej chwili syrena statku wydała niski, karcący ton. Trzeba było wejść na pokład. Dzień zagubił się gdzieś w ciemnym

błękie Morza Śródziemnego. Na firmamencie rozblęła

wieczorna gwiazda. Morze kulistymi falami toczyło się w kierunku plaż Aleksandrii.

– Lady Baker? – odezwał się Sam, podając jej ramię.

Florence wsparła się na nim i razem ruszyli na pokład statku.

Popatrzyła wysoko w niebo. Pojawił się księżyc wąski jak

sierp.

Księżyc wolności.

Zakończenie

Pod koniec stycznia 1859 roku na targu w rumuńskim

miasteczku Widyń Samuel White Baker kupił białą niewolnicę

Florence Finnian von Sass.

W latach 1861–1865 Sam i Florence odbyli podróż z Kairu

przez Chartum do serca Czarnego Kontynentu, w poszukiwaniu

owianych tajemnicą źródeł Nilu. 14 marca 1864 roku dotarli do Luta N'zige, czyli Jeziora Alberta.

Jesienią 1865 roku Sam i Florence wzięli w Londynie ślub. W lecie 1866 roku Samuel White Baker został wyniesiony do stanu szlacheckiego. Królowa

Wiktorja do końca życia nie zgodziła się przyjąć u siebie lady Florence Baker. Sam Baker zmarł w roku 1893, po wielu kolejnych podróżach i przygodach. Florence, która zawsze mu towarzyszyła, przeżyła go

o 23 lata.

Ich miłość nigdy nie umarła.